

Kronika miasta Łodzi

kwartalnik ● 1 (61)/2013

ŁÓDŹ JEST KOBIETĄ



15,00



ω 127872/1913



EX LIBRIS
WOJEWODZKIEJ I MIEJSKIEJ
BIBLIOTEKI PUBLICZNEJ
IM. MARSZAŁKA
JOZEFA PIĘSUDESKIEGO
W ŁODZI

iw/dh/191/13



10678-A

2013 - nr 1

DMAiP

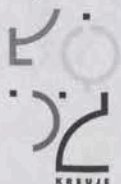
Kronika miasta Łodzi

kwartalnik • 1 (61)/2013

ŁÓDŹ
JEST
KOBIECĄ

Łódź 2013

Wydawca:



Urząd Miasta Łodzi
Biuro Informacji i Komunikacji Społecznej

Redakcja:

Gustaw Romanowski – redaktor naczelny

W zredagowaniu numeru uczestniczyli:

Współpraca merytoryczna i koncepcyjna:
Marcin Kieruzel

Współpraca redakcyjna:
Małgorzata Golicka-Jabłońska
Marek Strąkowski

Projekt typografii i okładki:
Andrzej Chętko

Zdjęcia:
Autorzy, Archiwum UMŁ

Skład i druk: Drukarnia WIST
95–100 Zgierz, ul. Barona 8 B

Łódź, 2013

Redakcja:

Kronika Miasta Łodzi, ul. Piotrkowska 115, III piętro, p. 36
90–430 Łódź, tel. (42) 638–44–39
e-mail: kronika@uml.lodz.pl

ISSN 1231-5354

Materiałów nie zamówionych redakcja nie zwraca.
W tekstach przeznaczonych do druku zastrzega sobie prawo do zmian i skrótów.

Spis treści

	pierwsze kolumny	5
<i>Małgorzata Golicka-Jabłońska, Gustaw Romanowski, Łódź jest kobietą</i>		7
– wywiad z Panią Prezydent Hanną Zdanowską		
<i>Iza Desperak, Płeć miasta</i>		14
<i>Marta Sikorska-Kowalska, Robotnice, rewolucjonistki, społecznice</i>		18
<i>Paweł Patora, Łódzkie uczone</i>		27
<i>Małgorzata Golicka-Jabłońska, Alicja Dorabialska</i>		34
<i>Marta Zdanowska, KobiECE doświadczanie miasta</i>		41
<i>Kamila Żyto, Kobiety w obiektywie dokumentalisty</i>		49
<i>Marcin Kieruzel, Zofia Hertz</i>		54
<i>Maria Sondej, Maria Kwaśniewska</i>		67
<i>Lukasz Głowacki, Dzieło Marii Sawickiej</i>		76
<i>Anna Nawrot, Malarki, rzeźbiarki, graficzki</i>		80
	kultura	87
<i>Marcin Kieruzel, Błażej Filanowski, O łódzkiej kulturze i nie tylko...</i>		89
– wywiad z Panią Poseł Iwoną Śledzińską-Katarasińską		
<i>Gustaw Romanowski, Przebojowa wystawa w Muzeum Sztuki</i>		99
<i>Gustaw Romanowski, Małe grafiki Andrzeja Gieragi</i>		109
<i>Dominika Łarionow, Klasyka definiuje świat</i>		114
<i>Mateusz Sidor, Język dzisiejszej wolności</i>		121
<i>Paulina Dzwonkowska, Azyle Joanny Wiszniewskiej-Domańskiej</i>		127
	aktualia	133
<i>Błażej Filanowski, Nadzieja dla Łodzi</i>		135
<i>Marcin Kieruzel, Jak nam się żyje w Łodzi?</i>		142
	historia	149
<i>Przemysław Waingertner, Łódzkie włóknarki '71</i>		151
<i>Konrad A. Czernielewski, 150. rocznica Powstania Styczniowego</i>		161

<i>Stefan Niesiołowski, Mój marzec</i>	168
<i>Agnieszka Jędrzejewska, Legionów 24</i>	174
łódzianie	183
<i>Marek Cetwiński, Jacek Matuszewski, Alexander Swieżawski (1924-2013)</i>	185
<i>Bożena Borucka, Barbara Śreniowska-Szafran (1949-2013)</i>	189
<i>Ryszard Grygiel, Joanna Ewa Niesiołowska-Śreniowska (1941-2013)</i>	194
<i>Jolanta Szyperska, Aleksander Ford Jr. (1944-2012)</i>	196
recenzje	199
<i>Cezary Strąkowski, Artysta jako obcy</i>	201
<i>Zdzisław Szczepaniak, Śladami zbrodni.</i>	205
<i>Przewodnik po miejscach represji</i>	
osiedla, domy, ulice	209
<i>Dariusz Kędziński, Ogrodowa</i>	211
listy, polemiki, kontrowersje	223
<i>Czesław Żyliński, Kaczmarek nie był przewodniczącym</i>	225
<i>opracowała Małgorzata Golicka-Jabłońska</i> Z łódzkiego raptularza	227

pierwsze kolumny

Łódź jest kobietą

*Z Panią Prezydent Miasta Łodzi
rozmawiają Małgorzata Golicka-Jabłońska i Gustaw Romanowski*
str. 7

Płeć miasta

Miasto kobiet czy dla kobiet
Iza Desperak
str. 14

Robotnice, rewolucjonistki, społecznice

Kobiety Łodzi przemysłowej w XIX i pierwszej połowie wieku XX
Marta Sikorska-Kowalska
str. 18

Łódzkie uczone

Wybitne, pracowite, odważne
Paweł Patora
str. 27

Alicja Dorabialska

Kobieta wyjątkowa
Małgorzata Golicka-Jabłońska
str. 34

Kobiece doświadczenie miasta

Herstoria, czyli siostra historii
Marta Zdanowska
str. 41

Kobiety w obiektywie dokumentalisty

Kieślowski, Wiszniewski, Gryczelowska
Kamila Żyto
str. 49

Zofia Hertz

Dwie dekady w Łodzi

Marcin Kieruzel

str. 54

Maria Kwaśniewska

Chłuba sportowej Łodzi

Maria Sondej

str. 67

Dzieło Marii Sawickiej

Adwokat ludzkiej postugi

Łukasz Głowacki

str. 76

Malarki, rzeźbiarki, graficzki

Od Kamili Pahlen do Anieli Menkesowej

Anna Nawrot

str. 80

Łódź jest kobietą

*Z Panią Prezydent Miasta Łodzi
rozmawiają Małgorzata Golicka-Jabłońska
i Gustaw Romanowski*

pierwsze kolumny



– *We współczesnych naukach społecznych używa się czasem terminu „pleć miasta”. Czy w odzuciu Pani Prezydent Łódź jest kobietą?*

– Oczywiście, że Łódź jest kobietą. Łódź powstała m.in. dzięki trudnej, niekiedy ponad siły, pracy włókniaerek. W swoich korzeniach ma pot i łzy tych kobiet, które zdeterminowane przyszłością rodziny stały przy krosnach przez dziesiątki lat. Choć to miasto i jego potężne imperium przemysłowe zbudowali mężczyźni, to przecież nie byłoby to możliwe bez ogromnego

udziału kobiet i ich nisko opłacanej, ciężkiej pracy w łódzkich fabrykach.

Z drugiej strony, mówiąc nieco żartobliwie, kiedy patrzę na nas, na dzisiejszych łodzian, to myślę sobie, że czasami zachowujemy się jak przysłowiowa panna, która „chciałaby, a boi się”. Na wiele spraw reagujemy emocjonalnie, oceniamy je tylko z dzisiejszej perspektywy, nie patrząc na przyszłe korzyści. Z dużym oporem akceptujemy zmiany.

Wreszcie po trzecie, trzymając się tylko liczb: statystyki pokazują, że w Łodzi od lat na stu mężczyzn przypada około sto dwadzieścia kobiet. Nie mam więc wątpliwości, że Łódź choćby dlatego jest kobietą.

– *Przyjęła Pani styl otwartej prezydentury, oparty o częste kontakty z mieszkańcami. Niektórzy mówią, że to wynika z kobiecej wrażliwości, bo od poprzedników wyróżnia Panią to, że dziś tak często*

prezydent organizuje spotkania z łodzianami nie tylko przecież w urzędzie, ale też w centrach handlowych, na ulicach, w parkach, w różnych innych miejscach publicznych. Czy ten styl przyjęła Pani z potrzeby zbliżenia się do zasad demokracji bezpośredniej, czy może z innych powodów?

– Od początku swego urzędowania uważam, że skoro sprawuję mój urząd z wyboru ludzi, więc jestem i muszę być dostępna dla ludzi. Staram się zmienić narosłe przez lata nawyki mieszkańców, patrzących na władzę samorządową z dystansem. Dlatego staram się być jak najbliżej mieszkańców. Chcę przywrócić społeczne zaufanie do urzędu i do prezydenta, bo chciałabym, aby łodzianie uwierzyli, że urzędowi nie sprawuje się dla kariery politycznej, ale że jest to służba.

Dlatego zabiegam o większe zainteresowanie łodzian sprawami publicznymi, ponieważ frekwencja w wyborach odbiega od tego, co się dzieje w innych dużych miastach, i jest w Łodzi przeważnie znacznie niższa. Społeczeństwo przejawia w ten sposób jeśli nie dezaprobatę, to na pewno widoczną rezerwę wobec demokracji na lokalnym szczeblu. I to jest dla mnie bardzo przykre. Przez tyle lat walczyliśmy o demokrację i prawo do stanowienia o sobie, a teraz, kiedy to uzyskaliśmy, ta wiara jakby osłabła. Musimy więc zrobić wszystko, aby ją przywrócić.

– Frekwencja wyborcza osłabła, ale mimo to w ostatniej dekadzie niezwykle wzrosła w Łodzi aktywność społeczna różnych środowisk i pozytywnych grup interesu. Czy tzw. ruchy oddolne, często dość żywiołowe i spontaniczne, pomagają Pani w podejmowaniu decyzji istotnych dla miasta, czy też dla działania władzy nie mają one większego znaczenia?

– Zdecydowanie pomagają, chociaż jest zrozumiałe, że nie wszystkie postulaty takich grup jesteśmy w stanie zrealizować. Na przykład mamy w Łodzi bardzo silny ruch osób związanych, najogólniej rzecz biorąc, z transportem rowerowym. Przedstawiciele tego ruchu, dysponując dużą wiedzą, chcą stworzyć szeroką przestrzeń w mieście dla komunikacji rowerowej, nie tylko do celów rekreacji. Ich opinie są bardzo ważne, zwracają nam uwagę na zagadnienia, których z perspektywy urzędu często nie dostrzegamy. Musimy jednak pamiętać, że istnieje też znaczna grupa osób, która korzysta z samochodów i równie silnie domaga się zapewnienia praw dla siebie. Rolą prezydenta jest więc harmonijne równoważenie odmiennych potrzeb i uwzględnienie interesów obu tych grup. Dlatego jeszcze raz podkreślam, że współpraca prezydenta z ruchami oddolnymi jest niezbędnym elementem podejmowanych przeze mnie decyzji. To bardzo cenny wkład obywatelskiej czujności, a do naszych urzędniczych zadań należy wykorzystanie ich wiedzy, zapału i energii dla dobra miasta.

Dlatego dla wzmocnienia tych społecznych inicjatyw tworzymy razem z mieszkańcami budżet obywatelski. To będzie wydzielona część budżetu miasta na realizację zadań opartych o konkretne propozycje mieszkańców. Zgłaszanie przez mieszkańców propozycji już się zaczęło i potrwa to do końca czerwca 2013 roku. We wrześniu sami łodzianie wybiorą w wyniku konsultacji społecznych i głosowania te zadania inwestycyjne (zarówno lokalne, jak i ogólnomiejskie), które trafią do budżetu na 2014 rok. Myślę, że jest to duży krok ku bezpośredniemu zwiększeniu roli mieszkańców w zarządzaniu miastem i jego budżetem.

– Jeszcze przed objęciem przez Panią urzędu Łódź przeżyła dotkliwie niepowodzenia. Utraciła szansę na Europejską Stolicę Kultury w 2016 roku, a Festiwal Camerimage przeniósł się definitywnie z Łodzi do Bydgoszczy. Te negatywne dla autopromocji miasta wydarzenia bardzo jednak rozbudziły patriotyzm lokalny łodzian, zwłaszcza młodych. Zgromadzona została znaczna energia społeczna, oczekująca wciąż twórczego wykorzystania. Czy może ona stać się siłą sprawczą do poszukiwania nowych, alternatywnych, równie ambitnych rozwiązań?

– Bardzo żałuję, że Łódź nie zostanie Europejską Stolicą Kultury. Obserwowałam te łódzkie starania jako posłanka. Chyba po raz pierwszy łodzianie tak pozytywnie potrafili się zjednoczyć wokół pewnej idei i walczyć o nią. Wierzę, że jeszcze powrócimy i wykorzystamy dobry kapitał doświadczeń związany ze staraniami o ESK 2016. Uważam, że marzenia o miano stolicy kultury tak naprawdę były poszukiwaniem nowej kreatywności. Dla mnie te dwa pojęcia: kreatywność i kultura są nierozdzielnie ze sobą związane, bo kultura powstaje tam, gdzie rodzą się nowe twórcze pomysły. Dlatego nasze miasto nadal poszukuje nowych rozwiązań aktywizujących łodzian dla kultury. Mamy w Urzędzie Miasta pewien pomysł, myślę, że nawet lepszy niż Miasto Kultury, ale dziś nie mogę go jeszcze ujawnić. Wspomnę tylko, że wiąże się on z rewitalizacją. Mam nadzieję, że potrafimy zjednoczyć łodzian wokół tej idei i stworzymy atrakcyjny impuls kulturotwórczy. Niewątpliwie mocnym projektem, który wpłynie na przeobrażenie miasta, jest dziś budowa Nowego Centrum Łodzi. Jeszcze są wprawdzie sceptycy, którzy nie wierzą, że Centrum powstanie, ale uwierzą, jak je zobaczą.

O Camerimage nie chciałabym wiele mówić, bo była to decyzja moich poprzedników. Dla nas, którzy interesowaliśmy się tym festiwalem, było to na pewno wydarzenie użyteczne dla promocji miasta. Pojawiały się jednak uzasadnione głosy, że była to tak naprawdę impreza raczej elitarna, która niestety nie wciągała łodzian do współuczestnictwa.

– Jak Pani Prezydent znosi krytykę i ataki na swoją osobę?

– Zawsze staram się z krytyką zmierzyć, bo jeśli jest zasadna, stanowi dobre narzędzie, żeby dostrzec własne błędy. Jeśli przychodzi do mnie mieszkaniec Łodzi i przekazuje krytyczne uwagi, to jest to partner do dyskusji. Natomiast jeśli ktoś ujawnia swoje frustracje i zaciekłość w sposób anonimowy, korzystając z elektronicznych mediów, i nie ma odwagi się ujawnić, to nie zwracam na takie opinie uwagi.

Obejmując urząd, miałam świadomość, że niektóre moje decyzje nie będą popularne i nie zyskają poparcia wszystkich mieszkańców. Nie przyszłam tu po to, aby nacieszyć się „stołkiem”, ale żeby wprowadzać niezbędne dla przyszłości miasta zmiany. Z pełnym przeświadczeniem, że nie zawsze będą one budziły poklask. W wielu przypadkach był już najwyższy czas, aby podjąć radykalne decyzje, które wpłyną w sposób wyraźny na zmianę pewnych negatywnych tendencji w naszym mieście. A radykalne decyzje to takie, które mogą nie spodobać się jakimś środowiskom, grupom interesów. Moi poprzednicy przez lata wystrzegali się takich decyzji, a do czego to doprowadziło, to widać. Decydując się na kilkuletnie zamknięcie Dworca Fabrycznego, otwarcie wielkiego frontu inwestycyjnego związanego z Nowym Centrum Łodzi czy rozpoczynając remont Piotrkowskiej, wiedziałam, że będzie to uciążliwe dla mieszkańców. Wiedziałam, że nie wszyscy będą mnie za to kochali. Ale to są kroki niezbędne dla przyszłości miasta. Nie tylko na dzisiaj, ale i dla następnych pokoleń. Podjęłam te kroki dlatego, że Łódź powinna się cywilizacyjnie zmieniać i przyjmować wyzwania czasu. Czasu, który musimy wobec wieloletnich zaniedbań gonąć.

– Ale doświadczenie uczy, że takie ataki są nieodłącznym elementem towarzyszącym kolejnym prezydentom w odrodzonym samorządzie po 1990 roku.

– Dotykamy tu zjawisk natury psychologicznej, bo wprawdzie na ogół oczekujemy zmian, ale wolimy, gdy dotyczą one sąsiadów, a nie bezpośrednio nas. Cofamy się zaś przed zmianami, jeśli ingerują w nasz prywatny świat. Zazwyczaj każda taka zmiana budzi w człowieku lęk i reakcje negatywne. Zanim to zrozumiemy, na ogół zawsze – a trochę na szelki wypadek – obawiamy się zmian i jesteśmy im przeciwni. Mam tego pełną świadomość, taka jest natura człowieka. Ale ja przyszłam tu po to, żeby dokonać zmian. Tak widzę swoją prezydenturę i przed wyzwaniami, które jej towarzyszą, się nie cofnę.

– Za Pani kadencji Łódź podejmuje ogromny wysiłek inwestycyjny: Dworzec Fabryczny, Nowe Centrum Łodzi, Trasa Górna. Wielkość nakładów finansowych – a to prawie 1,15 mld złotych – zaplanowanych na ten cel na 2013 rok budzi zazdrość innych miast. Zgoda, realizacja tych inwestycji – choć na pewno dziś uciążliwa

dla mieszkańców – za kilka lat bardzo zmieni miasto. Ale powstanie nowy problem – dostosowania i włączenia struktury urbanistycznej „starego centrum” do supernowoczesnej enklawy, którą ma być Nowe Centrum. Ten proces może być trudny, wymagać dużych nakładów, wielu zharmonizowanych rozwiązań logistycznych itp. Jak Pani wyobraża sobie proces łączenia „starego” z nowym?

– Ten proces już się zaczął wraz z projektem Mia100 Kamienic. Niezbędna rewitalizacja historycznej zabudowy śródmiejskiej trwa. To jest projekt na wiele lat, bo zaniedbania w śródmiejskiej przestrzeni Łodzi są ogromne. Potrzeba będzie na pewno dużych nakładów – i to nie tylko na zmianę walorów estetycznych i użytkowych całych śródmiejskich kwartałów. Potrzebna będzie rewaloryzacja społeczna tej przestrzeni. Powojenne zmiany społeczne, a potem fatalne błędy w zagospodarowaniu śródmieścia sprawiły, że skumulowały się tu enklawy biedy i wykluczenia. Podczas gdy w innych dużych miastach śródmieście zamieszkują osoby o wyższym, a na pewno dobrym statusie materialnym, bo jest to przecież przestrzeń prestiżowa, w Łodzi w bardzo dużym stopniu została ona zaludniona przez osoby ubogie, często nieradzące sobie gospodarczo i społecznie. W śródmieściu mamy rozpoznanych przez socjologów aż szesnaście enklaw biedy. Dodam, że ta sytuacja nie wynika tylko ze zmian po 1989 roku. Jest to raczej spuścizna, która zaczęła rosnąć po wojnie, kiedy do opuszczonych domów zamożnego śródmieścia zaczęto wprowadzać nowych mieszkańców w sposób, który degradował charakter socjalny i kulturowy centrum miasta. Zmiana tego stanu rzeczy to jest problem trudniejszy niż rewitalizacja kamienic, która wymaga tylko odpowiednio dużych pieniędzy na jej ukończenie. Problemu ułomnej demografii śródmieścia nie rozwiąże się tylko pieniędzmi. Potrzeba tu specjalnego programu obliczonego na dłuższy czas. Bo wymaga to indywidualnej pracy z osobami i rodzinami żyjącymi w wykluczeniu. Nie może być prawdziwej odnowy tkanki urbanistycznej śródmieścia miasta bez odnowy jakości społecznej jego mieszkańców. Dlatego tworzenie Nowego Centrum Łodzi musi być jednocześnie harmonizowane ze stopniową poprawą jego otoczenia, a szerzej całej śródmiejskiej strefy Łodzi.

– Mieszkańcy chwalą Panią za projekt Mia100 Kamienic. Szczególnie, że rewitalizacja wyszła poza Piotrkowską. Pierwsze odnowione kamienice, które pojawiły się ostatnio na ulicy Legionów, mogą być zwiastunem, że ta bardzo zaniedbana, ale zabytkowa ulica będzie odzyskiwała swój blask sprzed stu lat i ma szansę stać się atrakcyjnym miejscem Łodzi. Słyszysz się głosy, że trzeba było dopiero kobiety prezydenta, aby ta sprawa ruszyła.

– Ale miasto jest właścicielem tylko 30 proc. śródmiejskiej zabudowy. Co zrobić, aby prywatni właściciele kamienic poszli w ślady miasta i rozpoczęli na taką samą skalę rewitalizację swoich domów?

– Projekt Mia100 Kamienic symbolizuje – mam taką nadzieję – rozpoczęcie generalnych porządków w naszym łódzkim domu: sprzątania, odświeżania, przywracania dawnego blasku niegdyś pięknym, ale dziś już wysłużonym bardzo „sprzętom”. Wystarczy spojrzeć na te pierwsze odrestaurowane kamienice, aby zrozumieć, że ma to sens nie tylko estetyczny. Prywatni właściciele nie byli wcześniej szczególnie zainteresowani remontami, kiedy całe otoczenie wokół ich kamienic było szare, mocno wyeksploatowane, zniszczone, zdegradowane. Teraz – jak już można zaobserwować – to się pod wpływem naszego programu zmienia. Kiedy pięknieje sąsiednia komunalna kamienica, prywatni właściciele nie chcą pozostać w tyle, bo to wpływa także na wartość ich własności i poprawę prestiżu. Dlatego przystępują dziś do renowacji swoich kamienic zarówno prywatni właściciele, jak i wspólnoty mieszkańców. To można zobaczyć nie tylko na ulicy Legionów, ale też na Wólczarskiej, Pomorskiej. Powstał więc efekt kuli śnieżnej, myślę, że Mia100 Kamienic ją ruszyło. A że są to poważne finansowo przedsięwzięcia, na które wiele wspólnot nie stać, więc wspólnie z Marszałkiem Województwa mamy nadzieję, że uda się nam uruchomić środki pomocowe Unii Europejskiej. Wtedy wspólnoty wkłady własne będą mogły uzyskać ze specjalnych kredytów. To się powinno udać.

– Jeśli Łódź jest miastem kobiet, to warto zapytać o miejsca, które wydają się szczególnie bliskie kobiecej wrażliwości, niosą jakieś miłe emocje. Czy ma Pani w Łodzi takie przystanki sentymentalne, do których się chętnie wraca dobrym wspomnieniem, pamięcią albo po prostu dlatego, że się je lubi?

– Mam takie jedno miejsce. To Park im. Biskupa Klepacza, gdzie mieści się Rektorat Politechniki Łódzkiej, uczelni, której jestem absolwentką. Wiosna w tym miejscu jest cudowna, szczególnie, kiedy zakwitną cebulice i cała przestrzeń parku wokół pokrywa się kobiercem błękitnych kwiatków. To jest i urok tego miejsca, i dobre wspomnienia z nim związane. Ale na co dzień moje najukochańsze miejsce to zawsze ulica Piotrkowska. Tu bije puls Łodzi, tu się najlepiej czuję i myślę, że to się już nigdy nie zmieni.

– Nawet kiedy powstanie Nowe Centrum Łodzi?

– Tak, nawet wtedy będę wracała na Piotrkowską.

– A jaki segment łódzkiej tradycji, jakie środowisko jest Pani najbliższe, budzi szczególną sympatię, emocje?

– Mam oczywiście pewien sentyment do Łodzi włókniarek, bo i sama też przez wiele lat pracowałam w branży tekstylnej. Ale dla mnie nasze miasto pozostanie zawsze Łodzią filmową. Sama jestem kinomanką i mam wielki sentyment do kina, tego kina autorskiego, ambitnego. I uważam, że w tożsamości naszego miasta film jako trwały potencjał kulturowy odegrał i nadal może odgrywać czołową, powiedziałabym, sztandarową rolę.

Niezależnie od sympatii do filmowej tradycji Łodzi stawiam też na Łódź akademicką. Ona bardzo intensywnie się rozwija, powstają nowoczesne kampusy zarówno uczelni państwowych, jak i prywatnych. Młodzi, zdolni ludzie to jest wielki kapitał miasta, który powinien się dalej prężnie rozwijać.

– Niedawno przekroczyła Pani półmetek swojej prezydenckiej kadencji. Czy będzie się Pani ubiegała o następną?

– To jest pytanie, które każdy mi zadaje. Dlatego za każdym razem odpowiadam – tak, będę. Szkoda by mi było tych czterech lat, z których każdy dzień poświęcam naszemu miastu, aby nie móc kontynuować zmian, jakie rozpoczęłam w Łodzi. Cztery lata to zbyt mało, żeby skończyć duże projekty, które są w toku realizacji. Chciałabym mieć pewność, że te projekty zostały skończone. A znając polityczne nawyki związane ze zmianą ekip po wyborach, mogę przypuszczać, że tak by się mogło nie stać. Jestem winna łodzianom to, co obiecałam, i uważam, że dotychczas nie zawiadłam zaufania, jakim mnie obdarzyli w wyborach w 2010 roku.

– Dziękujemy za rozmowę.

*Rozmawiali: Małgorzata Golicka-Jabłońska
i Gustaw Romanowski*

(Rozmowę przeprowadzono 15 lutego 2013 roku).

Płeć miasta

Miasto kobiet czy dla kobiet?

Czy Łódź jest kobietą? O ile jakieś miasto nią jest, to na pewno nasze. To nie znaczy, że inne są męskie, może raczej – bezpłciowe. Łódzką kobiecość wykorzystał nawet pewien bank, oczywiście łódzki, w swej kampanii reklamowej, której hasło głosiło, że bank jest kobietą! Niegłupi chwyt reklamowy, nieprzypadkowo nawiązywał do naszego miasta. Kobiecość Łodzi zapisała się już w publicznej wyobraźni, historia Łodzi to historia kobiet, nawet gdy o nich nie bardzo pamiętamy. To w Łodzi umieszczono Pomnik-Szpital Centrum Zdrowia Matki Polki, to w Łodzi papież spotkał się z włókniami.

Łódź to miasto zmęczonych robotnic znanych z filmów dokumentalnych, strajkujących pracownic fabryk włókienniczych i marszu głodowego kobiet, którego ikoną została pani wymachująca wołową kością pod oknami Urzędu Miasta. To także legenda o włókniarce, która podczas spotkania rządzących ze strajkującymi miała pokazać goły tyłek Jaroszewiczowi. Być może, jak wszystkie legendy, historia ta daleka jest od historycznych faktów, ale u jej źródła musi się kryć ziarno prawdy – jak przekonuje Michał Matys w telewizyjnym dokumencie z cyklu *Zagadki PRL-u*. Łódź to przecież miasto zbudowane na pracy kobiet w przemyśle włókienniczym. Nawet wtedy, gdy przemysł ten miał się dobrze, jego pracowników nie doceniano – niskie płace, trudne warunki pracy wywoływały protesty tak „za cara”, jak i w PRL-u. Ale gdy PRL odszedł do lamusa historii, zesłano tam także włókniami.

W Muzeum Fabryki mieszczącym się w Manufakturze – urządzonej na terenie byłych Zakładów Przemysłu Bawełnianego „Poltex” im. J. Marchlewskiego – choć dokumentuje się pracę pokoleń kobiet, to już tradycję protestu przypisuje robotnikom. Artystyczna akcja przemianowania Alei Włóknarzy na Aleję Włókniarek nie stała się inspiracją dla Rady Miejskiej, która nadając nazwy ulicom, zapomina o kobietach. Autorzy akcji zostali ukarani grzywną, a Rada Miejska woli uczynić patronem ulicy kiwi niż np. Michalinę Wisłocką. A bez ulicy, tablicy pamiątkowej, nie wspominając o hipotetycznym muzeum czy choćby izbie pamięci, kto będzie pamiętał, że autorka *Sztuki kochania* urodziła się i wychowała w Łodzi?

Ta symboliczna kobiecość Łodzi jest zatem trochę smętna. Najwyższemu w miastach wskaźnikowi feminizacji (120 proc.) i dość wysokiemu poziomowi aktywności zawodowej kobiet oraz wykształcenia towarzyszą niewysokie zarob-

ki – bo i łódzkie zarobki bez względu na płeć nie należą do najwyższych, i kobiety w ogóle zarabiają mniej, i tradycja kobiecej „lekkiej” pracy w tzw. lekkim przemyśle sprawiła, że nie doceniano ich i ideologicznie, i finansowo.

Włóknarki „lekką” pracowały, więc pracowały osiem godzin, a nie sześć, jak mężczyźni w ciężkich branżach. W tym „lekkim” przemyśle pracowały na trzy zmiany, ale do wyboru miały tylko żłobek jednozmianowy – lub tygodniowy. Do jednozmianowego mogły posłać dziecko, gdy same pracowały na pierwszej zmianie. Gdy nie miały z kim zostawić potomstwa, gdy wypadła im inna zmiana, nie pozostawało im nic innego jak żłobek tygodniowy, gdzie dziecko zanosilo się w poniedziałek rano i odbierało w sobotę po południu. Te, które karmiły piersią, przynosiły niemowlęta do pracy i układały na stertach przędzy. Dzieci, które nie wyssały hałasu tkalni z mlekiem matki, przyprowadzano do fabryk w ramach „preorientacji zawodowej” – w ten sposób przędzalnia, tkalnia czy szwalnia stały się życiowym przeznaczeniem kolejnych pokoleń kobiet.

Łódź wywiesza flagi w rocznicę wizyty papieża. Ale budynek zakładu, w którym spotkał się on z włóknarkami, zaniedbany i opuszczony, po prostu niszczał, aż spłonął, a jedynym śladem tego spotkania jest niechlujny foliowy baner.

Propaganda PRL wykorzystywała kobiecą twarz Łodzi. Mieliśmy swoją przodowniczkę pracy, Wandę Gościmińską, zespół szkół imienia Tekli Borowiak i ulicę Władzy Bytomskiej. Szpital-Pomnik Centrum Zdrowia Matki Polki był jedną z ostatnich propagandowych inwestycji, nieprzypadkowo ulokowaną w mieście włókniarek. Po upadku PRL szkołę zlikwidowano, ulicę przemianowano, a nowy pomnik wystawiono bohaterce nowszych czasów: świętej Faustynie Kowalskiej. Patronki, które jakoś ten okres przetrwały, stają się podejrzane: ostatnio ofiarą nowej poprawności stała się Wanda Zieleńczyk, patronka jednej ze szkół. Co ciekawe, owe bohaterki poprzedniego systemu nie zasłużyły sobie na takie traktowanie – wyniesione na piedestał przez propagandę „realnego socjalizmu”, stały się jego ofiarami dwukrotnie: raz, zawłaszczone przez jego ideologię, i powtórnie, strącone przez jego przeciwników. Czy ktoś pamiętał kiedykolwiek, kim były te kobiety?

Dziś twarz Łodzi można kojarzyć z obliczem zmęczonej kobiety, pracującej całe życie w fabryce, bezskutecznie szukającej pracy po jej upadku. Ale także staruszki samotnie drepczącej wokół skwerku z pieskiem – w tej grupie wiekowej statystyczne szanse na oparcie się na męskim ramieniu raczej się kurczą. Kobięca twarz miasta to także uśmiech ekspedientki i zaczytanie studentki. To także tramwajarki – wcale nieoczywiste w innych miastach – taksówkarki, pielęgniarki i lekarki, kosmetyczki i wychowawczynie w przedszkolu, trenerki fitness i polityczki. Tak, aktywność polityczna łodzianek jest tradycyjnie chyba ponadprzeciętna, dziś rządzi nami pani prezydent Hanna Zdanowska, niegdyś Łodzią trzęsła wszechwładna podobno sekretarz Michalina Tatarkówna-Majkowska... No właśnie, znów niepoprawna politycznie historia się kłania.

A kto może pamiętać postać dyrektorki fabryki włókienniczej w jednym z odcinków serialu *07 zgłoś się*, z niezapomnianym porucznikiem Borewiczem? Był ekranizacją jedyne go łódzkiego kryminału Jerzego Edigeya, a i jego twórcy z pietyzmem starali się oddać łódzką specyfikę kawiarni Honoratka i dancingu Casanova – choć dyrektorka fabryki z własną podmiejską willą to chyba raczej pobożne życzenia ówczesnych filmowców.

Kobieca twarz Łodzi niewiele ma wspólnego z jej historią, z rolą kobiet, które zbudowały wraz z mężczyznami to miasto. Przestrzeń publiczna to nie pomniki kobiet czy upamiętniające je tabliczki, ale zupełnie inne wizerunki kobiet. To modelki na billboardach, zachęcające do odwiedzenia handlowych galerii (bo dziś znów jesteśmy mekką dla kupujących odzież). To kobiece postaci ozdabiające witryny sklepów i salonów piękności, upiększające szare podwórka czy namalowane na podmiejskim tramwaju. No i wreszcie, to setki kobiecych postaci reklamujących sex-shopy, nocne kluby i usługi tylko dla panów. Kobiece sylwetki coraz częściej pojawiają się na muralach, które zdobią miasto i przekształcają jego charakter, dzięki pracy artystów zmieniając ciąg dawno nieremontowanych kamienic w fantastyczną dekorację.

Z którymi z tych wizerunków kobiecości utożsamiają się łodzianki? Z kim utożsamiać może się dziewczynka? Chłopcy identyfikują się z piłkarskim klubem, którego historię czytają na łódzkich murach, dziewczynki zapatrzeć się mogą w witryny, manekiny i reklamowe kobiety.

Czy miasto kobiet jest miastem dla kobiet? Czy kobiecość jest tylko propagandowym symbolem, reklamowym chwytym, wykorzystywanym, gdy kobiecy wizerunek jest akurat potrzebny? Jeden dobry szpital, znajdujący się na peryferiach miasta, niekoniecznie zaspokaja potrzeby zdrowotne kobiet, które rodzą przeciętnie jedno dziecko. Poza szpitalem położniczym, oferującym wysokospecjalistyczną opiekę, potrzebują sieci przychodni blisko miejsca zamieszkania, otwartych w dogodnych dla nich, a nie dla pracowników przychodni godzinach, no i jeszcze żeby nie było do nich kolejek.

Wysoki współczynnik feminizacji i jednocześnie wyraźne starzenie się łódzkiej populacji powinny skutkować uwzględnieniem potrzeb dotyczących zdrowia kobiet nie tylko w kontekście macierzyństwa, ale i starzenia się. Podjazdy, obniżone krawężniki i windy przydałyby się i matce pchającej dziecinny wózek, i poruszającej się z trudem staruszce. Udogodnienia architektoniczne tworzy się z myślą o niepełnosprawnych na wózkach – ale w Łodzi kobieta na wózku jest rzadkością, a starsza pani z wózkiem na zakupy czy podpierająca się laską częstym widokiem. W mieście buduje się stadiony, ale już nie miejsca, które służyłyby kobietom. Centra handlowe umieszczają już przewijaki dla niemowląt, a kina organizują seanse dla matek z dziećmi – oferta dla seniorów jest dużo skromniejsza.

No i pozostaje jeszcze kwestia niskich emerytur, z których ledwo starcza na leki – jak tu myśleć o kulturze czy rozrywce? Starsza pani, namiętnie zwie-

dzająca muzea w dni, kiedy wstęp do nich jest bezpłatny, chodząca na spacer po Łodzi i spędzająca moc czasu w czytelni lokalnej biblioteki, której polecałam „połówki”, letnie seanse pod gołym niebem, zapytała z wyrzutem: „A niby czym stamtąd wrócić?”. No tak, nocny autobus odpada, pani zaś nie ma ani samochodu, ani roweru. Mimo licznych barier architektonicznych, finansowych, zdrowotnych i mentalnych to starsze panie tworzą nową twarz Łodzi. To one dominują wśród publiczności na spotkaniach autorskich, spacerach z przewodnikiem i wykładach w muzeum, to one stanowią większość studiujących na uniwersytetach trzeciego wieku. I jednocześnie są żywą pamięcią najnowszej historii Łodzi.

Iza Desperak
– doktor socjologii,
Katedra Socjologii Polityki i Moralności UŁ

pierwsze kolumny

Robotnice, rewolucjonistki, społeczniczki

*Kobiety Łodzi przemysłowej w XIX
i pierwszej połowie wieku XX*

Wiek XIX, wiek podwójnej moralności, wiktoriańskich zasad, „piękny wiek XIX”, był dla kobiet wiekiem walki o równe prawa cywilne i polityczne, wolny wstęp na uniwersytety, o pracę w zawodach uznawanych wyłącznie za domenę mężczyzn. Była to walka o prawo do wykonywania zawodu nauczycielki, lekarki, o głos w wyborach, o pełne uobywatelnienie. Wiek XIX to czas narodzin ruchu feministycznego.

Patriarchalny model społeczeństwa, jaki obowiązywał w wieku XIX, wykluczał kobiety z życia politycznego, ograniczał ich udział w życiu społecznym. Kobiety miały doskonalić się do roli wzorowej, idealnej matki i żony, zawęzić swoją aktywność do sfery życia domowego. Znajdowały się bowiem w wyjątkowej sytuacji prawnej, społecznej i politycznej. Pozbawione równi praw cywilnych i obywatelskich, bez głosu wyborczego, uzależnione od mężczyzn – „wieszacie małeletnie” – jakimi ogłosił je Kodeks Cywilny Napoleona, bez równych szans na polu oświaty oraz na polu zawodowym. Dodatkowo sytuacja kobiet na ziemiach polskich różniła się od sytuacji na Zachodzie. XIX wiek to przecież okres braku państwa polskiego, to czasy wymuszonej narodowej niewoli. Miało to wpływ na kierunki działania polskiego ruchu kobiecego, ale polskie emancypantki podkreślały, że nie można odkładać walki o prawa kobiet do momentu odzyskania niepodległości. Specyfikę polskiej emancypacji opisała Maria Turzyna w 1902 roku w artykule *Dobra i zła wola*:

Właściwością ruchu kobiecego u nas jest wybitnie społeczny jego kierunek. Kobiety innych krajów w dążeniach swoich emancypacyjnych mają głównie na celu wyzwolenie się spod przewagi męskiej, wywalczenie równych z mężczyzną praw. Nasze kobiety dobijają się przede wszystkim o udział w życiu obywatelskim i to bez upominania się o prawa, byleby wolno im było spełniać obywatelskie obowiązki, a więc współdziałać w pracy podejmowanej dla społecznego dobra.

W Łodzi dodatkowym elementem, który miał wielki wpływ na sytuację kobiet, był przemysłowy charakter miasta oraz jego wielokulturowość. W drugiej połowie wieku XIX Łódź stała się miastem wielkoprzemysłowym, w którym dominował przemysł włókienniczy. Miasto zamieszkiwali Polacy, Niemcy, Żydzi, Rosjanie i przedstawiciele innych nacji, wielka burżuazja przemysłowa, drobni handlarze, inteligencja, robotnicy, mężczyźni, kobiety, dzieci.

W przemyśle i nie tylko

Włókienniczy charakter przemysłu łódzkiego determinował wysoki odsetek zatrudnienia kobiet. Kobiety pracowały nie tylko w przemyśle, ale również w innych zawodach: były nauczycielkami, lekarkami, dentystkami, farmaceutkami, urzędniczkami, służącymi, prowadziły drobny handel, usługi itp. Ważną rolę w życiu społecznym Łodzi odegrały żony fabrykantów, które poprzez działalność dobroczynną weszły w sferę życia publicznego. Aktywność kobiet w wielu dziedzinach życia miejskiego tworzyła obraz miasta, ich obecność zarówno na salonach, jak i na marginesie tego życia oraz ich dominacja demograficzna daje podstawy, by Łódź w okresie jej przyspieszonego rozwoju nazwać miastem kobiet.

Liczba kobiet w Łodzi od momentu przemysłowego rozkwitu miasta w drugiej połowie wieku XIX, jak i w okresie II Rzeczypospolitej, przewyższała liczbę mężczyzn. Demografowie tłumaczą to zjawisko włókienniczym charakterem miasta, długością życia kobiet czy, w okresie międzywojennym, sytuacją demograficzną związaną z utratą mężczyzn w czasie wojny. Wysoki współczynnik feminizacji Łodzi uważano za zjawisko typowe dla wielkich miast, ale wskazywano, że Łódź po pierwszej wojnie światowej była miastem, w którym ów współczynnik był największy w skali całej Polski.

Polki, Żydówki, Niemki, Rosjanki w Łodzi nie ograniczały swojej aktywności życiowej jedynie do sfery życia domowego. Mimo wielu ograniczeń natury prawnej czy obyczajowej warunki ekonomiczne powodowały, że kobiety aktywnie wkraczały w sferę życia zawodowego. Robotnice łódzkie pracujące w fabrykach pod względem ilościowym były największą grupą kobiet, która zarabiała na swoje utrzymanie. Zarabkowały, a ich praca zawodowa nie budziła sprzeciwu społecznego, stanowiły trwały element rozwoju przemysłu i wielkokapitalistycznego miasta, jakim była Łódź przełomu XIX i XX wieku. Jednak robotnice przez działaczki ruchu kobiecego uważane były za „młodsze siostry”.

Cięższa praca, niższa płaca

Przyspieszenie procesów migracyjnych związane było z aktem uwłaszczenia chłopów z 1864 roku. Miasto w XIX wieku stało się wielkim ośrodkiem przemysłowym, z silnie rozwijającym się włókiennictwem, w którym zatrudnienie znajdowało tysiące kobiet. Do pracy w fabrykach napływały młode kobiety pochodzące z podłódzkich wsi. Liczba ich znacznie przewyższała liczbę mężczyzn zamieszkujących miasto. Miały one także

wielki wpływ na rodzaj przeszczipianych na grunt łódzkiej tradycji rodzinnych i obyczajów wiejskich. Załogi największych łódzkich fabryk stanowiły w połowie kobiety. W 60 proc. były to dziewczęta i młode kobiety w wieku do dwudziestu kilku lat, a jedna czwarta zatrudnionych to robotnice, które ukończyły czterdzieści lat. W łódzkich fabrykach najwięcej kobiet pracowało w przemyśle bawełnianym. W nieomalże wszystkich zakładach przerabiających przędzę, ok. 40-60 proc. załóg stanowiły kobiety. Nawet w małych zakładach zatrudniających poniżej dwudziestu robotników liczba pracujących kobiet była wyższa ponad trzykrotnie od liczby zatrudnionych mężczyzn.

W największych łódzkich fabrykach włókienniczych kobiety zatrudniano chętnie, stanowiły one bowiem tanią siłę roboczą. We wszystkich fabrykach Karola Scheiblera, największego łódzkiego przedsiębiorcy, u którego pracowało najwięcej robotników w łódzkim przemyśle, w 1885 roku pracowało 51 proc. kobiet. W 1892 roku liczba zatrudnionych kobiet wzrosła o jeden procent. W latach 1888-1900 wskaźnik zatrudnienia kobiet stale przekraczał 50 proc. (1888 r. – 52,6 proc., 1889 r. – 51,3 proc., 1900 r. – 51,3 proc.), dopiero w 1904 roku obniżył się do poziomu 45 proc. W 1885 roku w fabryce Izraela K. Poznańskiego pracowało 46 proc. kobiet. W 1892 roku Poznański miał 62,5 proc. kobiet wśród pracowników. W innych dużych fabrykach przerabiających bawełnę sytuacja wyglądała podobnie. Na przykład Ludwik Geyer w 1885 roku zatrudniał 40 proc. kobiet, a w 1892 roku 60 proc. Ludwik Grohman w 1886 roku zatrudniał 54 proc. kobiet, a w 1892 roku 63 proc. Istotnym problemem łódzkiego przemysłu włókienniczego były dysproporcje zarobkowe. Kobiety zatrudnione w fabrykach zarabiały przeciętnie od 30 proc. do 50 proc. mniej od mężczyzn, a w drastycznych przypadkach różnice te dochodziły nawet do 70 proc. W fabryce K. Scheiblera kobiety zarabiały od 3,50 do 4,00 rb tygodniowo, a mężczyźni od 5 do 6 rb; w fabryce I. Poznańskiego płaca kobiet wynosiła od 2,50 do 5,00 rb, a mężczyzn od 4,00 do 11,00 rb. Dodać należy, że problem nierówności płac dotyczył także kobiet zatrudnionych w oświacie.

Po odzyskaniu niepodległości kobiety nadal stanowiły połowę załóg fabrycznych. Tuż po wojnie w Zjednoczonych Zakładach Scheiblera i Grohmana pracowało więcej mężczyzn, ale w 1925 roku dominowały już kobiety (51,6 proc. załogi). W 1930 roku zatrudnionych było 50,2 proc. kobiet, ale w 1933 roku więcej było mężczyzn (52 proc.). Jednakże w Łodzi u progu lat 30. XX wieku odsetek kobiet w przemyśle włókienniczym wzrósł do 80 proc. W okresie II Rzeczypospolitej robotnice nadal były gorzej wynagradzane od mężczyzn. W przemyśle włókienniczym w 1937 roku mężczyzna zarabiał przeciętnie 30 zł tygodniowo, a kobieta 24,5 zł. W przemyśle poligraficznym dysproporcje były jeszcze wyższe: mężczyzna zarabiał 42 zł, a kobieta 19 zł.

Lekarki

Nauczycielki, lekarki, dentystki stanowiły na przełomie XIX i XX wieku trwały element na mapie zawodowej Łodzi. Typowymi zajęciami kobiet było

10678-A

położnictwo czy pielęgniarstwo. Robotnice traktowane były jako zjawisko powszechne, naturalne, kobiety podejmujące pracę w zawodach inteligenckich były zjawiskiem nowym, często trudnym do zaakceptowania. Prowadzono publiczną debatę na temat dopuszczenia kobiet do zawodu lekarza, a pierwsza polska lekarka rozpoczęła praktykę w Warszawie na początku lat 80. XIX wieku. W Łodzi pierwsza lekarka, Mina Łapin, krótko pracowała w 1888 roku jako specjalistka chorób kobiecych. Po niej nastąpił napływ lekarek do Łodzi, w latach 1888-1907 praktykowały w mieście około dziesięć lekarek na stu trzydziestu lekarzy. Łatwiej było podjąć pracę w zawodzie dentystki, rzadkością były aptekarki. Kobiety pracowały również jako telefonistki, biuralistki w kantorach, dziennikarki.

Po odzyskaniu niepodległości zawody te stały się otwarte dla kobiet, ale pierwsza łódzka prawniczka, notariusz Zofia Hertz, uzyskała uprawnienia do wykonywania zawodu dopiero w roku 1933! Historycy trafnie nazwali okres II Rzeczypospolitej czasem równych praw dla kobiet oraz nierównych szans¹. Kobiety nadal pozostawały gorzej wykształcone, z ograniczonym dostępem do zawodów prestiżowych, niżej opłacane.

W łódzkiej służbie zdrowia po pierwszej wojnie światowej nie brakowało zasłużonych lekarek. Wspomnieć należy chociażby o dr Annie Margolis, dr Matyldzie Tomaszewskiej, które zajmowały się ftyzjatrią, dr Jadwidze Szustrowej, założycielce Przychodni Przeciwgruźliczej dla Dzieci i Młodzieży, internistkach Racheli Kaleckiej, Marii Rotenbergowej i Leonii Zeligsonównie. Większość łódzkich lekarek była Żydówkami, które pracowały przeciw na rzecz całej społeczności miasta.

Nauczycielki

Najbardziej sfeminizowanym, w pełni akceptowanym społecznie zawodem był zawód nauczycielki. Praca kobiet na niwie oświaty wiązała się z licznymi trudnościami, przede wszystkim ze znacznie niższą płacą niż w przypadku mężczyzn. Młode nauczycielki pracowały często w ogóle bez wynagrodzenia. W 1907 roku gazeta „Rozwój” pisała z oburzeniem i troską w artykule pod znamiennym tytułem *Grożąca krzywdą*: „Nasza Komisja szkolna przy magistracie powzięła niefortunna uchwałę, która grozi dotkliwą krzywdą nauczycielom szkół miejskich. Oto uznała, na posiedzeniu d. 15 b.m., konieczną potrzebę niezwłocznego podwyższenia pensji nauczycielom przy tychże szkołach, z pominięciem jednak nauczycielek. Wniosek w tym kierunku ma być przedłożony wkrótce do uchwalenia liczniejszemu zebraniu obywateli miasta”.

Mimo trudności oraz jaskrawych nierówności kobiety pracowały jako nauczycielki w szkołach elementarnych, dzięki ich aktywności i staraniom powstawały w Łodzi pensje żeńskie dla dziewcząt, a następnie gimnazja. Pierwsza trzyklasowa pensja żeńska Teofilii Schmidt została założona w 1863 roku, gimnazjum żeńskie, ciesząc się złą opinią i spełniające przede wszystkim funkcje rusyfikatorskie, założono w Łodzi w 1886 roku. Łódzkie przełożone pensji żeńskich prowadziły niestru-

dzoną walkę o podwyższenie poziomu kształcenia, zwiększania liczby klas, przeprowadzania matury, która dawała wstęp na studia wyższe oraz o prawo nauczania w języku ojczystym. Szczególne zasługi w tym zakresie miała Zofia Bader Libiszowska. W 1906 roku prowadzona przez nią pensja żeńska stała się ośmioklasową szkołą z programem męskich gimnazjów klasycznych. Wiele łódzkich szkół średnich kształciło w systemie siedmioklasowym, były to m. in.: Szkoła Handlowa Żeńska Cecylii Waszczyńskiej, Szkoła Polska Zofii Pętkowskiej i Wiktorii Macińskiej, Szkoła Żeńska Towarzystwa im. E. Orzeszkowej, Zakład Naukowy Żeński Marii Pruszyńskiej, Szkoła Żeńska Julii Zbijewskiej, Zakład Naukowy Stanisławy Rajskiej, Zakład Naukowo-Wychowawczy Heleny Miklaszewskiej.

Siedmioklasową szkołą dla dziewcząt niemieckich było gimnazjum prowadzone przez Anielę Rother, którego tradycje sięgają 1878 roku. W 1905 roku przełożona uzyskała zgodę na rozszerzenie liczby klas, a przede wszystkim nauczanie w języku niemieckim.

Nauczycielki wykazywały się ponadto bogatą inicjatywą zawodową, mimo trudności organizacyjnych zakładały nowe szkoły oraz rozszerzały działalność dotychczas prowadzonych. W 1909 roku funkcjonowało w Łodzi dziewiętnaście szkół elementarnych prywatnych, z czego czternaście prowadziły kobiety, większość z nich stanowiły Żydówki.

Nauczycielki aspirowały do kierowania szkołami, prowadziły działalność gospodarczą, jak i kreowały nowe programy. Cel edukacyjny łódzkich szkół żeńskich był jasno określony – przygotowanie do studiów wyższych oraz funkcjonowanie na rynku pracy. „Celem szkoły jest przygotowywać uczennice do samodzielnej pracy i zarobkowania w dziedzinie handlu i przemysłu oraz umożliwić im osiągnięcie wyższego wykształcenia”² – pisała Cecylia Waszczyńska, przełożona 7-klasowej Szkoły Handlowej Żeńskiej.

Przyglądając się rozwojowi żeńskiego szkolnictwa średniego w Łodzi, dostrzec możemy zaangażowanie organizatorek, które podejmowały starania o wstęp łódzkich absolwentek na uniwersytety. W 1912 roku abiturientki Gimnazjum Żeńskiego Zofii Pętkowskiej i Wiktorii Macińskiej oraz 7-klasowej Szkoły Żeńskiej Towarzystwa im. Elizy Orzeszkowej uzyskały prawo wstępu na wyższe uczelnie w Szwajcarii.

Tradycje szkolnictwa żeńskiego w Łodzi kontynuowane były po odzyskaniu niepodległości. Do najbardziej uznanych i popularnych szkół żeńskich należały: Państwowe Gimnazjum Żeńskie im. E. Szczanieckiej, w którym funkcję dyrektorki objęła w 1925 roku Romana Pachucka, pionierka ruchu feministycznego w Królestwie Polskim, Prywatne Gimnazjum Żeńskie im. E. Orzeszkowej (języka polskiego nauczała w nim późniejsza wybitna uczona Stefania Skwarczyńska i do szkoły tej chętnie uczęszczały młode Żydówki), Prywatne Gimnazjum Żeńskie Janiny Pryssewicz-Czapczyńskiej, Gimnazjum Adeli Skrzypkowskiej, Gimnazjum Heleny Miklaszewskiej

czy Gimnazjum Żeńskie Romany Sobolewskiej. Dziewczęta żydowskie uczyły się w polsko-hebrajskim gimnazjum Żeńskiego Towarzystwa Żydowskich Szkół Średnich, Gimnazjum J. Aba, Gimnazjum M. Hochsteinowej czy Gimnazjum Eugenii Jaszuńskiej. Dziewczęta mogły również kształcić się na poziomie średnim w szkołach zawodowych: w Państwowej Przemysłowej Szkole Żeńskiej czy Państwowej Szkole Przemysłowo-Handlowej Żeńskiej.

Między rewolucją a pragmatyzmem

Rewolucje i wojny przyspieszały procesy demokratyzacji życia społecznego, kobiety bardzo często stawały się w warunkach zagrożenia partnerkami mężczyzn na polu walki czy w służbach pomocniczych. Okres rewolucji 1905-1907 był dla łodzianek czasem zaangażowania w walkę i życie polityczne. Po pierwszej wojnie światowej kobiety w Polsce uzyskały prawa wyborcze.

Zaangażowanie robotnic w działalność rewolucyjną nastąpiło w sposób naturalny, kobiety bowiem stanowiły znaczącą część załóg fabrycznych i wiele postulatów o charakterze socjalnym odnosiło się do ich sytuacji. Od początku rewolucji w Łodzi kobiety brały udział w strajkach, a ich problemy pojawiły się wśród postulatów rewolucyjnych. Łodzianki z inteligencji prowadziły zaś akcje odczytowe i agitacyjne, współpracowały ze strajkującą młodzieżą gimnazjalną. Wydarzenia rewolucyjne zmobilizowały więc kobiety z różnych środowisk miejskich. Dostrzeżono potrzeby kobiet, wśród postulatów pojawiły się żądania poprawy warunków ich życia i pracy, upominano się także o ich prawa polityczne. W kampanii wyborczej do rosyjskiej Dumy krytykowano ordynację wyborczą, która nie dawała prawa głosu wszystkim kobietom.

Robotnice włączyły się w działalność polityczną, uczestniczyły w manifestacjach, ginęły na barykadach, ale przede wszystkim masowo wstępowały do partii politycznych, i to zarówno socjalistycznych, jak i prawicowych. Szacuje się, iż łódzka organizacja PPS we wrześniu 1906 roku miała w swoich szeregach około 3 tys. kobiet, PPS liczyła w mieście 19 667 aktywnych działaczy. Podobnie kształtował się udział kobiet w SDKPiL, w dzielnicy Zielonej partia ta skupiała w sierpniu 1906 roku 1 300 mężczyzn i 900 kobiet. Wiele kobiet wiązało się z endecką „Jednością” i Stowarzyszeniem Robotników Chrześcijańskich. W listopadzie 1906 roku „Jedność” liczyła 10 tys. członków, a w październiku 1907 r. było ich 33, 5 tys. Oddział łódzki „Jedności” liczył 1 lipca 1907 r. 18 814 członków, w tym 6711 kobiet. 1 sierpnia – 19 957 członków, w tym 7156 kobiet. 1 września – 20 319 członków, w tym 7301 kobiet. 1 października 1907 r. łódzka organizacja „Jedności” liczyła 20 247, w tym 7238 kobiet, a 31 grudnia wśród aktywnych 17 645 działaczy było 7718 kobiet.

W okresie rewolucji łodzianki zaczęły zakładać liczne stowarzyszenia i związki, które miały bronić i reprezentować kobiety. Nowe zarządzenia władz umożliwiły powstawanie organizacji społecznych i związków zawodowych, które zaczęły się intensywnie rozwijać od 1906 roku. Liczny był udział kobiet w związkach zawodowych

organizowanych przez partie polityczne lub też w ramach branży zawodowej. Zaczęły powstawać także stowarzyszenia i związki, które miały charakter zawodowy, samopomocowy, oświatowy. Stowarzyszenia kobiece powstawały wprawdzie w czasie fali rewolucyjnej, ale ruch ten nie zakończył się wraz z upadkiem rewolucji 1905-1907 roku. Do pierwszej wojny światowej i w trakcie jej trwania powstało w Łodzi wiele stowarzyszeń kobiecych. Swoje stowarzyszenia posiadały akuszerki, służące, katoliczki, ewangeliczki, Żydówki, ziemianki. Organizacje te nastawione były na niesienie wzajemnej pomocy w ramach grupy zawodowej bądź wyznaniowej, organizowanie akcji edukacyjnych oraz wspólne spędzanie czasu wolnego.

Ponadto kobiety z różnych środowisk społecznych angażowały się w działalność dobroczynną. Prym wiodły na tym polu bogate mieszcanki, żony fabrykantów. Organizowały głównie ochronki dla dzieci, przytułek położniczy powstał w Łodzi z inicjatywy Anny i Olgi Geyer. Przedstawicielka łódzkiej inteligencji Stefania Maybaum-Marzyńska stworzyła „Kroplę Mleka” (1904-1939), instytucję, która przetrwała do drugiej wojny światowej. W latach niepodległości Helena Rossmanowa zakładała Łódzki Oddział PCK.

Działalność na polu oświatowym była także ważnym punktem aktywności łodzianek. W dobie rewolucji włączyły się do walki z analfabetyzmem, podjęły wykłady i poparły dążenia do wprowadzenia języka polskiego w szkołach. Kobiety przystąpiły także do rozmaitych stowarzyszeń i same próbowały zakładać instytucje o charakterze samopomocowym. Udział kobiet w rewolucji nie spowodował gwałtownej poprawy stosunków pracy ani polepszenia ich pozycji w społeczeństwie. Rewolucja nie wpłynęła także w znaczący sposób na stan świadomości politycznej kobiet. Dostrzegano, iż na tak wielką liczbę kobiet pracujących w Łodzi ilość zakładanych przez nie stowarzyszeń była bardzo mała. Nie powstała żadna organizacja kobieca, która miałaby także na celu świadome działania na rzecz zdobycia całkowitej niezależności politycznej i pełnego równouprawnienia kobiet. Pojawiały się postulaty utworzenia stowarzyszenia kobiet pracujących, które powinno bronić praw kobiet. Mimo iż efekty wynikające z udziału kobiet w rewolucji 1905-1907 roku okazały się niezadowalające, to jednak ich zaangażowanie było świadectwem, że potrafiły aktywnie podjąć walkę z zaborcą i wziąć udział w masowych wystąpieniach w fabrykach i na ulicach.

Harcerki

Łodzianki stworzyły również drużyny harcerskie. Skauting żeński w Łodzi należał, zaraz po Warszawie, do najlepiej zorganizowanych w Królestwie Polskim. W 1916 roku VI Okręg Łódź skupiał sto pięćdziesiąt dziewcząt, a w czerwcu 1917 roku na terenie tego Okręgu działało piętnaście drużyn żeńskich. Pierwszy żeński zastęp w Łodzi powstał jesienią 1911 roku i stał się strukturą kadrową. Z niego pochodziły dziewczęta, które założyły kolejne trzy zastępy, stanowiące trzon powstałej następnie I Łódzkiej Drużyny Żeńskiej im. Emilii Plater. Wśród działaczek harcerskich wymienić należy prze-

de wszystkim: Eugenię Jabłońską, Zofię Wilczyńską, Zofię Goldenberg oraz Marię Wocalewską. Odwołując się do zasad skautingu stworzonego przez Roberta Baden Powella, tworzono także żeńskie żydowskie drużyny harcerskie. W Łodzi powstały i działały drużyny żydowskie „Judyta” i „Debora”.

Wybuch pierwszej wojny światowej spowodował, że kobiety zaangażowały się w działalność organizacji bojowych i politycznych. Już jesienią 1914 roku powstała na terenie Łodzi Liga Kobiet Pogotowia Wojennego, która zawiązała się z inicjatywy Marii Jodko-Narkiewiczowej, wspomaganej przez Dionizję Lipińską i Jadwigę Rowińską. W czasie pierwszej wojny światowej zaczęły również powstawać żydowskie organizacje o charakterze narodowym. W 1917 roku został założony w Łodzi Związek Kobiet „Miriam”, który w swym programie podkreślał dążenie do rozwijania samopoczucia narodowego wśród kobiet żydowskich.

Wojna zmobilizowała kobiety do działań w służbach pomocniczych. Zaczęto organizować kursy dla sióstr miłosierdzia przy szpitalach i kościołach łódzkich. Kobiety zorganizowały ponadto sekcję kobiet przy Komitecie Obywatelskim m. Łodzi, w której podjęły akcję na rzecz dokarmiania i zapewnienia odzieży ubogim.

W polityce

Atmosfera polityczna panująca na ziemiach polskich przed pierwszą wojną światową miała wpływ na zmianę i rozszerzenie profilu działalności organizacji kobiecych. W ich programach zaczynały pojawiać się hasła wyrażające więź z ugrupowaniami politycznymi, nadania kobietom pełni praw obywatelskich oraz hasła narodowościowe. Kobiety coraz wyraźniej deklarowały sympatie polityczne oraz poprzez swoją działalność przyczyniały się do budzenia świadomości narodowej oraz krzewienia języka i kultury. Nie zapomniały jednocześnie o realizacji zadań społecznych, takich jak szerzenie oświaty, zapewnianie opieki dzieciom, udzielanie pomocy finansowej. Praca w stowarzyszeniach kobiecych miała wielki wpływ na kształtowanie się postaw kobiet, które świadomie wkraczały w sferę życia publicznego. Angażowały się nie tylko w działalność w małych społecznościach, ale należały do ogólnokrajowych organizacji, które tworzyły lokalne oddziały.

Okres niepodległości Polski i przyznanie kobietom praw wyborczych otworzyły nowe możliwości i pola działania. Kobiety przez cały wiek XIX walczyły o swoje prawa, ale również przygotowywały się do włączenia się w życie społeczne i polityczne w odrodzonej Polsce. Wraz z odzyskaniem niepodległości kobiety znalazły się we władzach samorządowych oraz w ławach parlamentarnych.

Kobiety Łodzi podejmowały zwykłą działalność polityczną, znalazły się więc w różnych obozach politycznych. Przykładem polityczek łódzkich są: Wanda Ładzina, Klementyna Grodzicka czy działaczki komunistyczne: Władysława Bytomska, Maria Kamińska, wnuczka Scheiblerów. Wanda Ładzina była posłanką I kadencji sejmiku II RP w latach 1922-27. Założyła w Łodzi Narodową Organizację Kobiet Polskich.

Była czynna nie tylko jako polityczka czy działaczka społeczna, która organizowała pomoc dla Górnoślązaków w 1919 roku. Brała też udział w wojnie polsko-bolszewickiej, w akcji plebiscytowej na Śląsku oraz w III Powstaniu Śląskim. Klementyna Grodzicka była pierwszą i jedyną wówczas kobietą wybraną do władz samorządowych – została radną w Zgierzu, a następnie zasiadała w Sejmiku Powiatowym, była członkinią PPS i przewodniczącą Wydziału Kobiecego PPS. Działała też w Lidze Kobiet Polskich.

Kobiety związane z Łodzią, zaangażowane w działalność polityczną i społeczną, nie utrwały się w pamięci łodzian. Nie nazwano ich imionami współczesnych ulic, nie patronują ważnym instytucjom. Jedynie w okresie PRL-u działaczki komunistyczne były czasem wykorzystywane do celów propagandowych, a ich nazwiska przyozdobiły na krótko tablice z nazwami niektórych ulic.

Kobiecym symbolem Łodzi stać się może Katarzyna Kobro. Rosjanka, awangardowa artystka, współtwórczyni międzynarodowej kolekcji sztuki współczesnej, uosabiająca wielokulturowość, indywidualność, wielki talent i brak szans na zdobycie sławy, zrobienie kariery. Historia docenionej po śmierci Kobro pokazuje, że przełom wieków XIX i XX był czasem, kiedy kobiety nadal pozostawały w cieniu i na marginesie życia społecznego, kulturalnego i politycznego.

Marta Sikorska-Kowalska

*– prof. dr hab. w Katedrze Historii Polski XIX w. UŁ,
feministka, badaczka historii kobiet*

Przypisy:

1. *Równe prawa i nierówne szanse. Kobiety w Polsce międzywojennej*, Zbiór studiów pod red. A. Żarnowskiej i A. Szwarcza, Warszawa 2000.
2. *Szkolnictwo polskie w Łodzi i okolicy, Łódź 1913-1914*, s. 21.

Łódzkie uczone

Wybitne, pracowite, odważne

pierwsze kolumny

W ciągu sześćdziesięciu ośmiu lat istnienia łódzkiego ośrodka naukowego znaczny wkład w jego rozwój i osiągnięcia miały kobiety z profesorskimi tytułami. Chociaż wśród profesorów łódzkich uczelni i instytucji naukowych liczbowo przeważali i przeważają mężczyźni, to jednak wiele rozwijanych w Łodzi dyscyplin naukowych właśnie kobiety wywindowały na wysoki poziom. Tu przypomnę jedynie kilka pań profesor wartych wdzięcznej pamięci łódzian.

Chemiczka

Alicja Dorabalska (1897-1975) jako młoda chemiczka, w wieku dwudziestu ośmiu lat, trzy lata po swoim doktoracie, pracowała w laboratorium Curie, w Instytucie Radowym w Paryżu, pod kierunkiem Marii Skłodowskiej-Curie. W swojej autobiografii zatytułowanej *Jeszcze jedno życie* tak wspominała jedną ze swych wizyt w mieszkaniu największej polskiej uczoney: „Któregoś dnia weszliśmy, jak zwykle, do pustego ciemnego mieszkania. Usiadliśmy przy stole w pokoju jadalnym i zaczęłam pani Curie rozwtorem nadmanganianu przemywać poparzone palce. Działaniem promieni substancji radioaktywnych miała bowiem już od dawna przepalone końce palców. Porobiły się bolesne bąble, grożące gangreną. Po dłuższej chwili milczenia pani Curie podniosła na mnie wzrok. – Pani bardzo kocha matkę? Prawda? – zapytała. – Czyż można nie kochać matki? – odpowiedziałam, – Ale można też i inne kobiety ukochać uczuciem córki. Musiała mnie zrozumieć, bo spojrzała na mnie wzrokiem ciepłym, spokojnie pieszczącym. Zdałam sobie wówczas sprawę z tego, że tę uczoną zasypywaną krzykliwymi hołdami, zawiścią i światową sławą, chciałabym przede wszystkim utulić. Jej subtelną naturę uczuciową chciałabym osłonić przed ludzką pustą ciekawością i okrucieństwem i zapewnić tę ciszę, której zawsze tak bardzo pragnęła”.

Alicja Dorabalska w laboratorium Marii Skłodowskiej-Curie pracowała w latach akademickich 1925/26 i 1929/30. Po wojnie była jedną z nielicznych kobiet, które w Łodzi tworzyły od podstaw ośrodki akademickie. Urodzona na Śląsku pod koniec XIX wieku pracę naukową rozpoczynała w Warszawie pod kierunkiem prof. Wojciecha Świętosławskiego. Po doktoracie na Uniwersytecie Warszawskim i habilitacji na Politechnice Warszawskiej objęła w roku 1934 kierownictwo Katedry Chemii Fizycznej Politechniki Lwowskiej. Została tym samym pierwszą kobietą profesorem na

polskich uczelniach technicznych. Podczas niemieckiej okupacji wykładała chemię fizyczną i nieorganiczną na tajnych kompletach Politechniki Warszawskiej. Po wojnie, zaproszona przez prof. Bohdana Stefanowskiego, przybyła do Łodzi, gdzie wspierała go w dziele tworzenia nowej uczelni – Politechniki Łódzkiej. Zorganizowała od podstaw Katedrę Chemii Fizycznej, którą kierowała aż do 1968 roku. Była też współorganizatorką Wydziału Chemicznego – jednego z trzech pierwszych wydziałów tej uczelni. W latach 1945-1951 pełniła funkcję dziekana wydziału.

Dorobek naukowy prof. Dorabialskiej obejmuje sto dwadzieścia osiem publikacji, głównie z kalorymetrii, radiochemii i chemiluminescencji, w tym pięć opracowań książkowych. Znaczącym osiągnięciem prof. Dorabialskiej jest wypromowanie dużej liczby doktorów, wśród których wielu zostało profesorami. Jeden z nich, prof. Jerzy Kroh, były rektor Politechniki Łódzkiej i wieloletni dyrektor Międzyresortowego Instytutu Techniki Radiacyjnej PŁ, tak pisał o promotorce swej pracy doktorskiej i recenzentce pracy habilitacyjnej: „Wszyscy jej uczniowie są zgodni w opinii, że była człowiekiem niezwykłym, o szczególnych zaletach serca, umysłu, wielkiej prawości i osobistej odwadze. Była też wielkim autorytetem moralnym w sprawach dobrych obyczajów akademickich. Profesor Dorabialska miała wszechstronne zainteresowania i rozległą wiedzę humanistyczną. [...] Kochała ludzi i wierzyła im”. Z kolei prof. Zofia Jerzmanowska, która jako studentka Politechniki Warszawskiej miała zajęcia dydaktyczne z młodą wówczas dr Alicją Dorabialską, tak wspominała ten okres w 1988 roku: „Nie wiem, jak w ogóle zdałabym egzamin z chemii fizycznej, gdyby nie to, że podczas ćwiczeń z chemii fizycznej znalazłam się w grupie prowadzonej przez dr Alicję Dorabialską, najbliższą współpracowniczkę i asystentkę profesora Świętosławskiego [...] Doktor Dorabialska posiadała rzadko spotykany talent dydaktyczny i szczególną życzliwość dla studentów – można się było do niej zwracać z każdym niezrozumiałym zagadnieniem z wykładów. Pani Alicja otwierała jakieś dodatkowe komórki w naszym mózgu i od razu wszystko stawało się jasne”.

Farmaceutka

Zofia Jerzmanowska (1906-1999). Tak się złożyło, że po wojnie Zofia Jerzmanowska, podobnie jak chwalona przez nią Alicja Dorabialska, trafiła do Łodzi i stała się jedną z najwybitniejszych postaci łódzkiego środowiska akademickiego. I tak jak Alicja Dorabialska należy do grona tych nielicznych uczonych, po których zostały autobiografie. Z opublikowanej w roku 1988 roku. W „Kwartalniku Historii Nauki i Techniki” biografii dowiadujemy się, że dostanie się przez Zofię Jerzmanowską na Politechnikę Warszawską nie było zadaniem łatwym, gdyż – jak napisała – „na Politechnice obowiązywał nowo wstępujących egzamin konkursowy, a w dodatku w latach 20-30-tych (zdawałam w 1924 r.) obowiązywał *numerus clausus* dla kobiet (przyjmowano tylko 10%). Od tego czasu stałam się feministką. Władze uczelni stały na stanowisku, że kobieta inżynier, nawet chemii, nie tak łatwo znajdzie pracę w przemyśle, nie należy więc przygotowywać zbyt wielu absolwentek”.

Jednak młoda ambitna dziewczyna, chociaż skończyła gimnazjum o profilu humanistycznym, przez całe wakacje po maturze intensywnie przygotowywała się do wrześniowych egzaminów wstępnych z fizyki i matematyki, dzięki czemu zdała je tak dobrze, iż została przyjęta na studia. Podczas obowiązkowej praktyki w fabryce po trzecim roku nauki uświadomiła sobie, że po studiach nie może liczyć na kierownicze stanowisko w przemyśle ze względu na powszechną niechęć do kobiet jako przełożonych. A że nie chciała, jak większość absolwentek Wydziału Chemicznego PW, trafić do pracy w laboratorium analitycznym, zdecydowała się podążać drogą naukową.

Po uzyskaniu tytułu inżyniera chemii, została przyjęta na drugi rok Wydziału Farmaceutycznego Uniwersytetu Warszawskiego. Po dwóch latach ukończyła te studia, uzyskując stopień magistra farmacji. Doktorat zrobiła na Wydziale Matematyczno-Przyrodniczym Uniwersytetu Jana Kazimierza we Lwowie, w katedrze Chemii Organicznej, którą kierował prof. Roman Małachowski, wielką miłoścą Zofii Jerzmanowskiej. Niestety, zginął podczas Powstania Warszawskiego, kilka dni przed zaplanowaną datą ślubu. Jeszcze przed wojną Zofia Jerzmanowska zrobiła habilitację. Podczas okupacji niemieckiej zajmowała się m.in. produkcją nitrogliceryny – materiału wybuchowego do produkcji granatów, a także mydła i dulcyny – sztucznego środka słodzącego. Od 1942 roku uczestniczyła w tajnym nauczaniu, a w 1944 roku została wywieziona wraz z matką do obozu pracy w Niemczech.

Do kraju wróciła w listopadzie 1945 roku i od grudnia rozpoczęła pracę na Wydziale Farmacji Uniwersytetu Łódzkiego. Od 1950 do 1977 roku była profesorem Akademii Medycznej w Łodzi. W latach 1958-1962 pełniła obowiązki prodziekanem Wydziału Farmaceutycznego, a w latach 1962-1969 prorektora tej uczelni. Stworzyła pionierski program nowoczesnego nauczania chemii organicznej, który obowiązywał w całej Polsce przez dwadzieścia lat. Napisała podręcznik pt. *Analiza jakościowa związków organicznych*, wydany po raz pierwszy w 1951 roku, a później wielokrotnie wznawiany. Jest też autorką podręcznika do ćwiczeń pt. *Preparatyka związków organicznych*. Badania naukowe prof. Jerzmanowskiej dotyczyły m.in. fitochemii, czyli wyodrębniania i badania związków naturalnych występujących w roślinach. Nowoczesne metody wyodrębniania, oczyszczania oraz identyfikacji tych związków przedstawiła w dwutomowej monografii, wydanej w roku 1970. W wyniku prowadzonych badań udało się jej zsyntetyzować związek będący nową pochodną aspiryny, który pod nazwą „Edan” znalazł zastosowanie jako lek miejscowo znieczulający i przeciwbólowy.

„W nauce, być może, wiele nie osiągnęłam – pisała skromnie prof. Jerzmanowska – znaczące wyniki były nieliczne, oryginalne prace doświadczalne były na średnim poziomie europejskim. Kiedyś profesor Achmatowicz – mój starszy kolega, wybitny uczony, chemik-organik, takie oto wypowiedział słowa: *wyrastanie wybitnych uczonych jest możliwe tylko w kraju o licznych i mocnym środowisku naukowym na średnim poziomie*. W tworzeniu tego środowiska widziałam swoje miejsce w życiu”.

Literaturoznawczyni

Stefania Skwarczyńska (1902-1988) uwielbiana przez studentów, powszechnie szanowana, jedna z najwybitniejszych postaci polskiej humanistyki, przez większość życia mieszkała w Łodzi. Urodziła się 17 listopada 1902 roku w Kamionce Strumiłowej koło Lwowa w rodzinie ziemiańskiej. Studiowała polonistykę i germanistykę na Uniwersytecie Jana Kazimierza we Lwowie. Jej praca roczna napisana na drugim roku studiów pod kierunkiem prof. Juliusza Kleinera została uznana za rozprawę doktorską. Obroniła ją w 1925 roku. W 1922 roku wyszła za mąż za Tadeusza Skwarczyńskiego, oficera Wojska Polskiego, którego kierowano na służbę coraz to do innych miejscowości. Dlatego i ona często zmieniała miejsca pracy i zamieszkania. Mieszkała więc w Stanisławowie, Warszawie, Będzinie, Brześciu nad Bugiem, a od 1932 roku w Łodzi, skąd dojeżdżała do Lwowa. Była tam wykładowcą, współpracowniczką prof. Juliusza Kleinera.

W 1937 roku habilitowała się. Jej rozprawa habilitacyjna – *Teoria listu* została ponownie wydana w 2006 roku, co – jak mówił Joannie Leszczyńskiej z „Dziennika Łódzkiego” prof. Grzegorz Gazda, uczeń prof. Skwarczyńskiej – świadczy, że praca ta „ciągle jest żywa w odbiorze naukowym”. W ostatnich latach okresu międzywojennego Stefania Skwarczyńska była docentem na Uniwersytecie Jana Kazimierza we Lwowie, pracowała jako nauczycielka w szkołach średnich, a od czerwca 1939 roku została profesorem nadzwyczajnym w Oddziale Łódzkim Wolnej Wszechnicy Polskiej, gdzie objęła kierownictwo Katedry Historii i Teorii Literatury. Współpracowała też w tym czasie z łódzką rozgłośnią Polskiego Radia oraz redagowała „Prace Polonistyczne” i „Kolumnę Literacką” w „Kurierze Łódzkim”.

Pracę naukową, dydaktyczną i redaktorską łączyła z obowiązkami rodzinnymi. 21 kwietnia 1929 roku urodziła córkę Marię (późniejszą profesor, z męża Olszewską), a 12 czerwca 1935 roku drugą córkę – Joannę (która w 1948 roku tragicznie utonęła w jeziorze Gardno wraz z innymi uczestniczkami obozu harcerskiego).

Po wybuchu wojny w 1939 roku Stefania Skwarczyńska przeniosła się razem z córkami i osieroconym synem przyjaciół do Lwowa. Stamtąd w kwietniu 1940 roku NKWD wysiedliło ją wraz z dziećmi do Kazachstanu, gdzie musiała ciężko pracować w sowchozie i walczyć z głodem. Po siedmiu miesiącach, na skutek starań prof. Juliusza Kleinera (któremu pomogła znajoma sprzed wojny – Wanda Wasilewska, kochanka Stalina), mogła powrócić z dziećmi do Lwowa. Zatrudniono ją tu w Instytucie Rudolfa Weigla, w którym opracowywano szczepionki przeciwko tyfusowi plamistemu. Stefania Skwarczyńska zajmowała się tam... karmieniem i hodowlą wszy przeznaczonych do sporządzania szczepionki przeciw tyfusowi. Jednocześnie prowadziła tajne nauczanie uniwersyteckie, redagowała tomiki poetyckie oraz konspiracyjne czasopisma „Służba Państwu” i „Kobieta w Walce”. Pracowała też naukowo, a jako członek Armii Krajowej brała również udział w ratowaniu Żydów. Udało jej się m.in. też ochronić swego dobroczyńcę – prof. Kleinera, który był pochodzenia żydowskiego.

Zaraz po zakończeniu wojny wróciła do bliskiej sobie Łodzi. Na nowo powstałym Uniwersytecie Łódzkim stworzyła Katedrę Teorii Literatury. W 1951 roku zlikwidowano tę katedrę z przyczyn ideologicznych, a Stefani Skwarczyńskiej pozwolono jedynie na prowadzenie zajęć z literatury francuskiej. Dopiero w 1957 roku, a więc po przemianach z października 1956 roku, otrzymała nominację na profesora zwyczajnego, a rok później została ponownie kierownikiem reaktywowanej Katedry Teorii Literatury.

Dorobek naukowy prof. Skwarczyńskiej jest imponujący zarówno w dziedzinie historii i teorii literatury, jak też w dziedzinie teatrologii. Opublikowała ponad 450 opracowań naukowych, w tym 25 książek – 6 antologii i 19 dzieł własnych. Do najbardziej znaczących należą *Teoria listu*, *Studia i szkice literackie*, *Wstęp do nauki o literaturze*, *Teoria badań literackich za granicą*, *W kręgu wielkich romantyków polskich* i *Leona Schillera trzy opracowania Nie-boskiej komedii w dziejach jej inscenizacji*. Prof. Skwarczyńska stworzyła też wydawane w Łodzi wielojęzyczne czasopismo naukowe „Zagadnienia Rodzajów Literackich” i była jego redaktorem naczelnym. Za swe zasługi otrzymała liczne honory, nagrody i wyróżnienia, m.in. Honorową Odznakę Miasta Łodzi, tytuł Łodzianina Roku 1972, członkostwo Polskiej Akademii Umiejętności i Polskiej Akademii Nauk, honorowe członkostwo Łódzkiego Towarzystwa Naukowego, doktorat honoris causa Uniwersytetu Łódzkiego. Jednak chyba największy zaszczyt przynosi Stefani Skwarczyńskiej wdzięczna pamięć jej uczniów. Wspominają, że była osobą pełną ciepła, wyrozumiałą, empatyczną, spieszącą pomocą studentom w trudnych sytuacjach, a młodszym pracownikom naukowym wręcz matkowała. „Bywało, że pożyczala pieniądze, kiedy brakowało nam na życie. Życzliwość, serdeczność, a nawet przyjaźń ze strony pani profesor odczuwałem aż do jej śmierci. I nie tylko ja” – mówił prof. Grzegorz Gazda we wspomnianej już rozmowie z Joanną Leszczyńską.

Biochemiczka

Maria Olszewska (1929-2011), córka Stefani Skwarczyńskiej, podczas okupacji uczyła się na tajnych kompletach, a po wojnie w łódzkim Liceum Zofii Czapczyńskiej. Po maturze studiowała w Wyższej Szkole Gospodarstwa Wiejskiego w Łodzi i na Wydziale Matematyczno-Przyrodniczym Uniwersytetu Łódzkiego. W 1949 roku otrzymała dyplom inżyniera ogrodnika, a w 1950 – magistra filozofii w zakresie biologii. Zaraz po studiach rozpoczęła pracę na stanowisku asystenta w łódzkich uczelniach, najpierw w Katedrze Fizjologii Roślin w SGGW, później w Zakładzie Botaniki Wyższej Szkoły Pedagogicznej, a od 1953 roku w Uniwersytecie Łódzkim.

Z tą ostatnią uczelnią związała się do końca swojej kariery naukowej. Tu uzyskała kolejne stopnie i tytuły naukowe, aż do profesora zwyczajnego w 1976 roku. Po długoterminowych stażach naukowych na uniwersytecie w Brukseli wyspecjalizowała się w cytochemii – dziedzinie biochemii badającej m.in. skład chemiczny

komórek, a później też w cytogenetyce (dziale genetyki zajmującym się badaniem chromosomów). Od 1961 roku kierowała Zakładem Cytochemii na UŁ. Wraz ze swym zespołem prowadziła wówczas nowatorskie badania lokalizacji enzymów hydrolitycznych w komórkach roślinnych. W latach 1970-1999 była kierownikiem Katedry Cytologii i Cytochemii Roślin na UŁ.

Pod jej kierunkiem powstała w tej katedrze szkoła naukowa, z której wywodzi się wielu profesorów. Jest wśród nich prof. zw. dr hab. Maria Kwiatkowska, twórczyni Katedry Cytofizjologii, dziś emerytowana profesor UŁ, która Marię Olszewską zalicza do swoich mistrzów. „Miała w sobie coś takiego, że mobilizowała do wysiłku – wspomina Maria Kwiatkowska. – Pomagała wyrobić sobie właściwą postawę wobec pracy naukowej. Prof. Olszewska, w przeciwieństwie do niektórych innych przełożonych, nie powodowała u mnie obniżenia poczucia własnej wartości. Przeciwnie, umiała zachęcić do pracy, a nawet wzbudzić entuzjazm. I nie zdarzyło się, żebyśmy byli w konflikcie. A poznałam ją w 1953 roku i byliśmy w kontakcie aż do jej śmierci”.

Prof. Maria Olszewska wypromowała 100 magistrów i 14 doktorów. Sprawowała też opiekę nad sześcioma zatwierdzonymi przewodami habilitacyjnymi. Była autorką lub współautorką 117 prac doświadczalnych, 20 artykułów przeglądowych, a także pięciu podręczników akademickich, w tym podstawowego – *Cytologia roślin*. Jej zaangażowanie w prace społeczne, administracyjne i organizacyjne było imponujące. Była m.in. prodziekanem (1966-1969) i dziekanem (1969-1972) Wydziału Biologii i Nauk o Ziemi Uniwersytetu Łódzkiego, przewodniczącą resortowego Zespołu Ekspertów Nauk Przyrodniczych, przewodniczącą Oddziału Łódzkiego Polskiej Akademii Nauk (1993-1998) oraz członkiem Prezydium PAN 1993-2006). W 1996 roku w czasie, gdy prof. Olszewska przewodniczyła łódzkiemu oddziałowi PAN, doprowadziła wraz z Konferencją Rektorów Łódzkich Uczelni Publicznych do zawarcia unikatowego w kraju porozumienia, w myśl którego Urząd Miasta Łodzi zobowiązał się dofinansowywać badania łódzkich uczonych.

Profesor Marian Mikołajczyk, późniejszy prezes Oddziału PAN w Łodzi, który w latach, gdy prof. Olszewska była przewodniczącą, pełnił funkcję sekretarza naukowego, z uwagą i dużym szacunkiem wspomina współpracę z Marią Olszewską. „Pamiętam jej świetne wystąpienia na posiedzeniach Prezydium Oddziału PAN. Były zawsze wyważone. Gdzie trzeba – krytyczne, gdzie trzeba – pochwalne. Ceniłem ją za bardzo zdecydowane wypowiedzi na różne tematy. Z całą mocą podkreślała swoje stanowisko, potrafiła o nie walczyć, ale w sposób kulturalny. Dlatego jej wystąpienia cieszyły się wielką estymą. Na mnie jej osobowość, jej kultura w kontaktach z innymi ludźmi, a jednocześnie zdecydowanie, robiły duże wrażenie” – podkreśla prof. Mikołajczyk.

Kobiety nauki

Rozległą wiedzą, niepowtarzalną osobowością i wysoką kulturą zachwycaly też inne kobiety, które swą pracą i dorobkiem w znaczący sposób umocniły łódzki ośrodek

akademicki. Wiele spośród nich odeszło już na zawsze, m.in.: Anna Dylikowa – geograf z UŁ, Halina Klatkova – geograf i geomorfolog z UŁ, Jadwiga Jakubowska – mikrobiolog z PŁ, Ija Lazari-Pawłowska – etyk i filozof z UŁ, Teresa Pajszczyk-Kieszkiewicz – ginekolog z UM, Zofia Wendorff – metaloznawca z PŁ i Zofia Zarzycka – specjalistka od demografii i statystyki z UŁ. Pełna lista żyjących zasłużonych przedstawicieli łódzkiego środowiska naukowego musiałaby zawierać co najmniej kilkadziesiąt nazwisk.

Wśród profesorów łódzkich szkół wyższych jest coraz więcej kobiet, chociaż wciąż mniej niż mężczyzn. W trzech największych uczelniach publicznych miasta: Uniwersytecie Łódzkim, Politechnice Łódzkiej i Uniwersytecie Medycznym wśród 912 tzw. samodzielnych pracowników naukowych, a więc naukowców po habilitacji, są 333 kobiety – 36,5 proc. ogółu. Co trzeci profesor zwyczajny lub tzw. tytułarny zatrudniony w tych trzech uczelniach jest kobietą (dokładnie 33,7 proc.). W Politechnice Łódzkiej pracuje 25 kobiet z tytułem profesora, co stanowi 18 proc. profesorów tytułarnych PŁ. To mało w porównaniu z innymi uczelniami, ale warto sobie uświadomić, że jeszcze w połowie ubiegłego wieku w uczelniach technicznych kobiety z tytułem profesorskim były wyjątkami. Przed wojną Alicja Dorabalska była jedyną w Polsce.

Nie ulega wątpliwości, że w ostatnich dziesięcioleciach kobiety szturmowo zdobywały uczelnie i instytucje naukowe. Nikogo już nie dziwi kobieta profesor, kierownik katedry, dziekan, rektor. Minister nauki i szkolnictwa wyższego też jest kobietą. Nadal jednak w nauce kobietom trudniej jest awansować niż mężczyznom. Na przykład na Uniwersytecie Łódzkim kobiety stanowią 57,4 proc. wszystkich asystentów, 59,5 proc. adiunktów, ale już 42,6 proc. profesorów nadzwyczajnych i tylko 29,7 proc. profesorów zwyczajnych. Oznacza to, że więcej kobiet niż mężczyzn decyduje się rozpocząć po studiach karierę naukową i że lepiej tę karierę zaczynają, bo częściej robią doktoraty.

Dlaczego jednak stosunkowo niewiele pań sięga po stanowiska profesorskie? Dr Agnieszka Dziedziczak-Fołtyn z Instytutu Socjologii Uniwersytetu Łódzkiego zwraca uwagę, że ta uczelnia nie jest wyjątkiem. W całej Polsce procentowy udział kobiet na poszczególnych stanowiskach akademickich jest podobny. Jest to zjawisko tzw. szklanego sufitu, czyli niewidzialnej bariery utrudniającej kobietom dochodzenie do wysokich pozycji nie tylko w biznesie i polityce, ale także w nauce. Przyczyn istnienia „szklanego sufitu” można upatrywać w utrwalonych rolach społecznych, rodzinnych i zawodowych. Dr Dziedziczak-Fołtyn zauważa jednak, że skoro już teraz kobiety przeważają wśród pracowników naukowych z doktoratem, to za jakiś czas znacznie wzrośnie liczba kobiet wśród doktorów habilitowanych i wreszcie, po kolejnych latach – wśród profesorów.

Paweł Patora
– dziennikarz, publicysta

Alicja Dorabialska

Kobieta wyjątkowa



„Każdy szanujący się nieboszczyk zostawia po sobie testament. Cóż ja Wam pozostawię, dzieci moje najmilsze, rozsypane setkami po całym świecie? Wiecie co? Pozostawię Wam w testamencie płomień mojego optymizmu. Może ktoś z Was potrafi ten płomień rozniecić w ognisko swego szczęścia?”. Tak pisała do swoich uczniów profesor Alicja Dorabialska na kartach autobiograficznej książki *Jeszcze jedno życie*, wybitna uczona, uczennica Marii Skłodowskiej-Curie. W latach międzywojennych pierwsza kobieta w historii polskiej nauki kierująca katedrą Politechniki Lwowskiej. Od 1945 roku związała się z Politechniką Łódzką. Niewysoka, z pozoru nieśmiała, a w gruncie rzeczy obdarzona ciętym językiem, z dużym poczuciem humoru i dystansu wobec siebie. A w chwilach próby niezwykle odważna i dzielna. Nie tylko naukowiec, ale także utalentowana śpiewaczka. Kobieta o wyjątkowej osobowości i filozofii życia.

Dzieciństwo i młodość

Alicja Dorabialska urodziła się 14 października 1897 roku w Sosnowcu. Zmarła 7 sierpnia 1975 roku w Warszawie. Ojciec przyszłej uczoney był urzędnikiem pocztowym. Matka pochodziła z Wilna. Jej ojciec za udział w Powstaniu Styczniowym został zesłany na Sybir. Powrócił wprawdzie stamtąd, ale otrzymał zezwolenie na osiedlenie się w okolicach Warszawy, z zakazem powrotu do Wilna. Mała Alicja wraz ze starszą o dwa lata siostrą Lilką i o jedenaście lat młodszym bratem Stefanem wychowała się w atmosferze powstańczych wspomnień ojca i tęsknoty za nieznanym Wilnem. Pod wpływem niezwykle uzdolnionej muzycznie starszej siostry wcześniej poznała tajniki śpiewu i od dzieciństwa świat muzyki stał się jej nieodłącznym towarzyszem życia.

Kiedy Alicja skończyła cztery lata rodzice kupili działkę w Wołominie, odległym siedemnaście kilometrów od Warszawy, i wybudowali tam domek letni-

skowy. Od 1903 roku matka i dzieci wyjeżdżały z zadymionego Sosnowca na cztery miesiące do Wołomina, aby wśród zdrowych sosnowych lasów nabrały zdrowia na cały rok.

Pierwsze nauki siostry Dorabialskie pobierały w Szkole Handlowej Żeńskiej w Sosnowcu z polskim językiem nauczania. Właścicielka szkoły, pani Józefa Siwikowa, zatrudniała personel pedagogiczny z dyplomami Uniwersytetu Jagiellońskiego i stwarzała niepowtarzalną atmosferę szacunku i tolerancji, którą uczennice zapamiętały do końca życia. Na szkole pani Siwikowej kończyły się jednak możliwości dalszej edukacji w Sosnowcu, a obie siostry Dorabialskie chciały się uczyć. W 1913 roku rodzice przeprowadzili się do Warszawy. Lilka kontynuowała naukę w Konserwatorium w klasie fortepianu, a Alicja w Szkole Handlowej Teodory Raczkowskiej, w której rok później otrzymała maturę. Niestety, wyższe uczelnie w przeciwieństwie do szkół średnich w Warszawie były rosyjskie i patriotycznie nastawiona młodzież polska zdecydowanie je bojkotowała. Trzeba było podjąć poważne decyzje.

W sierpniu 1914 roku działania wojenne zastały całą rodzinę Dorabialskich w Warszawie. Młodzianka Alicja drżała o swoją przyszłość, w pustym kościele Św. Krzyża prosiła nieustannie: „Boże, pozwól mi uczyć się”. Modlitwa została wysłuchana, gdyż założone przez polskich społeczników Towarzystwo Kursów Naukowych niespodziewanie ogłosiło w październiku 1914 roku zapisy na rok akademicki. Dziewczyna wybrała Wydział Matematyczno-Przyrodniczy. Wykładali na nim znani chemicy: Marian Grotowski, Józef Boguski, Ludwik Szperl i Tadeusz Miłobędzki. Większość zajęć odbywała się w salach Muzeum Przemysłu i Rolnictwa na Krakowskim Przedmieściu 66. Pierwszy rok akademicki w swoim życiu Alicja zakończyła pomyślnie, niestety dalsze studia ponownie stały się problematyczne.

W czerwcu 1915 roku ojciec rodziny otrzymał nakaz wyjazdu na wschód. Matka z dziećmi postanowiła mu towarzyszyć. W Moskwie Alicja ku swojej radości mogła kontynuować naukę na Wyższych Kursach Żeńskich. Studiowała – oczywiście w języku rosyjskim – chemię, zoologię i fizjologię zwierząt. Kolonia polska w Moskwie była liczna i młodzież akademicka trzymała się razem. Dla Alicji była to pierwsza szkoła działalności społecznej. Udzielała się w Domu Polskim, w Bratniej Pomocy Studentów Polaków, a później w Centralnym Komitecie Polskiej Młodzieży Akademickiej.

Nauka moim powołaniem

W Moskwie Alicja Dorabialska poznała Wojciecha Świętosławskiego, już wtedy cieszącego się znaczną sławą termochemika, który wywarł wielki wpływ na jej dalsze życie. Po powrocie do Warszawy w 1918 roku została asystentką tego profesora w Zakładzie Chemii Fizycznej Politechniki Warszawskiej aż na szesnaście lat. Jednocześnie kontynuowała studia na uniwersytecie, studiowała historię filozofii, logikę i psychologię. Społecznie udzielała się w Organizacji Młodzieży Narodowej.

11 listopada 1918 roku i objęcie przez Józefa Piłsudskiego funkcji Naczelnika Państwa Alicja przyjęła entuzjastycznie i natychmiast włączyła się w organizowanie na Politechnice zaplecza Zakładu. Ale rok akademicki przerwano, młodzież męska zaciągnęła się do wojska, na uczelniach wrzało, w polityce także. W grudniu 1918 roku Kraków odzyskał wolność, potem Poznań, Lublin, Lwów. W Warszawie Ministerstwo Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego powoływało Komisje Stabilizacyjne, które zajęły się organizacją życia akademickiego i nominacjami na profesorów. W „Miesięczniku Młodzieży Polskiej” Alicja pisała: „zasada autonomii uczelni nie może być w żadnym przypadku pogwałcona, jeśli nam chodzi o normalny rozwój polskiego życia naukowego”. Już w 1923 roku z trzema zaprzyjaźnionymi profesorami chemikami, Janem Zawidzkim, Wojciechem Świętosławskim i Józefem Zawadzkim, Alicja Dorabialska założyła Polskie Towarzystwo Chemiczne. Jakże bardzo musiało być prężne, skoro natychmiast weszło do Międzynarodowej Unii Chemii Czystej i Stosowanej, a w 1923 roku zorganizowało w Warszawie I Zjazd Chemików Polskich.

W 1922 roku Alicja Dorabialska pod kierunkiem prof. W. Lampego napisała pracę pt. *Badania termochemiczne nad stereoizomerią kekoksymów* i otrzymała za nią na Uniwersytecie Warszawskim dyplom doktora filozofii.

Profesor Wojciech Świętosławski wymagał od swoich asystentów bezgranicznego oddania nauce. Ci starali się sprostać tym wymaganiom i w Zakładzie Chemii Fizycznej spędzali nieomal całe dni.

Świętosławski wprowadzał surowe rygory, które czasami mogły wydawać się dziwaczne. Nie zezwalał, aby w pracowni stały kwiaty, a asystenci jadal czekoladki, nie mówiąc o pić wina. Wolno było natomiast swobodnie dyskutować, nie tylko zresztą o nauce.

W rezultacie naukowa młodzież założyła koedukacyjny Zakon Św. Wojciecha, w którym od rana śpiewała dr Alicja Dorabialska. Miała bowiem dobry głos, doskonały pod okiem siostry. Nie było jednak dużo czasu na żarty. Wkrótce po doktoracie Alicja Dorabialska postanowiła zająć się pracą w zakresie promieniotwórczości.

U Marii Skłodowskiej

Los jej sprzyjał. Rok akademicki 1925/26 Dorabialska spędziła w Instytucie Radowym w Paryżu, w którym pod kierunkiem Marii Skłodowskiej badała efekty cieplne w małej skali towarzyszące przemianom promieniotwórczym. Po pierwszych tygodniach adaptacji w międzynarodowym zespole poczuła się w nowej pracy znakomicie, tęskniła jednak ogromnie za Polską. Zbliżyła się także do wielkiej uczoney, codziennie rozmawiała z nią o ojczyźnie, towarzyszyła w spacerach. I darzyła uczuciem córki – pisała we wspomnieniach. Bo, jak oprócz ogromnego podziwu dla niezwykłych osiągnięć naukowych rodaczki, czuła wobec Marii Skłodowskiej głęboką wdzięczność za jej serdeczność okazywaną współpracownikom. Profesor Dorabialska przestrzegała też polskiego zwyczaju, przywołując rodowe nazwisko wielkiej uczoney. Zawsze mówiła Skłodowska-Curie, a nie jak Francuzi Curie-Skłodowska.

W celach badawczych efektów cieplnych oraz innych zjawisk fizykochemicznych, np. adsorpcji, korozji metali, przemian alotropowych, Dorabialska zbudowała specjalny mikrokalorymetr. Urządzeniem posługiwano się w laboratoriach całego świata. Pozwalał mierzyć nawet bardzo niewielkie ciepło wydzielane przez słabe substancje radioaktywne. Metodę mikrokalorymetryczną Alicja Dorabialska stosowała także do badania innych zjawisk, m.in. korozji metali.

Po powrocie z Paryża w 1928 roku Alicja Dorabialska habilitowała się w dziedzinie chemii fizycznej na Politechnice Warszawskiej. Czekał ją jeszcze w 1931 roku pobyt na stypendium w Pradze i badania pod okiem przyszłego noblisty, profesora Jarosława Heyrovsky'ego, aby uzyskać w 1934 roku tytuł profesora nadzwyczajnego. Na Politechnice Warszawskiej nadal była jedyną kobietą z tytułem profesorskim. Nie mogła więc odmówić Międzynarodowej Federacji Kobiet z Wyższym Wykształceniem, która zwróciła się do niej z prośbą o włączenie się do prac organizacyjnych w filii Stowarzyszenia w Warszawie. Filia organizowała wycieczki, spotkania, przyznawała stypendia i bardzo energicznie angażowała się w prace na rzecz rozbrojenia i pokoju na forum międzynarodowym. Wkrótce w Warszawie, w mieszkaniu użyczonym przez dr Bronisławę Dłuską, siostrę Marii Skłodowskiej, uczone niewiasty założyły klub.

Pierwsza kobieta profesor

W 1932 roku Alicja Dorabialska została powołana na kierownika Katedry Chemii Fizycznej Politechniki Lwowskiej. Ta pierwsza w Polsce nominacja kobiety spotkała się jednak ze sprzeciwem kolegów ze Lwowa i upłynęły jeszcze dwa lata, zanim objęła katedrę. Ostatecznie zdecydował o tym marszałek Piłsudski. Alicja Dorabialska przytoczyła w związku z tym następującą anegdotkę:

Na jednym z przyjęć w Belwederze minister Wacław Jędrzejewicz zwrócił się do marszałka:

- Panie Marszałku! Mamy kłopot. Kandydatką na katedrę Chemii Fizycznej na Politechnice Lwowskiej jest kobieta, Alicja Dorabialska.
- No to co? – huknął Marszałek. – Niech się baba pokaże!
- Tak, ale jest jeszcze drugi szkopał. Ona podpisała protest brzeski.
- No to co? Ma baba charakter!
- Więc pan Marszałek nie ma nic przeciwko temu, aby pan prezydent podpisał nominację?
- Oczywiście

W ten sposób Alicja Dorabialska pojechała do Lwowa, gdzie nie tylko objęła katedrę, ale także przekonała do siebie przeciwników. Już w 1936 roku została dziekanem wydziału oraz prezesem Lwowskiego Towarzystwa Chemicznego.

W 1936 roku przyszło jej się zmierzyć z atakami antysemitycznymi na uczelni. Studencka Bratnia Pomoc inspirowana przez Młodzież Wszechpolską uchwa-

liła wtedy getto ławkowe dla Żydów. Oczywiście studenci pochodzenia żydowskiego na takie upokorzenie nie mogli się godzić i przeważnie stali przez cały czas wykładu. Alicja Dorabialska odważnie broniła swoich studentów, niestety nie udało jej się zapobiec zamordowaniu w gmachu chemii jednego z nich. Na znak protestu wraz z lewicującymi profesorami starała się założyć na Politechnice Niezależną Bratnią Pomoc, pozbawioną antysemitycznych i faszystowskich haseł. Spotkał ją za to odwet w postaci napaściowych ataków, a brutalizacja życia politycznego nie ustępowała.

Lata wojny

Wojnę Alicja Dorabialska przeżyła razem z matką i siostrą w Warszawie. Od razu włączyła się w nurt konspiracyjnego nauczania. Na tajnych kompletach Wydziału Chemicznego Politechniki Warszawskiej w 1940 roku studiowało dwudziestu studentów, pod koniec wojny już stu sześćdziesięciu. Były to wyjątkowo trudne komplety, gdyż zajęcia z chemii wymagały zajęć w laboratoriach. Dokonywano więc karkołomnych zabiegów organizacyjnych; ćwiczenia na poziomie akademickim odbywały się w legalnych liceach chemicznych, wykłady w mieszkaniach prywatnych. Tylko dzięki brawurowej odwadze i łutowi szczęścia Dorabialska nie wpadła w ręce gestapo.

Na tajnych kompletach poznała dwóch studentów: Mieczysława Serwińskiego i Jerzego Kroha. Ci dwaj bardzo zdolni chłopcy spotkali się z nią później na Politechnice Łódzkiej i byli jej oddanymi współpracownikami.

Po śmierci siostry 20 lipca 1944 roku i tragicznych dniach Powstania Alicja wróciła z matką do zrujnowanej Warszawy. Bilans strat w środowisku chemicznym był tragiczny.

Łódź – praca od podstaw

Kiedy więc znany Dorabialskiej profesor Bohdan Stefanowski zaproponował jej pracę na powstałej 24 maja 1945 roku Politechnice Łódzkiej, nie wahała się ani chwili.

„Rektor Stefanowski organizował wszystko według zasady arki Noego. Wybrał po dwóch profesorów każdego wydziału „na zarybek”. Załadował nas do auta ciężarowego w Warszawie i wysypał na Wodnym Rynku w Łodzi przed pałacem Scheiblera” – pisała we wspomnieniach. „Pierwsze wrażenie było oszałamiające. Po ruinach i zgliszczach Warszawy – piękny park pełen wiosennej zieleni i śpiewu ptaków. Kwitły bzy i magnolie. I czekały na nas gościnnie otwarte drzwi pałacu. A wewnątrz każdy znalazł widny pokój, czysto zastrane łóżko i niezrujnowaną łazienkę z wodą w kranie. Czy ktoś dziś potrafi zrozumieć, czym wówczas dla warszawiaka była czysta pościel i woda w kranie?

A kiedy przybyszom oferowano bezpłatne obiady, śniadania i kolacje, radość ich nie miała granic. W pałacu, a potem w kamienicy przy ulicy Moniuszki profesorskie rodziny gnieździły się dość długo, żadna jednak nie narzekała na trudne życie”.

Na Politechnice powstały trzy pierwsze wydziały: Chemiczny, Elektryczny i Mechaniczny. Alicja Dorabialska wspólnie z profesorem Osmanem Achmatowiczem ustaliła skład Wydziału Chemicznego i obsadę katedr. Sama objęła Katedrę Chemii Fizycznej, nie przypuszczała, że będzie stała na jej czele dwadzieścia trzy lata. Została też pierwszym dziekanem Wydziału. Jednocześnie na zaproszenie Uniwersytetu Łódzkiego przez trzy powojenne lata (1945-48), kierowała Katedrą Chemii Fizycznej także tej uczelni.

Chęć twórczej pracy i zapał do tworzenia nowej uczelni od podstaw sprawiała, że wszelkie trudności i braki wydawały się do pokonania. Wprawdzie 1 października 1945 roku zainaugurowano rok akademicki, ale brakowało sal wykładowych, laboratoriów, aparatury, odczynników, brakowało wszystkiego. Studenci i wykładowcy szukali w porzuconych przez Niemców fabrycznych magazynach chemikałów i wszystkiego, co mogło się przydać do ćwiczeń.

Pączkowanie

Zainicjowała wkrótce wydawanie pisma „Wiadomości Chemiczne” i założyła spółdzielnię pracy „Ksenon”, która pozwalała studentom podreperować budżety. Pracy przybywało, ale Alicji Dorabialskiej pomagali jej wychowankowie i współpracownicy, którzy – jak mawiała – „wysączkowali” z katedry. Jednym z nich był profesor Mieczysław Serwiński. Szybko zrobił doktorat i stworzył w Łodzi prężny ośrodek inżynierii chemicznej i procesowej. Przez osiem lat był rektorem Politechniki.

Pięknie zapisał się w nauce jej uczeń Jerzy Kroh. Po przyjeździe do Łodzi Jerzy Kroh studiował na politechnice i uniwersytecie, napisał rozprawę doktorską pod kierunkiem Alicji Dorabialskiej, szybko się habilitował, jeździł na zagraniczne staże i stworzył w Łodzi liczący się ośrodek chemii radiacyjnej. Przez wiele lat stał na czele Instytutu Technik Radiacyjnych. Już po śmierci swojej mistrzyni, w czasach „Solidarności”, został wybrany na rektora Politechniki. Wielce pomocna okazała się także przyjaciółka ze Lwowa Eligia Turska, która przyjechała do Łodzi i utworzyła na Wydziale Włókienniczym Politechniki pierwszą w Polsce Katedrę Chemii Fizycznej Polimerów.

Pani Profesor przeniosła do Łodzi zwyczaję, do których była przyzwyczajona od wczesnych lat swojej młodości. Urządzała seminaria „jadalne”, podczas których nie tylko raczono się smakołykami, ale obowiązkowo informowano o wynikach własnych prac badawczych. Działała też bardzo aktywnie w towarzystwach naukowych: Łódzkim Towarzystwie Naukowym i oczywiście w Polskim Towarzystwie Chemicznym, które przed laty zakładała. Napisała pięć podręczników, dziewięćdziesiąt pięć doniesień naukowych, sto dwadzieścia osiem artykułów oraz dwadzieścia dwie biografie naukowców. Do końca życia uważana była za wielki autorytet moralny i naukowy. Odeszła na emeryturę w 1968 roku, w trudnym roku politycznym dla Polski.

Zmarła w Warszawie 7 sierpnia 1975 roku.

We wspomnieniach o swojej wielkiej mistrzyni profesor Jerzy Kroh napisał:

„W swoim życiu osiągnęła Pani Dorabialska cel, który wielokrotnie stawiała przed sobą jako najważniejszy; potrafiła w setkach serc i umysłów rozniecić z ledwo tłącej się isierki czysty i gorący płomień zapału do pracy i miłości do ludzi. Czy można osiągnąć więcej?”

Małgorzata Golicka-Jabłońska

Przy pisaniu artykułu korzystałam następujących źródeł:

1. Alicja Dorabialska, *Jeszcze jedno życie*, Instytut Wydawniczy PAX, 1972.
2. Jerzy Kroh, *Moje życie i chemia radiacyjna. Od II do III Rzeczypospolitej*, Łódź 1999.
3. *Profesorowie Politechniki Łódzkiej 1945-2005*, Łódź 2006.

Cytaty pochodzą z książki: Alicja Dorabialska, *Jeszcze jedno życie*, Instytut Wydawniczy PAX, 1972.

Fot. (CAT)

Kobiece doświadczenie miasta

„Herstoria”, czyli siostra historii

pierwsze kolumny

Historię można opowiadać na wiele sposobów: punkt widzenia zależy od narratora. Historia opisana poniżej pokazuje, że niekiedy rzeczy pozornie nieistotne mają większe znaczenie niż te, które uznano za ważne. *Herstoria* [polski neologizm pochodzący od angielskiego *her-story* jako odpowiednik męskiego wariantu *history*], czyli opowieść o kobietach, ich codzienności, osiągnięciach, walce o podmiotowość, a wreszcie i powodach nieobecności na kartach podręczników i w pamięci zbiorowej, to narracja równoprawna do historii wielkich bitew i politycznych traktatów. Historia równie ważna, choć często uznawana za nieistotną.

Łódź jest miastem szczególnie predestynowanym do kobiecej narracji historycznej – demografia pokazuje, że od zarania Łodzi przemysłowej kobiety przewyższały tu liczebnością mężczyzn. Gromadzący Polaków, Żydów, Niemców i Rosjan ośrodek przemysłu włókienniczego opierał się w znacznej mierze na wykorzystaniu ich pracy: gorzej płatnej niż męska, zmianowej, wyniszczającej. Z realiami polskiej stolicy przemysłu lekkiego w okresie PRL, a później z konsekwencjami upadku tego przemysłu zmagają się również głównie kobiety. A jednak dzisiejsza pamięć zbiorowa Łódzian przypomina palimpsest, z którego wytarto kobiece doświadczenie – ten brak dotyczy zarówno życia włókienki, jak i zapomnianych intelektualistek, artystek, społeczniczek, niezależnie od narodowości, a często i wagi ich pracy. Często rozproszone fragmenty życiorysów odnajdujemy „przy okazji” poszukiwań dotyczących innej tematyki. Okazuje się wtedy, że na przykład prof. Maria Janion, znawczyni polskiego romanizmu i organizatorka wybitnych seminariów transgresyjnych, studiowała w Łodzi, współpracowała z wydawanym tutaj po wojnie społeczno-literackim tygodnikiem „Kuźnica”, a prywatnie zapadła jej w pamięć historia o miłości syna fabrykanta i młodej robotnicy; miłości ponoć prawdziwej, choć niemożliwej w fabrycznym mieście¹. Łódź Marii Janion to tygiel biednych, inteligentkich rozbitków. Ale to oni stworzyli nowe miasto – Łódź uniwersytecką i kulturalną.

Teatr Studyjny PWSFTViT przy Kopernika. Niewielki, niezbyt reprezentacyjny. Jeśli odrobinę poszukać, okaże się, że tutaj siedzibę znalazł w latach



powojennych Teatr Ziemi Łódzkiej, współorganizowany przez Sabinę Nowicką. I nagle otwiera się kolejna „herstoria”: kobieta, która całe życie poświęciła teatrowi, choć ukończyła prawo. Rozpoczęła od amatorskich występów na Scenie Robotniczej Towarzystwa Uniwersytetów Robotniczych, by wreszcie stworzyć operę łódzką (dzisiejszy Teatr Wielki) i od podstaw, przy współpracy Feliksa Parnella, założyć w mieście szkołę baletową. A skoro teatr, to i prof. Stefania Skwarczyńska, teoretyczka literatury zajmująca się teorią teatru i dramatu. Bez jej udziału nie powstałby ówczesny łódzki model kształcenia polonistycznego poszerzony o teorię literatury, teatrologię i filmoznawstwo, a wreszcie nie wyodrębniłby się Instytut Teorii Literatury, Teatru i Filmu (dzisiejszy Instytut Kultury Współczesnej UŁ). Albo Helena Radlińska czy Antonina Kłoskowska... Można tak wymieniać bez końca: założycielki, organizatorki, twórczynie. Próżno jednak szukać w Łodzi ich śladów: ulic, auli uniwersyteckich, tras, którymi można byłoby zwiedzać miasto, choć przechowuje ono pamięć o fabrykantach, getcie czy Łodzi filmowej...

Jeśli takich historii życia nie opowiadamy przez trzy pokolenia, umierają dla pamięci zbiorowej, bo wreszcie odchodzą ci, którzy pamiętali. Zastosowało się do tej zasady Łódzkie Stowarzyszenie Inicjatyw Miejskich Topografie, tworząc żywą bibliotekę w postaci tzw. archiwum historii mówionych, opowiadanych przez łodzian, znanych i zupełnie anonimowych. Odpowiedzią na brak kobiecych narracji jest projekt *Łódzki Szlak Kobiet*, zorganizowany przez kolektyw Kobiety znad Łódki, niefor-

malną grupę pasjonatek zainteresowanych odkrywaniem kobiecej twarzy miasta. Jak większość podobnych inicjatyw, również i ta wyewoluowała z naturalnej potrzeby przywrócenia pamięci, a niekiedy po prostu chęci odkrycia roli kobiet w topografii i historii miasta. Otwarta formuła projektu pozwala na dużą różnorodność tematyczną. Mieszczą się w nim zarówno opisy życia kobiet z wyodrębnionych klas społecznych lub o konkretnym pochodzeniu etnicznym w ramach określonego czasu, jak i gromadzona przez lata fantazmatyczna przestrzeń miasta. A więc na przykład takie tematy jak pisarki pochodzenia żydowskiego, piszące w jidysz w I połowie XX wieku, włóknarki w PRL, zmagania emancypacyjne mówiące o zdobywaniu wykształcenia, uprawnień zawodowych i praktyki w różnych profesjach, walka o równouprawnienie, biografie słynnych łodzianek, a wreszcie legendy miejskie, piosenki, pomniki, murale, szyldy, cmentarze oraz narracje prywatne.

Można powiedzieć, że Łódzki Szlak Kobiet prowadzi podwójne życie. Z jednej strony to solidnie przygotowane wykłady popularyzatorskie oparte na archiwaliach i pracy biograficznej w ramach Wolnej Wszechnicy Gender². Dotychczas można było posłuchać m.in. o farmaceutkach przełomu XIX i XX wieku oraz obejrzeć poświęconą im wystawę w Muzeum Farmacji przy Placu Wolności 2; dowiedzieć się o pisarkach żydowskich: Melanii Fogelbaum, Chavie Rosenfarb oraz Miriam Ulinower oraz o zapomnianych łódzkich bibliotekarkach: Helenie Więckowskiej, Janinie Jaworskiej czy Izabeli Nagórskiej. Z drugiej strony działania Kolektywu znad Łódki obejmują

pierwsze kolumny





różnorodne formy aktywności w przestrzeni miejskiej. Od zwiedzania wystawy Muzeum Tradycji Niepodległościowych w ramach spotkania *Niepokorne. Kobiety zaangażowane w walkę o wolność i niepodległość* z okazji 11 listopada, przez tematyczne wycieczki miejskie z przewodnikiem, opracowanie kobiecych mapek Bałut i Śródmieścia, Kobiectwo Zaduszki, czyli spacer po cmentarzu Doły śladami wybitnych łodzianek, a kończąc na ostatnim wydarzeniu, czyli wystawie Łódzkiego Szlaku Kobiet, umiejscowionej na ul. Piotrkowskiej, przy wejściu do Urzędu Miasta Łodzi.

Pomysł Łódzkiego Szlaku Kobiet jest autorstwa Izabeli Desperak, socjolożki, wykładowczyni akademickiej, organizatorki łódzkiej Manify. Co jednak najistotniejsze, Kolektyw znad Łódki jest projektem otwartym i zaprasza do współpracy

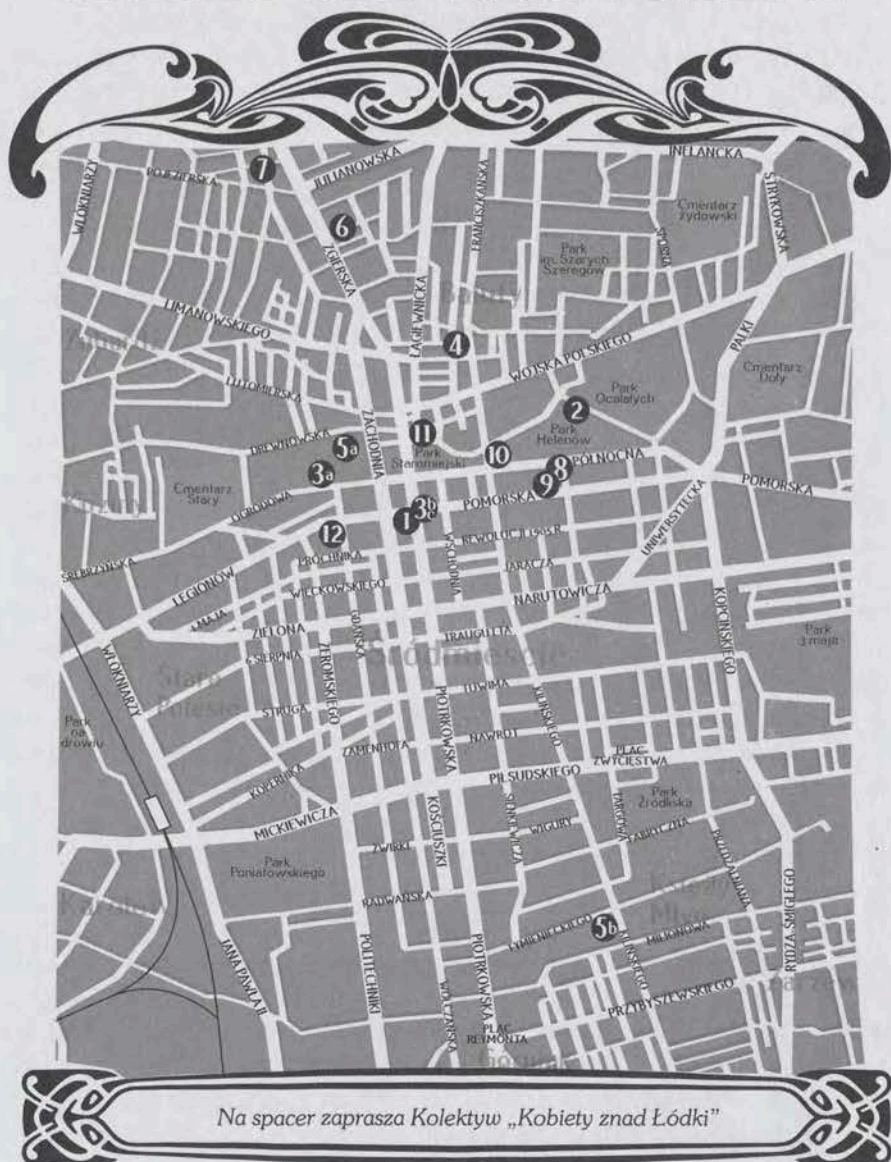
każdą osobę zainteresowaną jego wzbogaceniem o nowe wątki. Prywatna opowieść może się stać początkiem fascynującej przygody biograficznej, czyjeś pozornie nieistotne wspomnienie być może dopełni nieznanne fakty z życia naszych bohaterek lub stworzy tło dla ich codzienności. Oczywiście Łódzki Szlak Kobiet nie jest pierwszym takim projektem miejskim. Kobięce szlaki spacerowe posiadają już Kraków i Warszawa. Gdańsk zaś wytyczył w ramach projektu Metropolitanka szlak kobiet w Stoczni Gdańskiej. Antropologia codzienności i studia kobiece prowadzą do redefinicji historii opowiadanej z pozycji „gorszej płci”³ co najmniej od lat 80. XX wieku. Takie propozycje odczytania historii podkreślają rolę polifonii; opowieść żołnierza nie jest lepsza i prawdziwsza niż opowieść sanitariuszki czy łączniczki, jest po prostu odmienna. Problem zaczyna się wtedy, kiedy wyłącznie o żołnierzach pisze się po wojnie i im stawia pomniki, zapominając zupełnie o sanitariuszkach. M.in. dlatego powstało wirtualne Muzeum Historii Kobiet, założone przez Fundację Feminoteka z nadzieją na przypomnienie historii kobiet – i tych, które walczyły, i tych, które były po prostu „bohaterkami codziennego życia”⁴. I być może dlatego patronką ideową Łódzkiego Szlaku Kobiet została Sylwia Chutnik, pisarka i działaczka społeczna. Niezmordowanie redefiniuje ona kobiece doświadczenie uwiecznione w topografii Warszawy: od drugiej wojny światowej po współczesne miasto we władzy deweloperów, od pierwszych emancypantek po dzisiejsze działaczki walczące o prawa lokatorskie. Realne postacie kobiece, które Chutnik umieszcza w przewodniku miejskim *Warszawa kobiet*⁵ i których śladami niejednokrotnie oprowadzała wycieczki po mieście, ożywają ponownie w jej powieściach jako fantazmaty, relacje z powstania, ballady miejskie czy historie łotrzykowskie⁶. Chciałoby się westchnąć: szkoda, że Łódź nie ma takiej pisarki, ale kronikarska skrupulatność zmusza, aby przypomnieć, że pierwszą powieść o Łodzi przemysłowej, *Wśród kąkol* (1890), napisała emancypantka Waleria Marrene-Morzkowska, choć daleko jej szkicowi do panoramicznej powieści Reymonta.

Łódzki Szlak Kobiet to niekiedy biografie porywające i oryginalne, ale znacznie częściej opowieści o mozolnej, codziennej, organiczniczkowskiej pracy: naukowej, społecznej, organizacyjnej. A także i tej przy maszynie. Ale przecież historię można opowiadać na wiele sposobów, a to, co dla nas oczywiste, dla naszych prababek często było spełnieniem marzeń – pozornie nieistotne bywa bardzo ważne.

Historię można więc opowiadać na wiele sposobów. Kilka lat temu znajoma japonistka opowiedziała mi historię powstania języka, w którym napisano teksty okresu Heian, jedno z najpiękniejszych utworów w japońskiej literaturze. Okazało się, że japoński dwór cesarski uznawał za szczyt doskonałości wszystkie zapożyczenia z Chin, od administracji rządowej aż po język. Mężczyźni musieli nauczyć się języka chińskiego, jeśli chcieli osiągnąć wpływy na dworze; tak spisywano dekrety, w tym też języku układano strofy poetyckie. Od kobiet nie wymagano tej umiejętności, ponieważ nie pełniły funkcji publicznych. W rezultacie wykształcone damy dworu zapisywały swoje wrażenia i myśli w *kana* (bardzo uproszczonym sylabariuszu chińskim, dosto-

Ł Ó D Z K I

SZLAK KOBIET



Ł Ó D Z K I

SZLAK KOBIEC



pierwsze kolumny

1 FARMACEUTKI - Muzeum Farmacji i Apteka, pl. Wolności

Apteka przy pl. Wolności (początkowo pod nr 7) została zlikwidowana przez Karola Kiełczyńskiego prawdopodobnie w 1830 r. Niedługo potem właściciel zmarł, a interes przejął jego żona - w 1839 r. aptekę przeniesiono do budynku przy pl. Wolności nr 2. Kolejnymi właścicielami byli m. in. czynniki, akw w wykazie pracowniczym apteki z lat 1845-1948 znajduje się już 12 kobiet, w tym Aurelia Rybicka i z nich cztery. Długo w Muzeum Farmacji oglądać można nagrania przygotowane na 8 marca 2012 r. wystawy poświęconej Modelom farmaceutkom. Do 1939 r. stopieńmiałowy doktor nauk farmaceutycznych uzyskało sześć kobiet, w tym dwie w Łodzi - Stanisława Trzaskówna oraz wspomnianą już Aurelię Rybicką (rybickówna), która do 1930 r. prowadziła własną aptekę w Łodzi.

2 CZAROWNICE, ZIELARKI - rz. Łódka, Park Helenów

W dawnej medycynie i farmacji kluczową rolę odgrywały kobiety. Były lekarzami i zielarkami, pielęgniarzkami i akuszerkami. Wiedzę i umiejętności przekazywały sobie z pokolenia na pokolenie, jednak zamiast cieszyć się uznaniem i szacunkiem - płonęły na stosach, jako „wędzidy” uprawiające czary.

Łódzkie otary i pokłowania na czarownice. Nie wiemy, czy łódzkie otary pokłowania na czarownice w ogóle miały o nich wiedzę. Maryna Klak - w XVI w. Marynę Klak, podobny zjawisko „zarzeczności”, w wieku 25 lat zmarła z powodu choroby, którą uważano za czarownicę, a że zafundowała na wodę puszczone, a że zafundowała - znak, to byłby rybicki, że nie ucyfrowano pomysłu. Do wódek, kuszczem przesyłać, nosić ja wódek byłoby powierzone”. Zofia Straszewska (imie - Zofia Straszewska, kuzynka Smaszybohe, pochodząca ze starej historyjki rodziny, sądzi w Rozprawie skazała na śmierć za czary, a do egzekucji kasa sprowadzić trzeba było aż z Łodzi. Nie wiemy, gdzie dokonywano egzekucji, był może czarownice spławiano także w rzece Łódka?

3 ARTYSTKI - Muzeum Sztuki msz. ul. Ogrodowa 19

Z Łodzi związane są trzy wielkie, światowej klasy artystki: Katarzyna Kobro i Alina Szapocznikow. Ich prace oglądać można w Muzeum Sztuki msz. przy ul. Ogrodowej 19.

Katarzyna Kobro - artystka o niezwykłym bogactwie, na której wykazuje się: zbrojowa pamięć i pamięć wizerunku, znaczenia twórczości nie godziła się córka, Nika Straszewska, autorka biografii i rzeźbiarka Katarzyna Kobro o rzeźbie, matką z młodym władysławem Straszewskim, córka mieszkała m.in. na osiedlu M. Morawskiego, przy ul. Straszewskiej. Alina Szapocznikow - rzeźbiarka i graficzka, pochodziła z Pabianic, z tamtejszego getta trafiła do getta w Łodzi, potem do kolejnych obozów koncentracyjnych. W Łodzi mieszkała w kamienicy przy ul. Zgierskiej 24.

3b ARTYSTKI - pl. Wolności

Ewa Partum - artystka występująca w niektórych pracach w dyskursie feministycznym, związana także z Łodzi, gdzie prowadziła galerie „Adres”. W 1971 r. zmieszkała na łódzkim pl. Wolności prace „Legarność przestrzeni”. W obrębie placu stanął las znaków drogowych i tabliczek o spotykanym powszechnie lub wyjątkowo treści. Kobiety zakazywały różnym czynności „Zakaz wjazdu”, „Cisza”, „Zabrania się uprawy czoszczolki”. Nie dotykać”, „Wszystko wtrącone” czy „Zabrania się zabraniać”. Swój pierwszy holdem do artystki była akcja Klubu Korytki Politycznej i Muzeum Sztuki „Legatujemy przestrzeń” z 18 lipca 2012 r.

3c DZIAŁACZKI - pl. Wolności

Zofia Hertz - współzałożycielka Instytutu Literackiego w Paryżu, najbliższe współpracownice Jerzego Giedroycia - po jego śmierci dyrektorka Instytutu Literackiego w Paryżu. Dzieciństwo spędziła w Warszawie, ale w 1921 r. zamieszkała w Łodzi. Po maturze (1928 r., Gimnazjum Żołnierskie, Sobolewską w Łodzi) przez rok studiowała na Wydziale Prawnym Uniwersytetu Warszawskiego. Od 1929 r. znnowu w Łodzi. Podjęła pracę w kancelarii notarialnej Apolinarego Karnowskiego przy pl. Wolności. 13 maja 1933, jako pierwsza kobieta w Łodzi, przystąpiła - z powodzeniem - do egzaminów starszemu notariuszowi.

4 KOBIECY W LITZMANNSTADT GHETTO

Wiele kobiet przeżyło przez Litmanstadt Ghetto, większość skończyła życie w obozie zagłady w Chełmnie nad Nerem. Były tam też siostry Franza Kalki, przybyłe z czeskim transportem. Ostatni adres Gabrieli Hermanowej to ul. Szerzewska 1 (am. 44 a Valerii Polakowej - ul. Franciszkańska 6).

5a WŁÓKNIARKI - Muzeum Fabryki, Manufaktura

Miasto Łódź zostało zbudowane na przemyśle włókienniczym i na pracy włókienniczek. Ich historie przypomina dziś Muzeum Fabryki w Manufakturze, która poświęca na terenie dawnych Zakładów Przemysłu Bawełnianego im. J. Machulskiego (Politey), wczynnij zakładach i Pozniewskiego.

5b WŁÓKNIARKI STRAJKOWAŁY I SPOTYKAŁY SIĘ Z JANEM PAWEŁEM II - Uniotex, ul. Kilińskiego/Tymienieckiego

Strajki łódzkich włókienniczek to część historii robotniczej Łodzi i wyjątek w skąd kraju. Dziś pamięć o włókienniczkich strajkach, nie buduje się im pomników, nawet wspomnienie spotkanie papieża z robotnicami w Uniotexie doczekało się jedynie fioletowego billboardu.

6 MICHALINA WISŁOCKA - ul. Wspólna 5/7, ul. Klonowa

Pionierka seksuologii, działaczka na rzecz świadomego macierzyństwa i autorka „Sztuki kochania”. Urodziła się w intensywnym dziś budynku szkolnym przy ul. Klonowej - w służbowym mieszkaniu, które przybijało ojcu - nauczycielowi. Dzieciństwo na podwórku i kółko opisała w autobiografii. Po ewakuacji ojca rodzinę przeprowadziła do mieszkania w szkole przy ul. Wspólnej, by uniknąć śladu doś.

7 MARIA PIOTROWICZOWA - ul. M. Piotrowiczowej (Bałuty) i Stary Cmentarz św. Józefa, ul. Ogrodowa 38

Kto pamięta, czemu miała bałucka uliczka poświęcona została Mari Piotrowiczowej? Była ona uczestniczką Powstania Styczniowego, zginęła w bitwie pod Dobrą, pochowana ja wraz z mężem na Starym Cmentarzu przy ul. Ogrodowej, a z obciętego pasaża jej włosów pleciono patriotyczne pierścienie.

8 LEONIA POZNAŃSKA - Klinika Kardiologiczna, ul. Sterlinga

Żona przemysłowca Izraela Pozniewskiego, jednego z dwóch łódzkich „Królów Bawełny”, zaangażowana w działalność charytatywną. Jedną z inicjatyw, w której uczestniczyła, było wybudowanie żydowskiego szpitala fundacji małżonkowi Leonii i Izraela Pozniewskich - dzisiejszej Kliniki Kardiologicznej przy ul. Sterlinga nadzorowała kuchnię dietetyczną.

9 MINA KONSTADT - ul. Pomorska 4/54

Była prezeską Domu Starców dla Żydów na dzisiejszej ul. Pomorskiej 54. Intensywnie działała charytatywnie w Fundacji im. Hermannia i Młyny Konstadów. Po śmierci Hermannia Fundacja wybudowała szpital żydowski na dzisiejszej ul. Piłsudskiego 42, największy w Polsce dom przedpojętą roboty na Cmentarzu Żydowskim przy ul. Brackiej, szpital zakłady - dzisiejszy szpital im. Biegłobłogosława Kraszewskiego.

10 MARYLA BIEDERMANNÓWNA-KAISERBRECHT - Pałac Biedermannów, ul. Franciszkańska/Północna

Należała do AK, pracowała w Komitecie Pomocy Więzniom Radogoszcz, więziona przez hitlerowców na Gdańskiej, w więzieniu dla kobiet. Mieszkała w pałacu przy ul. Franciszkańskiej 106/Północnej, gdzie tragicznie zmarła wraz z rodziną.

11 STANISŁAWA LESZCZYŃSKA - kościół Wniebowzięcia NMP, pl. Kościelny

Urodzona w Łodzi, pracowała tu jako pielęgniarka. Okazano wyjątkowo do Oświęcimia za udzielenie pomocy Żydom z Litmanstadt Ghetto. Wbrew zakazom władz obozu Auschwitz-Birkenau pomogła urodzić się i wzrosnąć w obozie dziewczynki Leszczyńska pamiętna tablicą na kościele Wniebowzięcia NMP, w której w tym czasie żyła się jej matka. Trwa jej proces beatyfikacyjny.

12 WOJOWNICZKI - gen. Elżbieta Zawacka i Halina Kłab-Szwarc, Muzeum Tradycji Niepodległościowych, ul. Gdańska 13

Gen. E. Zawacka, jedna z kobiet z 316. Cichociemni, 10. Dywizji Zbrojnych Legjonów Karłowicza, komendantka Regionu Śląskiego Przysposobienia Wojskowego Kobiet. Jedną z dwóch kobiet generałów w Wojsku Polskim, nagrodzona dwukrotnie odznaką. Wzrost Młodzi Polki, autorka nauk humanistycznych, założycielka Zakładu Andragogiki, pedagogika matematyki. Wiekosła przez 5 lat w powojennej Polsce, w Łodzi pracowała jako nauczycielka. H. Kłab-Szwarc - urodzona w Łodzi agentka polskiego wywiadu w czasie II wojny światowej. Zdobywając materiały fotograficzne przyczyniła się do zburzenia obozów przez akatorów portu w Hamburgu. Właścicielka i kierowniczka przez narciarzy w więzieniu na Gdańskiej, później, w czasach PRL, również przez służbę Bezpieczeństwa. Lekarka, założycielka Uniwersytetu Trzeciego Wieku w Polsce. Pamięć po niej znajduje się w Muzeum Tradycji Niepodległościowych.



sowanym do brzmienia japońskiego), podczas gdy mężczyźni robili to po chińsku. Dziś czytelnika zachwycają melancholijne, zmysłowe teksty z tamtego okresu, pisane przez kobiety lub skierowane do kobiet, a odwrotnie, konwencjonalna poezja w języku chińskim znana jest wyłącznie specjalistom. Z alfabetu *kana* wykształcił się współczesny język japoński. Nigdy więcej pisarstwo kobiece w Japonii nie osiągnęło takiego kunsztu jak w okresie Heian. Nigdy też później damy nie miały na dworze równie dużego znaczenia jak wtedy, gdy stworzyły kobiece pismo.

I może właśnie dlatego warto śledzić poczynania łódzkich pasjonatek, a także przetrząsnąć domowe archiwum. Może znajdują się tam jakieś informacje bezcenne dla historii łódzianek?

Marta Zdanowska
– animatorka kultury

Przypisy:

1. Por. *Transe-Traumy-Transgresje*, tom 1: *Niedobre dziecię*. Z Marią Janion rozmawia Kazimiera Szczuka, Warszawa 2012.
2. Wolna Wszechnica Gender to cykl otwartych wykładów odbywających się w Świetlicy Krytyki Politycznej w Łodzi, przy ul. Piotrkowskiej 101.
3. Tytuł książki M. Boguckiej poświęconej roli kobiet w historii; por. M. Bogucka, *Gorsza pleć. Kobieta w dziejach Europy od antyku po XXI wiek*, Warszawa 2005.
4. <http://www.feminoteka.pl/muzeum/>
5. Por. S. Chutnik, *Warszawa kobiet*, Polityka, Warszawa 2011.
6. Por. S. Chutnik, *Kieszonkowy atlas kobiet*, Korporacja Ha!art, Kraków 2008; S. Chutnik, *Cwaniary*, Świat Książki, Warszawa 2012.

Fot. Iza Desperak (dzięki uprzejmości kolektywu KzŁ)

Kobiety w obiektywie dokumentalisty

Kieślowski, Wiszniewski, Gryczelowska

pierwsze kolumny

Każda niemal epoka na swoje potrzeby tworzy mity, które na ogół przeradzają się w stereotypy. Wraz z przemijaniem epok naturalną koleją rzeczy ulegają deprecjacji, a ich miejsce zajmują nowe mity. Proces owej przemiany zapisać zdolna jest sztuka, także filmowa. Obiektyw dokumentalisty jest szczególnie wrażliwym pod tym względem seismografem, zdolnym skonfrontować mit z rzeczywistością, pokazuje ich wzajemną nieprzystawalność. Taką funkcję pełnił polski dokument końca lat 60. i 70. XX wieku, przeżywający wówczas rozkwit sprowokowany i podsycany po części koniecznością obrony własnej pozycji i tożsamości w obliczu natarcia ze strony reportażu telewizyjnego. Telewizyjne formy dokumentalne przejęły wówczas wcześniej zarezerwowaną dla dokumentu filmowego funkcję bieżącego rejestrowania rzeczywistości. Ten zaś z konieczności – co wyszło mu zresztą na dobre – zwrócił się w kierunku refleksji o ogólniejszym charakterze.

Troje zdolnych dokumentalistów tamtych czasów kieruje obiektyw swoich kamer na Łódź i, co ciekawe, wszyscy widzą to miasto podobnie – przez pryzmat wytworzonego na jego potrzeby propagandowego mitu. A może właśnie stereotypu czy – mówiąc łagodniej – wizerunku kojarzonego z miastem. Troje dokumentalistów to Krzysztof Kieślowski, Wojciech Wiszniewski i Krystyna Gryczelowska, a ich filmy to odpowiednio: *Z miasta Łodzi* (1969), *Nasze znajome z Łodzi* (1971) i *Wanda Gościńska. Włókniaarka* (1975). Ale mit, poddany w nich brutalnej niekiedy dekonstrukcji, innym razem po prostu kwestionowany, jest jeden i to od niego wypada zacząć.

Obecnie chętnie powraca się do początków historii Łodzi, miasta przemysłowego i będącego tygłem kulturowym. Niekiedy też łodzianom przypomina się o ich mieście jako kolebce polskiego przemysłu filmowego, stąd dumnie brzmiący słowny zlepek HollyŁódź i Aleja Gwiazd na Piotrkowskiej. Zapomnieniu natomiast, a może wyparciu uległ mit Łodzi jako miasta kobiet – tkaczek, przątek, dziewiarek, szwaczek. Jego istnienie zawdzięczamy Polsce Ludowej i ideologicznym wizjonerom, ale też przy okazji artystom tamtych czasów. Łódź dla władz komunistycznej Polski

była miastem pod wieloma względami doskonale wpisującym się w propagandowe założenia, świetnie realizującym ideowe wytyczne. Po pierwsze było to miasto robotnicze, w czasie wojny pozbawione elit. Klasa robotnicza stanowiła tu większość, dając możliwość stworzenia miasta sztandarowego. Ponadto należy pamiętać, że nie chodziło tylko o równość klasową, ale także równość płci. W pewnym sensie PRL jawił się – co może zabrzmieć paradoksalnie – jako państwo profeministyczne, niestety tylko gdy chodziło o możliwości podjęcia zatrudnienia. Do mozolnej pracy bowiem brakowało rąk wyrabiających normy produkcyjne, a najlepiej je przekraczających. Z socrealistycznych plakatów spoglądały i zachęcały do wysiłku odbudowy państwa dziarskie, uśmiechnięte dziewczęta z chustą na głowie i kielnią lub sierpem w rękę, będące symbolami nowego ładu. W zgrzebnych, aseksualnych kombinezonach zapiętych pod samą szyję manifestowały swoje zaangażowanie („Pozdrawiamy kobiety pracujące dla pokoju i rozkwitu ojczyzny!”) lub dochodziły własnych praw („Kobieta w Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej ma równe z mężczyzną prawa we wszystkich dziedzinach życia państwowego, politycznego, gospodarczego, społecznego i kulturalnego”). Jednakże w filmach Kieślowskiego, Gryczelowskiej i Wiszniewskiego nie odnajdziemy wizerunku modelowej włóknianki z plakatu, lecz mit skonfrontowany z rzeczywistością.

Z miasta Łodzi

Z miasta Łodzi to dyplomowy dokument Krzysztofa Kieślowskiego. Gatunkowo mamy tu do czynienia z suitą miejską, przedmiotem spojrzenia jest Łódź, którą reżyser obserwował przez wiele lat. Nie odnajdziemy tu ani ironii, ani otwartej krytyki. Obraz w pierwszym oglądzie może sprawiać wrażenie zapisu przepełnionego ciepłem w stosunku do bohaterów. Są to jednak tylko pozory. Film rozpoczyna sekwencja przedstawiająca pracę tkaczek. Huk maszyn, kurz, skupione twarze kobiet i obowiązkowa wykonywana pod dyktando gimnastyka jako forma relaksu, odpoczynku... Kobiety w chustach na głowach nie są młode, wyglądają na zmęczone. W kolejnej odsłonie, której towarzyszy lekka, relaksująca muzyka, widzimy z kolei ulicę, którą zapełniają już prawie wyłącznie mężczyźni. Wyglądają z okien, stoją i rozmawiają w grupkach, niezajęci niczym pilnym. Gdzieniedzie tylko bawią się dzieci. A kobiety? One są w pracy, przy maszynach oddając zdrowie i urodę idei. Tym razem kamera pokazuje szwalnię i mężczyznę przemawiającego do robotnic, aby poparły radiowy zespół mandolinistów. Włóknianki podejmują temat, optując za utrzymaniem tej orkiestry. Po krótkiej sekwencji przedstawiającej miasto znów wracamy do zakładów. Kolejna odsłona to zakładowe zebranie, wyższego zapewne szczebla, bo w kadrach pojawiają się ubrani w garnitury i krawaty dystyngowani panowie sączący alkohol. Jedna z pracownic wygłasza mowę pochwalną na cześć fabryki, która „dając jej pracę, dała godne życie”(!). Ostatnia część filmu pokazuje sposób, w jaki łodzianie spędzają czas wolny. Miejski park, gdzie odbywa się konkurs młodych talentów, i tym razem wypełniają sylwetki mężczyzn, młodych i starszych, siedzących na ławkach, palących papierosy, zrelaksowanych. Wokół biegają dzieci, ale

kobiet prawie nie ma. Tylko od czasu do czasu widzimy twarz emerytki lub sylwetkę matki z wózkiem. To jednak wyjątki. Konkurs prowadzi wodzirej, na estradzie występuje inny mężczyzna. Słowa śpiewanej przez niego piosenki brzmią jednak ironicznie („Tego miasta nie ma na mapie, lecz przecież gdzieś chyba jest miasto, w którym z nieba nie kapie jesienny płaczący deszcz...”). Piosence towarzyszy panorama Łodzi, widzimy dachy starych kamienic i nowych, monotonnych blokowisk. Widok przygnębiający i zdystansowany do tekstu piosenki.

Z *miasta Łodzi* to dokument o pracujących kobietach i próżniących mężczyznach, portret miasta ani dobrego, ani ładnego, ale Kieślowski w swych aluzjach jest dyskretny. Mamy więc do czynienia raczej ze stonowaną impresją, zabarwioną odrobiną dystansu, mimochodem ujawniającą stan rzeczy, niż ostrą publicystyczną krytyką.

Nasze znajome z Łodzi

Inaczej sytuacja wygląda w *Naszycznajomych z Łodzi* Krystyny Gryczelowskiej. Dokumentalistka, absolwentka moskiewskiej szkoły filmowej, należała do pokolenia Kazimierza Karabasza. Jako scenarzystka Gryczelowska pracowała przy *Miasteczku* (1956) Jerzego Ziarniaka, filmie zaliczanym do tzw. czarnej serii w dokumencie. Od początku więc jej zamierzeniem było odlukrowanie wizji kraju fabrykowanej przez propagandę władz Polski Ludowej. Jej społeczną ideę stanowiła chęć pomocy tym, do których przychodziła z kamerą. Jest to wyraźne w jej twórczości, a *Nasze znajome z Łodzi* wpisały się w poetykę polskiej szkoły dokumentu.

Obraz powstał w specyficznym momencie, tuż po wypadkach grudniowych oraz strajkach łódzkich włóknianek z początku 1971 roku. Wydarzenia te wymusiły na ekipie Gierka cofnięcie podwyżek cen wprowadzonych za czasów Gomułki, a film Gryczelowskiej wydawał się niezwykle aktualny. Z pewnością była to jedna z przyczyn przyznania mu w 1972 roku Brązowego Lajkonika na Krakowskim Festiwalu Filmowym (konkurs krajowy). Obraz jest filmowym portretem trzech łódzkich włóknianek zakładów im. Marchlewskiego. Urszula, Helena i Genowefa pochodzą z trzech różnych pokoleń, ale w gruncie rzeczy ich losy można złożyć w życiorys jednej osoby. To życiorys stanowiący najbardziej prawdopodobny model historii życia robotnicy i bynajmniej nie jest to model przystający do mitu kobiety pracującej. Jako pierwszą poznajemy najmłodszą Urszulę, gdy siedzi w domu przed lustrem i zajmuje się pielęgnacją urody. Jest pełna marzeń i nadziei, planów i zamiarów, o których opowiada. Nie jest zachwycona swoją sytuacją, narzeka. Ma problemy z pogodzeniem nauki i pracy, a przełożeni nie chcą jej zwalniać na zajęcia w technikum. Urszula wprawdzie sprawia wrażenie trzpiotki, zalotnie uśmiecha się do kamery, jest nieco próżna, ale jej marzenia o lepszym życiu, dobrym mężu, pięknym domu, dwójce dzieci i urodzie trudno potępić. Są to pragnienia młodej kobiety, która liczy, że los się jeszcze odmieni. Jej infantylny nieco sposób bycia to ostatni przywilej wieku. Helena, bohaterka drugiej części

filmu, to już zupełnie inna osoba i inny etap życia łódzkiej włóknarki. Tym razem Gryczelowska nie oddaje głosu postaci, a jedynie obserwuje jej codzienność. Helena nie wypowiada się wprost do kamery, ta rejestruje jedynie jej świat. W ścieżce dźwiękowej słyszymy strzępki wypowiedzi nieukładające się w spójną wypowiedź. Nie ma więc ani marzeń, ani pragnień, nieobecne są narzekania. Dominuje wrażenie pogodzenia się bohaterki z losem, jej uporczywego trwania w znoju powszedniości. Oprócz ujęć przedstawiających Helenę w pracy widzimy ją w środowisku domowym. Kobieta samodzielnie wychowuje trójkę dzieci – odprowadza je do przedszkola, przygotowuje im posiłki. Mieszka w nader trudnych warunkach, w starej kamienicy. Czy Urszula za lat kilka podzieli los Heleny? Odpowiedzi nie ma. Jest sugestia i wyraźne odczarowywanie mitu kobiety pracującej. Trzecią bohaterkę filmu, Genowefę, spotykamy w przychodni, gdzie pacjenci dyskutują o funkcjonowaniu służby zdrowia. W gabinecie lekarka przeprowadza wywiad środowiskowy, a bohaterka opowiada o swojej sytuacji. W trakcie jej monologu niczym refren powraca obraz pracy w fabryce. Kobieta niedomaga fizycznie, lata spędzone na tkalni zniszczyły jej organizm. Ważny jest też wątek pracy w domu przy wychowaniu córek, w których lepszą przyszłość wierzy i dla których gotowa jest do wielu poświęceń. W życiu Heleny i Genowefy nie ma czasu na relaks jak w przypadku Urszuli, która uczęszcza na lekcje tańca. To, co pozostaje dwóm starszym kobietom, to miłość do potomstwa i pokładanie w nim wszelkich nadziei. Jeśli ich losy uznać za możliwy scenariusz losów młodej dziewczyny z pierwszej części dokumentu, to wyraźna staje się intencja reżyserki, aby pokazać, że mit kobiety pracującej rozpada się niczym domek z kart.

Włóknarska Gościmińska

Wanda Gościmińska. Włóknarka Wojciecha Wiszniewskiego to już dzieło zupełnie inne, z trudem mieszczące się w ramach tradycyjnego podziału na film fikcji i film faktu. Obraz ten określany jest najczęściej mianem dokumentu kreacyjnego, gatunku o tyle paradoksalnego, że wykorzystującego przypisywane w tamtym czasie przede wszystkim fabule środki stylistyczne. Wiszniewski nie cofa się więc przed odważnym inscenizowaniem, nietypowym kadrowaniem, odkształcaniem dźwięku, wykorzystywaniem metafor obrazowych tworzonych za pomocą nietypowych zestawień montażowych. Kreacyjność jest tu zresztą najważniejszym orężem, służącym podkreśleniu życzeniowego charakteru mitu kobiety pracującej. Jest nią Wanda Gościmińska, przodowniczka pracy, wzorcowa robotnica, już nie niewiasta, a posąg, spreparowany na użytek ideologii żywy ludzki pomnik. Gościmińska pozbawiona zostaje jakichkolwiek cech, które określałyby ją jako indywidualium. Nieruchoma niczym na stylizowanym portrecie opowiada swój życiorys, przyjmujący formę oficjalnego, urzędowego dokumentu („Nazywam się Gościmińska. Na imię mam Wanda. Urodziłam się w mieście Łodzi z ojca Józefa Płocka i matki Franciszki, w domu przy ulicy Pabianickiej numer 61”). Tak opowiedziane zostają całe jej losy. Przedwojenna bieda i powojenna prosperita, którą pod-

kreśla, zostają zestawione, aby idealnie wpisywały się w ówczesną propagandową wykładnię historii. Gościmińska zdaje się wierzyć we wszystko, co mówi, recytuje bez zająknięcia, jest idealnym produktem propagandy swoich czasów. Sztuczność jej zachowania i wypowiedzi jest przez reżysera zaplanowana, celowa. Włóknarka sloganami odpowiada na pytania zadawane jej przez młodych, slogany te przeniknęły do jej krwiobiegu, stały się jej prawdą. Prawdą niezbywalną i niepodważalną osoby zindoktrynowanej. Przerysowania (uzyskane np. dzięki wykorzystaniu zdjęć wykonywanych z monumentalizującej perspektywy żabiej) formalnie służą ukazaniu procesu budowania fasadowej rzeczywistości PRL.

Wiszniewski kreuje obraz swojej bohaterki, tak jak tworzono na potrzeby ideologii życiorysy przodowników pracy. Film podzielony jest na części (np. *Rodowód, Wczoraj, Pokolenia* itd.), w konstrukcji tej, nazbyt oczywistej, wybrzmiewa oczywistość i natrętność schematów socrealistycznych. Bohaterkę widzimy na tle jej portretu podpisanego „Ludzie Trzydziestolecia. Wanda Gościmińska” oraz filmowej kroniki opowiadającej o jej osiągnięciach. Reżyser sugeruje więc nie tyle jedność prawdziwej osoby z oficjalnym jej wizerunkiem, co raczej jej wchłonięcie i zawłaszczenie przez stworzony przez propagandę schemat. Gościmińska jest żywym człowiekiem i pomnikiem jednocześnie, figurą retoryczną i prawdziwą kobietą, tyle że w umyśle bohaterki granica między nimi została już zatarta. Niekiedy jednak obraz ujawnia niezideologizowane oblicze rzeczywistości. W zbliżeniu widzimy np. zniszczone ręce rodzeństwa Wandy, a kadry ukazujące Łódź straszą. Film Wiszniewskiego jest wyrazem nieufności artysty wobec form oficjalnej ideologii, obrazem pokazującym sposób jej funkcjonowania i niebezpieczeństwa z tego wynikające.

Dokumenty z lat 70. XX wieku portretujące kobiety pracujące w Łodzi na różne sposoby podkopują ukonstytuowany dekadę wcześniej mit. Młodzi reżyserzy, mający za sobą doświadczenia polskiego marca 68 roku, a w pamięci Praską Wiosnę, niewierzący w obiecywane w 1956 roku reformy i zmiany, rozczarowani sytuacją, decydowali się na weryfikację komunistycznej, fasadowej rzeczywistości, uderzając w jej najbardziej sztaranowe figury.

Kamila Żyto

– filmoznawca, doktor w Instytucie Kultury Współczesnej UŁ

Zofia Hertz (1910-2003)

Dwie dekady w Łodzi



W kręgu paryskiej „Kultury” Zofia Hertz była postacią niezwykłą i absolutnie kluczową. Tej wydawniczej idei – bo „Kultura” była, rzecz jasna, czymś więcej niżli tylko miesięcznikiem – poświęciła ponad pięćdziesiąt pięć lat swojego życia. Jej pracowitość, oddanie i entuzjazm były przez lata tak ewidentne, że aż dla niektórych tajemnicze. „Jak ta Zosia jest w stanie robić korektę, rachunki, prowadzić kasę i korespondencję, biegać do drukarni, łamać numer, pilnować rewizji, czuwać nad ekspedycją, zajmować się nadto wydawnictwami, a ponadto prowadzić dom zawsze pełen gości, i gotować strawę dla całej ferajny – a przy tym wyglądać świeżo, młodo, elegancko i szykownie, to jest do prawdy sekret nad sekrety” – dziwił się w *Zagubionych romantykach* Wacław Zbyszewski pi-

sarz emigracyjny. Miłosz z kolei, już po jej śmierci, pisał: „Pozostała dla mnie właściwie osobą tajemniczą: żeby mieć takie zasoby energii i oddania! Gdyby to było zakochanie, gdyby to można było wytłumaczyć uczuciem miłości... Myślę jednak, że to było zafascynowanie ideą”. To właśnie m.in. jej zafascynowanie ideą pozwoliło „Kulturze” przetrwać tak długo w trudnych, czasem skrajnie trudnych, warunkach emigracyjnej izolacji. Nie tylko zresztą izolacji od kraju i rodaków, bo również we Francji redakcja kierowana przez Jerzego Giedroycia miała prawo czuć się wyabstrahowana. Życie intelektualne V Republiki jeszcze długo po zakończeniu drugiej wojny światowej wyznaczała komunizująca lewica zapatrzona w Związek Radziecki. Instytut Literacki i wydawana przezeń „Kultura” musiały się w tym kontekście rzeczywiście wydawać zespołem „zagubionych romantyków”, skupionych w inkluzywnej wspólnocie czy – jak lubił mówić Miłosz – falansterze. Bo w rzeczy samej, ogromne dzieło wydawania emigracyjnego miesięcznika, pozostającego w stałym kontakcie z najważniejszymi skupiskami naszej emigracji na świecie, co więcej, próbujące utrzymywać kontakt z krajem, i to w cztery,

pięć osób, nie mogło się odbyć bez wyrzeczeń. W tym wypadku było to wyrzeczenie się życia prywatnego, a także prywatnego czasu. Konieczność zamieszkania w jednym domu, prowadzenia jednej kuchni, przyjmowania wspólnych gości, a czasem wręcz tułaczy. Przez dwa domy kultury – pierwszy na rue de Corneille w Paryżu i drugi, znacznie słynniejszy, w Maisons Laffitte – przewinęli się w trudnych latach swojego życia m.in. Czesław Miłosz, Marek Hłasko i Roman Polański, bywali tam Gombrowicz, Tyrmand, Bobkowski i wielu innych.

Zofia Hertz była „panią na Lafficie”, niekwestionowaną gospodynią zawiadującą domem i patronką całego środowiska. Ale jej wpływ był, jak się zdaje, jeszcze bardziej subtelny: „najistotniejsza jest jej rola nieuchwytna. [...] Zosia Hertz decyduje o przyjęciu do loży, względnie jeszcze częściej o wydaleniu z grona *fideles*. To ona jest strażnikiem i westalką „Kultury”. A także ona decyduje o ludzkich stosunkach w laffitte'owskim gnieździe. Bez niej nigdy by się ten Zespół czy grono nie utrzymały” – pisał Zbyszewski. Ów wpływ był oczywiście mierzony również intelektualną zażyłością Hertzowej z Jerzym Giedroyciem. Jak się wydaje, to właśnie ona była najbliższym współpracownikiem „księcia niezłomnego” i tylko z nią redaktor dzielił się swoimi najtajniejszymi zamierzeniami. „Jej wpływ na politykę «Kultury» i na mnie był zawsze bardzo wielki. Ma ona bardzo dużo zdrowego rozsądku i wielokrotnie umiała mnie powstrzymać przed rozszerzaniem frontu, angażowaniem się w nowe i ryzykowne przedsięwzięcia; jej interwencje nie zawsze były skuteczne, ale kilka razy uchroniły «Kulturę» od poważnych głupstw. [...] Jest widomą ilustracją mojej teorii, wedle której w Polsce najważniejsze są kobiety” – pisał z rzadką u siebie emocjonalną emfazą Giedroyc.

Te hołdy i wyrazy podziwu składane przez tuzy naszej emigracji są wydatnym świadectwem roli, jaką odegrała Hertzowa w życiu paryskiej „Kultury”, a w konsekwencji również w życiu polskiej kultury w XX wieku. Co jednak charakterystyczne, niewiele mówią o życiu samej ich bohaterki. Kim była? Jaka jest jej historia? Niełatwo było się dowiedzieć. Przez większość życia pozostawała skryta, zdystansowana i niechętna do zwierzeń. Dopiero na początku lat 90. pojawiły się pierwsze relacje przypominające jej losy przed „Kulturą”. Jak się okazało, losy bardzo burzliwe.

Kopciuszek z Łodzi

Rzeczywiście, dopiero pod koniec życia udało się namówić Hertzową na szczerą opowieść o jej własnej młodości. „Kto Panią wychowywał?” – pytała Elżbieta Sawicka na łamach „Rzeczpospolitej”. „Nikt – odpowiedziała wtedy. – Sama się wychowywałam. Nie lubię o tym mówić, bo jak się nie ma prawdziwego dzieciństwa, domu rodziców, to nie jest przyjemnie”. Trudno się więc dziwić, że miasto, w którym spędziła swoją „trudną młodość”, nie wiązało się dla niej z do końca dobrym wspomnieniami. Joannie Podolskiej, której po długich namowach udało się w 2002 roku przekonać bohaterkę do opowiedzenia o Łodzi, zaznaczyła już na wstępie rozmowy, że nigdy tego miasta nie lubiła. Nie zmienia to jednak faktu, iż historia Zofii Hertz jest z miastem nad Łódką,



w którym spędziła prawie dwadzieścia lat, głęboko związana i że to w tym mieście osiągnęła, jakby nie było – nawet pomimo rozlicznych problemów – imponujący sukces. I być może też to właśnie trudne łódzkie lata są kluczem do zrozumienia fenomenu niezłomnej „strażniczki i westalki” paryskiej „Kultury”.

Zofia Hertz urodziła się w Warszawie 27 lutego 1910 roku (w czasie wojny w dokumentach wojskowych nastąpiła zmiana na rok 1911 – której Hertzowa nigdy nie sprostowała), w zasymilowanej żydowskiej rodzinie. Małżeństwo jej rodziców, Ludwika Neudinga i Heleny (z domu Orzechowskiej), było od początku pewnym mezaliansem. Rodzina Heleny nigdy nie zaakceptowała związku ze starszym mężczyzną, który przy okazji uchodził za mało odpowiedzialnego lekkoducha, niezdolnego do wzięcia odpowiedzialności za los rodziny. Po krótkim pobycie w Wilnie i śmierci pierwszego dziecka, Kazika, Neudingowie wrócili do Warszawy. Tam urodziła się Zofia, ale małżeństwo jej rodziców było już wtedy faktycznie skończone... Ludwik Neuding

wyjechał do Piotrkowa, zostawiając żonę z córką i oczywiście masą problemów bytowych. Poobrażane na siebie familie małżonków nie były też skore do pomocy... Helena Neuding przygnieciona trudnościami i osamotnieniem zmarła, kiedy Zofia miała osiem lat. Niewiele jest równie traumatycznych doświadczeń dla człowieka jak osamotnienie i opuszczenie w wieku kilku zaledwie lat. Przez dłuższy czas młoda Neudinżanka ciężko chorowała, opuszczając nawet rok nauki w szkole. Potem zaczęła się trwająca latami poniewierka po domach ciotek, wymieniających się dość lekkomyślnie obowiązkiem opieki nad krewniaczką, i stancjach. W 1921 roku mała Zofia zamieszkała w Łodzi w domu bezdzietnej siostry swojego ojca. Ludwik Neuding powtórnie się ożenił, przy okazji zmieniając wyznanie na katolickie. Córka przez dłuższy czas nie mogła zrozumieć, dlaczego nie chce wziąć jej do siebie – przypadkiem odkryła w domu swojej stryjecznej ciotki fotografię taty, zdając sobie sprawę, że kobieta, która widnieje na zdjęciu obok ojca, to jego nowa żona, a jej macocha. Również w szkole nie oszczędzono Neudinżance upokorzeń. Uczyła się, zresztą z dobrymi wynikami, w Gimnazjum Żeńskim Romany Sobolewskiej przy ul. Gdańskiej. Szczególnie wyraźnie zapamiętała lekcje historii ze Stanisławem Więckowskim, znanym działaczem społecznym, legionistą i lekarzem, którego imieniem łodzianie nazwali jedną z ulic w centrum miasta. Problemem było tylko czesne. Z tego powodu była notorycznie wzywana do dyrekcji szkoły i musiała znosić przykre docinki niechętnych rówieśników. Obietnice i telegramy ojca, które powtarzała kierującą placówką, zazwyczaj okazywały się płonne, a pieniądze nie dochodziły na czas albo w ogóle.

Przy wszystkich tych obiektywnych problemach Zofii Hertz towarzyszyło jednak paradoksalnie dziwne i często ratujące z opresji szczęście. Być może nie tyle nawet było to szczęście, co talent do nawiązywania szczerych, przyjacielskich relacji z ludźmi, a szczególnie z przedstawicielami płci męskiej. Tę cechę bardzo cenił w niej ponurak i samotnik Giedroyc. Jeden z czterech – obok ojca, jej pierwszego pracodawcy i męża – mężczyzn, którzy odcisnęli na Zofii kluczowe piętno. Sympatia rówieśników w szkole, a także teźże szkoły dyrektora, który dowiedział się o trudnej sytuacji rodzinnej Neudinżanki, sprawiły, że problemy udało się z czasem zażegnać. Dyrektor przekonał właścicielkę pensji do pewnej wyrozumiałości, a samą podopieczną polecał jako zdolną korepetytorkę, potrafiącą za odpowiednim wynagrodzeniem skutecznie pomóc w nauce mniej zdolnym koleżankom.

Okres krótko przed maturą był dla niej w Łodzi najtrudniejszy. Potrzebowała pieniędzy na związane z egzaminem formalności – jej krewna próbowała interweniować z prośbą o pomoc u rodziny ze strony matki, kuzynki, jednak wysłały swoją krewniaczkę do pracy w maglu, gdzie według niech było miejsce dla dziewcząt niemających środków na naukę. Sto złotych, które, opamiętawszy się, przekazały jej kilka dni później, Zofia zwróciła, ponosząc dodatkowy wydatek na transfer pieniędzy. Upokorzona przez rodzinę matki Zofia pojechała do Piotrkowa, spędziła tydzień w domu ojca i jego żony, całkiem przypadkiem dowiadując się od sąsiadki, że ojciec utrzymuje,



iż jest jej wujem, łaskawie łożącym na naukę bratanicy. Tego było już zbyt wiele, zrobiła awanturę, wykrzyczała swoje żale i pretensje. Ojciec nie był w stanie odpowiedzieć na nie sensownie, bo jak twierdził, tak „życiowo wyszło”. Okazało się jednak, że zyskała przyjaciółkę i stronnika w swojej macosze, która starała się jak mogła pomóc młodej dziewczynie. Po wojnie, którą szczęśliwie Ludwik Neuding ze swoją żoną przetrwali, Zofia nie zapomniała o rodzinie. Korespondowała z ojcem i macochą z Francji, wysyłała im pieniądze i łatwo zbywalne towary. Pytała o los krewnych, spośród których większość zginęła w łódzkim getcie.

Po maturze Zofia Neuding wróciła do Warszawy, gdzie rozpoczęła studia prawnicze. Prawo było wtedy w odradzającej się II Rzeczypospolitej synonimem humanistycznego i propaństwowego wykształcenia. Miłosz, też niegdyś student prawa, twierdził nawet, iż szli na nie zazwyczaj ci młodzi ludzie, którzy jeszcze nie wiedzieli, co chcą z sobą w życiu robić. Zupełnie podobnie jak kilka dekad temu w Ameryce, a w ostatnich latach w Polsce chodziło się nieco beztrosko na socjologię albo antropo-

logię. Trudno się więc dziwić, że cała plejada literatów wychowanych w II RP miała w rubryce wykształcenie wpisane prawo (Gombrowicz, Miłosz etc...). Dziś oczywiście prawnicy literatami zostają znacznie rzadziej, równie rzadko zresztą notariuszki pracują w literackich miesięcznikach.

Razem z przeprowadzką nie skończyły się oczywiście kłopoty finansowe Zofii. Była już dość zdesperowana trudnościami, a nade wszystko koniecznością zarabiania na życie udzielaniem korepetycji, czego szczerze nie cierpiała. Znow jednak przypadkiem jej problemy się rozwiązały. W wakacje wróciła do Łodzi, w której spotkała zycziwego jej dyrektora Gimnazjum Sobolewskiej. Nauczyciel obiecał przedstawić ją swojemu znajomemu notariuszowi, jak się wtedy mówiło: rejentowi – Karnawalskiemu. Wróciła więc do Łodzi, dojeżdżając do stolicy jedynie na egzaminy.

Pierwsza notariuszka

Rejent Karnawalski był z całą pewnością człowiekiem, który odmienił wtedy życie Neudinżanki. W przeciągu krótkiego czasu z dziewczyny umęczonej rodzinnymi trudnościami, nudną pracą korepetytorki i niepewnością jutra stała się prawdziwą emancypantką. Kobieta samodzielną, świetnie zarabiającą i odnoszącą ewidentne sukcesy. Zaimponowała mu od razu. Podczas pierwszego spotkania zażartowała, że rodzice powinni panu rejentowi dać na imię Sylwester, co pasowałoby ewidentnie do nazwiska. Był zachwycony jej odwagą i poczuciem humoru. W Warszawie Zofia nauczyła się pisać na maszynie, była ponadto pilna, pracowita i bardzo inteligentna. Błyskawicznie zaczęła przeganiać kompetencjami swoich kolegów w kancelarii przy Placu Wolności 2. U rejenta Karnawalskiego zarabiała się wtedy w systemie premii zwanym „grosz od weksła”. Na pierwszy rzut oka sądziła, że to mało – przeciętny urzędnik zarabiał wtedy jakieś sto czterdzieści złotych. Tyle że weksli była cała masa. Neudinżanka zarabiała więc nawet dziesięć pensji urzędniczych w miesiącu.

W 1933 roku Zofia Neuding została pierwszą w Polsce kobietą notariuszem. Wcześniej dostęp do tego zawodu mieli tylko mężczyźni. Oczywiście jej kandydatura nie została przyjęta od razu. Dopiero po interwencji Karnawalskiego u ministra pozwolono Zofii przystąpić do egzaminów. Podobno portier w gmachu sądu przy placu Dąbrowskiego, gdzie egzamin się odbywał, nie chciał jej wpuścić na salę, nie mogąc uwierzyć, że „panienka też na egzamin”. 23-latka zdała najlepiej, prześcignęła wszystkich poważnych, „wąsatych” – jak żartowała – panów aplikantów. Były zdjęcia w łódzkiej prasie i prestiż. Po dwudziestu trudnych latach poniewierki i opuszczenia, miała wreszcie własny kąt w wynajętym mieszkaniu na Żeromskiego. Świetne zarobki pozwalały jej spokojnie myśleć o przyszłość. Jej pracodawca chwalił się nią na każdym kroku, a nawet dążył do ożenienia jej ze swoim własnym synem. Miała przyjaciół, miała adoratorów, jak każda młoda – szczególnie cieszącą się sporą niezależnością – kobieta lubiła się bawić. Kopciuszek, brzydkie kaczątko? Bajkowe porównania niezbyt pasowały do tej rzeczowej i myślącej trzeźwo kobiety. Z całą pewnością jednak osiągnęła sukces.

Był to też czas, w którym kształtowała się jej tożsamość. Zofia Neuding pochodziła ze zasymilowanej kupieckiej żydowskiej rodziny. Być może ze względu na wspomniane trudne przeżycia rodzinne nie zachowały się żadne relacje, wedle których pielęgnowałaby ona swoją religijną czy etniczną tożsamość. Namiastkę ciepła domowego dawała jej wtedy rodzina jej najbliższej przyjaciółki Aliny Łozińskiej. Łozińscy mieli czworo dzieci, ojciec był polonistą – wszyscy byli patriotami i katolikami. To właśnie matka Aliny została matką chrzestną Zofii Neuding. Uroczystość chrzcielna odbyła się w parafii św. Józefa w Łodzi. Zofia wrosła w polskość i w polską kulturę.



Zygmunt Hertz

Początkowo Neudinżanka nie chciała wychodzić za mąż. Cieszyła się niezależnością i powodzeniem wśród mężczyzn, ale małżeństwo jej nie interesowało. A przynajmniej tak twierdziła. Ją i Zygmunta Hertza zbliżyło podobne pochodzenie (oboje byli potomkami zasymilowanych rodzin żydowskich), a może przede wszystkim „trudna” młodość. Zygmunt, również urodzony w Warszawie, ciężko przeszedł opuszczenie przez matkę. Jego ojciec był znanym w Łodzi kupcem i społecznikiem, prezesem tutejszej Izby Handlowej, historykiem oraz m.in. współzałożycielem Towarzystwa Przyjaciół Miasta Łodzi. Prowadził w mieście przy ul. Zachodniej przedstawicielstwo Solvaya, belgijskiego potentata chemicznego. Żona zostawiła go, kiedy Zygmunt i jego siostra Aniela byli jeszcze dziećmi. Podobno senior Mieczysław Hertz nigdy się z tym nie pogodził.

Neudinżanka poznała Zygmunta Hertza na balu sylwestrowym w 1937 roku. Był oczywiście świetną partią, jego rodzina była w Łodzi znana i szanowana. Studiował ekonomię w Londynie i Manchesterze (co zresztą bardzo przydało się później w „Kulturze”), jeździł po mieście Chryslerem. Ale przy Zofii czuł się początkowo zakłopotany – na tyle, że podczas pierwszego tańca, jak wspominała, nadepnął na jej suknię, która się od razu porwała. Na szczęście koleżanki miały na podorędziu igłę i nici, dzięki którym Zofia mogła szybko wrócić do zabawy. Tańczyć z Zygmuntem już jednak tej nocy nie chciała. Poszli za to na spacer i odwiedzili jeszcze dwa inne bale. Nie był to może początkowo związek wynikający z wielkiej namiętności, a raczej przyjaźń. Para spędzała ze sobą mnóstwo czasu, teatr, kino, kolacje w Tivoli i wypadki za miasto wspomnianym Chryslerem. Na oświadczyzny zgodziła się, jak twierdziła, „na złość”. Senior Mieczysław Hertz wpajał swoim dzieciom odrazę do instytucji małżeństwa, która jemu samemu przysporzyła tyle przykrości. I to właśnie na złość jemu i też po części na złość swojej trudnej historii rodzinnej postanowiła na propozycję Zygmunta przystać. Jak przyznawała – nigdy nie żałowała. Ślub odbył się w kościele św. Krzyża i był skromną uroczystością. Dopiero na dzień przed poznała swojego teścia. W kościele towarzyszyli im jedynie rejent Karnawalski ze swoją siostrzenicą i przyjacielem Zygmunta, Niemiec Ryszard Pfeiffer. Zamiast białej sukni z welonem panna młoda wystąpiła w granatowej garsonce. Widocznie wychowując się w rodzinach tak naznaczonych przez konflikty i małżeńskie traumy, uroczystość tę młodzi chcieli przeżyć sami, z dala od wspomnień. Po ślubie wyjechali na dwanaście dni do Warszawy, gdzie bawili się z przyjaciółmi. Miesiąc poślubny odłożyli na wakacje. Mieli pojechać do Francji i północnej Afryki. Mieczysław Hertz poprosił, żeby odłożyli jeszcze swoje plany na jesień. Mieli już nawet bilety do Nowego Jorku na 24 września. Zamierzali obejrzeć tam wystawę światową. 24 sierpnia Zygmunt, bawiący wtedy z żoną w Jastarni, dostał wezwanie do wojska. Do Łodzi miał już nigdy nie wrócić. Po wybuchu wojny Zofia zamieszkała w domu swojego teścia. 9 listopada Niemcy wezwali znaczniejszych obywateli Łodzi żydowskiego pochodzenia do Rady Miejskiej. Większość z nich, w tym



Mieczysław Hertz, została uwięziona w Radogoszczu. Razem ze swoją szwagierką Anielą próbowały uzyskać dla niego przepustkę. Nie udało się. Mieczysław Hertz został przewieziony do Krakowa i dopiero tam go uwolniono. Razem z córką zamieszkał w Warszawie. Wojny nie przeżył. Na początku roku 1940 Zofia zaś przedostała się do Stanisławowa, gdzie wedle ostatnich wiadomości czekał na nią mąż. Również ona do Łodzi już nigdy nie wróciła.

Rozpoczęła się wojenna tułaczka. Najpierw Lwów, z którego małżeństwo zostało zesłane do Maryjskiej Republiki Autonomicznej, w której spędziło najdłuższe szesnaście miesięcy swojego życia, pracując katorżniczo przy wyrębie lasów. Po podpisaniu układu Sikorski – Majski w 1941 roku cudem udało im się dotrzeć do Buzułuku, gdzie formowała się armia gen. Andersa. Przeszli cały szlak bojowy II Korpusu, aż do Włoch. I to właśnie w Italii zaczęła się ich przyгода z Instytutem Literackim.

Małżeństwo Hertzów było dość nietypowym związkiem. Rzadko zdarza się, że to właśnie mężczyzna poświęca swoje ambicje zawodowe dla żony. Czesław Miłosz, który z Zygmuntem Hertzem przyjaźnił się blisko aż do jego śmierci, wspominał, iż życie w laffickim falansterze ciążyło Zygmunutowi. Chciał mieć dzieci, odrobinę prywatności – nie był do tego stopnia człowiekiem idei i poświęcenia sprawie co jego żona. Nazywał ją zresztą czasem ironicznie „fideistką”. Po wojnie miał propozycje objęcia posady w centrali Solvaya w Belgii – miał kontakty, brytyjskie studia i międzynarodowy sznyt. Wiedział jednak, że Zofia z „Kultury” nie zrezygnuje. Poświęcił się

więc dla niej, przyjmując rolę „ministra zaopatrzenia” i opiekuna polskich imigrantów w Instytucie Literackim. Codziennie udawał się z wózkiem pełnym paczek z zapremerowanymi numerami miesięcznika na pocztę. Znany był z umiejętności załatwiania spraw rodaków, pomagał w kontaktach z administracją francuską, pośredniczył w zdobywaniu stypendiów dla polskich artystów. Na krótko przed śmiercią, będąc już ciężko chory, pisał do Miłosza: „Sprawy ojczyzny non existing. Na razie spokój. Mało co się dzieje. Z perspektywy operacji jakoś wszystko przeszło na miarę karzełków. Psychicznie czuję się doskonale. Przeżyłem 71 lat, do 1939 w luksusach jak na Polskę – zdąży-



pierwsze kolumny



łem do 1939 roku życia mieć trzy samochody, potem ta drole de guerre, co mam pisać – znasz te sprawy”. I choć był pogodzony z losem, jak dodaje Miłosz: „Nie wszystko stało się nieważne; sprawą najbardziej istotną była myśl o żonie”. Zmarł 5 października 1979 roku.

Prawa ręka Jerzego Giedroycia

Przyjaźń Zofii Hertz i Jerzego Giedroycia jest z całą pewnością jedną z najciekawszych intelektualnych więzi między kobietą a mężczyzną w polskiej kulturze. Zygmunt, człowiek relacji, filantrophos, człowiek-dusza, dał jej małżeńskie szczęście i oddanie, ale to dzięki Giedroyciowi stała się znana. To pracując z nim, zyskała statut ikony – strażniczki i westalki kulturowego dziedzictwa. Intelektualny wpływ Giedroycia był rzeczywiście niezwykły. Choć początki były, jak się okazuje, trudne. Poznali się, gdy Zofia Hertz pracowała w Wydziale Kultury i Prasy II Korpusu kierowanym przez Józefa Czapskiego, stacjonującym na przełomie 1942 i 1943 roku na pustyni Quisil Ribat w Egipcie. Czapski zapowiedział jej, że niedługo do ich zespołu dołączy nowy kierownik. Chciała poznać człowieka, o którym plotkowano już wtedy w damskim gronie, że jest „przyzwoity, tylko straszny ponurak”. Wtargnęła do namiotu kierownictwa i zażądała widzenia z majorem Czapskim. Siedzący tam Giedroyc rzeczywiście dość ponuro odparł na to, że Czapskiego nie ma. Ale kiedy Zofia Hertz stwierdziła, że sprawa jest pilna i zaczęła w środku, jak potem przyznawał, wściekł się i po cichu przeklinał jej impertynencję. Z czasem jednak zaczęli się świetnie rozumieć. To właśnie ze struktur wojskowych

II Korpusu gen. Andersa wyłonił się Instytut Literacki. Początkowo zarejestrowany we Włoszech jak Casa Editrice Lettere miał prowadzić szeroką działalność wydawniczą na emigracji. Krótko po zakończeniu drugiej wojny przedsięwzięcie Giedroycia zaczęło nabierać kształtów, a jednocześnie coraz bardziej dystansować się do armii i środowiska gen. Andersa. Giedroyc sądził słusznie, że emigracja może potrwać bardzo długo, Europa Zachodnia była zmęczona wojną i nieskora do konfliktu w Sowietami. Kierownictwo armii zaś utrzymywało mrzonki, wedle których w krótkim czasie wybuchnie trzecia wojna światowa, dająca możliwość walki u boku aliantów o wyzwolenie kraju spod faktycznej radzieckiej okupacji. Był to zasadniczy spór pomiędzy koncepcją walki ideologicznej, walki słowem a ideą podtrzymywania militarnego pogotowia. Praktycznie zaś wynikiem takiego sporu było to, iż armia wolała przeznaczać środki na kwestie militarne raczej niż na utrzymywanie wydawnictwa. To właśnie w okresie tych często dramatycznych starań o utrzymanie wydawnictwa i zapewnienie mu stabilizacji w emigracyjnych warunkach, wymagające załatwienia masy formalności w strukturach armii, a także podróży między Rzymem, Paryżem i Londynem, pochodzą świadectwa zażyłości Giedroycia i Zofii Hertz. „Drogi Jurku, właściwie to jesteś SW, że przez tydzień – otrzymując co dzień ode mnie miłosne, a wyczerpujące listy, zdobyłeś się jedynie na kilka słów i trzymasz nas tu w zupełnej niepewności. W końcu zdenerwuję się i rzucę to wszystko w diabły i wyjadę, nie podając Ci adresu, gdyż nie wiem, dokąd pisać (miałeś być tydzień w Paryżu, więc już pewnie wyjechałeś!). Tutaj rozpacz zupełna z powodu braku pieniędzy” – pisała w liście z sierpnia 1947 roku. „Podałś adres Twojej żony celem wysłania książek, tylko nie napisałś miasta. Zdaje mi się, że Bejrut, ale nie jestem pewna, że nie Hajfa, więc napisz dokładnie. Zygmunt będzie mówić w twojej sprawie w Intendenturze i zaraz Cię powiadomię. [...] Martwię się bardzo, że jesteś schandryczony. Trzymaj się! [...] Jak się czujesz? Czy przeszły komplikacje żołądkowe? Napisz i jeszcze raz przepraszam za wymyślania, czyli SORRY. Ściskam” – dodawała kilka dni później. Widać w tej korespondencji niezwykle determinację Hertzowej, by stanąć po stronie Giedroycia i w powojennej beznadziei emigracji odnaleźć dla siebie miejsce. Była z całą pewnością kobietą bardzo inteligentną i ambitną – nie mogła i nie chciała godzić się na robienie rzeczy podrzędnych. Idea Giedroycia wydawać się musiała wtedy szansą na zrobienie czegoś ważnego. I dlatego ta „fideistka” przystąpiła do jego dzieła z charakterystyczną dla siebie determinacją. Zapewne bez tej cechy, bez jej oddania i talentu „Kultura” nigdy by nie zaistniała na tak długi czas. Nie mielibyśmy *Dzienników Gombrowicza*, *Zniewolonego umysłu Miłosza*, *Szkiców piórkiem Bobkowskiego* i wielu jeszcze innych dzieł, które to właśnie dzięki „Kulturze” zaistniały i zyskały oddźwięk w szczególnym czasie.

Zmarła 20 czerwca 2003 roku, zdążywszy jeszcze wydać ostatni i jedyne po śmierci Giedroycia numer „Kultury”. Razem z nią skończyło się wielkie dzieło – ale bynajmniej nie wpływy tego dzieła na naszą kulturę. W pięć lat po jej odejściu Łódź uczciła małżeństwo Zofii i Zygmunta Hertzów, nadając skwerowi nie-

opodal Biblioteki UŁ ich imię. Szkoda, że Zofia nie miała okazji wrócić po 1989 roku do Łodzi. Wielka szkoda, że łodzianie nie mogli osobiście przekazać jej wyrazów szacunku i uznania. Takich, jakie odebrali choćby Jan Karski czy Karl Dedecius. Z całą pewnością jej zasługi można bowiem porównać do zasług legendarnego kuriera czy nieustrudzonego popularyzatora polskiej kultury. Zbliża się dziesiąta rocznica śmierci Zofii Hertz i wydaje się, że jest to doskonała okazja, by przypomnieć łodzianom tę niezwykłą postać.

Marcin Kieruzel

Korzystałem z:

1. Iza Chruślińska, *Była raz „Kultura”... Rozmowy z Zofią Hertz*, wstęp: Czesław Miłosz, Towarzystwo Opieki nad Archiwum Instytutu Literackiego w Paryżu, Wydawnictwo UMCS, Lublin 2003 (wyd. 2 uzupełnione).
2. Zygmunt Hertz, *Listy do Czesława Miłosza 1952-1979*, wybór i opracowanie Renata Górczyńska, Instytut Literacki, Paryż 1992.
3. Jerzy Giedroyc, *Autobiografia na cztery ręce*, opracowanie i posłowie: Krzysztof Pomian, Towarzystwo Opieki nad Archiwum Instytutu Literackiego, Warszawa 2006 (wyd. 4).
4. Anna Olszewska, *Dokumenty Zofii Hertz (1910/1911-2003)*, „Zeszyty Historyczne” 2006, zeszyt 156.
5. Joanna Podolska, *Jeden grosz od weksła*, „Gazeta Wyborcza. Łódź/Fabryka”, 24 V 2002.
6. Elżbieta Sawicka, *Przedwojenna historia. Rozmowa z Zofią Hertz*, „Rzeczpospolita. Plus-Minus”, 24 II 2001.
7. Barbara Toruńczyk, *Rozmowy w Maisons-Laffitte 1981*, Fundacja Zeszytów Literackich, Warszawa 2006.

fot. dzięki uprzejmości Stowarzyszenia Instytut Literacki – Kultura

Maria Kwaśniewska

Chluba sportowej Łodzi



Maria Jadwiga Kwaśniewska-Trytko-Koźmińska-Maleszewska. Łodzianka. Legendarna lekkoatletka, medalistka olimpijska w rzucie oszczepem, działaczka ruchu olimpijskiego. Wielokrotna mistrzyni Polski w różnych konkurencjach lekkoatletycznych. Miss olimpiady w Berlinie w 1936 roku. Przez większość kariery sportowej związana z ŁKS Łódź, w barwach tego klubu osiągnęła największe sukcesy.

Urodziła się 15 sierpnia 1913 roku w Łodzi, w rodzinie inteligenckiej, zmarła 94 lata później, 17 października 2007 roku w Warszawie. Pochowano ją na Powązkach, a w skromnym pogrzebie, zgodnie z jej wolą, uczestniczyło tylko sześć osób: najbliższa rodzina oraz dawna sprinterka Ewa Kłobukowska, którą traktowała jak córkę.

Sport zaczęła uprawiać w wieku czternastu lat dzięki świetnemu nauczycielowi gimnastyki. Był nim Ludwik Szumlewski, bardziej znany jako dziennikarz radiowy, dwukrotnie (1931-1932 i 1936-1939) będący prezesem Łódzkiego Okręgowego Związku Lekkiej Atletyki. W latach 1921-1934 pracował jako nauczyciel wychowania fizycznego w prywatnym gimnazjum Romany Sobolewskiej-Konopczyńskiej, które Maria Kwaśniewska ukończyła w 1933 roku. Szumlewski znany był z tego, że potrafił „wyławiać” talenty spośród swoich uczennic. Dariusz Postolski w artykule zamieszczonym w jubileuszowym albumie *100 lat ŁKS. Dzieje klubu 1908-2008* przywołuje wspomnienie Marii Kwaśniewskiej o swoim nauczycielu gimnazjalnym: „Zaszczepił we mnie dbałość o ruch i jego piękno – grał na fortepianie, a my w takt muzyki wchodziliśmy na salę, rozpoczynając gimnastykę. [...] Pewnego razu podczas mistrzostw szkoły klas starszych stałam z boku, w szkolnym fartuszk, a dziewczynki starsze ode mnie o 3-4 lata męczyły się bardzo, by skoczyć w dal choćby trzy metry.

pierwsze kolumny



Ja, tak jak stałam, w pantofelkach i mundurku skoczyłam... 4 metry i 20 centymetrów, czym od razu zwróciłam uwagę Ludwika Szumlewskiego”.

Czternastoletnia Marysia Kwaśniewska najpierw trafiła do Harcerskiego Klubu Sportowego, ale starszy brat, Eugeniusz Kwaśniewski, wyróżniający się lekkoatleta (skoczek wzwyż), namówił ją, by przeszła do ŁKS, w którym i on trenował. Zrobiła to jeszcze w tym samym 1927 roku i była wierna ŁKS-owi aż do roku 1939, kiedy wyjechała do Warszawy i związała się z AZS.

W sumie trzynastą razę zdobyła mistrzostwo Polski, w różnych dyscyplinach. Po raz pierwszy w skoku w dal (1930), potem trzykrotnie w pięcioboju, cztery razy w trójboju, pięć razy w swojej koronnej dyscyplinie – rzucie oszczepem. Miała także wicemistrzostwo kraju w skoku w dal z miejsca oraz w kuli, a także w oszczepie i pięcioboju. Dziesięć razy ustanawiała rekord Polski (w oszczepie, trójboju, pięcioboju), w mistrzostwach Polski w 1935 roku zdobyła brązowy medal w pchnięciu kulą, a w rozegranych w tym samym roku halowych mistrzostwach Polski medal srebrny, również w pchnięciu kulą. „Była także pierwszą Polką, która pokonała granicę 40 metrów w rzucie oszczepem, łącznie dziesięciokrotnie poprawiając rekord kraju” – piszą we wspomnianym wyżej albumie Wojciech Filipiak, Mariusz Goss i Bogusław Kukuć. „Starty w tak różnorodnych dyscyplinach były w tamtych czasach powszechne, zarówno dla kobiet, jak i dla mężczyzn. Wtedy nie było tak ścisłych specjalizacji wśród lekkoatletów jak dziś” – mówi Sebastian Glica, kierownik Muzeum Sportu w Łodzi.

Maria Kwaśniewska zaliczała się też do czołowych zawodniczek w grach zespołowych: siatkówce, koszykówce i hazenie (bardzo popularna w latach

30. XX wieku odmiana piłki ręcznej), bo lekkoatletki chętnie w ten sposób szlifowały formę. Nie dziwi więc, że w 1930 roku w meczu koszykarek o mistrzostwo Łodzi spotkały się na boisku oszczepniczka Maria Kwaśniewska (ŁKS Łódź) i dyskobolka Jadwiga Wajsówna (Krusche-Ender Pabianice). Obie sześć lat później przywoziły medale z olimpiady w Berlinie. Maria Kwaśniewska w barwach ŁKS razem z drużyną zwyciężała w mistrzostwach Polski w hazenie w latach 1929, 1932 i 1933. Jednak największe sukcesy odnosiła w lekkoatletyce. To jej ŁKS zawdzięcza pierwszy medal olimpijski w dziejach klubu, zdobyty w rzucie oszczepem (Berlin 1936 rok). Nic dziwnego, że w plebiscycie „Przeglądu Sportowego” w 1936 roku Maria Kwaśniewska znalazła się w pierwszej dziesiątce (zajęła dziewiąte miejsce).

Medal olimpijski

W internetowym archiwum Polskiego Radia jest niemal 15-minutowe nagranie jednego z odcinków *Księgi olimpijskich wspomnień*. Wypowiadająca się w audycji Maria Kwaśniewska-Maleszewska tak wspomina swój start w Berlinie w 1936 roku: „Patrząc na tablicę po pierwszych dwóch kolejkach rzutów, nie chciało mi się wierzyć, że ja tam jestem na pierwszym miejscu. Nikt na mnie nie stawiał, medalowe miejsce było dla mnie zgoła utopią. Jadąc na olimpiadę, liczyłam, że mogę co najwyżej być w szerokim finale”. W następnych kolejkach inne zawodniczki poprawiały swoje wyniki, ona poprawić nie zdołała, ale i tak wywalczyła brązowy medal wynikiem 41,80 m. Warto przypomnieć, że przez piętnaście lat do niej należał rekord kraju w tej konkurencji wynoszą-

pierwsze kolumny





cy 44,30 m. Dziś kobiety rzucają oszczepem ponad 65 m, ale przecież od olimpiady w Berlinie minęło niemal osiemdziesiąt lat. W sporcie to epoka.

Wartość swojego zwycięstwa – bo mimo trzeciego miejsca, było to zwycięstwo – Kwaśniewska doceniła dopiero po dotarciu do wioski olimpijskiej, gdy zobaczyła radość kolegów i przyjmowała od nich gratulacje. Gratulacje złożył jej także Adolf Hitler, który zaprosił do swojej łoży wszystkie finalistki w rzucie oszczepem: Niemki – Tilly Fleischer (złoto) i Luise Krüger (srebro) oraz Marię Kwaśniewską (brąz). Po latach nie lubiła o tym rozmawiać, choć każdy dziennikarz pytał o Hitlera. „Wolała wspominać Berlin z czasu olimpiady, opowiadała o przygnębiającym wrażeniu, jakie miasto na niej zrobiło. Potęga budującej się Rzeszy przytłaczała – relacjonuje Ewa Sobczyk z Muzeum Sportu. – A to, co wkładano jej w usta i co żyło w mediach swoim życiem, myślę o rzekomej rozmowie z Hitlerem na temat jego niskiego wzrostu, nie było prawdą”.

W ilustrowanym tygodniku sportowym „Raz, dwa, trzy” z 4 sierpnia 1936 roku zamieszczono wypowiedź Marii Kwaśniewskiej zatytułowaną *Co mówi Kwaśniewska o swoim sukcesie*. W niewielkiej notce czytamy: „Nie stać mnie było na

powtórzenie rezultatu, jaki miałam w kraju przed tygodniem na zawodach w Czeladzi (44.19). W każdym razie nie zawiodłam i to mnie cieszy. Niemki są ode mnie w tej chwili lepsze, mają większą rutynę, bo częściej startują. Niemniej jednak medal olimpijski, choć brązowy [pisownia zgodna z ówczesnymi zasadami ortografii – przyp. MS], przecież sprawił mi dziś naprawdę piękny dzień, którego nigdy nie zapomnę”. Tydzień później to samo czasopismo opublikowało zdjęcie Adolfa Hitlera z trzema triumfatorkami tej dyscypliny sportu.

Swoją medal Maria Kwaśniewska zdobyła w pierwszym dniu olimpiady. Jej start zarejestrowała Leni Riefenstahl w głośnym filmie *Olimpiada*, pokazując naszą zawodniczkę z numerem 552 na piersiach. Gdy patrzymy na zdjęcia tej ładnej, pełnej uroku kobiety, nie dziwi przyznanie jej tytułu Miss Olimpiady. Swoimi wymiarami – 165 cm wzrostu, 65 kg wagi – sprostałaby także dzisiejszym kryteriom piękna. „Ale ona rzadko o tym mówiła, właściwie zawsze żyła dniem dzisiejszym. Wspominając tamte chwile berlińskiego tryumfu, podkreślała z uśmiechem, że w Niemczech doceniono urodę Polki” – opowiada Ewa Sobczyk.

Na początku 1939 roku z przyczyn osobistych przeniosła się do Warszawy. W Łodzi pracowała już w Elektrowni Łódzkiej jako urzędniczka, w Warszawie podjęła pracę w tym samym charakterze. „Przez całe życie w rubryce «zawód» podawała «urzędniczka»” – mówi Ewa Sobczyk.

Hitler w kenkarcie

W wywiadzie udzielonym „Rzeczpospolitej” w maju 2000 roku Maria Kwaśniewska opowiada, że w chwili wybuchu wojny była we Włoszech, gdzie wysłał ją Polski Związek Lekkiej Atletyki jako faworytkę olimpiady, która miała się odbyć w Tokio w 1940 roku. Wróciła do kraju 2 września, choć wszyscy ją namawiali do pozostania za granicą. „Ponieważ w roku trzydziestym ósmym skończyłam kurs sanitarny, natychmiast mnie zmobilizowano do sanitarki [...]. Potrafiłam na ramieniu przenieść postrzelonego młodego żołnierzyka” – opowiada Markowi Józwickowi. Gdy kierowca zginął, ona przejęła jego obowiązki i prowadziła sanitarkę w bombardowanej Warszawie. Dostała za to Krzyż Walecznych.

Później pracowała w restauracji Pod Kogutem przy ul. Jasnej w Warszawie, zwanej „gospodą sportowców”. Była kelnerką, razem z Jadwigą Jędrzejowską, Januszem Kusocińskim i Ignacym Tłoczyńskim, świetnym tenisistą. Wszyscy konspirowali, brali czynny udział w ruchu oporu. Maria bardzo przeżyła aresztowanie „Kusego” w czerwcu 1940 roku i rozstrzelanie go przez Niemców w Palmirach. Miał zaledwie trzydzieści trzy lata...

Znana jest także inna działalność okupacyjna Marii Kwaśniewskiej. Jej mieszkanie w Podkowie Leśnej stało się przystanią dla bezdomnych i głodujących Polaków oraz Żydów, a także dla sporej grupy ludzi, których pani Maria wyprowadziła z obozu przejściowego dla ludności cywilnej w Pruszkowie. Od 6 sierpnia do połowy

grudnia 1944 roku Niemcy gromadzili tam mieszkańców stolicy wypędzonych z domów w trakcie i po zakończeniu Powstania Warszawskiego. Z cytowanego powyżej wywiadu dla „Rzeczpospolitej”: „Wyprowadzałam ludzi na zewnątrz do Pruszkowa, potem brałam do Podkowy do domu. W moim domu miałam obóz przejściowy. Przewinęło się wiele osób, znanych i nieznanych. Mieszkała u mnie Ewa Szelburg-Zarembina, Stasio Dygat. Mieszkał taki chłopiec z przestrzelonym płucem, który dziś ma siedemdziesiąt lat i nadal pisze do mnie kartki”. Opowiada pani Ewa: „Marii udało się stamtąd wyprowadzić około dwustu osób dzięki... zrobionemu w czasie olimpiady w Berlinie zdjęciu z Hitlerem. Celowo nosiła je w swojej kenkarcie. Strażnikom na bramie wyjaśniała, że zabiera z obozu swoich bliskich krewnych, którym zapewni mieszkanie i opiekę. W rozmowie ze mną na ten temat zastrzegała, że wyprowadzenie tych ludzi nie było tak trudne, jak się potem zdawało. Przecież obóz przejściowy nie był zbyt strzeżony, a poza tym trzeba sobie uświadomić, jaka była mentalność niemieckiego żołnierza, który salutował nawet przed zdjęciem swojego Führera”.

Maria Kwaśniewska trzykrotnie wychodziła za mąż. Jej pierwsze małżeństwo z Krzysztofem Trytko, waterpolistą i pływakiem, trwało bardzo krótko, zaledwie kilka miesięcy. Trytko zginął na początku wojny. Także drugie, z Julianem Koź-



mińskim, dyrektorem warszawskiej elektrowni, nie było długie – zmarł jeszcze w czasie okupacji. Po wojnie wyszła za mąż po raz trzeci, za Władysława Maleszewskiego zwanego „Wołodią”, koszykarza i wybitnego trenera, działacza Polskiego Związku Koszykówki, z którym była do jego śmierci (zmarł w 1983 roku). Chciał być prawnikiem, ale wyrzuciono go z uczelni po jednym semestrze. „Bo był synem prezydenta Wilna, którego NKWD zamordowała w 1939 roku” – mówiła pani Maria w tym samym wywiadzie.

Do końca życia używała nazwiska panieńskiego: Kwaśniewska lub podwójnego: Kwaśniewska-Maleszewska. Największe sukcesy odnosiła przecież jako „Kwaśniewska”, nic więc dziwnego, że nie chciała się z tym nazwiskiem rozstawać.

Dla swoich dwojga dzieci nie miała za dużo czasu. „Mimo to wyszły na ludzi, ale nigdy nie wyszły na boisko. Nie chciały mieć nic wspólnego ze sportem” – śmieje się Ewa Sobczyk. Syn Marek jest technikiem ogrodnictwa, córka Elżbieta mieszka w Wiedniu, jest menedżerem.

Nowe drzewa dla sportowców

Wybuch wojny przerwał świetnie rozwijającą się karierę zaledwie 26-letniej zawodniczki. Po zakończeniu wojny Maria Kwaśniewska-Maleszewska wznowiła starty. W 1946 roku zdobyła mistrzostwo Polski w rzucie oszczepem, wicemistrzostwo w skoku wzwyż i pchnięciu kulą, zwyciężyła w halowych mistrzostwach Polski w skoku w dal i w biegu na 60 m. Ostatni raz na arenie międzynarodowej wystąpiła w Mistrzostwach Europy w Lekkoatletyce w Oslo (1946). Zarówno w pchnięciu kulą, jak i w rzucie oszczepem zajęła tam szóste miejsce.

Niedługo później zrezygnowała z czynnego uprawiania sportu. Zajął się działalnością na rzecz polskiego i międzynarodowego ruchu olimpijskiego. Zaczęła pracować w Polskiej Federacji Lekkiej Atletyki, w komisji kobiecej Międzynarodowej Federacji Lekkoatletycznej (IAAF) oraz w Polskim Komitecie Olimpijskim, gdzie miała najdłuższy staż: była członkiem wszystkich zarządów od 1949 roku aż do śmierci. Ewa Sobczyk: „Imponowała przebojowością. Nie w swoich sprawach, ale gdy trzeba było upomnieć się o innych ludzi. Odwiedzała olimpijczyków, interesowała się ich losem. I gdy okazało się, że ktoś choruje, potrzebuje kul albo ma problem ze zdobyciem wózka inwalidzkiego, pani Maria tak długo chodziła wokół sprawy, aż ją załatwiła”. Zdaniem Ewy Sobczyk to dzięki pani Marii powstała założona przez Ryszarda Parulskiego fundacja na rzecz byłych sportowców – Gloria Victis, również ona forsowała konieczność wypłacania olimpijczykom specjalnych emerytur. „Oni kiedyś zdobywali dla Polski medale, teraz Polska powinna im pomóc” – uważała.

Jej działalność i zaangażowanie zostały zauważone, Maria Kwaśniewska-Maleszewska zaczęła być honorowana i nagradzana. W 1978 roku jako pierwsza Polka została wyróżniona Brązowym Orderem Medalu Olimpijskiego. Odebrała go w 1979 roku z rąk lorda Michaela Kilianina, prezydenta Międzynarodowego Komitetu Olimpijskiego, który specjalnie w tym celu przyjechał do Polski. Dwadzieścia lat później

MKOl przyznał jej Złoty Order Medalu Olimpijskiego „za szczególne osiągnięcia w krzewieniu idei olimpijskiej”. Odbierając go, miała osiemdziesiąt siedem lat. Ten pierwszy, brązowy, można obejrzeć w łódzkim Muzeum Sportu, jest eksponowany w gablocie poświęconej Marii Kwaśniewskiej-Maleszewskiej. Ofiarowała go muzeum razem z najcenniejszą pamiątką, medalem olimpijskim z Berlina. Drugi, złoty, przekazała na Jasną Górę, do skarbcza O.O. Paulinów. W muzeum jest tylko jego zdjęcie na szyi pani Marii.

Wymieniamy dalej: była laureatką Nagrody Stulecia Sportu MKOl i Ecce Homo za działalność na rzecz niepełnosprawnych. W 2002 roku otrzymała Nagrodę Zasług – najwyższe wyróżnienie Stowarzyszenia Narodowych Komitetów Olimpijskich. Miała także medal Kalos Kagathos – wyróżnienie przyznawane wybitnym sportowcom przez redakcję „Tempa” i Uniwersytet Jagielloński za działalność pozasportową (nawiązanie do starożytnego ideału łączenia piękna, *kalos*, i dobra, *kagathos*). Uhonorowano ją w pierwszej edycji Alei Gwiazd Sportu we Władysławowie oraz w medalowej Galerii Sportowych Sław w Dziwnowie, gdzie znajduje się replika jej olimpijskiego krążka. Od Polskiego Związku Polskiej Atletyki otrzymała Nagrodę im. Kusocińskiego. Także na terenie naszego województwa oddano jej honor – w 2003 roku w Ośrodku Przygotowań Olimpijskich w Spale powstał Park Pokoleń Mistrzów Sportu im. Marii Kwaśniewskiej-Maleszewskiej. Podczas jego otwarcia 23 października 2003 roku przybyło wielu polskich olimpijczyków, a stosowną tablicę odsłoniła sama patronka. Pomysłodawcą i autorem idei upamiętnienia największych sportowców posadzeniem nowych drzew był Zbigniew Tomkowski, ówczesny dyrektor ośrodka w Spale.

W 2005 roku za wybitne zasługi dla polskiego sportu i ruchu olimpijskiego Maria Kwaśniewska została odznaczona Krzyżem Komandorskim z Gwiazdą Orderu Odrodzenia Polski. Jak najbardziej słusznie: to ona była założycielką Centralnego Klubu Olimpijczyka przy PKOl w 1963 roku, Polskiego Klubu Olimpijczyka w Londynie (1967) oraz klubów terenowych. Przez dwanaście lat prowadziła CKOl.

Żyje się nie dla siebie

Do Łodzi starała się przyjeżdżać jak najczęściej. Miała sentyment dla rodzinnego miasta, poza tym do dziś mieszka tu ojciec chrzestny jej syna, Marka. To Józef Żyliński „Ziuna”, koszykarz i trener, przez kilkadziesiąt lat jako zawodnik, trener i działacz związany z ŁKS, którego Marysia chętnie odwiedzała.

Przez lata przyjeżdżała sama, pociągami na dworzec Fabryczny. W ostatnim okresie życia korzystała już z pomocy innych. Zazwyczaj przywoził ją samochodem sztangista Zygmunt Smalcerz (złoty medalista olimpijski oraz trener i działacz sportowy), często był to Mieczysław Nowicki, kolarz, również olimpijczyk (dwa medale w Montrealu w 1976 roku).

Prawie zawsze pani Maria kończyła pobyt w Łodzi wyprawą do pizzerii In Centro przy ul. Piotrkowskiej. Prowadzi ją od lat Ryszard Wiejski, wieloletni trener rugbyistów drużyny Budowlanych. „Marysia zawsze wpisywała się tam do księgi

pamiątkowej. I w każdym wpisie podkreślała wielką sympatię do Łodzi i swój związek z miastem. Tak samo robiła w każdym publicznym wystąpieniu – opowiada Ewa Sobczyk, która zawsze uczestniczyła w tych wyprawach. – Widywałam się z nią często, co miesiąc, co dwa. Albo ona była w Łodzi, albo ja w Warszawie. To były w większości spotkania pozasłużbowe, a pomiędzy nimi godzinami rozmawiałyśmy przez telefon”. Gdy Ewa dobiegała pięćdziesiątki, pani Maria powiedziała: „Teraz już dojrzałaś, żebyśmy przeszły na ty”. „Tak stała się dla mnie Marysią, wcześniej zwracałam się do niej oficjalnie – pani Mario. Śmieszne to było; uznała, że zbliżyłyśmy się wiekiem, choć przecież różnica była ciągle taka sama”.

Maria Kwaśniewska-Maleszewska bywała także w swoim klubie. Przyjechała na 90-lecie Łódzkiego Klubu Sportowego w 1998 roku, była także wtedy, gdy ufundowano nowy sztandar klubowy.

Łódzkiemu Muzeum Sportu przekazała sporo pamiątek. Te najcenniejsze są eksponowane w poświęconej jej gablocie, sporo innych jest przechowywanych na zapleczu. Są to na przykład liczne plakietki ze startów Marii Kwaśniewskiej w rozmaitych zawodach, żetony nagrodowe (zastępujące dyplomy), kilkadziesiąt oryginalnych zdjęć sportowych. W muzeum przechowywana jest pamiątkowa księga „opłatkowa”, prowadzona od 1995 roku. Znajduję wpis z 1997 roku, dokonany pięknym charakterem przez 83-letnią wówczas panią Marię: „Wzruszona atmosferą z okazji spotkania opłatkowego składam Muzeum Sportu wyrazy serdecznego podziękowania za upamiętnienie osiągnięć i dokonań działaczy, sportowców i olimpijczyków miasta Łodzi i Ziemi Łódzkiej. Z życzeniami trwałości środowiska i sportowej Rodziny Maria Kwaśniewska-Maleszewska, 1997, styczeń”.

Ewa Sobczyk: „Nigdy, nawet w ostatnich latach jej życia nie pamiętało się o tym, że jest emerytką i osobą niemłodą. Do śmierci była aktywna, do końca bardzo sprawna – i fizycznie, i umysłowo. Pokonał ją udar, pobyt w szpitalu był bardzo krótki”. Panią Marię pamięta także Zofia Mincer, pracująca w muzeum od 14 lat. „Widziałam ją zazwyczaj na naszych «opłatkach», ale wtedy był taki tłum! Wszyscy ją lubili i szanowali za jej postawę i za stosunek do innych ludzi. Była nadzwyczaj sympatyczna”.

W licznych publikacjach poświęconych Marii Kwaśniewskiej-Maleszewskiej pisze się o niej w samych superlatywach: życzliwa, poświęcająca się dla innych, oddana sercem wszystkim i wszystkiemu, co robi, otwarta i żywiołowa, niosąca pomoc każdemu, kto tej pomocy potrzebuje. Często mówiła: „Żyje się nie dla siebie, a dla innych”.

Spożyła na Cmentarzu Powązkowskim w Warszawie, w grobie męża – Władysława Maleszewskiego (Stare Powązki, kwatery 100, rząd 1, grób 24).

Maria Sondej
– dziennikarka

Fot. z archiwum Muzeum Sportu i Turystyki w Łodzi

Dzieło Marii Sawickiej

Adwokat ludzkiej postęgi



„Wielka dama cywilizacji życia i miłości”, „świątło, które rozbłysło w Łodzi”, „otwarta i wytrwała” – tak o mecenas Marii Sawickiej mówią ludzie, którzy ją poznali. Założycielka pierwszego w Polsce Telefonu Zaufania dla kobiet z ciężą problemową i spraw rodzinnych obchodziłaby w 2013 roku dziewięćdziesiąte urodziny.

„To była wielka dama polskiego obszaru cywilizacji życia i miłości. Kiedy straciła swoich bliskich i ciężko zachorowała na kręgosłup, była przykuta do łóżka i mogła wykonywać tylko kilka ruchów. Wtedy prof. Włodzimierz Fijałkowski powiedział jej, że może odbierać telefony od kobiet, które mają problemy z ciężą. Tak zrobiła” – wspomina ks. Kazimierz Kurek, salezjanin i działacz społeczny.

Telefon zaufania, który uruchomiła we własnym domu, był pierwszą taką inicjatywą w Polsce. Julia Poklewska, współpracownica Marii Sawickiej, podkreśla, że szybko ten numer telefonu dotarł do krańców Polski. „Jego działalność obejmowała nie tylko diecezję, ale całą Polskę” – opowiada.

Maria Sawicka dyżurowała przy telefonie kilkanaście godzin na dobę. Dziewczyny w ciąży, które chciały zabić swoje dziecko, mogły liczyć nie tylko na duchowe wsparcie. Kiedy zdecydowały się zrezygnować z aborcji, przychodziły po pieniądze, jedzenie, ubranka dla dzieci czy zwyczajną życiową poradę. Dzięki niej przyszło na świat kilkaset maluchów. Sama Maria Sawicka opowiedziała kiedyś Radiu Plus historię pewnej dziewczyny ze wschodnich rubieży Polski:

Przyjechała do Łodzi, żeby uczyć się zawodu. Wynajęła pokój u pewnej rodziny i została zgwałcona przez syna gospodarzy. Zaszła w ciężą. Była ze mną w kontakcie. Kiedy jechała na poród, zadzwoniła do mnie i powiedziała: „Ciociu, ja ci przypominam, że przyrzekałaś załatwić adop-

cję”. Odpowiedziałam, żeby się nie martwiła, że wszystko będzie dobrze. „Ale, ciociu, jeśli urodzę dziewczynkę, to może bym ją zatrzymała. A jeśli będzie chłopiec, to go nie chcę, bo nie chcę, żeby był taki jak jego ojciec”. Dobrze, nie martw się – odpowiedziałam. Pojechała na poród i dzwoni po nim: „Ciociu, pamiętasz, co mi obiecałaś? Niestety, urodziłam chłopca i nie zgadzam się na jego wychowywanie”. Zaraz potem zadzwoniłam do ordynatora oddziału noworodków z prośbą o podanie jej dziecka do karmienia. Następnego dnia odbieram telefon: „Ciociu, ja cię bardzo przepraszam, ale ja nie mogę tego dziecka oddać. On jest taki cudowny”. To dziecko właśnie zrobiło maturę i wybiera się na teologię.

Ks. Stanisław Kaniewski, dzisiaj dyrektor Centrum Służby Rodziny, poznał panią Marię prawie trzydzieści lat temu. „To było dwa lata po powołaniu przez nią Telefonu zaufania. Jedna z osób, której udzieliła pomocy, powiedziała mi, że jest w Łodzi taka osoba i warto się z nią zobaczyć. Tak się pojawiłem w jej mieszkaniu. I mogę powiedzieć, że po tylu latach czuję się jej uczniem” – mówi ks. Kaniewski.

Maria Sawicka nie działała sama. W jej mieszkaniu spotykała się grupa ludzi świeckich, m.in. prof. Włodzimierz Fijałkowski czy Jan Mędrzak. Siadali przy stole i zastanawiali się nie tyle nad tym, jak pomóc, ile nad tym, jak to zrobić w sposób jak najbardziej praktyczny i skuteczny. Przede wszystkim chodziło o służbę dziecku poczętemu, ratowanie dzieci, pomoc matkom, szczególnie tym, które nie potrafiły sobie poradzić z ciążą i wychowaniem malutkich dzieci. „Na koniec takiego spotkania wszyscy wyjmowali coś z kieszeni. Tak zbierały się fundusze na działalność Marii” – opowiada ks. Kaniewski, który po pewnym czasie dołączył do tego grona.

Jedną z inicjatyw, które wtedy się zrodziły, jest – działający do dzisiaj – Fundusz Ochrony Macierzyństwa im. Stanisławy Leszczyńskiej. Środki zdobywa podczas corocznych zbiórek do puszek przed kościołami archidiecezji łódzkiej (odbywają się dwa razy w roku), a pomaga matkom, które znajdują się w bardzo trudnej sytuacji finansowej. Maria Sawicka stała się też duchem założycielskim kolejnych inicjatyw prowadzonych przez Kościół: Domu Samotnej Matki i Diecezjalnego Ośrodka Adopcyjno-Opiekuńczego. „Kolejne pomysły związane były z zaangażowaniem w pomoc innym osobom. Nie wszystko można było zrealizować poprzez indywidualną pomoc, a chętnych na skorzystanie z niej wciąż przybywało” – wspomina ks. Kaniewski. „To jest prawie pięćdziesiąt lat ofiarnej służby na rzecz dziecka i rodziny. Niezliczone godziny spędzone przy telefonie zaufania. Codzienne budowanie kultury życia i miłości poprzez rozmowy telefoniczne we własnym mieszkaniu. Interwencje. W trudnych czasach mieszkanie pani mecenas było magazynem produktów żywnościowych pochodzących z darów. Wokół dobra, które za jej pośrednictwem przypadło w udziale tylu osobom, powstało środowisko podejmujące działania, a potem inicjujące nowe formy, jak Fundusz Ochrony Macierzyństwa, magazyn odzieży, diecezjalna poradnia adopcyj-

na czy Dom Samotnej Matki. Przypomnieć trzeba współudział w powstaniu oddziału preadopcyjnego w Centrum Zdrowia Matki Polki” – wyliczał zasługi zmarłej Marii Sawickiej abp Władysław Ziółek podczas uroczystości pogrzebowych 22 września 2011 roku.

Angelina Madeńska знаła panią Marię ćwierć wieku. „Była wspa-
niałym człowiekiem, zawsze gotowa nieść pomoc innym. Jej śmierć bardzo mnie za-
skoczyła, dopiero byłam u niej w szpitalu, wszystko sprawiało wrażenie, że idzie ku
poprawie. Jest mi przykro, że nie zdążyłam przynieść bułki, o którą prosiła, gdy pyta-
łam, na co ma ochotę” – wspominała tuż po śmierci Madeńska. „To osoba o niespoty-
kanej wręcz charyzmie, niespotykanej wiedzy o życiu i niespotykanej umiejętności kor-
zystania z tej wiedzy” – podkreśla Maria Poklewska. Magdalena Mazurek uważa,
że Maria Sawicka była najlepszym człowiekiem, jakiego spotkała w życiu. „Pracowa-
łam z nią w zespole adwokackim przy ul. Nowomiejskiej, byłam tam aplikantką adwo-
kacką. Prowadziła tam sprawy sądowe bez wynagrodzenia – ludziom, którzy nie mieli
pieniędzy. Jej koledzy-adwokaci wyśmiewali taką postawę moralną” – przypomina.
Taka działalność bezpłatnego adwokata trwała kilkanaście lat. Była zresztą formalnie
usankcjonowana, bo na porady prawne bez wynagrodzenia zgodę wydała Naczelna
Rada Adwokacka.

Jolanta Chełmińska spotkała Marię Sawicką po raz pierwszy kilka-
naście lat temu, gdy pani mecenas odbierała Nagrodę Miasta Łodzi. Ponowny, bliższy
kontakt nastąpił, gdy miała problemy z urzędem skarbowym, ponieważ całą swoją
nagrodę przeznaczyła na pomoc dla potrzebujących, a fiskus jej gest dobrego serca
chciał opodatkować. „Całe jej życie związane było z ratowaniem życia, to pozwalało jej
tak naprawdę w zmaganiach z jej trudną chorobą. Każdy sygnał osoby potrzebującej
wywoływał u niej potrzebę wstania na nogi i aktywnego działania” – wspomina obecna
wojewoda łódzki. Podkreśla, że u przyczyn większości spraw, w których Maria Sawic-
ka pomagała, znajdował się alkohol. „Nie udało jej się załatwić dwóch spraw – zmiany
w ustawie o wychowaniu w trzeźwości i stworzenia skutecznego systemu niesienia
pomocy młodym matkom, które nie mogą sobie poradzić w ciąży” – dodaje Jolanta
Chełmińska. „Maria była osobą bardzo sympatyczną, otwartą i komunikatywną, ale
jednocześnie wytrwałą w dążeniu do celu. Jeżeli wiedziała, że coś jest słuszne, nigdy
nie odpuszczała. Próbowwała na wszelkie możliwe sposoby, drażyła temat, szukała dróg
rozwiązania, aż do momentu, gdy zaowocowało to czymś pozytywnym” – wspomina
ks. Kaniewski. Ta wytrwałość była też źródłem sporów. „To były rzeczywiste spory
o konkrety. Maria chciałaby rozciągnąć pomoc kierowaną przez Fundusz Ochrony Ma-
cierzyństwa także na matki, których dzieci już trochę urosły, były starsze. Widziała taką
potrzebę. Z kolei my musieliśmy liczyć środki, którymi dysponujemy, bo nie mogliśmy
udzielić więcej pomocy, niż fundusz miał na koncie” – opowiada dyrektor Centrum
Służby Rodzinie. Maria Sawicka nie dbała o zaszczyty, choć otrzymała wiele odznaczeń
m.in. papieski order Pro Ecclesia et Pontifice, Złoty Krzyż Archidiecezji Łódzkiej oraz

Krzyż Kawalerski Orderu Odrodzenia Polski. Z nagrodą Miasta Łodzi pani mecenas miała poważny problem. Nie było to bowiem tylko wyróżnienie honorowe, ale także gratyfikacja pieniężna nagrody. Cała kwota nagrody natychmiast poszła na pomoc dla jej podopiecznych. Dwa lata później o podatek, który powinien być zapłacony od tej kwoty (Maria Sawicka była przekonana, że podatek został potrącony przed wypłatą pieniędzy), upomniał się fiskus. Chodziło o 4000 złotych. Mimo tłumaczeń, zaangażowania władz miejskich i Kościoła komornik zajął rentę tej zasłużonej filantropki. Sprawa umorzenia podatku trafiła do sądu. Podczas mszy żałobnej w łódzkiej katedrze abp Władysław Ziśka podkreślał, że nie można poprzestać tylko na modlitwie o to, „by bramy raju otworzyły się przed świętej pamięci Marią Sawicką”. „Chcemy też rozwijać rozpoczęte przez nią dzieła. Chcemy troszczyć się o godność ludzkiego życia, także nienarodzonego. Chcemy wcielać w praktykę życia codziennego miłość miłosierną” – mówił.

Maria Sawicka urodziła się 8 lipca 1923 roku, a zmarła 16 września 2011 roku, po długiej i ciężkiej chorobie. W dziejach współczesnej Łodzi była niezwykłym człowiekiem.

Łukasz Głowacki
– dziennikarz

PIERWSZE KOLUMNY

Malarki, rzeźbiarki, graficzki

Od Kamili Pahlen do Anieli Menkesowej

Łódź w XIX i początku XX wieku nie miała rangi ważniejszego ośrodka sztuk plastycznych – była miastem przede wszystkim przemysłowym, pełnym ludności napływowej. Jej wizerunek jako miasta podkreślała z jednej strony nowoczesność, a z drugiej kapitalistyczny charakter. Pieniądze i spryt były tu ważniejsze niż dobre wykształcenie i dziedzictwo kultury. *Lodzermensch* to właśnie osoba skoncentrowana na interesach i bogactwie, dla której wysoka kultura nie stanowiła istotnego punktu odniesienia. Zgodnie z anegdotami łódzcy fabrykanci cmokali z zachwytem, obserwując bogato zdobione ramy obrazów i ostentacyjnie lekceważąc kompozycję oraz sztukę artysty malarza, a także interesowali się wyłącznie malarstwem olejnym, gdyż w przeciwieństwie do rysunków, pastelów czy akwareli płótna osiągały duże rozmiary i były szczególnie cenne. Jednak już w ostatniej ćwierci XIX wieku Łódź mogła się pochwalić interesującymi i znaczącymi malarzami, głównie z nurtu tzw. „tradycji żydowskiej”. Przykładami cenionych malarzy środowiska łódzkiego są Leopold Piłichowski czy Maurycy Trębacz. W mieście działały także szkoły rysunku i malarstwa. Mało jednak wiemy o kobietach malarkach związanych z Łodzią, szczególnie tych tworzących w XIX wieku.

Kurs rysunku dla pań

Bardzo charakterystyczna jest dla Łodzi ciężka praca kobiet, zwłaszcza włókniarek. W trudzie fizycznej pracy kobiety w Łodzi niewątpliwie nie ustępowały mężczyznom. Na tym tle trudno odnaleźć podobne „równouprawnienie” wśród artystów. W XIX i XX wieku sytuacja ta ulegała także w Łodzi sukcesywnym zmianom, ale dopiero z ostatniej ćwierci XIX wieku pochodzą wzmianki historyczne o kobietach rozwijających swoje talenty plastyczne. Przykładem może być fakt, że jedna z najważniejszych szkół rysunku w Łodzi, od 1896 prowadzona przez Jakuba Kacembogena, prowadziła kursy oddzielnie dla mężczyzn i kobiet. Nie wiemy, ile było kobiet wśród stu trzydziestu dwóch absolwentów szkoły sprzed września 1900, ale obecność klasy dla kobiet w jednej z najważniejszych, o ile dziś nam wiadomo, szkół rysunku w mieście świadczy o rosnących możliwościach rozwoju dla utalentowanych w dziedzinie sztuk plastycznych młodych kobiet. W innych miastach polskich tendencja do kształcenia kobiet w dziedzinach sztuk pięknych i stosowanych na poziomie średnim w specjalnych szkołach i kursach była widoczna już od lat 70. XIX wieku. Mimo tych zmian pozycja mężczyzn-

artystów wciąż była znacząco uprzywilejowana. Mieli oni bowiem możliwość podejmowania studiów w szkołach wyższych – te znajdujące się na terenie ziem polskich nie przyjmowały bowiem kobiet do końca XIX wieku. Owszem, istniały renomowane szkoły zagraniczne, w których na poziomie wyższym kształcić się mogły także utalentowane panny, przede wszystkim w Paryżu, Monachium, Wiedniu i Berlinie, jednak artystki związane z Łodzią rzadko otrzymywały tak staranne wykształcenie. Konsekwencją wykluczenia kobiet z wyższej edukacji artystycznej był mniejszy zasięg tematów, które podejmowały one w swojej twórczości. Np. modne wtedy obrazy historyczne, wymagające wiedzy archeologicznej, i wielopostaciowe, złożone kompozycje były poza zasięgiem ich umiejętności. Niedostatki wiedzy anatomicznej i kompozycyjnej były znaczną przeszkodą dla kobiet w rozwijaniu kariery malarskiej. Typowymi tematami podejmowanymi przez kobiety były lokalne pejzaże, martwe natury, w szczególności kwiatowe, oraz portrety. Pojawiały się także sceny rodzajowe, zwykle o kameralnym charakterze, poświęcone macierzyństwu, życiu kobiet i dzieci. Symptomatyczny jest fakt, że w społeczności łódzkich Żydów bardzo wyraźne były starania o zapewnienie rozwoju utalentowanym plastycznie chłopcom pochodzącym z ubogich rodzin. W ten sposób wykształcony został chociażby Samuel Hirszenberg – dzięki stypendiom uczył się malarstwa w Monachium i Paryżu. Ze względu na przekonanie, że kariera jest dla kobiety mniej istotna niż dla mężczyzny, nawet uzdolnione łodzianki nie mogły liczyć na podobne wsparcie.

pierwsze kolumny

Początki

Niemniej artystki nie były wcale zjawiskiem aż tak rzadkim w Łodzi. Słownik artystów łódzkich wymienia ponad osiemdziesiąt kobiet tworzących w różnych dziedzinach sztuki plastycznych. Większość z nich to artystki, których twórczość przypada na wiek XX, zaledwie kilkanaście z wymienionych artystek debiutowało w XIX wieku lub na przełomie wieków. W najstarszym pokoleniu łódzkich artystek, urodzonych około 1860-70 roku, obok malarki Kamili Pahlen (znanej także jako Rywka Pachel) i nauczycielki rysunków Stanisławy Rudzkiej odnajdujemy projektantki tkanin Leokadię Mirosławską i Zofię Messing. Pokolenie to reprezentują także ciekawe osobistości łódzkiej sceny artystycznej – Eugenia Helena Glanz (Glancówna), Alicja Nowińska, Natalia Maria Mogilnicka i Kazimiera Wiśniewska-Szczygielska. Alicja Nowińska, córka ziemianina, zdobyła wykształcenie malarskie w Berlinie i prowadziła w latach 90. XIX wieku kursy malarstwa dla kobiet w Warszawie. Do Łodzi przeniosła się po zawarciu małżeństwa z lekarzem z Ozorkowa. Uczestniczyła w wystawach łódzkiego środowiska artystycznego i przed pierwszą wojną światową prowadziła szkołę rysunku. Jej córka Jadwiga Nowińska także uczyła rysunku, już w okresie dwudziestolecia międzywojennego. Natalia Maria Mogilnicka była malarką i poetką. Jej córka Maria także została artystką. Glancówna uczyła się rysunku w jednej z pierwszych szkół artystycznych w mieście, prowadzonej przez Witolda Wołczaskiego, a naukę kontynuowała w Paryżu i Mona-

chium. Jej prace do Akademii Sztuk Pięknych w Petersburgu zostały nagrodzone. Uczestniczyła w życiu artystycznym Łodzi już w początku wieku XX, była żoną znanego w owym czasie literata i malarza Zygmunta Bartkiewicza, który prowadził przez kilka lat w Łodzi stały salon wystawienniczy. Kazimiera Wiśniewska-Szczygielska pochodziła z Krakowa; wykształcona w Rouen i Paryżu, zamieszkała w Łodzi w 1900 roku, gdzie prowadziła kursy rysunku. Była malarką, ale zajmowała się także sztuką użytkową – projektowała elementy wystroju wnętrz. Jej mężem był rzeźbiarz Antoni Szczygielski.

Żony artystów

Wśród artystek osiągających dojrzałość w ostatnich latach XIX wieku, na uwagę zasługuje kilka wyrazistych osobowości. Warto wspomnieć Teodorę Trenkler, malarkę, ale także pianistkę i śpiewaczkę. Jej pierwszym mężem był malarz Skotnicki, drugim kolekcjoner i przemysłowiec Henryk K. Grohman. Lena Pilicho (Salomea Pilichowska) była żoną Leopolda Pilichowskiego, jednego z najbardziej cenionych łódzkich artystów żydowskich. Razem z nim wyjechała z Łodzi do Paryża, a potem do Londynu. Ernestyna Lipiec, malarka, była żoną Franciszka Lipca, malarza, ucznia Gersona. Leokadia Radwańska była najprawdopodobniej małżonką Ryszarda Radwańskiego, który prowadził poważaną w Łodzi Szkołę Rysunku i Malarstwa. Oprócz malowania projektowała także meble w modnym stylu zakopiańskim. Wspomnieć warto także artystki, o których mniej wiadomo. Choćby nagrodzone uczennice Witolda Wołczaskiego: Marię Czekańską i Anielę Wojciechowską, malarki Blimę Broner, Karolinę Klarę Hesse, Helenę Cywińską. A także malujące na szkle Józefę Pytłasińską i Martę Roscher. Znamienne jest, jak często małżonkowie tych pierwszych malarek w Łodzi także zajmowali się sztuką lub życiem kulturalnym miasta. Niewątpliwie wsparcie ze strony męża ułatwiało znacznie kobietom podjęcie trudu kariery artystycznej.

Ich kariery nabierają tempa w drugiej dekadzie XX wieku, kiedy także życie wystawiennicze Łodzi doznaje stopniowego przyspieszenia. Z wyjątkiem czasu wojny w tym właśnie dziesięcioleciu podejmowano wiele inicjatyw wystawienniczych próbujących nadać życiu artystycznemu Łodzi bardziej regularny charakter. Już pod koniec XIX wieku w Łodzi odbywały się wystawy – najczęściej objazdowe, które odwiedzały także inne miasta. Stanowiły one okazję do kupna obrazów dla bogatych fabrykantów i bankierów. Kolejnym krokiem były „salony stałe” – galerie. Cztery takie galerie funkcjonowały w różnym czasie przez okresy kilku lat przed pierwszą wojną światową. Podobnie jak „salony tymczasowe” prezentowały one także wystawy gościnne, ale ponadto stwarzały możliwość chociaż częściowej prezentacji dorobku łódzkich twórców w postaci indywidualnych lub zbiorowych pokazów sztuki. W drugiej dekadzie XX wieku organizatorami wystaw byli w znacznej mierze sami artyści działający w stowarzyszeniach zawodowych.

W porównaniu do poprzednich pokoleń uzdolnionym dziewczynom urodzonym w końcu wieku XIX łatwiej było zdobyć gruntowne wykształcenie ar-

tystyczne, szczególnie w Łodzi. Znajdująca się w pobliskiej Warszawie Szkoła Sztuk Plastycznych od 1906 roku przyjmowała już na studia kobiety. Dzięki temu uzdolnione młode kobiety mogły uzyskać analogiczne wykształcenie jak ich rówieśnicy. Skutkiem tych przemian w dziedzinie wystawiennictwa i edukacji w zakresie sztuk plastycznych jest rosnąca egalitaryzacja środowiska artystycznego pod względem płci. W dwudziestoleciu międzywojennym w działających wówczas prężnie grupach artystycznych kobiety będą silnie obecne, dorównując mężczyznom wyrazistością osobowości twórczej i klasą talentu.

Artystki wyzwolone

Podczas salonu wiosennego 1918 roku debiutowały artystki związane z Łodzią, które skorzystały z dobrodziejstw wyższej edukacji artystycznej. Róża Bergerówna, Leonia Lichtensteinówna, Stefania Sigalin były od 1918 roku studentkami warszawskiej Szkoły Sztuk Plastycznych, Leontyna Zemłówna uczęszczała na tę uczelnię od 1912 roku, a Felicja Zylberberżanka (Silberberg) była studentką krakowskiej szkoły, w której już pod koniec drugiej dekady XX wieku zezwalano na studia kobietom. Róża Bergerówna malowała kwiaty i pejzaże, w grafice wybierała natomiast tematy społeczne – uprawiała drzeworyt i linoryt. Leonia Lichtensteinówna zaprezentowała pejzaże, martwe natury, kwiaty, portrety oraz kompozycje symboliczne *Ciekawość* i *Smutek*. Stefania Sigalin pokazała pejzaż i karykaturę. Na wystawie pokazano także studia portretowe, pejzaże i kwiaty Leontyny Zeml, artystki, która w połowie lat dwudziestych miała dwie indywidualne wystawy w łódzkiej Miejskiej Galerii Sztuki i uzyskała bardzo pochlebne recenzje. Felicja Zylberberżanka była siostrą malarki Ireny „Aneri”, żony znanego artysty Wojciecha Weissa. Ich rodzina pochodziła z Łodzi. Felicja uczyła się malarstwa w latach 1922-1928 także w Warszawie, u swojego szwagra. Innymi artystkami, które prezentowały swoje prace na wystawie wiosennej, były Helena Loria Landau (Landecka), także uczennica warszawskiej klasy Weissa, i Aniela Menkesowa, która w latach trzydziestych była niewątpliwie najbardziej wyrazistą osobowością wśród łódzkich malarek.

W kwietniu 1921 roku wydawnictwo Tel Awiw zorganizowało wystawę artystów żydowskich. Jej idea nie wiązała się z żadnymi cechami formalnymi czy tematyką prac. Trzeba zaznaczyć, że w latach dwudziestych środowisko żydowskie wyraźnie dominowało w Łodzi pod względem artystycznym, przede wszystkim liczebnie, ale także pod względem uzdolnienia. Na tej wystawie prezentowano prace łódzkich artystek: miniaturzystki Goldmanówny, malarek Beli Kronsteinowej, Lory Sołowiejczykówny, Lichtensteinówny, Dory Rawskiej-Kon, Zylberberżanki oraz rzeźbiarki Rosy Bremanówny. Dora Rawska-Kon studiowała w warszawskiej Szkole Sztuk Plastycznych, debiutowała prawdopodobnie w 1918 roku na wystawie zimowej. Została żoną Mordki Kona, bratanka Oszera Kona, jednego z najbogatszych przemysłowców łódzkich, właściciela Widzewskiej Manufaktury. Oboje przeżyli Holocaust i po drugiej wojnie światowej zamieszkali na terenie Palestyny. Została malarką izraelską. Nie była ona

jedyną artystką w sławnych łódzkich rodzinach fabrykanckich. Emma Mazurkiewicz, wykształcona w Monachium rysownicza i malarka, była siostrzenicą Juliusza Teodora Heinzla. Po powrocie ze studiów raczej nie angażowała się w życie artystyczne Łodzi, malowała tylko dla przyjemności. Inaczej było w przypadku Ireny Arnold, córki Zenona Anstadta, właściciela browaru w Zduńskiej Woli. Jej obrazy i grafiki, jak *Bezdomni* i *Ulica nędzy*, podejmowały często tematy rodzajowe czy wręcz społeczne, ona sama brała udział w wystawach i publikowała grafiki w czasopiśmie.

Jung Jidysz w żeńskiej odmianie

Warto też wymienić artystki związane z grupą artystyczną Jung Jidysz, tak ważną dla życia artystycznego Łodzi u progu odzyskanej po 1918 roku niepodległości. To Ida Braunerówna, Dina Matusówna, Pola Lindefeldówna oraz Zofia Gutentazanka. Ida Brauner była rzeźbiarką, wykonywała także batik i grafiki w technice linorytu. Braunerówna była także autorką ilustracji do mistycznego tekstu *Ojf wajtkajten krajznde fal ich* (po polsku: *Na krążące dale padam*) – tu posłużyła się techniką popularną w grupie Jung Jidysz, tzw. linorytem „negatywowym”. W jej pracach widać związki z wczesną twórczością Kandinsky’ego. Dina Matusowa tworzyła w wielu technikach: jako malarka tworzyła pejzaże, portrety i martwe natury, jako graficzka ilustrowała tom Racheli Lipstein *Zwischen dem Abend und Morgenbrot*, tworzyła także scenografie, kostiumy oraz rzeźby. Pelagia Lindefeldówna zwana Polą była przede wszystkim graficzką. Ilustrowała głównie tomy poetów związanych z grupą Brodersona i Icchaka Kacnelsona. Jej grafiki ukazywały się także w piśmie „Jung Jidysz”, w wydawanym przez grupę periodyku „Tańczący Ogień”, a także w czasopiśmie ekspresjonistów poznańskich „Zdrój”. Stosowała także technikę linorytu „negatywowego”. Także jej siostra Eugenia była malarką, lecz nie wiadomo wiele o jej dorobku. Starannie wykształcona w Zurychu i Monachium Zofia Gutentag również ilustrowała poezję i tworzyła grafiki dla „Tańczącego Ognia”, a ponadto zachowały się wzmianki o jej obrazach olejnych: martwych naturach i pejzażach, rzeźbach i biżuterii.

W dwudziestoleciu międzywojennym rytm życia artystycznego Łodzi był wyznaczany przez coraz regularniejsze wystawy tutejszego środowiska twórców. Zachowały się także relacje z tych wystaw, czasem katalogi, co umożliwiło wskazanie artystek łódzkich, które brały w nich udział. W 1926 roku Stowarzyszenie artystów „Start”, jedna z inicjatyw łódzkiego środowiska artystycznego, zorganizowało wystawę, na której zadebiutowały dwie malarki – Ewa Brzezińska pokazała pejzaż, kwiaty i martwe natury, natomiast Rega Szenbrun (znana także pod nazwiskiem Blizińska, prawdopodobnie po mężu, i pod polskimi imionami Elżbieta i Eugenia, wykształcona w Warszawie i Moskwie) portrety, studia portretowe itp. W 1931 roku rozpoczął działanie łódzki Związek Artystów Plastyków, z Heleną Lórią Landau w zarządzie. Na inauguracyjnej działalności Związku wystawie zaprezentowano prace rzeźbiarki Felicji Herszlikówny oraz malarki i graficzki Felicji Pacanowskiej, absolwentki warszawskiej Szkoły

Sztuk Plastycznych. Rodzeństwo Pacanowskiej także wybrało zawody artystyczne – brat Mosze Dawid był wykształconym i pracującym we Włoszech architektem, siostra Erna pianistką. Felicja podróżowała po Europie, lecz przebywała także w Łodzi, angażując się w życie artystyczne, była zaprzyjaźniona z poetą Mojżeszem Brodersonem.

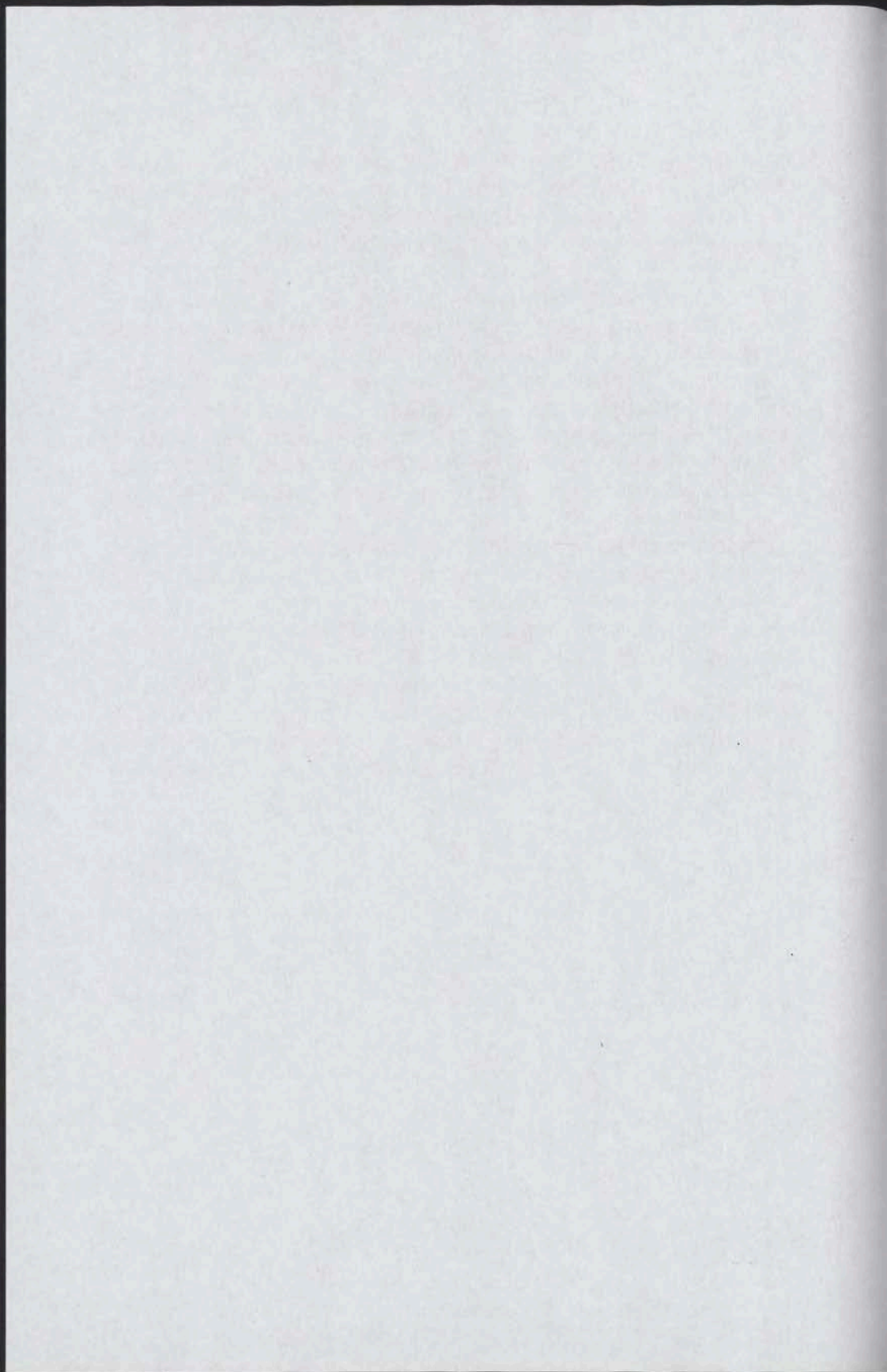
Aniela Menkesowa

W latach 30. najbardziej interesującą łódzką malarką była niewątpliwie Aniela Menkesowa. Znajdowała się ona pod silnym wpływem Władysława Strzemińskiego i włącza się ją do grupy jego żydowskich uczniów wyłonionej ze Związku Zawodowego Polskich Artystów Plastyków razem z Samuelem Szczekaczem, Julianem Lewinem i Mojżeszem Gurewiczem. Menkesowa ukończyła Warszawską Szkołę Sztuk Plastycznych w latach 1918-21 i po wyjściu za mąż oraz odchowaniu dwóch córek powróciła do działalności w środowisku artystycznym. Brała udział w wystawach ZZPAP, bardziej postępowego z dwóch związków, które działały w Łodzi. Prezentowała na łódzkich wystawach zarówno pejzaże miejskie, jak i przemysłowe, prace o tematyce społecznej, a także kompozycję w wyrazie surrealistyczną, wykonaną w wynalezionej przez łódzkiego artystę Karola Hillera technice heliografii. W twórczości Menkesowej widać wpływy syntetycznego kubizmu oraz inspiracje unizmem Strzemińskiego. Kompozycje tej artystki znajdują się w zbiorach Muzeum Sztuki w Łodzi.

Postać Anieli Menkesowej i artystek związanych z *Jung Jidysz* pokazuje, jak także w Łodzi kobiety stopniowo zdobywały coraz większy dostęp do wykształcenia artystycznego i kariery malarskiej, dzięki czemu na równi z mężczyznami tworzyły środowisko artystyczne, a także współtworzyły mit Łodzi – miasta sztuki nowoczesnej.

Anna Nawrot
– historyczka sztuki

pierwsze kolumny



kultura

O łódzkiej kulturze i nie tylko...

Z sejmowej perspektywy

Z Panią Poseł Iwoną Śledzińską-Katarasińską
rozmawiają Marcin Kieruzel i Błażej Filanowski

str. 89

Przebojowa wystawa w Muzeum Sztuki

Korespondencje wielu adresów

Gustaw Romanowski

str. 99

Małe grafiki Andrzeja Gieragi

Puryzm wyrafinowanej prostoty

Gustaw Romanowski

str. 109

Klasyka definiuje świat

Festiwal w Teatrze Jaracza

Dominika Łarionow

str. 114

Język dzisiejszej wolności

Karzeł, down i inne żywioły

Mateusz Sidor

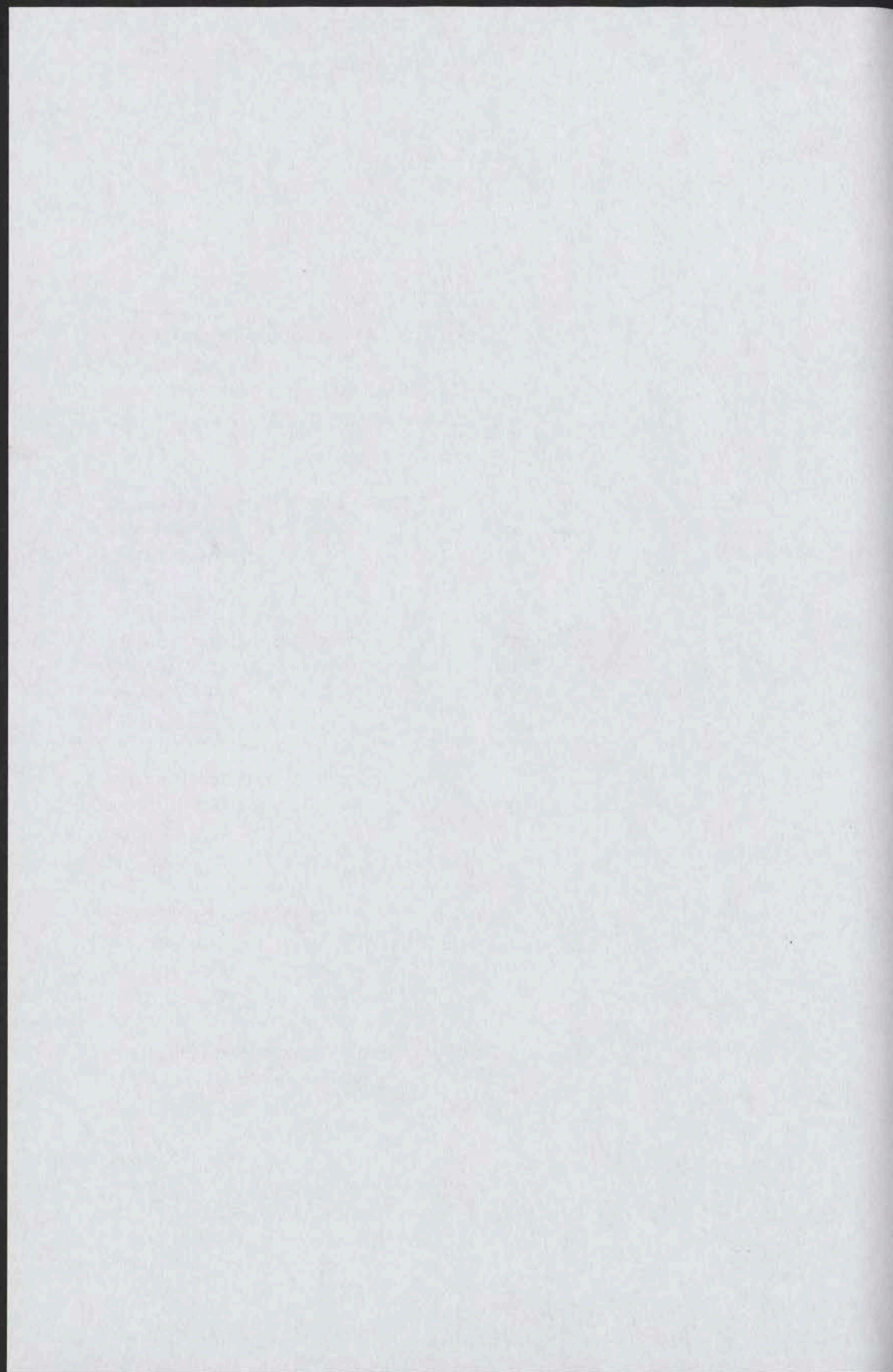
str. 121

Azyle Joanny Wiszniewskiej-Domańskiej

Zwycięstwa człowieka w meloniku

Paulina Dzwonkowska

str. 127



O łódzkiej kulturze i nie tylko...

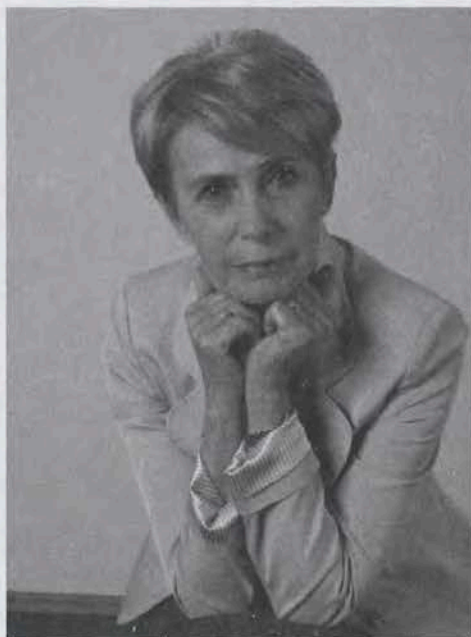
Z sejmowej perspektywy

kultura

*Z Panią Posel Iwoną Śledzińską-Katarasińską rozmawiają Błażej Filanowski
i Marcin Kieruzel*

– Należy Pani do grona najbardziej doświadczonych łódzkich parlamentarzystów. Zanim jednak została Pani posłanką zajmowała się dziennikarstwem. W jaki sposób przeszła Pani ze świata dziennikarstwa do polityki, czy była to trudna decyzja?

– Nie była to decyzja, którą poprzedziły głębokie przemyślenia. Do dziennikarstwa powróciłam po ośmiu latach wykluczenia dopiero w 1989 roku ale zanim znów mogłam publikować byłam już zaangażowana w politykę. W czasach stanu wojennego podziemna aktywność polityczna była jedyną przestrzenią, w której mogłam działać. Po moralnym zwycięstwie w wyborach 1989 r. naszej „Solidarności” zastanawiałam się, co mam zrobić z moją dziennikarską pasją. Szczególnie, że wraz z wyborami powstały pierwsze niezależne media: „Gazeta Wyborcza” oraz „Tygodnik Solidarność”. Zdecydowałam się w 1989 r. na współpracę z „Wyborczą”. Ale okres ten był pełen zwrotów w moim życiu. Przyznaję – byłam zaskoczona kiedy dwa lata później wybrano mnie do parlamentu z czwartego miejsca z listy Unii Demokratycznej. Wkrótce po tym Adam Michnik, redaktor naczelny „Wyborczej” stwierdził – „skoro jesteś już politykiem, to musisz porzucić dziennikarstwo”. Wszystko działo się w 1991 roku, a przecież on sam był w Sejmie kontraktowym – niemniej jednak szybko postanowił rozdzielić politykę i media w swojej redakcji. Wtedy na moment zwątpiłam, czy dobrze zrobiłam kandydując. Pierwsza kadencja była wprawdzie krótka, trwała ledwie dwa lata, ale przekonała mnie, że łodzianie mają do mnie zaufanie, dlatego jednak zdecydowałam się pozostać w polityce. W tej historii jest trochę przypadku ale dziś widzę, że



zrobiłam dobrze. Z mojej pracy w mediach wynikałoby znacznie mniej niż z konkretnych działań w parlamencie.

– Reprezentowanie Łodzi na początku lat 90. XX wieku z pewnością wiązało się z wieloma wyzwaniem. Przemysłowa Łódź zaczęła znikać. Jakie były pomysły na przekształcenie miasta? Co można było zrobić z pozycji parlamentarzysty dla Łodzi aby zatrzymać postępujący proces degradacji i wzrastające bezrobocie?

– Przemysł odziedziczony po PRL był skazany na porażkę. Szczególnie zakłady zatrudniające po kilka, kilkanaście tysięcy osób funkcjonujące w ścisłym związku z gospodarką Związku Radzieckiego. Oczywiście było, że skończyła się pewna epoka. Mimo to na początku lat 90. była propozycja wdrożenia planu restrukturyzacji przemysłu (tak zwany plan bostoński) i dostosowania go do nowej sytuacji rynkowej. Pojawiały się pomysły jak zreformować miasto – ale realizacja ich wymagała środków finansowych i wielkiej determinacji łódzkiego środowiska. Zabrakło jednego i drugiego. Plan nie został wdrożony, choć mieliśmy zainteresowane nim grona naukowe – skupione wokół profesora Cezarego Józefiaka i Jerzego Dietla, pierwszych niezależnych senatorów z 1989 roku. Ostatecznie jednak stara Łódź przemysłowa upadła po wprowadzeniu reformy Balcerowicza, nie otrzymując, niestety, od państwa nic w zamian. A wśród nas, łodzian, tylko nieliczni byli dostatecznie przygotowani, aby świa-

domie w transformację wejść i korzystać z szans, jakie ta dawała. Powodował to niski poziom wykształcenia, do tego niska zamożność i stan miasta, co składało się na specyficzny łódzki kompleks. To problem, który się ciągnął za Łodzią przez lata. Dopiero od niedawna przestałam słyszeć w Warszawie – „a ty to od tych tkaczek i prządek”. W latach 90. towarzyszyły Łodzi stereotypy i lekceważenie. Niestety.

– *Może łódzkie kompleksy i uprzedzenia lub raczej brak zainteresowania naszym miastem w Warszawie powoduje, że pomysły współpracy takie jak Duopolis, nie zostały potraktowane poważnie?*

– Ten pomysł akurat przez Warszawę został potraktowany poważnie. Ja należałam do osób które nie chciały aby Łódź była kolonią Warszawy. W koncepcji Duopolis – nie było szans na równe traktowanie obu aglomeracji. Cały czas uważałam, że mit ziemi obiecanej może się odrodzić. Wystarczy znaleźć coś nowego...

– *Takim pomysłem może być kultura?*

– Kultura to moja główna dziedzina, ale jak się jest posłem, to trzeba myśleć szeroko. Mam więc na myśli także projekty łódzkiej szkoły ekonomicznej – w Łodzi może powstać swoiste City. Sprzyja temu potencjał młodych ludzi, wyższych uczelni, umiejscowienie na ważnych szlakach komunikacyjnych. Kompleks biednego miasta blisko Warszawy nie pozwalał jednak przez długi czas tego zrealizować. To efekt stygmatyzacji, jeszcze rodem z PRL.

– *Wydaje się, że łodzianie (przynajmniej ich część) spróbowali się zmierzyć z kompleksem, marazmem i opinią „złego miasta”. Choćby film „Miasto kultury” Wojciecha Bruszewskiego był pierwszym krokiem w tym kierunku. Był próbą odnalezienia i przedstawienia tego, co nam się udaje, w czym jesteśmy unikatowi. Łodzianie zaczęli doceniać i apelować o ochronę swojej historycznej architektury i niezwyklego układu urbanistycznego. Wreszcie wystarczy spojrzeć na entuzjazm związany ze zmaganiem w staraniach o tytuł Europejska Stolica Kultury 2016...*

– Większa identyfikacja z miastem ma tu kluczowe znaczenie. W latach 90. powołałam Fundację „Księży Młyn” – niestety wtedy nie przebiła się, nie zdobyła funduszy. Mimo wielu starań, apeli do władzy i zaangażowania osobistości, będących w radzie fundacji. Jako poseł z Łodzi cały czas powtarzałam: budujcie Łódź na tradycji, np. na dziedzictwie Księżego Młyna. Wcześniej kulturą zajmowałam

się z pozycji obserwatora, a profesjonalnie zajmowałam się przemysłem lekkim. Mój mąż Jerzy zajmował się kulturą i dzięki niemu doskonale poznałam to środowisko i pałące je problemy. Próbowałam integrować je, ale... I tak jednak mam poczucie sukcesu. Popatrzmy na Łódź dziś. Miasto wręcz obrośło w stowarzyszenia i fundacje. Zawsze musi być ktoś, kto przeciera szlak. Myślę, że gdy powstawała moja fundacja, było jeszcze za mało wiary we własne siły i przeważała nieumiejętność współpracy. Środowisko było skrajnie zatomizowane. Z perspektywy czasu oceniam, że nawet wzięwszy pod uwagę to, jak wiele przywoływanych przez was nadziei, okazało się płonnych, to w końcu nabraliśmy szacunku do samych siebie, naszego dziedzictwa i naszej lokalnej, szeroko rozumianej kultury. To dobry początek. Ziemia obiecana nie do końca stracona

– Ale czy kultura nie jest często przez polityków traktowana instrumentalnie? I czy nie staje się dobrym pretekstem aby odwrócić uwagę od innych często ważniejszych problemów?

– Kto tak myśli, szkodzi miastu i sobie. Zawsze są problemy ważne i ważniejsze. Umiejętność rządzenia polega na dostrzeganiu jednych i drugich. A na samej kulturze nikt kariery politycznej w Łodzi nie zrobił...



– *Inwestycje w kulturę są wykorzystywane przez lokalnych polityków. Zarówno ESK, jak i projekty utworzenia Camerimage Łódź Center były entuzjastycznie przyjmowane przez środowisko kultury i mieszkańców, dobrze takiej inwestycji patronować...*

– To były bardzo dobre pomysły, zawiodła realizacja. Powiem coś, co powtarzam wszystkim ekipom rządzącym tym miastem. Przez wiele lat jedynym miastem niewidocznym na korytarzach sejmowych przy budżecie, tworzeniu prawa była Łódź. Sami posłowie – nawet gdyby jakimś cudem mówili jednym głosem – nie wystarczą. Z innych miast przyjeżdżali rektorzy, prezydenci, wojewodowie, przyjeżdżali wspierać swoich posłów. Łódzcy władarze woleli indywidualne zabiegi.

– *Może to właśnie pokłosie silnego zatomizowania? Struktura mieszkańców została silnie naruszona zarówno w czasie wojny jak i w okresie PRL. Może brakuje silnej grupy ludzi, którzy czują związek z miastem?*

– Zauważcie Panowie, że powstało w tym mieście tyle uczelni. Wypracowały one jakąś renomę. Mamy osiągnięcia naukowe, artystyczne. Mamy imponujące obiekty. Ale ciągle przeciętny łodzianin tego nie czuje. Studentów mamy prawie sto czterdzieści tysięcy – bo Łódź to jeden z największych ośrodków akademickich. Brakuje mi w mieście ich świeżości i zapału. Brakuje mi pomysłu, aby tu zostali. Była fala Łodzi klubowej... ale kto miał z tego zyski wyłączając właścicieli pubów? Pojawiały się inwestycje, filie banków, nowe technologie, ale nie było umiejętności pozytywnego rozpychania się łokciami. Przytoczę jeszcze jeden przykład z parlamentu. Kiedy ustawowo ogłaszano plan rozbudowy ośrodka akademickiego w Krakowie, to na drugi rok o podobny plan walczył Poznań, nie Łódź.

– *Wspomnieliśmy o niezwyklej architekturze. Może pomimo niezorganizowania środowiska, braku lobbingu udałoby się wprowadzić jakiś program zachowania architektonicznego dziedzictwa, może specjalny fundusz, czy pojawiły się takie pomysły?*

– Umówmy się, Krakowem nie jesteśmy, gdzie fundusz na ochronę zabytków powstał w latach 80. XX w. Pomysły się jednak pojawiły. Swego czasu próbowałam wprowadzić do ustawy o ochronie zabytków pasus o zabudowie przemysłowej – ale wówczas zabrakło dla tego pomysłu partnerów. Dziś mam zapewnienie ministra kultury, że w nowej perspektywie finansowej UE gros środków, którymi on będzie dysponował, przeznaczy na obszary postindustrialne. Wreszcie coś, o co walczymy.

– Łodzianie są zniechęceni niepowodzeniami, a kiedy w coś uwierzą i widzą szansę, często projekty upadają lub pozostawiają wiele do życzenia. Może staramy się desperacko chwycić wielkiej kultury i wielkich inwestycji, aby podnieść nadszarpnięte poczucie wartości? Zaimponować innym miastom?

– Powtarzam zawsze, że wśród nich pojawiły się dobre pomysły. Europejska Stolica Kultury nie była utopią. Nowe Centrum Łodzi powstanie. Tylko początkowo źle się do tego zabraliśmy. Nie powinniśmy mieć kompleksów, kiedy pojawia się w Łodzi postać taka jak David Lynch. Jestem humanistką, ale moja mama uczyła matematyki. Policzyłam i w tych planach się nic nie zgadzało. Byłam na sesji Rady Miasta, czytałam uchwały. I pytałam za czym wy podnosicie rękę, gdzie tu jest oprzyrządowanie, jakiś bussines plan? Podjęli słabą uchwałę i myśleli, że wszystko będzie dobrze.

– Jak to się stało?

– Nie wiem. Najważniejsze, żeby się „odstało”. Wykonano już na szczęście bardzo dużo pracy, żeby ten projekt „urealnić”.

– Z tego niezrozumiałego powodu wielokrotnie zdarzało się, że łodzianie musieli przeżywać rozczarowanie...

– Podam przykład. Żeby ratować Księży Młyn, pojawiła się idea utworzenia parku kulturowego. Widząc znajdujące się tam ohydne baraki pokryte sidin-giem, chyba wszyscy mieliśmy wtedy świadomość, że potrzeba ratowania tego niezwy-kłego miejsca musi być priorytetem. Tyle że aby taki park kulturowy mógł powstać, trzeba było przygotować stosowną dokumentację, m.in. plan zagospodarowania. I tak jak już to miało miejsce wielokrotnie – gdzieś po drodze czegoś zabrakło. Mówiliśmy o zatimizowaniu naszego miasta, którego doprawdy nie potrafiliśmy zrozumieć. Trudno jest nam często się skrzyknąć i doprowadzić sprawę do końca, brakuje zaufania.

– Jeśli nie wypracujemy idei tu na miejscu, to nic nie zbudujemy?

– Mam wrażenie, że idei mamy już w Łodzi całą masę. Potrzeba przede wszystkim determinacji i pozytywnie rozumianej umiejętności „rozpychania się łokciami”, bądź jak kto woli skutecznego lobbowania za sprawami, które są dla nas szczególnie istotne.

– Ale czy kultura, o której cały czas dyskutujemy, należy do spraw szczególnie istotnych, ze strategicznego punktu widzenia?

– Kultura artystyczna mogłaby rzeczywiście być taką naszą wizytówką, pozwalającą zaistnieć, nie tylko zresztą w kraju. Mamy, tak jak wspomnieliście Panowie, naprawdę niezwykle tradycje kulturowe, choćby awangardowe, i ogromny potencjał instytucjonalny w tym względzie. I trzeba to wykorzystać, ale – podkreślam – na tym nie kończyć. Bo z całą pewnością nasze miasto ma wiele poważnych problemów, których nie przykryjemy jednym bądź drugim festiwalem. Wśród tych problemów na pierwszy plan wysuwa się oczywiście relatywnie niski poziom dochodów mieszkańców, a także ciągle obecne enklawy biedy. Również kwestia zużycia tkanki mieszkaniowej i całej infrastruktury stanowi ważne wyzwanie. Powtarza się czasem, że nie-szczęściem Łodzi było to, że nie została zniszczona w czasie wojny. I co za tym idzie nie miała swojego okresu odbudowy. To raczej nasze miasto – poprzez pracę choćby łódzkich kobiet – składało się na odbudowę innych ośrodków, na przykład Warszawy. Łódź była z całą pewnością eksploatowana nadmiernie. Wypracowywaliśmy w czasach PRL znaczny odsetek PKB, choć omijały nas inwestycje. Bo trudno uznać za poważne inwestycje gierkowskie budownictwo z tzw. wielkiej płyty czy betonowe fabryczne pudła.

– Mówi Pani o tym, że kultura nie rozwiąże najważniejszych problemów społecznych i ekonomicznych Łodzi. Z drugiej jednak strony obserwując to, co się dzieje w samym środowisku kultury, to można odnieść wrażenie, że coraz głośniej podkreśla się, iż ma ona ogromne znaczenie również dla gospodarki (w tym względzie swoje poglądy zmienił ostatnio nawet Jerzy Hausner). Nie tylko ma kierować się misją i wartościami, ale również kształtować kompetencje, niezbędne w każdej sferze współczesnego życia.

– Na kulturę patrzy się dzisiaj rzeczywiście często z – nazwijmy to – biznesowego, czy ładniej – pragmatycznego punktu widzenia. I uważam, że to wcale nie jest takie głupie podejście, bo w mojej opinii to właśnie kultura pozwala nam nabrać dystansu do skomplikowanej rzeczywistości. To ona uczy wyobraźni, kreatywności, rozszerza horyzonty. W Polsce mamy oczywiście niezwykle tradycje narodowe, które czasem nawet nas trochę uwierają, że ta „narodowa tożsamość”, ta „wielka przeszłość”, że „Słowacki wielkim poetą był”. Chciałabym, żeby łodzianie i Polacy potrafili częściej dostrzegać, że ta „wielka kultura” nie musi być taka wielka i że może nam pomagać w codziennym życiu. Że oddziałuje na nas bezpośrednio w różnych sytuacjach. Również bardzo ważne, z mojego punktu widzenia, są próby budowania tożsamości lokalnej czy nawet patriotyzmu lokalnego poprzez kulturę. I cieszę się bardzo, że w Łodzi takie procesy się od kilku lat dzieją.

– Moda na „kulturę miejską”, czasem nawet odrobinę ludyczną, aczkolwiek traktowaną serio, jest rzeczywiście ciekawym zjaw-

skiem. Łódzcy artyści, chyba dziś inaczej niż kilkadziesiąt lat temu, mają – przynajmniej deklaratywnie – dumną świadomość swojego pochodzenia. Ale czy taka lokalność nie idzie w spak elitarności? Liczba absolwentów uczelni artystycznych i osób identyfikujących się jako artyści z roku na rok jest coraz większa. Z drugiej strony w grupie tej rośnie świadomość swoich oczekiwań wobec społeczeństwa i władz. Pokazał to choćby ubiegłoroczny „strajk artystów”.

– Nie uważam, żeby wspomniany protest był podjęty w imieniu całego środowiska artystycznego czy choćby jego większości. Trudno też było mi się zgodzić z większością postulatów, zaproponowanych przez strajkujących. Macie jednak rację – kultura bardzo się demokratyzuje. Mamy niezwykłą mnogość zarówno twórców, jak i dzieł – lub uchodzących za dzieła – sztuki. Co jednak z tej mnogości rzeczywiście może zaistnieć? Chyba tylko jednostkowe zjawiska. Mnie bardziej interesuje kwestia tego, w jaki sposób budujemy wydarzenia i kreujemy wartości, które są dla nas ważne albo które uważamy za priorytetowe. Cały czas uważam, że szansę zaistnienia i realnego wpływu mają tylko te wydarzenia, które są skutecznie, w pozytywnym sensie tego słowa, „zalobbowane”. Innymi słowy, te wydarzenia, które rodzą się ze współpracy i wspólnej determinacji wielu podmiotów. A także ze świadomości, że nie mamy się czego wstydzić i możemy się skutecznie pokazać na zewnątrz. Byłam bardzo zaangażowana w ustanowienie przez Sejm RP roku 2013 rokiem Juliana Tuwima, również dlatego, iż uważałam, że dzięki tej postaci możemy się – my Łódzianie i nasze miasto – skutecznie pokazać i wypromować. I mam nadzieję, że rzeczywiście łódzkie wydarzenia związane z rokiem Tuwima, do tego się przyczynią.

A wracając jeszcze do opozycji lokalności i elitarności, to oczywiście należy te dwa podejścia zrównoważyć. Cieszę się np. że w Łodzi powstają murale i inne artystyczne ingerencje w tkankę miejską. Uważam jednak, że kwestią absolutnie ważniejszą jest dokończenie procesu rewitalizacji śródmieścia. Oczywiście jest to znacznie trudniejsze i wymagające niepomiarne większych nakładów.

– Pytamy o kwestie misji kultury czy, precyzyjniej, instytucji kultury również z bardzo pragmatycznego punktu widzenia. Politycy decydują o podziale publicznych środków przeznaczonych na tę sferę. Czy nie jest tak, że coraz trudniej sprawiedliwie podzielić te środki?

– Jest to niewątpliwie efekt demokratyzacji dostępu do kultury i profesji artystycznych. Pozornie może się zatem wielu wydawać, że pieniędzy na kulturę jest mniej, choć w istocie sytuacja ma się odwrotnie. Pieniądze, których jest coraz

więcej, musimy podzielić pomiędzy rosnącą liczbę podmiotów zarówno tych prowadzonych przez organy administracji, jak i tych z tzw. trzeciego sektora oraz przedsiębiorstw prywatnych. W czasach rządów AWS i UW podjęliśmy reformę, w ramach której większość z instytucji kultury przeszła pod kuratelę samorządów. Wychodziliśmy z założenia, że często samorządy lepiej wiedzą, co w danym regionie jest tematem najważniejszym w sferze kultury. Na kogo warto postawić i jak należy wspólne pieniądze podzielić. Oczywiście, duża pula pieniędzy wciąż pozostała w gestii Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego. Pula z założenia przeznaczona dla instytucji czy wydarzeń o szczególnym ponadlokalnym charakterze. I czasem muszę przyznać, że dziwi mnie kiedy lokalne instytucje obrażają się, gdy tych pieniędzy nie otrzymują. To samorząd powinien być pierwotnym adresatem ich oczekiwań. Inna sprawa, czy samorząd to rozumie. Borykamy się, niestety, ciągle z pewnymi nawykami Polski scentralizowanej.

Przyznam również, że często ze zdziwieniem pytam przedstawicieli środowiska artystycznego: „Dlaczego, tak rzadko startujecie w wyborach czy to na szczeblu centralnym, czy samorządowym?” Przecież jest to najlepsza szansa, żeby coś dla siebie wywalczyć i współdecydować o sprawach kultury.

– Była Pani jedną z głównych lobbujących za utworzeniem na terenie Nowego Centrum Łodzi narodowej instytucji filmowej. Czy ten pomysł ma jeszcze szanse realizacji?

– Jak tylko wszyscy w Łodzi będą tego chcieli – to ma. Mnie bardzo nam na tym zależy. Dla tożsamości, szczególnie tożsamości kulturowej naszego miasta przemysł filmowy jest niezwykle ważny. Kiedy zorganizowałam w Łodzi wyjazdowe posiedzenie Komisji Kultury, moi koledzy posłowie i posłanki byli zachwyceni miastem, również powstającym NCL, odbyła się nawet ciekawa dyskusja w szkole filmowej. Na razie jednak nie poszły za nią konkretne działania.

– W sierpniu 2011 roku uchwalono nowelizację ustawy o organizowaniu i prowadzeniu działalności kulturalnej. Ustawa wzbudziła bardzo wiele kontrowersji, szczególnie wśród dyrektorów instytucji kultury. Niepokój wywołały np. zapisy pozwalające łączyć instytucje kultury różnego typu, oddawać je w zarząd stowarzyszeniom albo podmiotom prywatnym. Czy takie podejście nie doprowadzi do destabilizacji oraz zantagonizowania środowiska organizacji pozarządowych i instytucji?

– Mamy XXI w. i musimy sobie zdać sprawę z tego, że wiele się musi jeszcze zmienić w kwestii organizacji instytucji kultury, które często wymagają

gruntownej restrukturyzacji. Będę broniła tej ustawy. Mamy w Polsce problem z rozdrobnieniem tego typu placówek. Nie uważam, żeby koniecznie w małej miejscowości musiała istnieć osobno biblioteka szkolna i publiczna. Mnożenie administracyjnych bytów jest w gruncie rzeczy najbardziej szkodliwe dla samych ludzi kultury, pracujących na tzw. stanowiskach merytorycznych. Oczywiście, pozornie może się wydawać, że władza znów próbuje społeczeństwu czy ludziom kultury coś zabrać, ale taka opinia nie jest sprawiedliwa. Nie wyobrażam sobie sytuacji, w której moglibyśmy sobie pozwolić – my, politycy – na lekkomyślne zabiegi wokół szczególnie istotnych instytucji kultury o ponadlokalnym zasięgu, posiadających ważne i wymagające troski dziedzictwo materialne. W lokalnym kontekście jednak, dlaczego stowarzyszenie, spółdzielnia czy nawet mała firma nie miałyby lepiej zarządzać biblioteką niż urzędnik?

– Dziękujemy za rozmowę

*Rozmawiali:
Błażej Filanowski, Marcin Kieruzel*

Przebojowa wystawa w Muzeum Sztuki

Korespondencje wielu adresów

kultura

Dwie kolekcje, dwa pomysły, dwa muzea. Monumentalna wystawa *Korespondencje. Sztuka nowoczesna i uniwersalizm* – owoc kilkuletnich przygotowań i współpracy organizacyjnej między Muzeum Sztuki a szwajcarskim Kunstmuseum Bern – uświadamia każdemu odbiorcy, jak zuchwałe wyzwanie rzucone niegdyś tradycji przez awangardę odmieniło nie tylko sztukę, ale i skróciło wybitnie wcześniejszy dystans do wszelkich poczynań awangardowych. Połączenie na jednej wystawie dwu powstałych w różnych warunkach kolekcji, tak aby mogły stanowić uzupełniającą się opowieść o drodze, jaką przeszła sztuka w XX wieku, stworzyło niewątpliwie szerokie pole, które mogłoby zagospodarować krytyczny osąd starzejącej się europejskiej kultury.

Legenda znajdującej się w Łodzi od osiemdziesięciu lat Międzynarodowej Kolekcji Sztuki Nowoczesnej pracuje coraz wydajniej na pomyslność Muzeum Sztuki. To wielki atut. Dlatego wielu admiratorów tej placówki było zaskoczonych sposobem pokazania łódzkiej unikatowej kolekcji podczas otwarcia gmachu ms2. Skupiona w jednej salce i eksponowana – raczej jak relikwiarz archeologicznych artefaktów niż najbardziej wymowny i utrwalony zbiór wytyczający kierunek progresywnej sztuce europejskiej – ta pionierska w historycznym kształcie kolekcja sztuki nowoczesnej przez wielu młodych widzów została po prostu niezauważona. Umiejscowienie jej jako skupionej na kształt ikonostasu całości w tle ogólnej ekspozycji było zapewne błędem



Widok wystawy *Korespondencje*, piętro 2,
fot. P. Tomczyk



wynikającym ze zbytowego zawierzenia kuratorskiej rutynie. Nielusnie, bo wiedza o tej kolekcji znajduje się dziś w powszechnym obiegu – nie tylko zresztą w środowiskach muzealników czy historyków sztuki.

To już nie te czasy, kiedy francuski krytyk Gerald Gassiot-Talabot mógł napisać w 1966 roku na łamach czasopisma „Art International”: „przerzucając kartki katalogów wystaw *Abstraction-Creation* z lat 1932-1933, można znaleźć ślad twórczości zadziwiającego rzeźbiarza o nazwisku Kobra, którego dzieła są prekursorskie wobec angielskiej rzeźby współczesnej, jest w nich to samo określenie objętości płaszczyznami, to samo upodobanie do krzywych barokowych i przerwanych rytmów. Jedynie barwa pozostaje nieznaną na fotografiach czarno-białych. To spotkanie z nieznanym twórcą sprawia, że chciałoby się wiedzieć więcej o dziełach tego Kobra”. Takie zaskoczenie uznanego zachodniego znawcy sztuki XX wieku na widok starych gazetowych reprodukcji przedstawiających rzeźby Katarzyny Kobra nie wynikało z indolencji Francuza. To że Katarzyna Kobra to kobieta i jedna z najwybitniejszych artystek pierwszej połowy XX wieku – na Zachodzie, podobnie jak Gassiot-Talabot nie wiedział już nikt, choć na reprodukcje dzieł nieznannej artystki krytyk natrafił na łamach starych katalogów wystaw wydanych bądź co bądź w Paryżu, a nie w dalekiej Łodzi czy niechby nawet w Warszawie.

To już nie te czasy, bo o popularyzację w świecie zbiorów sztuki nowoczesnej – darów grupy „a.r.” dla tego muzeum – rozpoczął w 1966 roku walkę przewidzianą na wiele lat dyrektor Ryszard Stanisławski, gdy objął tę skromną placówkę w połowie lat 60. XX wieku. Nie było to łatwe, bo wyjaśnianie wpływowym zachodnim kręgom historyków i krytyków sztuki, że w prowincjonalnym mieście w środkowej Europie znajdować się może rewelacyjna kolekcja międzywojennej sztuki nowoczesnej, spotykało się z rutynowym powątpiewaniem. Na zachodzie, gdzie po 1945 roku sztuka nowoczesna przestała być tylko enklawą zdeterminowanych artystów, ale szybko spowszechniała, zasilając zbiory wielu muzeów i zyskując rynkową atrakcyjność,

myśl, że w ubogiej Łodzi, gdzieś za żelazną kurtyną, uchowała się pionierska kolekcja sztuki nowoczesnej, zgromadzona bez pieniędzy, a jedynie społecznym wysiłkiem małej grupki, wydawała się fantazją.

* * *

Po latach Ryszard Stanisławski – świadomy już atutów, jakimi dysponuje łódzkie prowincjonalne muzeum – mówił o jego unikatowej kolekcji na użytek zagranicznych admiratorów progresywnej sztuki XX wieku: „Koncepcja jej (Międzynarodowej Kolekcji Sztuki XX wieku – przyp. G.R.) nie była tożsama z koncepcją jakiegokolwiek innego organizmu mającego współcześnie powstać, czy w centrach awangardy radzieckiej – co nie mogło się udać z przyczyn politycznych – czy jako Gabinet Abstrakcyjny w Hanowerze, zrealizowany przez El Lissitzkiego, tym bardziej różniła się w sposób zdecydowany od programu i praktyki Alfreda Barra, organizującego kolekcje Museum of Modern Art w Nowym Jorku. Lista zaproszonych artystów, opracowana przez Strzeмиńskiego i jego paryskich partnerów, Jana Brzękowskiego i Michela Seuphora, była zarówno wyrazem artystycznych preferencji, jak i rezultatem okoliczności. Pierwsze to jej charakter zachodnioeuropejski, bez uczestnictwa artystów z ZSRR, z którymi przecież Strzeмиński poprzednio blisko współpracował – to jednak wynikało z izolacji kultury radzieckiej w 1929 roku. Nie udało się pozyskać na powrót z Berlina prac Malewicza, wystawionych w Warszawie w 1927 roku, przeszły one potem na własność muzeum w Amsterdamie. Ofiarowany w 1939 roku przez Kandyńskiego obraz, którym zaopiekowała się w Paryżu Teresa Żarnower, co potwierdza dokument znajdujący się w Centre Pompidou, z powodu wybuchu wojny nigdy niestety nie dotarł do Łodzi. Nie weszły do zbioru prace artystów z Europy Środkowej, bo kontakty [...], nawiązane przez Mieczysława Szczukę i «Blok» po jego śmierci wygasły,

kultura





a w Pradze, z którą stosunki były wówczas bardziej niż odległe, sądzono, że z tą śmiercią nastąpił koniec awangardy polskiej. Nie kojarzono też nazwiska Strzemińskiego z Polską (sic! – podkr. G.R.). Kolekcja łódzka charakteryzuje się dużą rozpiętością kierunków, znacznie większą niż obejmował skromny „gabinet” hanowerski. Dominuje wprawdzie sztuka abstrakcyjna w najlepszym wydaniu, na przykład Holendrów, Belgów, Szwajcarów, samych Polaków, lecz są prace przedstawieniowe, na przykład Legera, albo ekspresjonistyczne, jak Switkiewicza, czy surrealistyczne, jak Ernsta. Ta obecność surrealistów jest tym bardziej znamienna, że Strzemiński zainteresował się bliżej tym kierunkiem jako wyrazem «biologicznego» nurtu historii idei, łącząc go z «irracjonalizmem», jak się wyrażał, którego potrzebę stopniowo coraz wyraźniej sam odczuwał. Fakt znakomitej prezentacji abstrakcjonistów, co na owe czasy było w muzealnictwie niepraktykowane, wysoko cenił zawsze współtwórca i przyjaciel łódzkiej kolekcji, artysta i krytyk zarazem, Michel Seuphor. [...] wracając do samej kolekcji, powiem, że była ona dla jej twórców zapewne prawdziwą

satysfakcją, zaś dla tych, którzy ją po wojnie i rozproszeniu na powrót zebrali, była bez wątpliwości, tak jak jest dziś dla nas, źródłem radości i poligonem pracy”.

Strzemiński był nie tylko wybitnym artystą, ale także wizjonerem w tworzeniu kultury społecznej. Borykając się z ciągłymi niedostatkami materialnymi, pozostawił w łódzkim muzeum skarb o znaczeniu nie tylko materialnym – choć i to może dziś imponować nieprawdopodobnie wartością – dał Łodzi powód do dumy jako miasta wyjątkowo przyjaznego awangardzie artystycznej.

* * *

To jest niezaprzeczalny walor Łodzi i trudno się dziwić, że w kręgach muzealnych poza Polską budzi się tu i ówdzie apetyt, aby skorzystać z tego legendarnego pomostu, jaki zbudowali twórcy Międzynarodowej Kolekcji Sztuki Nowoczesnej. Nic więc dziwnego, że nobliwe Kunstmuseum ze szwajcarskiego Berna zapragnęło współpracy z Muzeum Sztuki. Wspomniana nobliwość dotyczy oczywiście historii tej raczej tradycyjnej placówki wzbogaconej w pewnym szczęśliwym momencie donacją Hermanna Rupfa, zamożnego i światłego przemysłowca i kolekcjonera sztuki. Szczęśliwy traf sprawił, że Rupf już od lat dziesiątych XX wieku zbierał dzieła młodych artystów poszukujących nowych środków wyrazu. Zaletą tych artystów była nie tylko ich niezgoda na tradycyjną estetykę, ale i ceny ich prac. Rupf, niewątpliwie człowiek dobrze wykształcony i kulturalny, doceniał potrzebę lokowania pieniędzy w dzieła sztuki. Ale to, że zainteresował się twórcami nowoczesnymi, zawdzięczał bystremu marszałkowi Danielowi-Henry'emu Kanwailerowi. To Kanwailer, marszałek Picassa, sprawił, że zaprzyjaźniony z nim Rupf kupował to, co po latach uczyniło tego zamożnego właściciela fabryki pasmanterii i galanterii posiadaczem liczącej się kolekcji zachodnioeuropejskiej sztuki XX wieku. Pewnie gdyby wtedy Kanwailer dostrzegł istnienie wybitnych twórców sztuki nowoczesnej w Polsce czy w innych krajach naszej części Europy, poradziłby zapewne Rupfowi kupować obrazy Strzemińskiego, Chwistka, Stażewskiego, Hillera czy czeskich surrealistów.

Ale Rupf koncentrował się na tym, co mu wskazał Kanwailer działający w Paryżu. Dzięki temu kupował więc niedrogo prace m.in. Pabla Picassa, George'a Braque'a, Paule Klee, Wasyla Kandyńskiego, Andre Massona, Lyonela Feiningera i innych twórców, których dzieła dawno weszły do podstawowych kanonów sztuki nowoczesnej, osiągając dziś wyjątkowe aukcyjne ceny. Ale jak przystało na wzorowego Szwajcara, nabywał także dzieła rodzimych artystów, których znaczenie nigdy raczej nie przekroczyło zainteresowań lokalnych znawców sztuki. Bogaty przemysłowiec powiększał swoją kolekcję stopniowo i bez obawy o jej los.

* * *

Inaczej było ze Strzemińskim, bez którego nie byłoby ani unikatowej kolekcji, ani międzynarodowej sławy Muzeum Sztuki. Kiedy umierał w nędzy w 1952 roku, kolekcja, która jest dziś chlubą Łodzi, była niedostępna dla widzów i już



od kilku lat ukryta w piwnicznych magazynach jako wytwór „burżuazyjnego formalizmu”, a sam Strzemiński, pozbawiony pracy na uczelni, którą współtworzył, został także wykluczony z grona członków Związku Polskich Artystów Plastyków po to, aby utrudnić mu utrzymanie i zmusić do poniżającego zatrudnienia jako dekoratora sklepowych witryn. Taka była cena jego późniejszej pośmiertnej sławy.

* * *

W 1954 roku Hermann Rupf, będąc spełnionym posiadaczem dużej kolekcji sztuki, postanowił udostępnić ją publiczności. Najpierw stworzył fundację, a potem przekazał zbiory jako depozyt do Kunstmuseum Bern. Zyskiwał tym samym publiczną sławę animatora sztuki i filantropa, ponieważ poza swoim zbiorem wyposażył także to muzeum w dodatkowe środki finansowe przeznaczone na opiekę i wzbogacanie kolekcji. Na początku lat 60., po śmierci Rupfa i jego żony, cała kolekcja stała się własnością muzeum.

Połączenie w jedną całość dwu kolekcji powstałych w mniej więcej tym samym czasie, ale w zupełnie innych warunkach przydaje zapewne splendoru muzeum szwajcarskiemu. Przeważającą bowiem siłą wystawy *Korespondencje. Szuka nowoczesna i uniwersalizm* są zbiory własne łódzkiego muzeum. Wśród potężnej ekspozycji, rozlokowanej na trzech piętrach dawnej fabryki w kompleksie Manufaktury, zasoby łódzkiej placówki, zapoczątkowane przez prekursorskich społeczników z grupy „a.r.” poprzez nabytki dodawane przez kolejnych dyrektorów – tu wciąż kadencja Ryszarda Stanisławskiego wydaje się najbardziej konsekwentna – najsilniej rzucają się w oczy.

* * *

Zderzenie dwu kolekcji: Muzeum Sztuki i Rupf-Stiftung Kunstmuseum Bern jest w zaproponowanej przez łódzkich kuratorów wystawie dość trudne dla klarownej oceny muzealnego widza. Wymieszane dzieła, reprezentujące różne estetyki i idee artystyczne, zostały ułożone w dwanaście ciągów ekspozycyjnych i dobrane według nazbyt swobodnych kryteriów. Te ciągi nazwane pasażami wypełnione zostały pracami całkowicie odległych od siebie autorów, często reprezentujących zupełnie nieprzystające wzajemnie poetyki artystyczne. Tytułowe „korespondencje” pomiędzy pracami towarzyszącymi sobie wewnątrz poszczególnych pasaży nie są racjonalnie czytelne, lecz w zamierzeniu kuratorów wieloznaczne i metaforyczne. To pewnie dobrze, że ekspozycja burzy pewne przyzwyczajenia polegające m.in. na tym, że prace jednego autora zgrupowane są na ogół obok siebie. Tu nic z tych rzeczy. W ten sposób ekspozycja rządzi się – niczym utwór liryczny – trudno weryfikowalnym porządkiem. Zresztą same tytułowe hasła owych pasaży: *Stracony list*, *Zakrzywianie przestrzeni*, *Niesamowite zamieszkiwanie*, *Praca dowcipu*, *Obietnice śmierci*, *Piękno nowoczesne*, *Odbicia Narcyza*, *Materializacja spojrzenia*, *Uwiedzenie codziennością*, *Estetyka utowarowienia*, *Kryzysy i nowe porządki*, *Polityka marzenia*, brzmią jak wersety poetyckie, a nie precyzyjne kwantyfikatory określające przymioty dzieł umieszczonych w poszczególnych grupach.

Może to i dobrze, bo ogrom wystawy skłania właściwie, aby oglądający skupiali się na małych wycinkach ekspozycji. Wystarczyłby więc jeden dzień zwiedzania na jeden pasaż, aby zastanowić się np. dlaczego w pasażu *Piękno nowoczesne* umieszczono dokumentację Chrisa Burdena – amerykańskiego performerera sfotografowanego z krwawiącą ręką przestrzeloną na własne życzenie – obok lapidarnie pięknych dwóch dzieł Hansa Arpa (możemy je podziwiać właśnie dzięki kolekcji Hermana Rupfa). Czyż nie lepiej byłoby, aby Burden znalazł się w sąsiednim pasażu *Obietnice śmierci*? Bo przecież człowiek, który strzelanie do siebie traktuje jako akt artystyczny, prowokuje śmierć, a nie pogrąża się w nawet najbardziej symbolicznym pięknie. Jakim pięknie? W albumie wystawy zresztą autorzy tekstów krwawy rytuał Burdena opisują wprost: „W performansie *Strzał (Shoot)* Burden uczynił z siebie cel strzału. Zrobił to, aby poznać prawdziwą wagę tej sceny, będącej elementem amerykańskiej kultury masowej, a także związanej z wojną w Wietnamie. Takie działanie pozwala artyście rewidować powierzchowną, stereotypową wiedzę o świecie i ukazywać słabość zdolności przewidywania”. Dla jednych może to więc być najwyższy akt poświęcenia, podobny do samospalenia mnichów buddyjskich, ale dla innych jedynie przejaw ponurego medialnego masochizmu. Co ma więc wspólnego nieszczęsny casus Burdena z pomieszczonymi w tym samym pasażu cudownymi małymi obrazami Aleksieja Jawleńskiego zawierającymi – jak piszą w albumie towarzyszącym wystawie sami organizatorzy – „poszukiwanie pierwiastka boskiego w ludzkim obliczu”. Dobrze, że tu akurat znacznie większą kolekcją dzieł Jawleńskiego mogą się poszczycić zbiory Muzeum Sztuki.

A więc konstrukcja tej monumentalnej wystawy w podziale na pasaży jest nad wyraz umowna. Pasaże-hasła tak naprawdę o niczym jeszcze nie świadczą.



Najbardziej chaotycznym w zamierzeniu zbiorem jest z pewnością pasaż o nazwie *Stracony list*. W tym wyjątkowo pojemnie potraktowanym zbiorze znaleźli się przedstawiciele abstrakcji geometrycznej, kubizmu, symbolizmu, neoplastycyzmu, ekspresjonizmu, fowizmu, surrealizmu, sztuki wideo, fotografii pejzażowej, instalacji, sztuki konceptualnej, fotomontaży i sztuki metafizycznej. Obok Katarzyny Kobro Stanisław Ignacy Witkiewicz, obok Władysława Strzemińskiego Fernand Leger, obok Henryka Stażewskiego Andre Masson itd., itp. W zamyśle realizatorów to wymieszanie artystów różnych orientacji, stylistyk i talentów łączy (łączyło?) poszukiwanie swego miejsca w nierozpoznanym jeszcze świecie wartości artystycznych i społecznych. W przerośni artysta, podejmując ryzyko tworzenia nowej sztuki, był jak nadawca listu włożonego do butelki i wrzuczonego do morza w oczekiwaniu na jego odbiór przez nieznanego adresata. Ta literacka figura metodologiczna jest jednak tak pojemna, że za szyldem *Stracony list* można byłoby umieścić całą wystawę bez potrzeby tworzenia pozostałych pasaży.

* * *

Wydaje się, że bardzo bogata i zgromadzona przez lata materia twórcza wydobyta w takiej ilości z magazynów Muzeum Sztuki i uzupełniona wprawdzie mniej bogatym, ale ciekawym zbiorem pożyczonym z Kunstmuseum Bern dostarczyłaby już sama z siebie poczucia wielkiej przygody obcowania z ważną i inspirującą do kontemplacji sztuką. Zabieg kuratorski, aby to bogactwo porozdzielać arbitralnie na niezbyt zrozumiałe segmenty – wymieszać języki artystyczne, komunikaty i okresy historyczne – po to, aby skomplikować odbiór całości, tak by wystawa straciła czytelność dla zwykłego odbiorcy, wydaje się za daleko idącym eksperymentem. To prawda, że muzea muszą zmieniać formy swoich ekspozycji, aby nie skostnieć w ramach jednej dogmatycznej propozycji. Pokusa, aby budując nową ofertę muzealną, zerwać z ustalonymi wcześniej kanonami opartymi o chronologię historyczną i klasyfikację stylistyczną czy też inny utrwalony przez historyków sztuki porządek dydaktyczny, jest dzisiaj zbyt silną aby z niej zrezygnować. Tyle że kuratorska wolność musi uwzględniać pewne granice, poza które wychodząc, traci się kontakt ze specyficzną tradycją muzeum. Muzeum Sztuki w całej swojej historii przykładło zawsze silną wagę do dydaktyzmu ekspozycji. Być może za dyrekcji Mariana Minicha dydaktyzm przybierał czasem przesadne, a nawet naiwne formy, to jednak Ryszard Stanisławski, który położył nieocenione zasługi dla unowocześnienia praktyki wystawienniczej tego muzeum, stawiał zawsze problem dydaktyzmu jako stałą relację z widzem, któremu w sposób usystematyzowany przybliżyć należy najbardziej progresywne manifestacje z zasobu sztuki aktualnej i uczyć go rozumienia.

Okazja, jaką przyniosła możliwość połączenia dwu muzealnych zbiorów w jedną prezentację, to niewątpliwie szansa dla publiczności oraz wiele dylematów dla kuratorów. Kuratorzy zdecydowali się na swobodną interpretację połączonych zasobów, adresując tę niewątpliwie ciekawie skonstruowaną wystawę raczej do wypróbowanych znawców sztuki niż przeciętnego gościa muzeum. Taki gość zatrzyma się zapewne przy niektórych dziełach, ale nie uchwyci idei rządzącej całością. Oczywiście jest to ryzyko kuratorskiej koncepcji, które warto podejmować, bo każda kolekcja jest w końcu zbiorem otwartym, nieskończonym. Raz narzucony porządek muzealnej ścieżki może się znużyć i wypłoszyć co ambitniejszych widzów. Otwartość kolekcji – choćby tylko czasowa – kusi, aby tę kolekcję – jak zauważa Umberto Eco – „interpretować nieskończenie wiele razy”. Więc to, co mamy okazję wchłonąć na trzech piętrach ms2, jest tylko jednym z takich przypadków. Bo może być jeszcze wiele – jeśli nadarzy się możliwość – całkiem różnych interpretacji tego zbioru stanowiącego – było nie było – przegląd reprezentantów stu lat sztuki nowoczesnej.

Władysław Strzemiński, moralny patron Muzeum Sztuki, był zdecydowanym zwolennikiem logicznej przejrzystości ekspozycji muzealnych. Niejednokrotnie krytykował praktykę przypadkowości umieszczonych obok siebie prac. Wynikało to z jego silnego przekonania o edukacyjnej roli sztuki jako instrumentu kształtowania

postawy nowoczesnego człowieka. W 1936 roku na łamach ukazującej się w Łodzi „Formy” (nota bene najlepszego chyba czasopisma o sztuce nowoczesnej ukazującego się okresie międzywojennym w Polsce) pisał: „przypadkowość rozmieszczenia obrazów i trudność orientacji wśród nich, konieczność wyszukiwania pokrewnych tendencji w odległych nieraz miejscach muzeum nasuwa przypuszczenie – że zamiast metody dydaktycznej powodowano się przy rozwieszaniu metodą «symetryczną», tzn., że największe obrazy wiszą na środku ściany, a mniejsze po bokach, że zamiast ułatwienia studiowania sztuki dążono do powierzchownego i czysto zewnętrznego efektu olśnienia przypadkowego i mało wyrobionego widza banałem dekoracyjnego przepychu”.

Strzemiński pisał to blisko osiemdziesiąt lat temu. Nie istniała wówczas w muzeach instytucja kuratora jako nieograniczonego w swoich pomysłach prezentera sztuki stworzonej przecież nie przez niego, ale przez artystów. Ale problem chyba narastał, a twórca unizmu dostrzegł już wówczas konieczność budowania harmonii między władztwem i upodobaniami muzealnych dysponentów a niezbędnym dydaktyzmem stojącym za utrzymaniem wychowawczej roli sztuki.

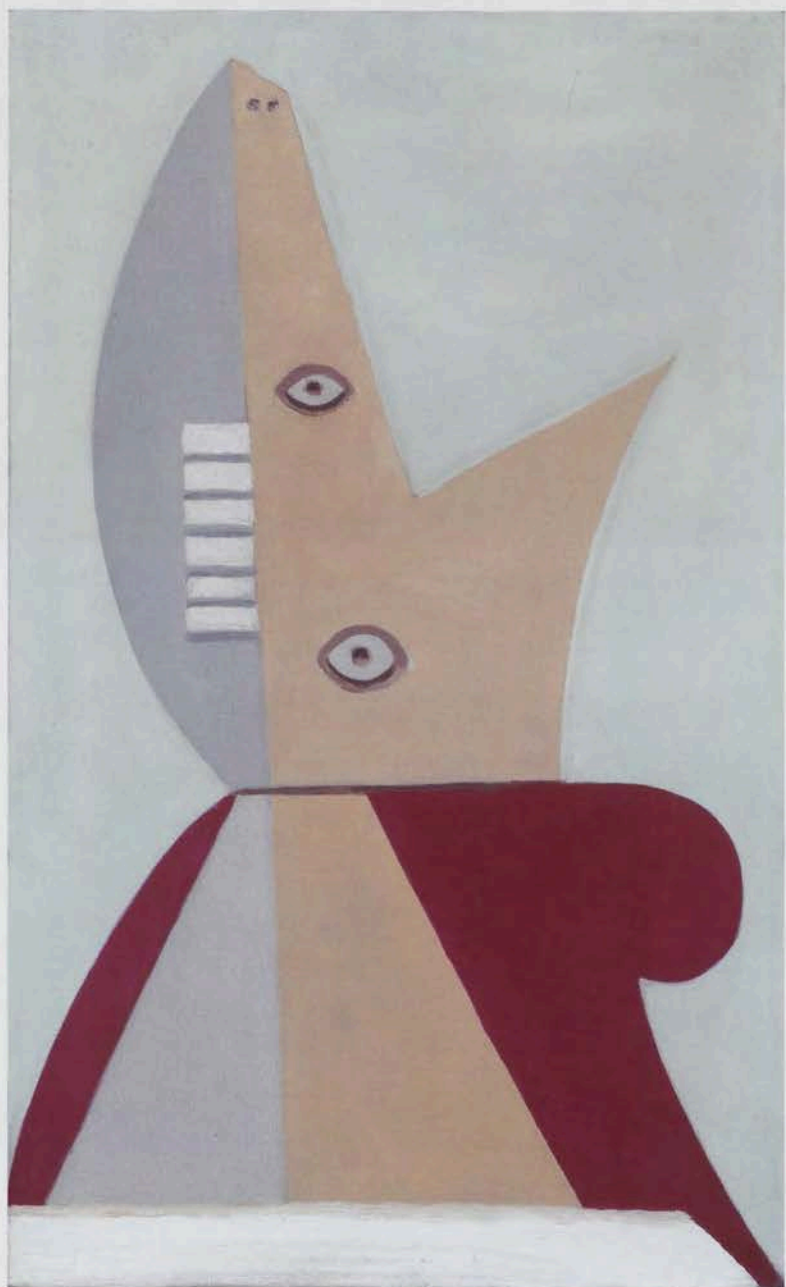
Gustaw Romanowski

Muzeum Sztuki w Łodzi. Korespondencje. Sztuka nowoczesna i uniwersalizm. Wystawa z kolekcji Muzeum Sztuki w Łodzi i Rupf Stiftung Kunstmuseum Bern. Kuratorzy wystawy: Jarosław Lubiak i Małgorzata Ludwisiak. Architekt: Krzysztof Skoczylas. 14 grudnia 2012-30. czerwca 2013. Wystawie towarzyszy album – katalog liczący 982 strony.

Cytaty użyte w tekście pochodzą z:

1. Janusz Zagrodzki, *Katarzyna Kobro* [w:] Grupa „a.r.” 40-lecie Międzynarodowej Kolekcji Sztuki Nowoczesnej w Łodzi, Muzeum Sztuki w Łodzi 1971.
2. Ryszard Stanisławski, *Odpowiedzi na postawione pytania*. [w:] Kolekcja sztuki XX, Galeria Zachęta 1991.
3. Umberto Eco, *Lector in fabula*. Warszawa 1994.
4. Władysław Strzemiński, *Muzeum*, „Forma” nr 5 1936 [w:] Władysław Strzemiński, *Pisma*, pod redakcją Zofii Baranowicz, Ossolineum 1975.
5. Muzeum Sztuki w Łodzi – *Korespondencje. Sztuka nowoczesna i uniwersalizm*. Redakcja Jarosław Lubiak i Małgorzata Ludwisiak. Łódź 2012 – *Chris Burden* (AN) str 512.

Korespondencje – Sztuka Nowoczesna i Uniwersalizm



Picasso Pablo, Tete de jeune fille, 1929, materiały prasowe Muzeum Sztuki w Łodzi



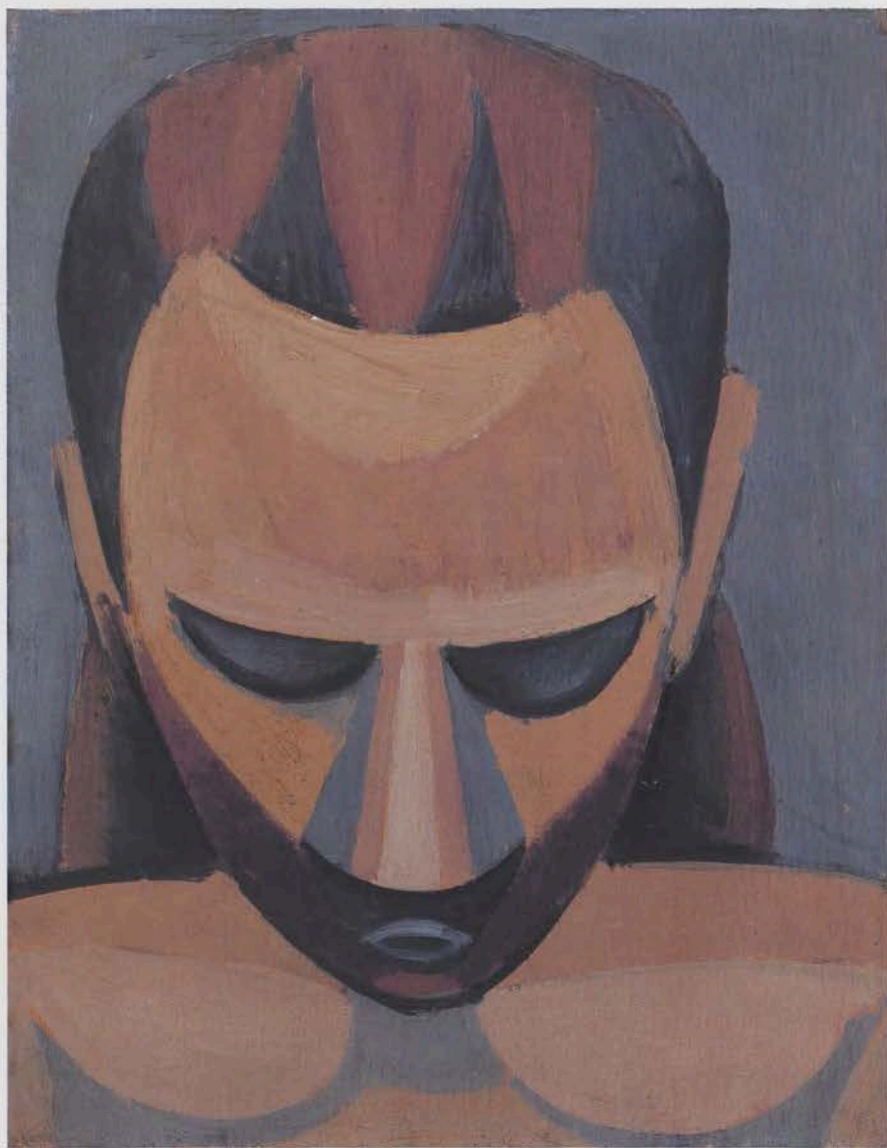
Paul Klee, Sceneria-Pejzaż [Buehnen-Landschaft], 1937, dzięki uprzejmości Fundacji Hermanna i Margrit Rupf, Kunstmuseum Bern, Muzeum Sztuki w Łodzi



Kadinsky Wassily, Aquarell 1916, Muzeum Sztuki w Łodzi



Fernand Léger, Zielone liście, 1927, dzięki uprzejmości Fundacji Hermanna i Margrit Rupf, Kunstmuseum Bern, Muzeum Sztuki w Łodzi



Pablo Picasso, Głowa mężczyzny [Tête d'homme], 1908, dzięki uprzejmości Fundacji Hermanna i Margrit Rupf, Kunstmuseum Bern, Muzeum Sztuki w Łodzi



Andy Warhol, Marilyn Monroe, 1964, Muzeum Sztuki w Łodzi

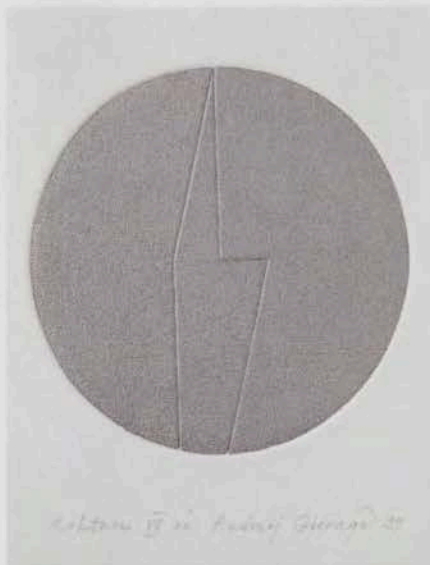


Fot. Piotr Tomczyk, dzięki uprzejmości Muzeum Sztuki w Łodzi

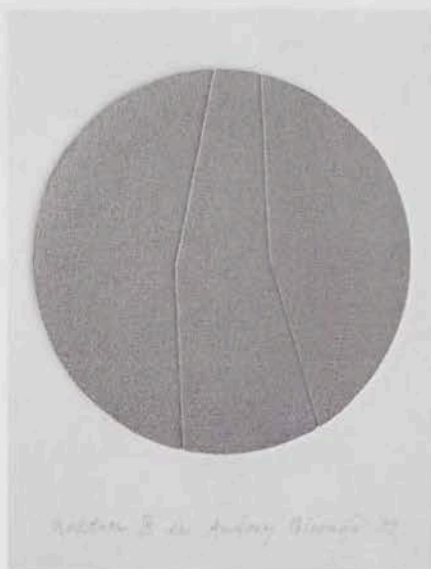
Małe formy grafiki Andrzeja Gieragi



Epitaph III, 1992, akwatinta, relief,
15x12 cm



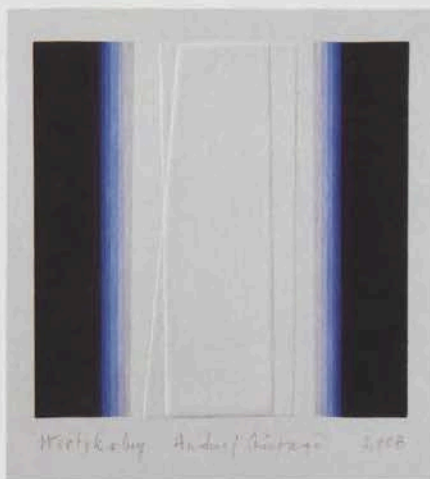
Nokturn VIII, 1999, akwatinta, relief,
15x12 cm



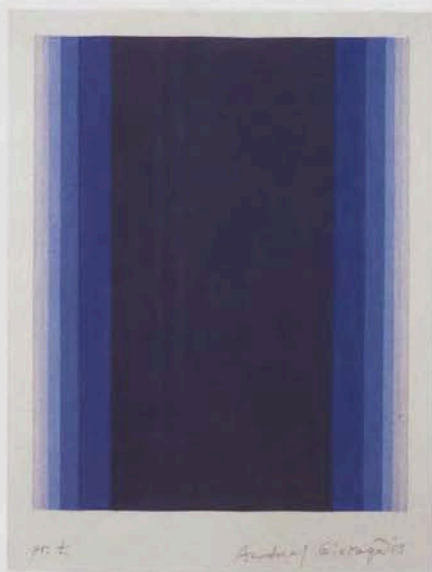
Nokturn IX, 1999, akwatinta, relief,
15x12 cm



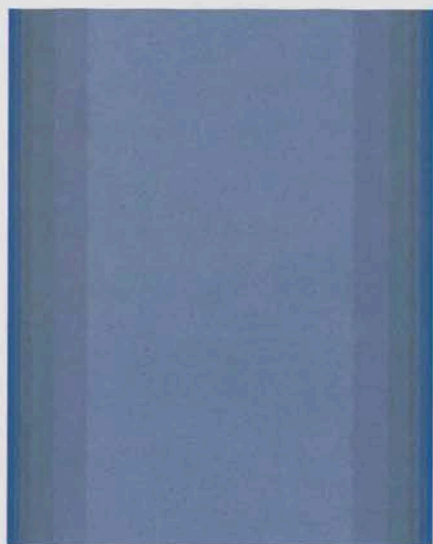
Nokturn XI, 1999, akwatinta, relief,
15x12 cm



Wertykalny, 2008, akwatinta, relief,
10x10 cm



Progresja tonu, 2009, akwatinta, relief,
15x12 cm



Wertykalny VIa, 15x12 cm,
druk cyfrowy, 2012



Wertykalny N, 15x12 cm,
druk cyfrowy, 2013

Małe grafiki Andrzeja Gieragi

Puryzm wyrafinowanej prostoty

kultura

Spośród artystów, którzy dziś chyba najsilniej poczuwają się do kontynuacji nurtu wywiedzionego z geometrycznego rygoryzmu sztuki abstrakcyjnej, jaki legł niegdyś u podstaw ideowych Łódzkiej uczelni plastycznej, należy niewątpliwie Andrzej Gieraga. Kiedy jako absolwent Państwowej Wyższej Szkoły Sztuk Plastycznych odbierał jej dyplom w 1971 roku, był już artystą w pełni dojrzałym i świadomym tego, co będzie robił. Jego wyjątkowo dojrzały debiut był dla środowiska artystycznego sporym zaskoczeniem.

W 1972 roku nazwisko artysty stało się głośnie, kiedy otrzymał główną nagrodę na Festiwalu Polskiego Malarstwa Współczesnego w Szczecinie. Od początku zwracała uwagę niezwykle umiejętność analitycznego harmonizowania bardzo oszczędnych form stosowanych przez artystę. Był to czas, kiedy Gieraga zredukował paletę barw do czerni i bieli. Jednocześnie do rozgrywanych na płaszczyznach obrazów swoistych dialogów między amorficznymi formami obłymi a wywiedzionymi z geometrii formami kanciastymi wprowadził elementy przestrzenne, płaskorzeźbowe. To łączenie płaszczyzn i reliefów pozostało do dziś charakterystyczną cechą nie tylko malarstwa, ale też tworzonej równolegle na podobnych prawach grafiki. O malarstwie Gieragi pisano już wiele. Pisali krytycy i teoretycy sztuki, eseiści, a nawet poeci. Graficzny dorobek artysty, choć zasługuje dziś na szczególną uwagę, jest opisany mniej. Ale ten dorobek jest bardzo ważny.

Gieraga malował i maluje nadal dużo. Jego pełnoformatowe obrazy wędrują po wystawach w Polsce i za granicą, chętnie eksponują je niemieckie galerie. Równolegle jednak z malarstwem, w którym osiągnął wyraźną pozycję już w latach 70. XX wieku, artysta pracował cały czas nad grafiką, traktowaną właściwie od początku dość eksperymentalnie. To był eksperyment przeprowadzony na wielu płaszczyznach, z których najmniej ważne są może zagadnienia techniczne, którymi najchętniej zachwycają się niektórzy krytycy zwracający uwagę na doskonałą czystość i precyzję graficznych odbitek.

To najbardziej rzuca się w oczy w miniaturach graficznych artysty. Na ogół przyglądając się papierowej odbitce o wymiarach tylko 15x12 cm, łatwiej zauważyć niedokładności tłoczenia, błędy kompozycyjne czy inne uchybienia niż na dużych pełnoformatowych grafikach. W przypadku miniatur Gieragi nawet najbardziej wnikliwie przyglądający się widz doznaje olśnienia niezawodną precyzją wyko-



niania tych maleńkich obrazów. Tak, obrazów, gdyż małe grafiki mają wszystkie cechy, które mogłyby służyć Andrzejowi Gieradze jako wzór i inspiracja dla wielkoformatowych prac.

W lutym 2012 roku w Śródmiejskim Forum Kultury i w marcu 2013 roku w Galerii Duszpasterstwa Środowisk Twórczych w Łodzi można było zapoznać się z tą zminiaturyzowaną wizją twórczej kreatywności artysty. Były to dwie ciekawe wystawy. Bezsprzecznie okazało się, że grafika – będąca jeszcze w latach 80. w mniejszej lub większej mierze estetyczną pochodną jego malarstwa – w pewnym momencie zaczęła oddalać się od swoich malarskich pierwowzorów, tworząc dziś niezwykle frapującą, bo w pełni autonomiczny zespół miniatury obrazów.

Andrzej Gieraga na małych formatach potrafi w sposób najbardziej czysty analizować różne odmiany światła; jego załamania na drobnych duktach tłoczono-papieru, efekty odbicia od gładkich płaszczyzn i niejako jego „zapadanie się”, kiedy płaszczyzna papieru staje się chropawa. Te analizy to także bardzo subtelne badanie widm barwnych w zetknięciu zarówno z fakturą, jak i bielą papieru. Gieraga nie szuka w tych eksperymentach odniesień do form czerpanych z natury. W jego pracach nie ma i nigdy nie było aluzji do świata uprzedmiotowianego, gdyż artysta pozostaje konsekwentnym realizatorem tego kierunku poszukiwań, który wywodzi się z myślenia wczesnego Władysława Strzemińskiego. Czyni to oryginalnie i twórczo, ale z odmiennej perspektywy, która powoduje, że sięganie do tradycji to nie epigonizm. „Tradycja – pisał Strzemiński – to jest materiał, surowiec, lecz z niego trzeba budować, czyli przestoczyć go w to, czym nie był dotychczas. Im dalej odlegamy, tym wierniejsi jesteśmy tradycji”.

Najbardziej fascynujące z grafik Gieragi to te, które zbudowane są z samej bieli. W graficznych technikach akwatinty i mezzotinty można też uzyskać pewną głębokość tłoczenia papieru, ale niewątpliwym kunsztem artysty jest umiejętność tworzenia reliefu kaskadowego, gdzie obok siebie układają się coraz głębsze klify tworzące jakby miniaturowe tarasy lub osuwające czy zarysowane chropawą linią wertykalnie ślady erozji. W literackim szkicu o twórczości Gieragi Lucyna Skompska trafnie zastanawiała się, „co czyni białą powierzchnię obrazem”, mając na uwadze białe grafiki artysty. „Biel – podkreślała – bo wśród grafik Gieragi jest wiele całkowicie białych – nie jest tu przecież brakiem barw czy form [...] jest istotą obrazu. Delikatny biały relief, czasami także – zróżnicowana faktura papieru, powołują obraz do istnienia. By jednak nie było to trwanie, ale istnienie żywe, współtwórcą tego cudu musi stać się oglądający. Wówczas kontur, który się wyłania, staje się płynny, pojawia się i znika [...] jest niestabilny, niepokojący. W jego zmienności, w przeobrażeniach jego rzeźby jest jakieś metaforyczne wahanie między materią papieru i jego fakturą a światłem, które nań pada i z niego się wydobywa. Myślę jednak, że kontur to pojęcie niemal abstrakcyjne. Mówi się o nim jako o zewnętrznej granicy przedmiotu. Ale ta granica istnieje tylko w świadomości patrzącego”.

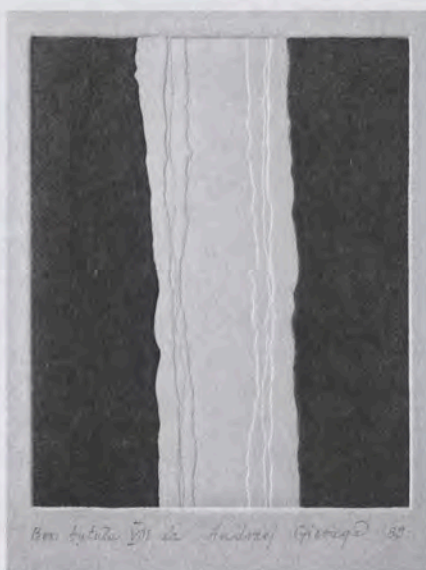
Białe reliefowe grafiki – które tak pobudziły wyobraźnię autorki szkicu, skądinąd znanej poetki, patrzącej na dzieło plastyczne emocjonalnie i dostrzegającej w subtelnościach tłoczeń ukryte metafory – są istotnie wyrafinowaną maestrią. W sztuce grawiury jest to na pewno mistrzostwo złożone z czystej elegancji, wyzbytej przy tym tak chętnie nadużywanej w działaniach twórczych gadatliwości.

Albo weźmy pod obserwację te grafiki, gdzie biel zastąpiła sre-

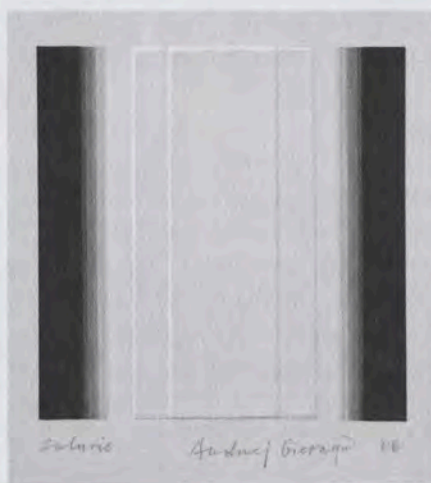


Helios II

Andrzej Gieraga 87



Bez tytułu II Andrzej Gieraga 89



brzysta faktura, a bardzo oszczędne dukty tłoczeń układają się w jakieś aluzyjne znaki. Koliste formy to niewątpliwie zamknięcie prostej kompozycji w kształt symboliczny. Wydrążone w nich linie wyrażają stan niepokoju, dotykając zapewne jakiejś sfery osobistej, której rozszyfrowanie artysta zachowuje dla siebie. Koła przecinane przez wgłębne linie to jakby wytyczone na planach drogi. Co oznaczają – nie wiadomo. Cykl monochromatycznych grafik opartych na motywie koła, nazwanych przez artystę *Nokturnami*, rejestruje niewątpliwie pewne traumatyczne przeżycie. Forma tych grafik budzi respekt niezwykle ściszeniem umownej ekspresji tego przeżycia, którego znaczenie widz może sobie dopowiedzieć i zinterpretować dowolnie.

Najnowsze grafiki, w których wprowadza Gieraga kolor, są subtelnymi studiami. Artysta konstruuje centryczne kompozycje oparte o układ linii wertykalnych z dbałością o zachowanie idealnej symetrii między prawą i lewą stroną planszy. Nie są to bynajmniej tylko estetyczne popisy, a przyjęty układ kompozycyjny nie jest raczej po to, by służyć jedynie kontemplacyjnej elegancji. Gieraga eksperymentuje tu nad psychofizycznymi właściwościami widzenia peryferyjnego, tyle że sprowadzonego do maleńkiego wycinka ograniczonego drobnymi wymiarami miniatury graficznej. Artysta pokazuje, jak tonalne zróżnicowanie w obrębie jednego koloru – żółci, błękitu, fioleto – przechodzi kaskadowo w fazę zaniku lub na odwrót – zyskuje nieprzewidzianą wyrazistość na obrzeżach planszy. Są więc te prace swoistym dyskursem ze Strzemińskim, który pisał: „Kolor i linia powinny współdziałać i zmierzać do kształtu wspólnie i jednostajnie, określonego zarówno przez linię, jak i przez kolor. Niezależność, brak skoordynowania w określeniu kształtu, rozbieżność w jego traktowaniu, zawierają w sobie sprzeczność, konflikt, dualizm, nazbyt wzbogacający formę i podno-

sząc napięcie dynamiczne”. Dlatego właśnie kolor u Gieragi nie zamyka płasko nim pokrytego fragmentu graficznej planszy. Jego rytmicznie zaznaczone tonalne przejścia tworzą tu natomiast dyskretne optyczne złudzenia. Wydaje się więc raz, że powierzchnia pokryta kolorem się unosi, a innym razem, że się zapada. Niekiedy obok rytmów kolorowych pasm pojawiają się pionowe tłoczenia linearne. Powoduje to nowe napięcie między skonfrontowanymi w taki sposób różnymi środkami wyrazu, ale nigdy nie nabiera ono charakteru wyraźnego konfliktu.

Grafika Andrzeja Gieragi w jej zminiaturyzowanym projekcie jest laboratoryjnym przejawem ładu i harmonii. Mimo purystycznej prostoty przekazuje wyrafinowane doświadczenie wizualne zachęcające do uważnej kontemplacji i poszukiwania estetycznych sensów. „Gieraga szuka piękna w prostocie, równowadze i subtelności, w niuansach gry światła i cieni, w klimacie medytacji, a także w aluzyjnych nawiązaniach do nieskończoności i kosmosu” – napisała kiedyś znana krytyczka sztuki Bożena Kowalska.

Niewątpliwie jest to jedna z tych silnych cech kreacyjnych, którą można także zawrzeć w lapidarnej graficznej miniaturze.

Gustaw Romanowski

Andrzej Gieraga – malarz, grafik, pedagog. Absolwent PWSSP w Łodzi (obecnie ASP), w 1971 roku dyplom w pracowni Romana Modzelewskiego. W latach 1971-2005 pedagog tej uczelni, profesor zwyczajny, kierownik Katedry Kształcenia Ogólnoplastycznego, prorektor w latach 1987-1990. Laureat wielu nagród artystycznych krajowych i międzynarodowych. Miał ponad siedemdziesiąt wystaw indywidualnych. Oprócz działalności artystycznej kontynuuje nadal działalność pedagogiczną. Obecnie jest kierownikiem Katedry Malarstwa i Rysunku na Wydziale Sztuki Politechniki Radomskiej.

Cytaty w tekście pochodzą z:

1. Władysław Strzemiński, *Dualizm i unizm* [w:] W. Strzemiński, *Pisma*, Ossolineum, Warszawa 1975.
2. Lucyna Skomska, *Od róż do liter*, „Tygiel kultury” nr 1-3 (193-195) 2012.
3. Bożena Kowalska, *Trzy szkice o artyście* [w:] Katalog wystawy Andrzej Gieragi, Miejska Galeria Sztuki w Łodzi 1999.

Klasyka definiuje świat

Festiwal w Teatrze Jaracza

Co o XXI wieku mógł wiedzieć Wiliam Szekspir? A o czym opowie Antoni Czechow, którego sztukę wystawił w Helsinkach, reżyser ukraiński? Jak zdefiniowała problemy Żydów, mieszkających w Warszawie w latach 30. XX wieku, trupa rosyjska wystawiająca w Moskwie spektakl wg powieści Izaaka Singera, przez reżysera o tatarskich korzeniach? Jak Polak podszedł do niemieckiej tradycji Fryderyka Schillera, pracując nad tekstem w teatrze w Bochum? A czym nas może zaskoczyć Aleksander Puszkina, gdy reżyser rosyjski poprzez niego opisał rządy Władimira Putina? Wydaje się, że to wszystko jest tygłem stylów, pojęć i narodów. Tak wygląda kultura pierwszych dziesięcioleci nowego millenium. Staje się ona coraz bardziej międzynarodowa, chcąc za pomocą kanonicznych tekstów sprzed dwustu, trzystu a nawet sześciuset lat opisać erę doby internetu.

Postawione powyżej pytania stały się hasłami wywoławczymi II edycji Międzynarodowego Festiwalu Teatralnego Klasyki Światowej o podtytule *Nowa Klasyka Europy*, jaki odbył się od 14 listopada do 2 grudnia 2012 w Łodzi. Jego orga-





nizatorem był Teatr im. Stefana Jaracza w Łodzi. Program zaproponował zaś Roman Pawłowski, dziennikarz, krytyk teatralny i dramaturg.

Tryumfator pierwszej edycji

Przy pierwszym festiwalu, jesienią 2010 roku Pawłowski pisał we wstępie do programu imprezy: *Chcemy na nowo zdefiniować pojęcie klasyki w teatrze. Dlatego na festiwalu obok utworów tradycyjnie zaliczanych do kanonu teatralnego, zamierzamy prezentować tytuły nowsze, które dopiero niedawno weszły do teatralnego krwioobiegu.* Międzynarodowe spotkanie w idei miało przyczynić się do ukształtowania nowego modelu kultury czynnej, która może być inspiracją dla całej społeczności impulsem do rozwoju dla miasta i regionu. Wówczas zaprezentowano na deskach Teatru Wielkiego i Jaracza oraz w salach klubu Wytwórnia pięć widowisk, których bezspornym tryumfotorem był łotewski reżyser Alvis Hermianis. Był on znany łódzkiej publiczności, gdyż jego szwajcarskie widowisko *Ojcowie* (Schauspielhaus, Zurych) prezentowano na Festiwalu Dialogu 4 Kultur w 2008 roku. Podczas *Nowej Klasyki* pokazał dwa spektakle, nie bazujące na tekstach dramatycznych: *Panny z Wilka* według opowiadania Jarosława Iwaszkiewicza przygotowane przez Emilia Romagana Teatro Fondazione z Modeny (Włochy) oraz *Opowiadania Szukszyna*, adaptację tekstów rosyjskiego pisarza, Teatr Nacji z Moskwy (Rosja). Zachwycił podejściem niecodziennym do Iwaszkiewicza wygrywając za pomocą gestów napięcie seksualne pomiędzy bohaterami. W inscenizacji prozy Szukszyna wsłuchał się w koloryt rosyjskiej prowincji poprzez oddanie finezyjnych, obyczajowych detali, jak m.in. białe kozaczki. Ciekawostką estetyczną była *Mewa* Czechowa zagrana przez Deutsches Theater z Berlina Volksbühne am Rosa-Luxem-

burg-Platz w reżyserii Jürgena Gosha. Puryzm inscenizacji nadał psychologizmowi Rosjanina współczesny wymiar. *Końcówka* Samuela Becketta w reżyserii Krystiana Lupy, produkcja Teatro de la Abadía z Madrytu (Hiszpania), po raz kolejny pokazała charyzmę zawodową polskiego twórcy. Był to spektakl krótki o dużej kondensacji napięcia i precyzyjnym aktorstwie. Natomiast wielkim przegranym łódzkiego spotkania okazał się Robert Wilson, w którego reżyserii i wykonaniu oglądaliśmy *Ostatnią taśmę Krappa* Becketta. Estetyka Amerykanina zaginęła na scenie Teatru Wielkiego, przytłaczając tekst i aktora. Nieszczęściem twórcy był również fakt, że publiczność pamiętała brawurową rolę Tadeusza Łomnickiego z lat 90. XX wieku, dla którego Krapp stał się metaforycznym zwieńczeniem kariery. Tego niedogodnego dla siebie zestawienia Wilson z pewnością nie mógł przewidzieć.

Sukces pierwszej edycji zachęcił organizatorów do przygotowania kolejnych. Festiwal pokazał, że klasyka jako pojęcie nie zostało odesłane do lamusa, a raczej stało się wyzwaniem dla reżyserów, którzy jak Hermanis wywodzą się z odmiennych tradycji i opowiadają o świecie współczesnym poprzez teksty autorów, którzy zaliczają się do kanonu elitarniej kultury europejskiej. Jesienią 2012 roku zaprezentowano w ramach *Nowej Klasyki Europy* również pięć widowisk. Tym razem wszystkie pokazywano na scenie Teatru im Stefana Jaracza. Program otwierał Wiliam Szekspir, a zamykał Antoni Czechow, a wszystkie przedstawienia opisywały świat XX i emocje XXI wieku.

Dramat kobiety

Imprezę rozpoczęła The Royal Shakespeare Company, legendarna trupa angielska, prezentując utwór swojego patrona: *Gwałt na Lukrecji* w wykonaniu Camille O'Sullivan,



w reżyserii Elizabeth Freestone. Aktorka, znana jest głównie jako piosenkarka, mająca w swym repertuarze utwory m.in. Nicka Cave'a, Jacques'a Brela czy Kurta Weila. Tym razem sięgnęła po trudny poemat, którego nie lubią twórcy współczesnego teatru. Teoretycznie brak w nim owych namiętności czy problemów władzy, winy i kary, tak dobrze znanych z innych tekstów dramaturga. Jednak O'Sullivan uczyniła, z prostej historii żony rzymskiego dostojnika zgwałconej przez etruskiego wodza, dramat o doskonałym feministycznym ładunku. Utwór Szekspira Freestone zamieniła na monodram, gdzie aktorka przy niewielkiej zmianie kostiumu i oświetlenia wygrała, a raczej wyśpiewała: po pierwsze nieokiełznaną chuch Tarkwiniusza; po drugie przerażenie Lukrecji, kochającej żony i zbrukanej kobiety. Tragizm całej sytuacji dotyczył tytułowej bohaterki, która w starożytnym Rzymie nie miała możliwości udowodnienia gwałtu mężczyźnie, bez względu na swoją pozycję społeczną. Jediną drogą do ocalenia czci było samobójstwo. Sztuka wraz z coraz głośniejszym od początku obecnego stulecia dyskursem feministycznym, o różnym zabarwieniu, wpisała się w historię kobiecości, a przede wszystkim zależności w jakie była ona uwikłana na przestrzeni wieków. Temat wydaje się szczególnie aktualny w Polsce, gdzie nieustająco toczy się dyskusja wokół parytetów w sferze życia publicznego.

Dyskusja o nietolerancji

Szosza widowisko według powieści Izaaka Bashevis Singera w reżyserii Tufana Imautdinova (Teatr Narodów Rosja), postawiło nieco przewrotnie pytanie o wykluczenie społeczne. Przy analizie prozy noblisty zawsze skupiamy się na problematyce żydowskiej. Spektakl rosyjski nie zajął się tymi kwestiami, na pierwszym planie postawił zagadnienie niepełnosprawności. Główny bohater Aron Greidinger (Roman Shalypin) zamiast świetlanej kariery autora sztuk teatralnych w Ameryce, u boku eleganckiej aktorski, wybiera Warszawę i miłość do upośledzonej umysłowo Szoszy (Polina Struzhkova). Widowisko stawiało pytanie o normę społeczną, bo tak naprawdę, co ona ma oznaczać? Jakie zachowanie można wiązać z upośledzeniem umysłowym? A jakie ze społecznym? I dlaczego miłość do niestabilnej emocjonalnie aktorki jest bardziej normalna niż uczucie do szczerzej i oddanej dziewczyny, której mózg zatrzymał się na pewnym etapie rozwoju? Żyjemy w czasach, gdy przez media, co chwila przetaczają się dyskusje o różnych formach nietolerancji. Tatarski reżyser dopatrywał się uniwersalizmu, wyrastającego ponad etnicznie wydawałoby się zamkniętą literaturę Singera.

Schiller nad granicą getta

Podobnie stało się ze *Zbójcami* Fryderyka Schillera w reżyserii Jana Klaty, widowiska przygotowanego dla Schauspielhaus w Bochum, w Niemczech. Polski twórca nie boi się wyzwania, pracuje dużo, często z trudnymi tekstami. W Łodzi jego widowiska są znane, gdyż jest prawie stałym gościem Festiwalu Sztuk Przyjemnych i Nieprzyjemnych, organizowanego przez Teatr Powszechny. Pamiętamy również dość kontrowersyjną adaptację



Ziemi Obiecanej Władysława Reymonta, którą wyprodukował wraz z Teatrem Polskim we Wrocławiu i Festiwałem Dialogu 4 Kultur w 2009 roku i rozegrał w halach pofabrycznych dawnych zakładów *Uniontex*. W widowiskach Kłaty można zauważyć jedną główną tendencję: interesują go obszary wolności jednostki. Wydaje się, że w dramacie Schillera chciał pokazać nie romantyczną problematykę względności dobra i zła. Zajął się zbrodnią usankcjonowaną poprzez decyzję jednej osoby, która w danej sytuacji ją usprawiedliwia. Fabuła jest oparta na prostym chwycie rywalizacji dwóch barci: Karola i Franciszka Moor. Pierwszy chce walczyć o sprawiedliwość i zbiera wokół siebie bandę zbirów, wraz z którą morduje, grabi, siejąc strach w okolicy. Drugi knuje przeciw bratu. Chce zawładnąć jego narzeczoną i zniszczyć ojcowską miłość, przy czym wykazuje się dużą umiejętnością manipulacji, przebiegłości. Schiller nie określił jednoznacznie, kto jest dobrym, a kto złym bohaterem tej historii. Osąd moralny pozostawiony zostaje publiczności. Reżyser niczego romantykowi nie dopowiedział, pytanie o kto miał rację w tej historii również pozostawił odbiorcy. Kłata tylko nie przewidział dodatkowego kontekstu, w jaki zostało wplątane jego widowisko w Łodzi. W scenie, w której tytułowi zbrojcy opowiadają o swoich krwawych wyczynach, gwałceniu zakonnicy, mordowaniu kobiet z dziećmi, ich wypowiedzi odsyłały mimochodem do kontekstu historycznego miejsca. Młodzi niemieccy aktorzy stali na deskach teatru oddalonego ledwie parę przecznicy od granicy getta żydowskiego z lat 40 XX wieku. Kwestia zbrodni, przyzwolenia ideologicznego na zabijanie brzmiała wręcz z niespotykaną siłą.

Nieetyczne aluzje

Rozpasanie, swoboda i narzucanie reguł przez władcę, takimi kwestiami zajął się Nikołaj Kolada, wystawiając *Borysa Godunowa* Aleksandra Puszkina. Reżyser, autor, dyrek-

tor Teatru Kolady w Jekaterynburgu był dobrze znany łódzkiej publiczności, głównie jako dramaturg. Jego tekst *Merlin Mongoł* był wystawiany z dużym sukcesem m.in. przez Teatr im. St. Jaracza w Łodzi. On sam był gościem honorowym, wiosną 2012 roku Festiwalu Sztuk Przyjemnych i Nieprzyjemnych. Wówczas opowiadał o trudnościach na jakie napotyka w Rosji teatr polityczny, co determinuje środki wyrazu jakimi może się posługiwać twórca. Mówił również, że dla ukazania mechanizmów władzy Putina posłużył się Puszkinem. Zatem jego *Borys Godunow* opatrzony był uczynionym dużo wcześniej wprowadzeniem. Ale pokazany na *Nowej Klasyce* spektakl od strony estetycznej przypominał produkcje polskie z lat 70. ubiegłego stulecia, w których teksty romantyków zamknięte były w metaforach o lokalnych konotacjach. Budowały one siłę przedstawień teatralnych, których celem było podtrzymanie heroicznych wartości rodem z dziewiętnastowiecznych poematów. Hermetyczność użytych przez Koladę metafor spowodowała, że dla publiczności łódzkiej widowisko nie było czytelne. Godunow ginął pod naporem śpiewów cerkiewnych i nawet wyrazisty rekwizyt jakim było surowe mięso, nie przybliżył tytułowego bohatera do wizerunku Putina, jaki jest znany polskiemu odbiorcy.

Czechow w intelektualnej oprawie

Finałem festiwalu był *Wujaszek Wania* Antoniego Czechowa w nieco zagmatwanej inscenizacji. Bowiem jej autorem był Andrij Zholdak, reżyser pochodzący z Ukrainy, który obecnie jest związany głównie ze scenami berlińskimi. Tekst rosyjskiego dramaturga wystawił Klockriketeatern w Helsinkach, w Finlandii. Na dramat z początków XX wieku został nałożony dyskurs metakulturowy, widoczny również w scenografii. Jej głównym walorem był basen z wodą, który zajmował ponad połowę przestrzeni scenicznej. W stroju przypominającym syrenę pływała w nim Helena (Krista Kosonen), w której kocha się większość męskich bohaterów dramatu. Była szybka, zwinna i nieuchwytna jak emocje opisane przez Czechowa. Pozostałe elementy dekoracji stanowiły ażurowe tło dla nieszczęśliwych rozgrywek miłosnych. Reżyser tekst Rosjanina ogołocił ze słów, uciekając się do ryzykownego manewru opowieści fabuły przy pomocy gestów i napięć sytuacyjnych. Powstało finezyjne przedstawienie, które było doskonałą klamrą *Nowej Klasyki*. Gdyż zaczęła się ona od szekspirowskich namiętności, gdzie kobieta jest podporządkowana sytuacji, a zakończyła miłosnym uwikłaniem, którym już płeć słabsza rządzi... choć z różnym skutkiem.

Inność szansą

Nowa Klasyka Europy pokazała problemy współczesnej kultury, która stała się uniwersalna i ponadnarodowa. Festiwal Jaracza został pomyślany jako konfrontacja różnych odmian współczesnego teatru. Oczywiście tkwią w takim podejściu pewne pułapki, w jakie popadł w pierwszej edycji Wilson, a Kolada w drugiej, jednakże są one naturalną konsekwencją rozwoju estetyki. Należy zaznaczyć, że oprócz ważnej konfrontacji



stylów i pojęć, łódzkie spotkanie dało możliwość obejrzenia produkcji zrealizowanych przez polskich twórców dla scen innych krajów Europy. Ciekawym pytaniem jest kwestia dalszego rozwoju idei *Nowej Klasyki Europy*. Po dwóch udanych edycjach, trzecia powinna wprowadzić jakąś zmianę: pokazać więcej spektakli, zainicjować ogólnopolską dyskusję... etc. Chciałabym, żeby Łódź za sprawą festiwalu stała się może stolicą europejskiej klasyki.

Wydaje się, z historycznego punktu widzenia, jest to miasto najbardziej predystynowane do wyznaczenia współczesnego toru, teoretycznie utartym pojęciom. Bowiem samo stało się zaprzeczeniem patosu związanego z pojęciem kanonicznych dzieł, a wielokrotnie wykazywało, że inność, odmienność może stać się uzusem, który dość szybko jest obowiązującym i klasycznym sposobem widzenia. Wszak tu budowano niegdyś domy w wyklętym stylu zwanym secesją, która czekała pół wieku, by wpisać ją do panteonu uznanych kierunków w sztuce ubiegłego wieku. Tu również doceniono arcyzm Władysława Strzemińskiego. Za jego sprawą stworzono muzeum, w którym awangardziści zamienili się w klasyków nowoczesnego myślenia o sztuce. Łódź drugiej dekady XXI wieku potrzebuje festiwalu, dzięki któremu będzie mogła wnieść nową jakość do kultury. To jest ważna droga dla wyrwania miasta z zapaści, w jaką wpadło wraz ze zmianami ekonomicznymi i społecznymi po 1989 roku.

Dominika Łarionow
– dr teatrolog, pracownica naukowa UŁ

Fot. dzięki uprzejmości Teatru Jaracza

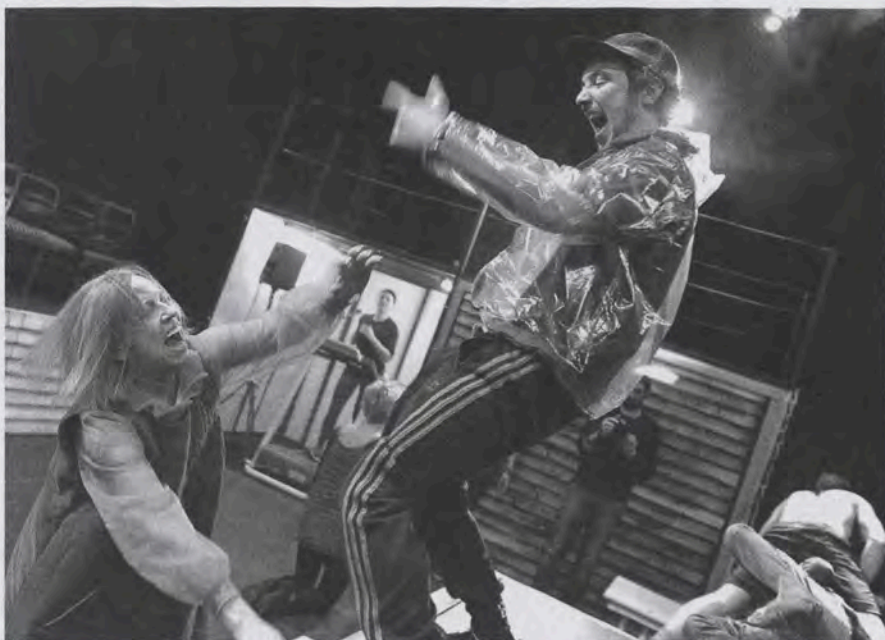
Język dzisiejszej wolności

Karzeł, Down i inne żywioly

kultura

Teatr Nowy im. K. Dejmka w grudniu 2012 roku zaproponował premierę reżysera młodego pokolenia Wiktora Rubina. To konsekwencja linii programowej wprowadzonej w październiku 2010 roku przez powołanego na stanowisko dyrektora teatru Zdzisława Jaskułę. Według założeń programu teatr realizuje spektakle dla różnych grup odbiorców, ale oprócz współczesnej komedii czy spektakli dla dzieci misją sceny stała się realizacja spektakli najciekawszych reżyserów młodego pokolenia. Chodziło o twórców, którzy mówią na scenie własnym językiem teatralnym, poruszają tematy społeczne, reinterpretują klasykę dramatu, a w odbiorze ich spektakle bywają określane jako „kontrowersyjne”. W tym okresie w Teatrze Nowym premiery mieli tacy młodzi reżyserzy jak Jakub Porcari czy Katarzyna Raduszyńska, a także jeden z najciekawszych współczesnych twórców teatralnych Jarosław Tumidajski, który pokazał *Świętą Joannę Szlachetuzów* Bertolda Brechta, czy Tomasz Bazan z *I Ifigenią*, eksplorujący na scenie fizyczność aktora. Największym wydarzeniem okazał się jednak spektakl *Hotel Savoy* Michała Zadary, artysty już uznanego, cenionego również za granicą. Przedstawienie oparte na powieści Józefa Rotha, grane we wnętrzach hotelu przy ulicy Traugutta, otrzymało tytuł wydarzenia kulturalnego roku 2012 roku Energia Kultury przyznawany przez „Gazetę Wyborczą” i telewizję Toya.

Dramat *Karzeł, Down i inne żywioly* Jolanty Janiczak powstał specjalnie dla Nowego. Wyreżyserował go Wiktor Rubin, absolwent wydziału reżyserii krakowskiej PWST, twórca wpisujący się w nurt młodych poszukujących nowych środków wyrazu oraz opowiadający na scenie o współczesności. Rubin rozpoczął pracę reżyserską w 2004 roku spektaklem dyplomowym *Niepoprawni według Fantazego* Juliusza Słowackiego. Już pierwszy jego samodzielny spektakl *Mojo Mickybo* Owena McCafferty’ego w Teatrze Krypta w Szczecinie zebrał dobre recenzje. Otrzymał między innymi tytuł wydarzenia przyznany na 13. Ogólnopolskim Festiwalu Sztuk Przyjemnych i Nieprzyjemnych w Teatrze Powszechnym w Łodzi w 2007 roku. Wiktor Rubin wyreżyserował również w Teatrze Polskim w Bydgoszczy *Tramwaj zwany pożądaniem* Tennesy’ego Williama, *Przebudzenie wiosny* Franka Wedekinda, *Drugie zabicie psa* według Marka Hłaski, a w Teatrze Polskim we Wrocławiu *Cząstki elementarne* według Michela Houellebecqa czy *Lalkę* według Bolesława Prusa. Od spektaklu *Przebudzenie wiosny* datuje się współpraca reżysera z dramaturżką Jolantą Janiczak. Wiktor Rubin



o swojej pracy mówi, że „uprawia teatr krytyczny”, a jego spektakle są „manifestami”. Inspirują go kierunki obecne w sztuce takich artystów multimedialnych jak Katarzyna Kozyra czy Artur Żmijewski, którzy odrzucając estetyzm, interesują się tematami społecznymi, używając zabiegów zrywających z przyzwyczajeniami odbiorców.

Spektakl *Karzeł, Down i inne żywioty* miał premierę 14 grudnia 2012 roku w Teatrze Nowym, ale jego prapremiera odbyła się podczas 5. Międzynarodowego Festiwalu Teatralnego Boska Komedia w Krakowie. To jeden z najważniejszych festiwali w Polsce, a obecność spektaklu w jego repertuarze jest już prestiżowym wyróżnieniem.

Karzeł, Down i inne żywioty to jedna z najciekawszych propozycji Teatru Nowego wśród spektakli twórców młodego teatru poszukującego. Utwór Joanny Janiczak to literatura absurdu i groteski. Akcja rozbita jest tu na szereg wydarzeń, brak jest jednego motywu i określonego miejsca wydarzeń. Spektakl Rubina korzysta z ładunku zawartego w tekście, który pozwala umieścić akcję sztuki w niezdefiniowanej przestrzeni. Wypełnia ją meblami, automatami do gry, piaskownicą z torfem, stawia wysoką konstrukcję z balkonem. Na scenie pojawiają się m.in. wózki, pistolety, galaretki, walizka z pieniędzmi, broń palna i przedmioty codziennego użytku. Ten scenograficzny zlepek przedmiotów i obiektów towarzyszy feerii wydarzeń łączących się ze sobą jedynie pretekstowo, a między bohaterami zachodzą chwilowe relacje. Przestrzenią, która robi największe wrażenie i przyciąga wzrok widza przez cały spektakl, jest wydzielona przeszklona kabina. W jej wnętrzu na elektrycznej bieżni przez cały czas

trwania spektaklu biegnie aktorka. Aktorzy poruszają się po scenie z trzech stron otoczeni przez widownię. Cała ta maszyneria teatralna, bujna, chaotyczna, frenetyczna i obrazoburcza, pozostawia widza z wieloma pytaniami, ale nie ułatwia odpowiedzi.

Karzeł, Down i inne żywioły zaczyna się sceną rodzinną pomiędzy Sally i Sąsiadem, ale nie w stronę familijnych historii podąży spektakl. Tytułowy Down (w tej roli świetny Michał Bieliński) z początku próbuje żyć zwykłym życiem, zbliżyć się z kobietą, zostanie nawet namówiony do gwałtu przez Generała (w tej roli Piotr Trojan). Mówi w pewnym momencie, że „Down też opowiada się za czystością rasy i od dziś same downy będzie płodził”. Jednak ta deklaracja nie powoduje zmiany w akcji, bo wydarzenia następują lawinowo. Zasadą spektaklu jest brak konsekwencji w rozwoju wydarzeń, niespójność wątków i umowność postaci. To teatr groteski i absurdu, ale unurzanych w przemocy i okrucieństwie. W innych scenach rozpoznajemy wątki ze współczesnych wojen, bezmyślne zabijanie niewinnych ludzi przez żołnierzy wysłanych przez demokratyczne kraje. Rubin pokazuje manipulacje, które mają doprowadzić do zaspokojenia żądz, kompleksów, potrzeby dominacji. Ciąg luźno powiązanych scen, pełnych aktorskiej ekspresji i ruchu, podkreślany jest przez wypowiediane kwestie. Tyrady wypowiediane przez postacie, bo rzadko są to między nimi dialogi, przypominają charakterystyczną emfazę języka Witkacego i konstrukcję zdań w piśmarstwie Witolda Gombrowicza. To język właśnie odciska piętno na obrazie spektaklu, gdy nie pozwala na serio traktować wydarzeń, których widz jest świadkiem. A jest to właściwie absurdalny, groteskowy, sprośny, gorszący, ale i śmieszny cyrk. Miejsce, gdzie ze zdu-





mieniem doznajemy olśnienia, że ludzkie słabości wyrażane w gwałcie i przemocą są surrealistyczne i tak nie do uwierzenia, że aż śmieszne.

Spektakl Rubina przywodzi na myśl obrazy Hieronima Boscha i to nie tylko jako plastyczna transpozycja idei spektaklu, ale rzeczywistość sceniczna. Zaludniona postaciami i pełna zgiełku scena u Rubina jest piekłem i czyścem zarazem. To przestrzenie, które są niejako ostateczne i niedostępne ludzkiej woli. Postacie Rubina krążą więc w makabrycznym wirze, zassanym prawdopodobnie przez nich samych i już raczej nie do zatrzymania. W świecie spektaklu nie może dojść do oczyszczenia, do zbawienia, widz nie liczy na ingerencję, która wniesie punkt odniesienia, uporządkuje ten chaotyczny, poddany entropii świat. Choć wydaje się, że ratunek może przyjść z oszklonej, wypełnionej białym światłem kabiny, gdzie Marta (grana przez Katarzynę Żuk) z wytrwałością maratończyka uprawia jogging na bieżni. Co jakiś czas wypowiada wzniosłe kwestie o charakterze religijnym. To wyraźne zaznaczenie przestrzeni scenicznej, która jest sferą pewnego sacrum przejawiającym się w konsekwencji i wysiłku

fizycznym postaci Marty. Jednak zakomponowany przez Rubina świat bez nadziei wchłonie i tę przestrzeń. Postacie wędrują się w przestrzeń Marty, przerwą jej modlitwę czy ascetyczny akt i wygonią na ich teren, pobożowisko zagracone przedmiotami, ziemią, krwią, wydzielinami i poszarpaną odzieżą. Powodu dla takiego działania nie ma, bo w irracjonalnej rzeczywistości intruzi okazują się nie posiadać żadnego motywu, planu czy zamiarów wobec „świętej”.

Reżyser w programie dołączonym do spektaklu daje pewne odpowiedzi dotyczące intencji postaci Downa, a także idei spektaklu. To święty szaleniec, głupiec, człowiek nawiedzony, który swoim odbiegającym od standardów zachowaniem, połączonym z cielesną brzydotą, wytrąca świadków swoich szaleństw z poczucia bezpieczeństwa, łamie konwencje, obnaża to, co wstydlive, obrazoburczo miesza sacrum z profanum. Dotyczy to również postaci ascetów czy pustelników stosujących wymyślne metody umartwiania się. Łącząc ten motyw literacki z deklaracją reżysera uprawiającego teatr krytyczny, spektakl jawi się jako widowisko, które ma widza posta-

kultura



wić wobec szoku prowadzącego do jakiejś formy oczyszczenia. Nie chodzi tu przy tym o dyskursywnę dotarcie do konkretnej opinii o sprawach tego świata, ale o rodzaj duchowej i beztreściowej iluminacji. W obliczu chaosu ideowego i kryzysu wartości, które drążą dzisiejszy świat, kiedy następuje relatywizacja prawdy i niemożność skonstruowania niepodważalnych definicji, spektakl pokazuje niemoc rozwiązania tego problemu. Ale sugeruje też, że jedyną drogą może być przewrócenie porządku do góry nogami. Ale nie społeczno-politycznego, tylko wewnętrznej sfery człowieka.

Przedstawieniu Rubina krytycy i widzowie zarzucali przede wszystkim niejasność przekazu i czytelności komunikatu. Komentowano brak autorskich tropów pomagających w interpretacji spektaklu. Kalejdoskop brawurowo nieraz granych scen nie prowadzi do rozpoznania w finale. Można to jednak uznać za przemyślaną strategię, mającą zostawić widza jedynie z pozawerbalnym doznaniem, szokiem, odrazą, a może zachwytem, w każdym razie doznaniem mającym go zaprowadzić do jakiejś refleksji czy opinii. Z pewnością silniej zaakcentowana reżyserska refleksja nad tym, co dzieje się w wykreowanym przez niego świecie, dałaby sygnał, że nie o stawianie diagnoz czy moralizowanie autorowi spektaklu idzie. Jeśli widz ma pozostać bez komunikatu, dobrze, żeby to wiedział.

Karzeł, down i inne żywioły to przede wszystkim doświadczenie teatru świadomego swoich możliwości. Reżyser w oryginalny i autorski sposób korzysta z narzędzi, które dają mu aktor i scena. Rolę nie do przecenienia spełnia też tekst literacki. Efektem pracy duetu twórczego Rubin i Janiczak jest rozpędzona słowem, świetną grą aktorską i realizacją sceniczną maszyneria teatralna. Spektakl ogląda się z wielką przyjemnością, bo jest to rzadkie na łódzkich scenach doświadczenie autentycznej, nowatorskiej i niepowielającej schematów autorskiej propozycji.

Mateusz Sidor
– publicysta, animator kultury

Jolanta Janiczak, *Karzeł, Down i inne żywioły*, reżyseria i opracowanie muzyczne Wiktor Rubin.

Prapremiera: 5 grudnia 2012, 5. Międzynarodowy Festiwal Boska Komedia w Krakowie.

Premiera: 14 grudnia 2012, Teatr Nowy im. K. Dejmka w Łodzi, Mała Sala.

Występują: Beata Kolak, Mirosława Olbińska, Aleksandra Paździkowska (gościnnie), Katarzyna Żuk, Michał Bieliński, Daniel Chryc (gościnnie), Mateusz Janicki, Sławomir Sulej, Piotr Trojan.

Fot. Janusz Szymański (dzięki uprzejmości Teatru Nowego)

Azyle Joanny Wiszniewskiej-Domańskiej

Zwycięstwa człowieka w meloniku

kultura

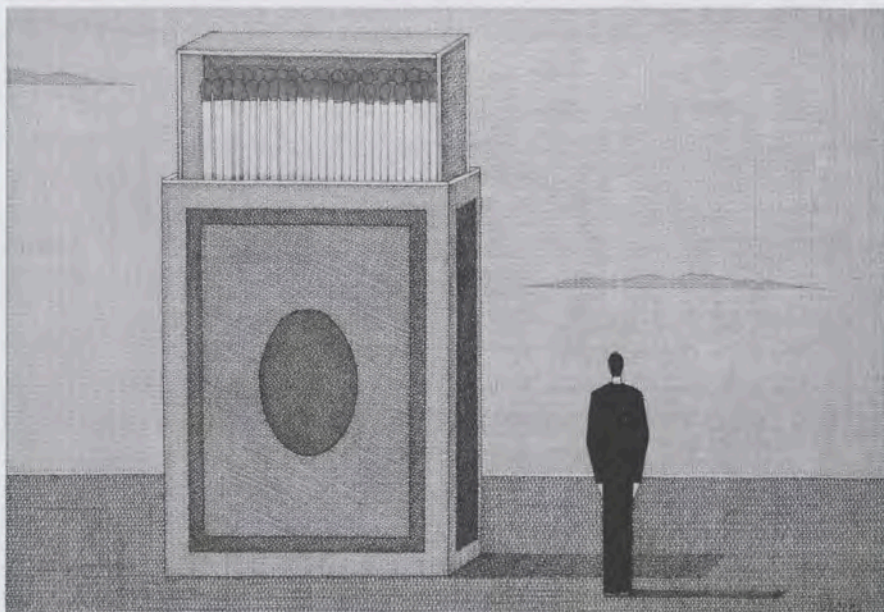
Określenie „sztuka kobieca” potrafi budzić różnorodne emocje. Feministyczne postulaty sugerują wyraźne wyodrębnienie tej dziedziny z tradycji oraz współczesności dokonani artystycznych. Z kolei same artystki często wzbraniają się przed taką stygmatyzacją ich działań. Podkreślają uniwersalność przekazu artystycznego oraz brak związku z płcią jego autora (bez względu na to, czy ich autor jest mężczyzną, czy kobietą). Jednakże nie sposób nie pomyśleć o tej kategorii, przyglądając się pracom Joanny Wiszniewskiej-Domańskiej, które na przełomie lutego i marca 2013 roku można było obejrzeć w Galerii Re:Medium w Łodzi na wystawie zatytułowanej *Marzyciele, Konstruktorzy...* Rysunki, ilustracje oraz kolaże swoją estetyką, formą oraz atmosferą przedstawień wyraźnie wskazują, że wyszły spod kobiecej dłoni.

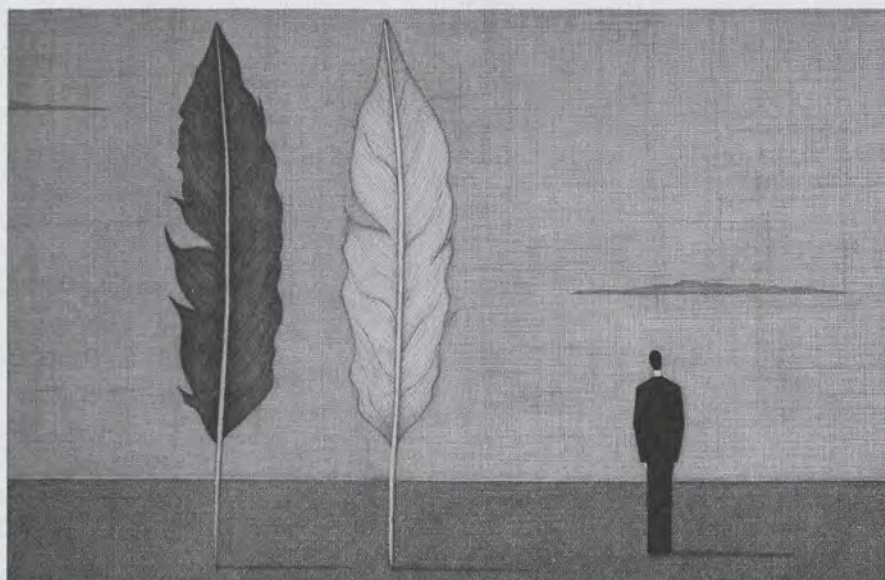
Prace tej rozpoznawalnej od lat w Łodzi artystki charakteryzuje przede wszystkim subtelność i delikatność. Nie odnajdziemy w nich zgiełku, feerii barw czy krzykliwych haseł, tak charakterystycznych dla współczesnej ikonosfery dnia codziennego. Porządek oraz przewaga wyciszonych, szaropastelowych barw, gdzieś tam przelamanych tylko intensywniejszą plamą czerwieni lub zieleni, nadaje dziełom nastrój spokoju i refleksji. Prostota podziału płaszczyzn na ziemię i niebo, wyznaczonego daleką linią horyzontu, sprawia, że cała kompozycja wydaje się pełna powietrza i lekkości. Stworzona w ten sposób swoista elegancja formalna nieodłącznie kojarzy się z klasyką kobiecości. Kobiecości, która – jak się wydaje – jest nie tyle zobrazowaniem stereotypowo postrzeganej estetyki preferowanej przez płęć piękną, co przełożeniem osobowości autorki na wybraną przez nią konwencję plastyczną.

Zarówno forma, jak i treść prac jest zatem ściśle powiązana z inspiracjami oraz zainteresowaniami Joanny Wiszniewskiej-Domańskiej, spośród których sama autorka wyróżnia przede wszystkim fascynację związkami sztuki z psychologią. Na tym tle rozwija ona zagadnienie człowieka – rozumianego zarówno jako indywidualna jednostka, jak i bardziej uniwersalny byt – uwikłanego w życie codzienne poprzez rozwiązywanie różnorodnych dylematów oraz pokonywanie licznych przeszkód na drodze do spełnienia marzeń. Jest on głównym bohaterem niemal wszystkich realizacji artystki. Pojawia się głównie w postaci uproszczonej sylwetki odwróconego plecami mężczyzny

w czarnym, pozbawionym znaków szczególnych stroju, który patrzy w nieokreśloną przestrzeń lub kontemplanuje olbrzymie przedmioty ustawione naprzeciw niego. W zestawieniu z surowym i często chłodnym otoczeniem staje się on pewnym echem mężczyzny w meloniku z obrazów René Magritte'a lub samotnego mnicha stojącego nad brzegiem morza, znanego z jednego z obrazów Caspara Davida Friedricha. W pracach artystki nie brakuje bowiem metaforycznych, zagadkowych zestawień, których charakter przywołać może na myśl oniryczną atmosferę prac surrealistów pierwszej połowy XX wieku, ale również bardziej liryczną i nastrojową poetykę twórców epoki romantyzmu.

W kontekście ostatniej wystawy wspomniana postać przedstawiana jest przede wszystkim jako Marzyciel – człowiek, który ma różne pragnienia, nadzieje i plany. Skąd czerpie siły na ich realizację? Co go pcha do wytrwałego dążenia do celu? Czy ma szansę na dotarcie do niego? To pytania, na które artystka poprzez swoją pracę poszukuje odpowiedzi. Co należy podkreślić – nie tylko przez pracę artystyczną, ale również poprzez działania z zakresu arteterapii. Joanna Wiszniewska-Domańska jest bowiem także autorką programu Warsztatów Rozwoju Osobistego, koncepcji, w której praca z rysunkiem ma pomóc ujawnić „pewne nieuświadomione informacje, [...] a przez to lepiej poznać siebie, a następnie skorygować wcześniej wytyczone, często nierealne cele”¹. Choć na tak postawione pytania artystka oczywiście nie daje bezpośredniej odpowiedzi, ale w dyskretny sposób dzieli się z nami swoją optymistyczną wizją everymana – Marzyciela. W jej rysunkach stoi on najczęściej sam, nie mogąc liczyć na pomoc czy choćby towarzystwo innych osób, co w zasadzie odpowiada rzeczywistej sytuacji człowieka, który ostatecznie sam musi podejmować decyzje





i osobiście wykazywać się determinacją. Wydaje się jednak, że postać z prac autorki nie dlatego pojawia się w pojedynkę, by podkreślić trudy jej życia codziennego, ale po to, by móc ujrzeć w niej Konstruktora – osobę, która ma moc i predyspozycje, aby swoje marzenia realizować. Jest to zatem wyraz wiary w istnienie w każdym z nas wystarczających zasobów sił i wytrwałości do zrealizowania marzeń.

Oprócz postaci samotnego mężczyzny w twórczości Joanny Wiszniewskiej-Domańskiej można wyróżnić kilka innych stale pojawiających się wątków. Motywy podróży, książek, teatru – to tematy, po które artystka sięga najchętniej, budując wokół nich sieć wzajemnych powiązań. Przykładem ich zespolenia mogą być ilustracje do książki *Papierowe miasto*, na wystawie zaprezentowane w specjalnie skonstruowanych skrzyneczkach, których forma nawiązuje do drewnianego parawanu zwanego *butai* z japońskiego teatru ilustracji (*Kamishibai*). Tym samym należy zauważyć, iż pomimo faktu, że rysunek i grafika są punktem wyjściowym w działaniach autorki, to jej sztukę należy sytuować na pograniczu różnych form, z książką artystyczną i filmem włącznie.

Różnorodność środków artystycznego wyrazu, po które sięga artystka, nie wynika jednak wyłącznie z chęci eksperymentowania czy poszukiwania nowości, a raczej z konsekwentnego rozwijania przewodniej idei jej twórczości, jaką jest wspomniane *Papierowe miasto* i poszukiwania dla niej najbardziej odpowiedniego medium. Początkowo nazwę tę nosił teatr, który działał w latach dziewięćdziesiątych. Joanna Wiszniewska-Domańska stworzyła dla niego oprawę plastyczną, dla której charakterystycznym rekwizytem były walizki (stąd jego potoczna nazwa „teatr walizkowy”). Po jego rozwiązaniu artystka dalej wykorzystywała te obiekty, umieszczając w nich przestrzenne kompozycje. To z nich narodził się pomysł na książkę artystyczną

zatytułowaną *Papierowe miasto*. Ukazała się ona w 2003 roku w dziesięciu egzemplarzach w języku polskim i w dziesięciu w języku angielskim. Cykl rysunków wzbogacony literacką treścią stał się z kolei inspiracją do stworzenia filmu *Dobro, piękno, prawda* zrealizowanego w 2011 roku przez Wytwórnnię Filmów Animowanych „Se-ma-for”. Historia podróżującego mężczyzny, dla którego w świecie pozbawionym jakichkolwiek wartości moralnych jedyną pociechą jest zamknięte w walizce miasto papierowych, ale za to uczciwych i dobrych mieszkańców, została również doceniona podczas europejskiego festiwalu ilustracji artystycznej Ilustra Mundos w Hiszpanii. Efektem tego ma być wydanie *Papierowego miasta* w formie ogólnodostępnych książek w języku hiszpańskim oraz galicyjskim.

Warto podkreślić, iż wspomniana ekranizacja (także prezentowana na wystawie w Galerii Re: Medium) również spotykała się z bardzo przychylnym odbiorem. To rezultat interesujących animacji Jakuba Wrońskiego oraz reżyserii Barbary Bruszewskiej, dzięki której scenariusz oraz projekty plastyczne Joanny Wiszniewskiej-Domańskiej nie utraciły swojego charakteru. Dodatkowym atutem tej realizacji niewątpliwie jest wybór Henryka Gołębiowskiego na lektora opowieści. Całość została nagrodzona m.in. specjalnym wyróżnieniem na XVII Ogólnopolskim Festiwalu Autorskich Filmów Animowanych oraz pierwszą nagrodą w Konkursie Polskim „NIEZALEŻNI” na 6. Międzynarodowym Festiwalu Filmów Krótkometrażowych ZUBROFFKA. W ubiegłym roku film zakwalifikował się do 9. Międzynarodowego Festiwalu Filmowego „Sedici-corto” we Włoszech.

Film *Dobro, piękno, prawda* jest interesującą realizacją także ze względu na fakt, iż ogniskują się w nim charakterystyczne dla twórczości Wiszniew-



skiej-Domańskiej konwencji. Jako rozwinięcie idei *Papierowego miasta* zawiera wątki podróży, teatru i próbę zmierzenia marzeń i własnych przekonań z rzeczywistością przedstawioną niezwykle pesymistycznie i okrutnie. Głównym bohaterem jest oczywiście odwrócona plecami kanoniczna postać mężczyzny – everymana z rysunków i grafik, tym razem pojawiającego się jednak w towarzystwie różnych postaci. Zostały one stworzone w formie kolażu, który wykorzystywał typową, kreskowaną sylwetkę Marzyciela oraz głowy postaci wycięte z reprodukcji z dzieł takich mistrzów renesansu północnego jak van Eyck, Bosch, Dürer itp. Zastosowany przez artystkę zabieg „uosiobienia” postaci drugoplanowych poprzez nadanie im konkretnego oblicza spotęgował tylko wspomnianą we wstępie surrealistyczną atmosferę przedstawień. Wyidealizowanymi, delikatnymi twarzami aniołów i innych postaci z XVI-wiecznych obrazów zostali obdarzeni mieszkańcy szarych i ponurych budynków, dla których inspiracją były typowe bałuckie kamienice, tak charakterystyczne dla starszej zabudowy Łodzi. Na pozór kontrastowe zestawienie przyniosło jednak niezwykle spójny efekt, w którym metaforyczność gorzkiej opowieści zostaje przyobleczona w delikatną i cały czas niezwykle elegancką formę.

Wystawa w Galerii Re:Medium *Marzyciele, Konstruktorzy...* stała się kompleksową prezentacją głównych nurtów działań artystycznych Joanny Wiszniewskiej-Domańskiej. Poprzez eksponowane prace łatwo wyróżnić idee przewodnie w jej twórczości oraz konsekwencję, z jaką realizuje ona swoje pomysły. Zbytwna wierność raz opracowanej formie oraz zakresowi tematów bywa czasem zarzutem wobec twórców; w tym wypadku doskonale harmonizuje z samą wymową dzieł artystki. Jej twórczość bowiem, poprzez swoją subtelność i wyciszenie, ale również dzięki silnie humanistycznemu, a nawet dydaktycznemu przesłaniu, staje się czymś tak odmiennym od krzykliwej i dynamicznie zmieniającej się rzeczywistości, że należy traktować ją jako niezmiennie kojącą przystań.

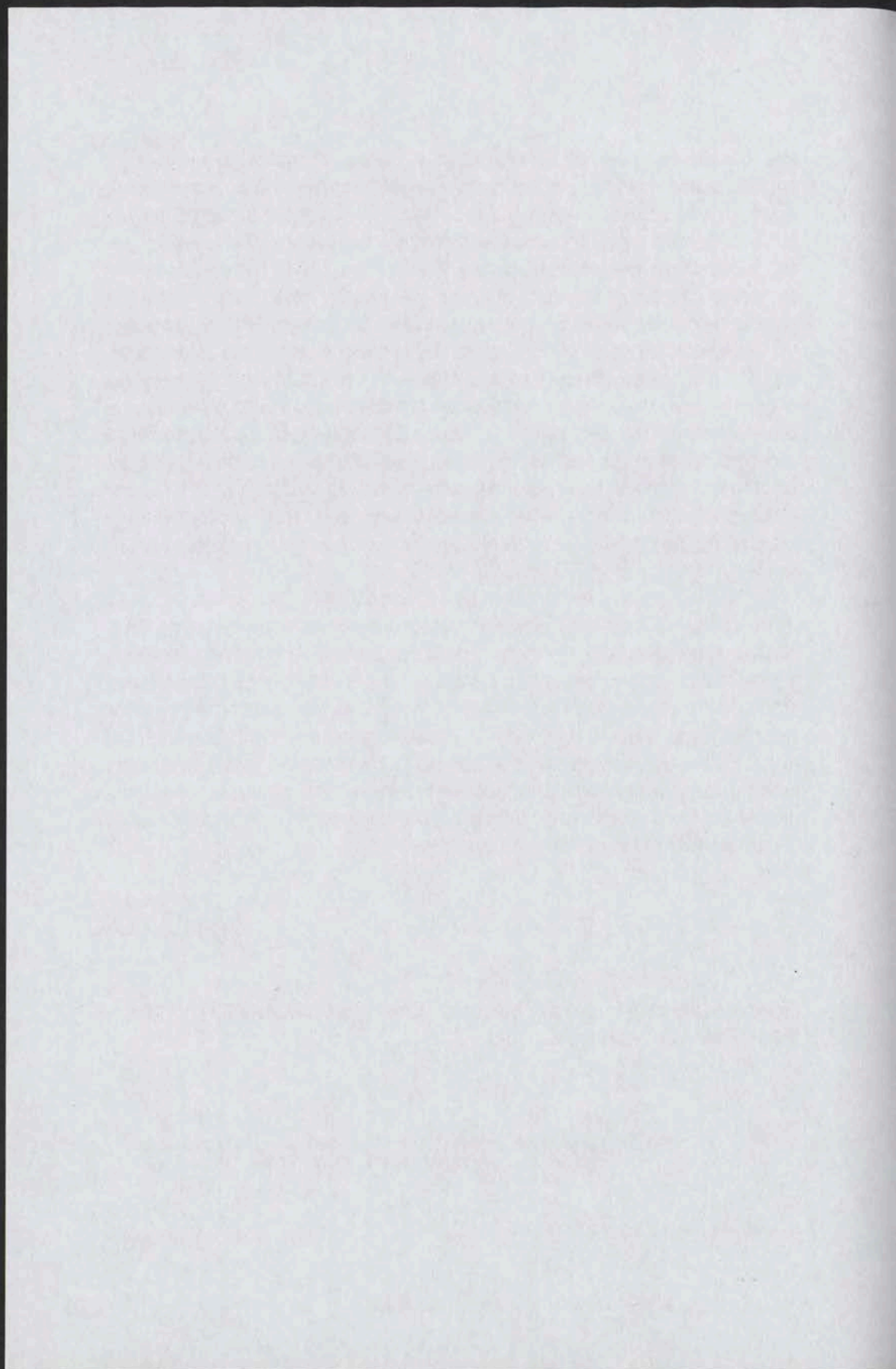
Paulina Dzwonkowska
– historyczka sztuki

Joanna Wiszniewska-Domańska, *Marzyciele. Konstruktorzy*, Miejska Galeria Sztuki – Galeria Re:Medium, Styczeń-luty 2013.

Przypisy:

1. J. Wiszniewska-Domańska, *Rysunek w arteterapii – wzajemna fascynacja sztuki i psychologii*, „Tygiel Kultury” nr 10-12 (2007), s. 168.

fot. archiwum Miejskiej Galerii Sztuki w Łodzi



aktualia

Nadzieja dla Łodzi

Kierunek śródmieście

Błażej Filanowski

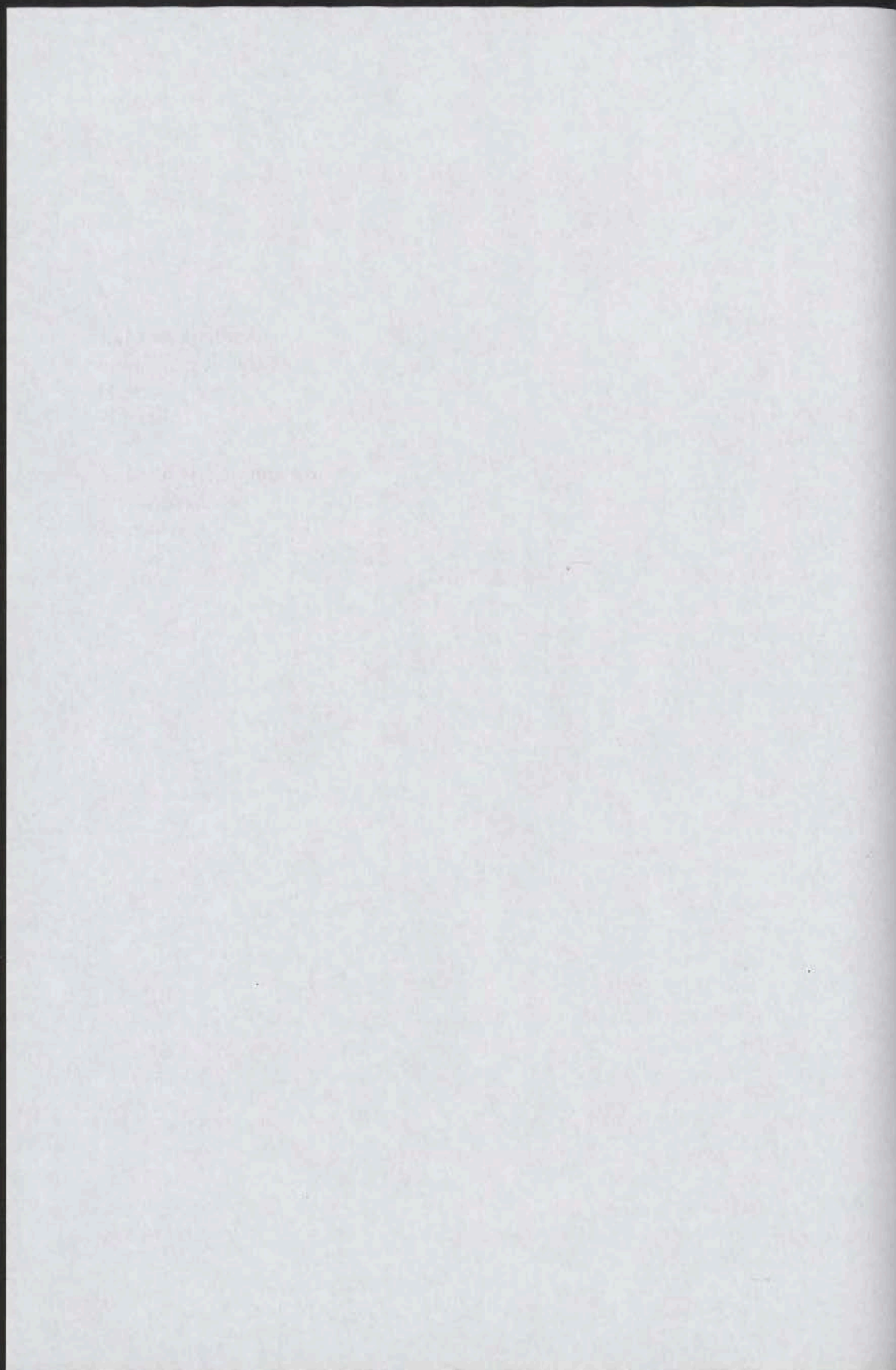
str. 135

Jak nam się żyje w Łodzi?

Raporty badawcze

Marcin Kieruzel

str. 142



Nadzieja dla Łodzi

Kierunek śródmieście

aktualia

Zniszczone kamienice, dziurawe jednokierunkowe uliczki, zaniedbane podwórka. Niestety, taki jest często obraz reprezentacyjnej niegdyś części miasta. To skutek zarówno trudnej historii, jak i określonej mentalności – długotrwałego odkładania problemów śródmieścia na jutro lub rozwiązywania ich przy pomocy buldożera. Czy można mieć nadzieję, że ten mentalny problem właśnie odchodzi w przeszłość?

Dziś wciąż trzeba odrobiny wiedzy i wyobraźni, aby odrzucić uprzedzenia i mity o szarej, brudnej Łodzi. Dopiero wtedy można zobaczyć jej centrum jako jedno z największych w Polsce dziewiętnastowiecznych założeń urbanistycznych, składające się z eklektycznych pałaców, zabudowań przemysłowych, a przede wszystkim z kamienic. Kamienic niezwykłych, zróżnicowanych, będących materialnym dziedzictwem czasów sukcesu tego miasta. Stan śródmieścia wciąż jednak nie pozwala mieszkańcom czerpać radości i dumy z owego dziedzictwa. Zaangażowani łodzianie i lokalne organizacje pozarządowe od dawna nalegały, aby władze poważnie potraktowały ten problem. Kilka lat temu apele zaczęły przynosić skutki. Krok po kroku, rok po roku w magistracie śródmieście staje się coraz ważniejsze. Widać to zarówno w długofalowych planach (*Strategia rozwoju przestrzennego Łodzi do 2020 roku*), jak i w krótkoterminowych projektach (przebudowa trasy W-Z, remont ulicy Piotrkowskiej, program *Mia100 kamienic*). Trudno jeszcze wyrokować, na ile rzeczywiście zmienią one centrum, ale ważne jest, że przerwana została tendencja do zamiatania jego problemów pod dywan.

Dzielnica po przejściach

To mit, że Łódź nie została zniszczona w czasie drugiej wojny światowej. Przetrwały budynki, ale nie miasto. Miasto to społeczność, a ta budowana była przez Polaków, Żydów i Niemców – właścicieli kamienic, najemnych robotników, sklepikarzy i fabrykantów. Po 1945 roku Łódź stała się zupełnie innym miastem, choć materialne świadectwo jej przeszłości nie zostało zniszczone w czasie działań wojennych. Łódź znalazła się na celowniku dwóch totalitarnych ideologii i do dziś płaci za to wysoką cenę. W granicach III Rzeszy miała być wiodącym ośrodkiem miejskim i przemysłowym terenów dawnej Rzeczypospolitej. Duża liczba ludności niemieckiej oraz lokalizacja sprawiała, że miasto miało odegrać ważną rolę w nazistowskich planach. Inżynieria spo-

teczna, prześladowania i eksterminacja ludności żydowskiej oraz plany powojennej przebudowy rozpoczęły proces przemiany Łodzi.

Zbrodniczy plan został przerwany wkroczeniem Armii Czerwonej. Bilans drugiej wojny światowej to ogromna liczba ofiar wśród mieszkających tu Żydów, a także usunięcie ludności niemieckiej. Nowy ustrój zanegował własność prywatną, a w opustoszałych kamienicach zakwaterowano przybyszów ze wsi i innych miast. Dla planistów tego okresu śródmieście stanowiło problem: hierarchiczny układ kamienicy – front dla bogaczy, oficyna dla biedniejszych – nie pasował do społeczeństwa bezklasowego. Pałace „okupione nędzą robotników” były symbolami sukcesu kapitalizmu. Konstruktorzy nowego porządku wydali wyrok na śródmieście Łodzi, które w przyszłości miało zostać totalnie przekształcone, łącznie z wyburzeniem zabudowy ulicy Piotrkowskiej. Demograficzny rozwój miasta oraz brak funduszy sprawiły, że „wielkie” plany nie mogły być swobodnie realizowane. Postanowiono więc tworzyć „gniazda” uproszczonej modernistycznej architektury – takim obszarem był między innymi zbieg ulic Traugutta i Kilińskiego. Ostatnią modernistyczną ofensywę przeprowadzono w latach 70. XX wieku, budując łódzki Manhattan. W latach 80. kryzys gospodarczy i polityczny sprawił, że wstrzymano wszystkie inwestycje – w tym czasie śródmieście niszczało. Kiedy wraz ze zmianami politycznymi i gospodarczymi rozpoczął się upadek łódzkiego przemysłu, centrum pograżyło się w jeszcze większej zapaści.

W latach 90. XX wieku miejskie inwestycje w śródmieściu były ograniczone i dotyczyły głównie dróg. Remonty poszczególnych kamienic, należących do miasta lub prywatnych właścicieli, pokazywały jedynie możliwości drzemiące w śródmieściu, ale ich skala nie pozwalała na zmianę negatywnego wizerunku okolicy. Różnice w stanie technicznym i wyglądzie poszczególnych obiektów zaczęły narastać. Najbardziej wyraziste kontrasty pojawiły się po otwarciu kompleksu usługowo-handlowego Manufaktura. Przykład przystosowania poprzemysłowej zabudowy do nowych funkcji pokazał, że łódzka architektura ma ogromny potencjał. Niestety, przebiegające tuż za murami kompleksu ulice – Legionów, Gdańska, Ogrodowa – nie skorzystały na sąsiedztwie inwestycji. W tym samym czasie handel na ulicy Piotrkowskiej zaczynał podupadać w starciu z galeriami handlowymi. Pojawił się dyskutowany przez ponad dziesięć lat problem ożywienia reprezentacyjnego deptaka. W pierwszej dekadzie nowego stulecia niepokoił proces degradacji śródmiejskiej zabudowy oraz szereg nierozwiązanych problemów społecznych. Wygaśnięcie miejscowych planów zagospodarowania przestrzennego otworzyło drogę do fali wyburzeń, w tym nielegalnych akcji mających na celu „wyczyszczenie” placu z kłopotliwego zabytku. Interesujące obiekty, niezniszczone w czasie działań wojennych ani w okresie PRL, w wolnej Polsce zostały zrównane z ziemią, a tereny po nich do dziś zioną pustką lub są wynajmowane jako parkingi.

W połowie pierwszej dekady XXI wieku pojawiła się idea Nowego Centrum, budząca zarówno nadzieje, jak i niepokój osób zainteresowanych losem śród-

mieścia. Czy aby nie powstał właśnie kolejny wielki plan, pełen kosztownych inwestycji, w rzeczywistości stanowiący pewne zagrożenie dla historycznego centrum?

Strategiczny odwrót

Napierają zwycięscy, odwrót jednoznacznie kojarzy się z porażką. Mądrze przeprowadzony, pozwala jednak przegrupować rozproszone siły i wzmocnić zajmowane pozycje. Łódź musi stawić czoła demografii. Prognozy nie pozostawiają złudzeń. Rok po roku miasto będzie się wyludniać, a odsetek osób w podeszłym wieku nie przestanie wzrastać. W rezultacie utrzymanie miasta spadnie na barki malejącej grupy ludzi, która w dodatku będzie oczekiwać poprawy jakości życia w swoim miejscu zamieszkania. Taka poprawa wiąże się z inwestycjami, i co ważniejsze w dłuższej perspektywie, z utrzymaniem owych inwestycji. Dlatego proces jest nieodwracalny – w przyszłości statystyczny łodzianin będzie łożyć w podatkach coraz więcej na utrzymanie kolejnych kilometrów dróg, wodociągów, linii energetycznych, na pozostające w pogotowiu służby ratunkowe, ekipy sprzątające i odśnieżające, na komunikację miejską, oświatę, służbę zdrowia i kulturę. Mimo że od dwudziestu lat obserwowaliśmy ten niepokojący trend, miasto swobodnie „rozlewało się” na peryferia, generując w ten sposób dodatkowe koszty. Łódzkie zjawisko suburbanizacji od połowy lat 90. XX wieku przybierało na sile, a bliźniaki po tym procesie były kolejne puste place lub improwizowane parkingi. Rozrost terytorialny wraz ze zmniejszaniem się liczby mieszkańców nieuchronnie prowadził do finansowego załamania. Symptomatic narastania tego problemu stała się dyskusja o tym, kiedy włączać i wyłączać oświetlenie uliczne. W końcu władze postanowiły jednak zatrzymać tolerowany przez prawie dwadzieścia lat rozrost miasta i skierować energię inwestycyjną do wewnątrz. „Odwrót do środka” to ważna decyzja, która daje nadzieję na ożywienie śródmieścia i rozwój Łodzi pomimo niekorzystnej sytuacji demograficznej – nie poprzez ekspansję, ale przez poprawę jakości życia na terenach już zurbanizowanych.

Założenie to jest podstawą przyjętej w styczniu 2013 roku przez Radę Miasta *Strategii rozwoju przestrzennego Łodzi do 2020 roku*, dokumentu opracowanego przez Biuro Architekta Miasta Marka Janiaka. W *Strategii* podkreślono konieczność ochrony i poprawy stanu technicznego zabudowy historycznej (powstałej do 1945 roku). To kolejna ważna deklaracja. Ochrona tej zabudowy to walka o zachowanie oryginalnej architektury, ważnego elementu tożsamości mieszkańców oraz świadectwa historii miasta. Zabytkowa architektura w naturalny sposób wyznacza także sposób realizacji nowych inwestycji, dzięki czemu miasto może rozwijać się w bardziej spójny i logiczny układ. Receptą dla śródmieścia nie jest tylko zatrzymanie niekorzystnych procesów, takich jak rozrost miasta i niszczenie historycznej zabudowy. Aby centrum odżyło, potrzebne jest dobre skomunikowanie go z otaczającymi je osiedlami. Przyjęta strategia zakłada rozwój komunikacji miejskiej, w szczególności sieci tramwajowej, a także renowację sieci dróg, w tym budowę bezkolizyjnych skrzyżowań. Planu-

je się także ułatwienia dla ruchu pieszego i rowerowego w ścisłym centrum miasta. Kosztowną i spektakularną inwestycją ma być przebudowa trasy W-Z. Na Piłsudskiego i Mickiewicza na odcinku od Wólczarńskiej do Kilińskiego przelotowy ruch samochodowy ma zejść pod ziemię. Na Alei Mickiewicza na poziomie „zero”, między ulicą Piotrkowską a Aleją Kościuszki, ma powstać Dworzec Tramwajowy Centrum, przesiadkowy węzeł linii biegnących ze wschodu na zachód i tych kursujących trasą Łódzkiego Tramwaju Regionalnego. Takie rozwiązanie ma ułatwić przesiadki oraz skrócić pasażerom czas podróży dzięki efektowi synergii kilku linii biegnących w wybranym kierunku. Projekt ten pojawiał się w wielu pomysłach urbanistycznych, promowany był między innymi przez Inicjatywę na Rzecz Przyjaznego Transportu (ITP). Dworzec w założeniu ma zwiększyć konkurencyjność MPK wobec transportu samochodowego i stać się podstawą do zreformowania całego systemu komunikacji miejskiej. Postępy w realizacji projektu są już widoczne. Rozstrzygnięto konkurs na koncepcję budynku DTC, wybierając pracę Jana Gałęckiego. W marcu bieżącego roku pojawiła się informacja, że miasto podpisało już z firmą Mosty Łódź umowę na realizację dworca w systemie „Zaprojektuj i wybuduj”. Prace mają ruszyć we wrześniu 2013 roku. W obrębie śródmieścia realizowane więc będą jednocześnie dwie ogromne inwestycje – drugą jest budowa podziemnego dworca Łódź Fabryczna oraz schowanie torów kolejowych w podziemnym tunelu. Dzięki przebudowie wschodnia część miasta zostanie lepiej skomunikowana, co daje szansę na zlikwidowanie problemu zakorkowanej ulicy Kilińskiego. Pojawią się też nowe przestrzenie inwestycyjne. Nowe Centrum na szczęście zaczyna być rozpatrywane w ścisłym związku z historycznym śródmieściem, planuje się między innymi poprawę jakości przestrzeni publicznej między nim a ulicą Piotrkowską – zapewniają dyrektor spółki Nowe Centrum Błażej Moder i architekt miasta Marek Janiak¹. Wokół przebudowy nadal panuje jednak aura niejasności. Brakuje informacji na temat rozwiązań komunikacyjnych, systemu sprzedaży gruntu, organizacji przestrzeni publicznej.

Mieszkańcy Łodzi, znieczuleni przed laty wieloma śmiałymi, lecz niezrealizowanymi planami lokalnych władz, podchodzą sceptycznie do dużych inwestycji infrastrukturalnych. Zastanawiają się, czy nie okażą się one zbyt kosztowne i czy rzeczywiście będą miały pozytywny wpływ na miasto, czy też staną się poważnym obciążeniem, a związane z nimi szanse nie zostaną wykorzystane – jak to było choćby w przypadku Łódzkiego Tramwaju Regionalnego. Pojawiają się głosy, że należy zająć się przede wszystkim stanem dróg, kamienic i jakością komunikacji publicznej, bo te sprawy nie mogą czekać.

Praca u podstaw

Najpierw wyremontujmy to, co nie wymaga „zaawansowanej” technologii. W dyskusjach o wielkich projektach giną bieżące problemy. Planujemy ogromne inwestycje, a często utworzenie przejścia dla pieszych, załatwienie dziury czy drobny remont balko-

nu jest niewykonalnym wyzwaniem. To powszechne opinie, które można usłyszeć na łódzkich ulicach. Mają one swoje uzasadnienie. W odpowiedzi na stosunkowo niewielkie, ale bardzo uciążliwe problemy w 2011 roku ruszył m.in. program remontowania śródmiejskich ulic. Zaczął się od tej najważniejszej – Piotrkowskiej. Zaplanowano wymianę nawierzchni, zrównanie poziomu chodnika i jezdni oraz wprowadzenie jednolitych mebli miejskich, czyli latarni, koszy na śmieci i ławeczek, stworzonych na podstawie prac zgłoszonych do konkursu Piotrkowska Obiecana. Reprezentacyjna ulica ma być także lepiej doświetlona, aby zwiększyć poczucie bezpieczeństwa przechodniów. Piotrkowska ma stać się na nowo salonem miasta – nie tylko za sprawą remontów, ale też ogólnej poprawy estetyki, którą zapewnić ma między innymi miejski konserwator zabytków, przeciwdziałający nielegalnym reklamom oraz zaklejaniu sklepowych witryn.

Remont ulic z pewnością jest potrzebny, ale znacznie trudniejszym wyzwaniem wydaje się doprowadzenie do przyzwoitego stanu zabudowy śródmieścia. W tym wypadku powodzenie zależy nie tylko od działań miasta, ale też od prywatnych właścicieli i wspólnot mieszkaniowych. Zachętą do poprawy stanu technicznego i estetyki prywatnych budynków była uchwała z 2009 roku o ulgach podatkowych przyznawanych po przeprowadzeniu kompleksowego remontu obiektu zabytkowego. Doczekaliśmy się w Łodzi przykładów prywatnych inwestycji, które realnie zmieniają oblicze historycznego śródmieścia. Do najbardziej efektywnych i kosztownych przedsięwzięć deweloperskich należą konserwacje budynków Towarzystwa Kredytowego na ulicy Pomorskiej czy kamienicy Stefanusa przy ul. Jaracza – obie wyróżnione w plebiscycie Punkt dla Łodzi. Obok chlubnych „punktów” są też przykłady złych praktyk. Jednym z rażących przykładów była obietnica złożona przez giganta energetycznego, firmę PGE, która miała najpierw wyburzyć, a następnie odbudować – jako wierną replikę opartą na dokumentacji – kamienicę przy Piotrkowskiej 58. Po legalnym wyburzeniu firma zrezygnowała z planów odbudowy, na miejscu zabytku improwizując parking dla swoich pracowników. Prywatne inwestycje nie zmieniają całego śródmieścia z oczywistego powodu – wciąż największym „kamienicznikiem” jest samo miasto. Remont, a nawet podstawowa konserwacja należących do niego obiektów sprawiała przez ostatnie lata duże trudności. Ekipa prezydent Hanny Zdanowskiej postanowiła problem zdiagnozować i próbować przeciwdziałać tendencji, która grozi kompletną dewastacją miejskiego mienia. Najpierw podliczono zaskakująco wysokie należności czynszowe wobec miasta. (Przez wiele lat opłat nie regulowali nie tylko liczni lokatorzy mieszkań komunalnych, ale nawet najemcy lokali użytkowych). Drugim etapem była niepopularna decyzja o zmianie polityki czynszowej. Wzrastające przez kilka lat stawki mają umożliwić remonty i utrzymanie obiektów. Wartość lokali należących do miasta postanowiono podnieść poprzez program wzorowany na analogicznym przeprowadzonym we Wrocławiu – w łódzkiej wersji otrzymał on nazwę *Mia100 kamienic*. Postulowany i częściowo opracowany przez łódzkich społeczników, był jednym z filarów kampanii

wyborczej prezydent Zdanowskiej. *Mia100 kamienic* ma ratować niszczącą zabudowę, a jednocześnie podnieść jej wartość rynkową, zwiększając zyski z ewentualnej sprzedaży i czynsze za wynajem. Pierwotnie zakładano, że proces remontowania rozpocznie się od najbardziej zrujnowanych, często opustoszałych kamienic, tak aby miasto zyskało mieszkania dla lokatorów wyprowadzanych z kolejnych odnawianych budynków. Realizacja programu przebiega jednak inaczej, niż pierwotnie zakładano – ostatecznie wybrane do remontu kamienice są w większości w średnim stanie technicznym, dodatkowo niektórym realizacjom zarzuca się powierzchowność i niedbałe wykonanie. Krytycy programu twierdzą, że procesy zachodzące w Łodzi przypominają bardziej gentryfikację – wymianę lokatorów z biedniejszych i bardziej problematycznych na zamożniejszych. Trzeba przyznać, że te zastrzeżenia mają swoje uzasadnienie. Brak racjonalnej i skutecznej polityki społecznej w skali całego kraju mocno dotyka Łódź. Remonty są niezbędne, ale obawy budzi przeniesienie problemów społecznych w „inne miejsce” zamiast podjęcia prób choć częściowego ich rozwiązania. W 2013 roku do remontu przeznaczono dwadzieścia siedem obiektów. Władze planują część mieszkań w odnowionych obiektach przeznaczyć pod program *Mieszkania dla Młodych*. Miejmy nadzieję, że mimo wielu zastrzeżeń nastąpił przełom i od tej pory przedmiotem dyskusji będzie skala projektu i sposób jego realizacji, a nie usłyszymy już odpowiedzi, do jakiej jesteśmy przyzwyczajeni: „brakuje funduszy”.

Centrum łodzian

Czy degradacja centrum zostanie powstrzymana? Trzeba przyznać, że dokonał się już pewien postęp. Wspieranie „docentrycznego” rozwoju urbanistycznego to ważny element miejskiej polityki – miejmy nadzieję, że będzie on konsekwentnie realizowany, dopóki nie zmieni się sytuacja demograficzna miasta. Społeczna reakcja na wyburzenia historycznych budynków także nie pozostała bez odpowiedzi, choć brakuje jeszcze skutecznych narzędzi nacisku na niszczących zabytkową substancję „inwestorów”. Dostrzeżono wagę komunikacji publicznej, w tym sieci tramwajowej. Miejmy również nadzieję, że remont ulicy Piotrkowskiej oraz kolejnych kamienic zmieni obraz śródmieścia i poprawi niskie morale łodzian. Postępujące prace nad rewitalizacją EC1 pozwalają sądzić, że ten wyjątkowy obiekt stanie się ważnym punktem na turystycznej i kulturalnej mapie miasta. Wreszcie, Nowe Centrum staje się faktem, a uzyskane dzięki niemu przestrzenie inwestycyjne to szansa na stworzenie odpowiednich warunków dla nowych oraz rozwiniętych, ale szukających oszczędności firm. Jednak wieloletnie zaniedbania doprowadziły do społecznej i ekonomicznej zapaści tego fragmentu miasta – ich skutków nie da się cofnąć z dnia na dzień. Zmiana polityki obecnych władz z jednej strony cieszy, ale rodzą się też obawy. Czy budżet wytrzyma tyle kosztownych inwestycji: DTC, Fabryczna, EC1? Liczne pytania o Nowe Centrum wciąż pozostają bez odpowiedzi. Uatrakcyjnienie śródmieścia i dostosowanie go do potrzeb zamożniejszych mieszkańców wydaje się istotne dla poprawy jego gospodarczej kondycji, ale

pozostaje wątpliwość, czy uda się zniwelować ujawniające się w tym obszarze problemy społeczne. Łódź to przecież nie budynki, ale jej mieszkańcy. Obecnie dialog władza – obywatele jest wciąż niewystarczający. Opinii publicznej brakuje wielu ważnych informacji. Z drugiej strony, w Łodzi mamy wbrew pozorom niewiele organizacji pozarządowych i są one w większości niedofinansowane. Aktywność i świadomość społeczna pozostawia wiele do życzenia. Nawet te środowiska, które powinny stanowić intelektualną elitę miasta, nie czują z nim chyba silnej więzi. Uniwersytet Łódzki planuje wyprzedać wszystkie nieruchomości w zachodniej części śródmieścia, w tym zabytkowy budynek filologii (Al. Kościuszki 65), przedwojenne Niemieckie Gimnazjum Reformowane oraz miejsce protestów studenckiej opozycji w 1981 roku. Remont jest dla Uniwersytetu zbyt kosztowny, ponieważ musi być przeprowadzony pod okiem konserwatora zabytków. Śródmieście, aby stać się podstawą łódzkiej tożsamości, wielkomiejską przestrzenią atrakcyjną dla turystów i mieszkańców, musi mieć w swoich granicach punkty kultury, nauki oraz prestiżowe instytucje. Warto więc chronić to, co już w nim zaistniało, a także wspierać nowe inicjatywy. Potrzebny jest dialog i poczucie zaangażowania umowy społecznej: „wspólnie ratujemy śródmieście”. Bez świadomych ludzi nowoczesne dworce i piękne budynki szybko utracą spodziewane walory.

aktualia

Błażej Filanowski
– historyk sztuki, animator wydarzeń kulturalnych,
członek Stowarzyszenia Fabrykancka,
koordynator klubu Szósta Dzielnica

Przypisy:

1. Spotkanie z cyklu Nowy Łodzianin w klubie Owoce i Warzywa, 18.10.2012.
2. Według informacji na łamach łódzkiego serwisu Gazeta.pl „Budynki chce sprzedać, ale chętnych brak”, 16.08.2012, dostęp 23.02.2013.

Jak nam się żyje w Łodzi?

Badania jakości życia mieszkańców

Od kilku lat socjologowie i ekonomiści starają się w analizach stanu społeczeństwa – a szczególnie w rankingach atrakcyjności miast i regionów – kłaść coraz większy nacisk na kwestie odnoszące się do jakości życia. Tradycyjne mierniki, takie jak choćby PKB *per capita*, niewiele są w stanie powiedzieć o tym, jak rzeczywiście żyje nam się w danym miejscu. A na taki obraz składa się cała gama czynników. Obiektywnych i subiektywnych. A zatem jakich?

W 2005 roku brytyjski „The Economist” opracował indeks dziewięciu wyznaczników jakości życia (*Qualities of Life Index*), wśród nich znalazły się m.in. takie jak sytuacja materialna mieszkańców, ich przewidywana długość życia, bezpieczeństwo, jakość życia rodzinnego (mierzona liczbą rozwodów) oraz jakość życia wspólnotowego. Oczywiście to tylko propozycje niektórych wskaźników, a ich konkretny dobór zależy od decyzji poszczególnych badaczy, wśród których toczą się zresztą na ten temat niekończące się debaty. Ważne jednak, że oparte na podobnych kategoriach analizy zaczynają odgrywać coraz większą rolę również dla decydentów planujących decyzje strategiczne na różnych szczeblach władzy.

Również w Łodzi kwestia „jakości życia” była w ubiegłym roku szeroko dyskutowana podczas konsultacji społecznych *Strategii Zintegrowanego Rozwoju 2020+*. W ich wyniku do dokumentu został dodany cały dział (filar) pod nazwą *Przestrzeń i Środowisko*, zakładający literalnie „poprawę jakości życia mieszkańców dzięki zwiększeniu atrakcyjności przestrzeni publicznej, rewitalizacji kluczowych obszarów Miasta, wykorzystaniu potencjału środowiska przyrodniczego i rozwoju zrównoważonego transportu miejskiego”. Dodanie filaru – co ważne po konsultacji samych Łodzian – sprawiło, że ten dokument, początkowo nastawiony przede wszystkim na kwestie gospodarcze (wykorzystanie potencjału powstającej infrastruktury transportowej, przemysły kreatywne itd.), stał się w zamyśle bardziej przyjazny dla mieszkańców i nastawiony na ich subiektywnie odczuwane „dobro”.

Problem pierwszy: demografia

Obiektywne problemy, z jakimi boryka się Łódź, są już dość dobrze rozeznane. To przede wszystkim bardzo negatywny trend demograficzny. Łodzianie żyją średnio prawie dziesięć lat krócej niż statystyczny obywatel Polski, jesteśmy też według danych

GUS na drugim od końca miejscu w rankingu dzietności (wśród powiatów). Częściej niż mieszkańcy innych dużych miast emigrujemy. Demografowie przewidują, że do 2020 roku w Łodzi mieszkać będzie zaledwie 671 tys. osób. Ale tym razem spośród tej liczby mieszkańców jedną trzecią będą stanowili emeryci. W 2035 roku ma nas być zaledwie 578 tys., czyli zejdziemy do stanu sprzed 1939 roku.

Odwrocenie tej negatywnej tendencji jest więc dla miasta sprawą kluczową. Choć trzeba przyznać, że do pozostania i migracji do Łodzi wcale nie zachęca fakt, iż spośród dużych polskich miast tylko w Białymstoku trudniej znaleźć pracę, a zarobki łodzian są przeciętnie 10-15 proc. niższe od średniej dla największych ośrodków. Nie oszukujmy się więc – wszystko wskazuje na to, że kwestią zasadniczą dla Łodzi jest dzisiaj ekonomia. Jak się wydaje, miasto ma tutaj sensowny plan na ożywienie, a nawet dokonanie modernizacyjnego skoku: to budowa Nowego Centrum Łodzi, wykorzystanie potencjału powstającej infrastruktury transportowej oraz wspieranie gałęzi gospodarki opartych na wiedzy i kreatywności.

Obok wspomnianych wyżej obiektywnych czynników są jednak jeszcze czynniki subiektywne – nie mniej ważne. Jak nam się żyje w mieście na co dzień? Co i gdzie nam przeszkadza? Co chcielibyśmy udoskonalić? Co nas w tym mieście trzyma bądź skłania do myślenia o wyjeździe? Wreszcie, jak oceniamy publiczne usługi i jakość miejskiej przestrzeni?

Badanie jakości życia mieszkańców oraz jakości usług publicznych w Łodzi

Na podobne pytania zadane przez wrocławską Korporację Badawczą PRETENDENT odpowiedziało ankietnikom w marcu i kwietniu 2012 roku ponad tysiąc łodzian. Zleceniodawcą badań był Urząd Miasta. Tak dobrana próba zapewnia według autorów raportu trafność uzyskanych wyników na poziomie 97 proc. Respondenci zostali dobrani zgodnie z przekrojem demograficznym Łodzi, co oznacza, że w badanej grupie znalazło się proporcjonalnie tyle kobiet i mężczyzn, małżonków, rozwiedzionych, owdowiałych i singli, a nawet tylu mieszkańców bloków, kamienic i domków jednorodzinnych itd., co w całej populacji miasta. Generalnie opinia łodzian na temat miasta jest wedle tych badań dość zrównoważona. Większość – 46 proc. ocenia miasto przeciętnie. Również oceny skrajne na plus i minus rozkładają się mniej więcej po równo. Co szczególnie cieszy – wobec pielęgowanego przez lata błędnego stereotypu o tym, że młodzi ludzie chętnie z miasta uciekają – to fakt, iż w grupie wiekowej 18-24 jest najwięcej pozytywnych opinii o Łodzi. Również osoby lepiej wykształcone, a więc dysponujące większą wiedzą o mieście, częściej wypowiadają się na temat Łodzi z sympatią.

Problem drugi: bezrobocie

Jeśli chodzi o poszczególne dziedziny życia, za które odpowiedzialne są władze, to sytuacja jest równie ciekawa. Znając statystyki poziomu zatrudnienia, trudno się dzi-

wić, że najgorzej oceniane są działania samorządu związane z przeciwdziałaniem bezrobociu i wsparciem przedsiębiorczości. Aż 65 proc. mieszkańców ocenia je źle bądź bardzo źle. Niewiele lepiej łodzianie widzą kwestię ochrony zdrowia oraz czystości i estetyki w miejskiej przestrzeni. Najlepiej zaś postrzegają edukację oraz ofertę kulturalną i sportową (odpowiednio 48 i 43 proc. pozytywnych wskazań). Kluczową chyba kwestią jest w kontekście przytoczonych powyżej negatywnych trendów demograficznych motywacja do pozostania bądź wyjazdu z miasta. 49 proc. ankietowanych deklaruje, że nawet gdyby miało takie możliwości, to z Łodzi by się nie wyprowadziło. To bardzo ważna opinia, świadcząca chyba o tym, że odradza się u nas lokalny patriotyzm, a negatywny stereotyp miasta przełamują sami łodzianie. Oczywiście najwyższy odsetek przywiązanych do miejsca – z natury rzeczy – deklarują seniorzy. Ale wahania w kategoriach wiekowych nie są duże.

Najbardziej skorzy do wyjazdu są zaś najgorzej zarabiający i bezrobotni. Relatywnie skłonnych do wyjazdu jest również stosunkowo dużo (wobec tylko 10 proc. niezdecydowanych). Otóż aż 41 proc. łodzian, gdyby miała możliwości, z Łodzi by wyjechała. Dlaczego? Porzućmy dość stereotypowe opinie o drenażu mózgow i wysysaniu specjalistów przez stolicę. Łodzian do myślenia o wyjeździe skłania przede wszystkim bezrobocie, ubóstwo i niskie płace. Trzy razy mniej respondentów chciałoby wyjechać dlatego, że Kraków, Warszawa, Gdańsk, Poznań czy Wrocław wydają im się atrakcyjniejsze. Taka sama liczba respondentów zmieniłaby Łódź na spokojniejszą prowincję. Autorzy raportu diagnozują, iż taki niemal równy rozkład zadowolonych i niezadowolonych, skłonnych do wyjazdu i zdecydowanych w mieście pozostać, świadczy o tym, że jesteśmy dość podzieloną społecznością lokalną. Widać to zresztą doskonale w debacie publicznej. Ponad dwa lata temu pisarz Tomasz Piątek opublikował słynny już i bardzo ostry w wymowie tekst pt. *Nie Łódźmy się*. Wybuchła natychmiast gorąca debata pomiędzy prorokującymi „śmierć miasta” i nawołującymi do wyjazdu, a lokalnymi patriotami i miłośnikami Łodzi. Jak się więc zdaje, wobec naszego miasta nie sposób przejść obojętnie... Warto jednak zaznaczyć, że w tak skonstruowanych badaniach zła opinia o mieście i deklaracja chęci wyjazdu mogą być wyrazem frustracji bądź protestu w obliczu obiektywnych problemów np. ze znalezieniem pracy. Niekoniecznie zaś jest to podyktowane utrwaloną autentyczną niechęcią.

Badania przeprowadzone przez wrocławskie towarzystwo, dostępne na stronie internetowej UMŁ, dostarczają całej masy ciekawych danych statystycznych, szczególnie odnoszących się do opinii mieszkańców o poszczególnych aspektach polityki miejskiej i poziomie miejskich usług. Nie brakuje w nich wszak pewnych mankamentów – choćby rozbudowanej definicji kluczowej kategorii „jakości życia”. Podobnie dość przypadkowy jest rozkład przestrzenny dobranej próby (według metody *random route*) – autorzy raportu porównują ze sobą jedynie osiedla Teofilów, Olechów-Janów, Retkinię, Radogoszcz i Chojny. Nic nie wiemy zaś o Widzewie czy Bałutach.

Jakość życia mieszkańców i jej przestrzenne zróżnicowanie

Znacznie ciekawsze pod tym względem jest badanie przeprowadzone w maju i czerwcu 2012 roku na podobnej próbie (około tysiąca respondentów) przez zespół z Instytutu Socjologii Uniwersytetu Łódzkiego pod kierownictwem prof. Ewy Rokickiej. Projekt badawczy rozpisany na dwa ubiegłe lata otrzymał dofinansowanie miasta w ramach konkursu *Współpraca z wyższymi uczelniami*. Warto odnotować ten konkurs, przeznaczony wyłącznie dla łódzkich szkół wyższych. Kwestia współpracy miasta z uczelniami wydaje się dzisiaj zasadnicza; uczelnie dostarczają wykwalifikowanej kadry, bez której nie będzie nowoczesnych inwestycji. Ale jest również całkiem pragmatyczny aspekt tej współpracy – łódzcy naukowcy powinni bardziej interesować się miastem i częściej uczestniczyć w dyskusji o nim. Szczególnie cenne w tym kontekście okazuje się doświadczenie łódzkiego ośrodka socjologicznego, od kilkudziesięciu lat należącego do ścisłej czołówki w kraju. Dwa lata temu łódzki socjolog miasta, prof. Andrzej Majer, żalił się na łamach prasy, że owo środowisko jest w znacznym stopniu niewykorzystywane, a badania społeczne czy analizy strategiczne dla UMŁ przygotowują nieznające kontekstu lokalnego firmy spoza Łodzi. Dobrze więc, że konkurs ogłoszony przez Prezydent Miasta wziął za swój priorytet współpracę z miejscowymi ośrodkami badawczymi.

Raport przygotowany przez doświadczony zespół prof. Rokickiej jest rzeczywiście o wiele bardziej rozbudowany w swojej formie metodologicznej i teoretycznej od raportu wrocławskiej pracowni. Zawiera szczegółowe analizy wybranych problemów, m.in. z takich dziedzin jak praca zawodowa łódzian, bezpieczeństwo w mieście, poziom satysfakcji z służby zdrowia, transportu czy oferty kulturalnej. Przede wszystkim jednak znajdziemy w nim precyzyjną definicję pojęcia „jakość życia” wraz z jej zakresem. Co ciekawe, badacze wyróżniają również jej aspekt obiektywny, to znaczy poziom dobrobytu, oraz aspekt subiektywny, czyli poziom dobrostanu psychicznego. Szczegółowo omówione są również teoretyczne założenia, cele i metody działań. Kolejnym ważnym *novum* w stosunku do badań wrocławskiej pracowni jest solidna, oparta na znajomości historii miasta, piśmiennictwa i niuansów struktury administracyjnej, analiza rozkładu przestrzennego ludności. Pozwoliła ona dość dokładnie i trafnie zbadać zróżnicowanie opinii mieszkańców, biorąc pod uwagę miejsce zamieszkania w Łodzi – badacze wyróżnili cztery charakterystyczne obszary: centrum, stare osiedla, nowe osiedla i peryferie. Problem, który wydaje się w tym kontekście najistotniejszy, to relatywnie wysoki poziom deprivacji potrzeb mieszkańców centrum. Zarówno pod względem obiektywnych wyznaczników jakości życia, takich jak zarobki i warunki mieszkaniowe, jak i pod względem subiektywnych charakterystyk, mierzonych poziomem ogólnej satysfakcji z życia w mieście. Patrząc więc na statystyki, należy skonstatować, że mieszkańcom centrum i w nieco mniejszej skali mieszkańcom starych osiedli żyje się po prostu gorzej. Również mieszkańcy centrum czują się w swojej okolicy dużo mniej bezpiecznie niż mieszkańcy oddalonych od śródmieścia okolic (ponad 27

proc. mieszkańców śródmieścia deklaruje poczucie zagrożenia). A co za tym wszystkim idzie, zmieniając mieszkanie, częściej opuszczają śródmieście, kierując się na peryferie. Szkodliwa tendencja do nadmiernego rozprzestrzeniania się miasta, rozlewania się na przedmieścia (tzw. *urban sprawl*), jest oczywiście problemem wielu współczesnych metropolii. W naszym łódzkim kontekście dodatkowo pokutuje pochodząca jeszcze z PRL megalomania planowania przestrzennego nie licząca się z wartością gruntów i nastawiona na dobudowywanie coraz to nowych osiedli na peryferiach strefy śródmiejskiej. A razem z nimi wymuszone inwestycje w sieć nowych dróg, linii przesyłowych etc. Efektem tej ideologii urbanistycznej są oczywiście większe koszty i rozpad więzi społecznych wśród ludzi pozamykanych w tzw. „sypialniach miast”. Ta tematyka jest od dawna poruszana m.in. przez architekta miasta Marka Janiaka w ramach projektów rewitalizacji śródmieścia. Badania łódzkich socjologów podkreślają tutaj konieczność podjęcia obok kwestii architektonicznych i urbanistycznych również społecznego wymiaru rewitalizacji. Nie odbudujemy centrum bez inwestycji w jego mieszkańców.

Problem trzeci: bezpieczeństwo

Niezwykle zastanawiająco w raporcie rysuje się analiza poczucia bezpieczeństwa łódzian przeprowadzona przez Bartłomieja Kacpra Przybylskiego. Kwestia ta była ostatnio szeroko dyskutowana po makabrycznym i bezsensownym morderstwie młodego człowieka na ul. Piotrkowskiej, nie pierwszym zresztą w Łodzi tak absurdalnym akcie przemocy popełnionym w podobnych okolicznościach (podczas weekendowej nocnej zabawy w centrum), na przypadkowej ofierze. Prawdą jest, że znacznie rzadziej niż statystyczny mieszkaniec kraju czujemy się w Łodzi bezpiecznie. Choć 89 proc. Polaków uważa swoją okolicę za bezpieczną, to podobnie myśli zaledwie 53,8 proc. łódzian. A poczucie zagrożenia jest relatywnie najwyższe w centrum.

Dane te są w dużej mierze zaskakujące, Łódź bowiem w porównaniu do innych dużych miast w kraju charakteryzuje się stosunkowo niskim poziomem przestępczości. W Łodzi współczynnik przestępstw stwierdzonych na tysiąc mieszkańców wynosi niewiele ponad 38. Dla przykładu, w Gdańsku, Poznaniu, Wrocławiu i Katowicach przekracza on 45. Te dane GUS potwierdzają wyniki ankiety łódzkich socjologów. Choć nie zawsze czujemy się bezpiecznie, to jednak zaledwie 3,4 proc. łódzian padło w okresie dwunastu miesięcy ofiarą przestępstwa lub wykroczenia w swoim miejscu zamieszkania. Tylko 9,9 proc. pytanym deklaruje, że ktoś z ich rodziny bądź znajomych w danym okresie doświadczył na sobie bądź swoim mieniu takiego bądź innego złamania prawa. Najbardziej uciążliwe są dla nas zaś pospolite wykroczenia. Wandalizm i niszczenie mienia publicznego za istotny problem uważa aż 84,5 proc. respondentów. Wydaje się więc, że piętnując absurdalne akty przemocy, które zdarzają się w Łodzi, tak zresztą jak w każdym innym dużym mieście, powinniśmy reagować na nieprawdziwe sugestie o tym, że Łódź jest miastem wyjątkowo niebezpiecznym. Nie

jest! Statystyki przestępstw prowadzone przez Policję i Straż Miejską potwierdzają też dane pochodzące z ankiety, wedle których trudno jest nawet wyznaczyć w Łodzi miejsca, dzielnice i osiedla charakteryzujące się istotnie wyższą przestępczością od średniej.

Problem czwarty: nieufność społeczna

Trzeba również wspomnieć o problemie więzi społecznych. Satysfakcjonujące relacje międzyludzkie z rodziną, przyjaciółmi i społecznością lokalną to jedne z najważniejszych determinant subiektywnego poczucia dobrostanu psychicznego. Wiele badań wskazuje wręcz na to, że ludzie, którzy posiadają satysfakcjonujące ich relacje, są zdrowsi i żyją dłużej. Jesteśmy z całą pewnością „zwierzętami społecznymi”.

Jak zatem wyglądają nasze relacje w Łodzi? Pod kilkoma względami zaskakująco. Łodzianie najczęściej spotykają się z rodziną i przyjaciółmi, bardzo rzadko z sąsiadami (prawie 50 proc. ankietowanych stwierdziła wręcz, że ze swoimi sąsiadami nie spotyka się towarzysko nigdy). Tym obyczajem nie różnimy się zanadto od średniej krajowej. Podobnie rzecz się ma z sieciami wsparcia. W chorobie aż 86,3 proc. z nas zwróciłoby się z prośbą o pomoc do rodziny, w przypadku problemów finansowych 67,5 proc. łodzian liczyłoby na krewnych, a 18,9 proc. na przyjaciół. W przypadku problemów osobistych wymagających rozmowy i psychicznego wsparcia dla 54,2 proc. łodzian ratunkiem byłaby rodzina, dla 37,6 proc. przyjaciele. To, co zaskakuje w rozkładzie odpowiedzi na powyższe pytanie, to bardzo niski odsetek wskazań na instytucje zajmujące się profesjonalnie świadczeniem pomocy. Poza rodziną i przyjaciółmi tylko kilka procent łodzian poprosiłoby o wsparcie pomoc społeczną, stowarzyszenie, fundację lub kościół.

Nie przodujemy też jako łodzianie w wielkoduszności. Tylko 20,5 proc. z nas deklaruje, że w ostatnim roku działało w jakikolwiek sposób charytatywnie. Dla porównania, taką deklarację w badaniach CBOS złożyło aż 73 proc. Polaków. Wśród dużych polskich miast wyróżniamy się jednym z najniższych współczynników zarejestrowanych organizacji pozarządowych i wyjątkowo niskim (do 2011 roku) poziomem uczestnictwa w konsultacjach społecznych. Świadczy to o relatywnie dużym zatamowaniu mieszkańców. Chętnie pomagamy, ale rodzinie i przyjaciołom – rzadko zaś angażujemy się w sprawy miasta, dzielnicy czy sąsiedztwa. Często czujemy się zagrożeni i wyalienowani w przestrzeni miejskiej, nasze relacje ograniczają się do kręgu rodzinnego i przyjacielskiego. Ta subiektywna alienacja może być tłumaczona kilkoma obiektywnymi względami: relatywnie niskim poziomem wykształcenia mieszkańców, dramatycznym zaburzeniem ciągłości demograficznej po drugiej wojnie światowej czy wreszcie skutkami zapaści łódzkiego przemysłu w okresie transformacji ustrojowej. Nie zmienia to jednak faktu, że problem więzi mieszkańców z miastem i społecznością lokalną to jedno największych wyzwani Łodzi. Od kilku miesięcy w strukturach UMŁ działa specjalna komórka – Biuro ds. Partycypacji Społecznej, które ma inicjować dzia-

łania skłaniające łodzian do większej identyfikacji z miastem i zaangażowania w jego sprawy. To być może jeden z pierwszych ważnych efektów wyciągania wniosków z zamówionych przez miasto analiz socjologicznych.

Dlaczego inwestować w jakość życia?

Jak podkreślają socjologowie, transformacja systemowa w Polsce po 1989 roku miała charakter wybitnie imitacyjny i technokratyczny. Przez lata – również na szczeblu samorządowym – przyciąganie inwestycji zagranicznych uchodziło za najważniejszy wyznacznik efektywności władz. Nowoczesność chcieliśmy importować i automatycznie zaszcześcić na polskim gruncie. I nawet jeśli czasem się to udawało, to zazwyczaj tylko pozornie i na chwilę. Globalni inwestorzy to współcześni nomadzi, którzy krążą po świecie w poszukiwaniu warunków pozwalających im ciąć koszty. Fabrykę czy biurowiec łatwo jest dziś jednak przenieść w inne miejsce na globie, jeśli tylko okaże się to korzystne. Stąd w dyskusji o współczesnych polskich miastach coraz częściej podkreśla się znaczenie inwestycji w „jakość życia” i to w wielu jej aspektach. W Poznaniu istnieje nawet od dekady Centrum Badań Jakości Życia powołane przez tamtejszy Urząd Miasta i Uniwersytet im. Adama Mickiewicza. Tylko atrakcyjne, zdrowe i uporządkowane miasto będzie w stanie przyciągać do siebie przyjezdnych. Tylko wysoki poziom edukacji, i to na każdym szczeblu, od podstawowej aż do szkół wyższych, będzie w stanie wspierać silną i konkurencyjną gospodarkę. Tylko trwałe, oparte na wysokim kapitale społecznym relacje mieszkańców będą mogły stwarzać poczucie bezpieczeństwa i stabilności życia w mieście.

Marcin Kieruzel

historia

Łódzkie włóknianki '71

Bunt kobiet

Przemysław Waingertner

str. 151

150. rocznica Powstania Styczniowego

Maria Piotrowiczowa – łódzka bohaterka

Konrad A. Czernielewski

str. 161

Mój Marzec

Wspomnienia współtwórcy „Ruchu”

Stefan Niesiołowski

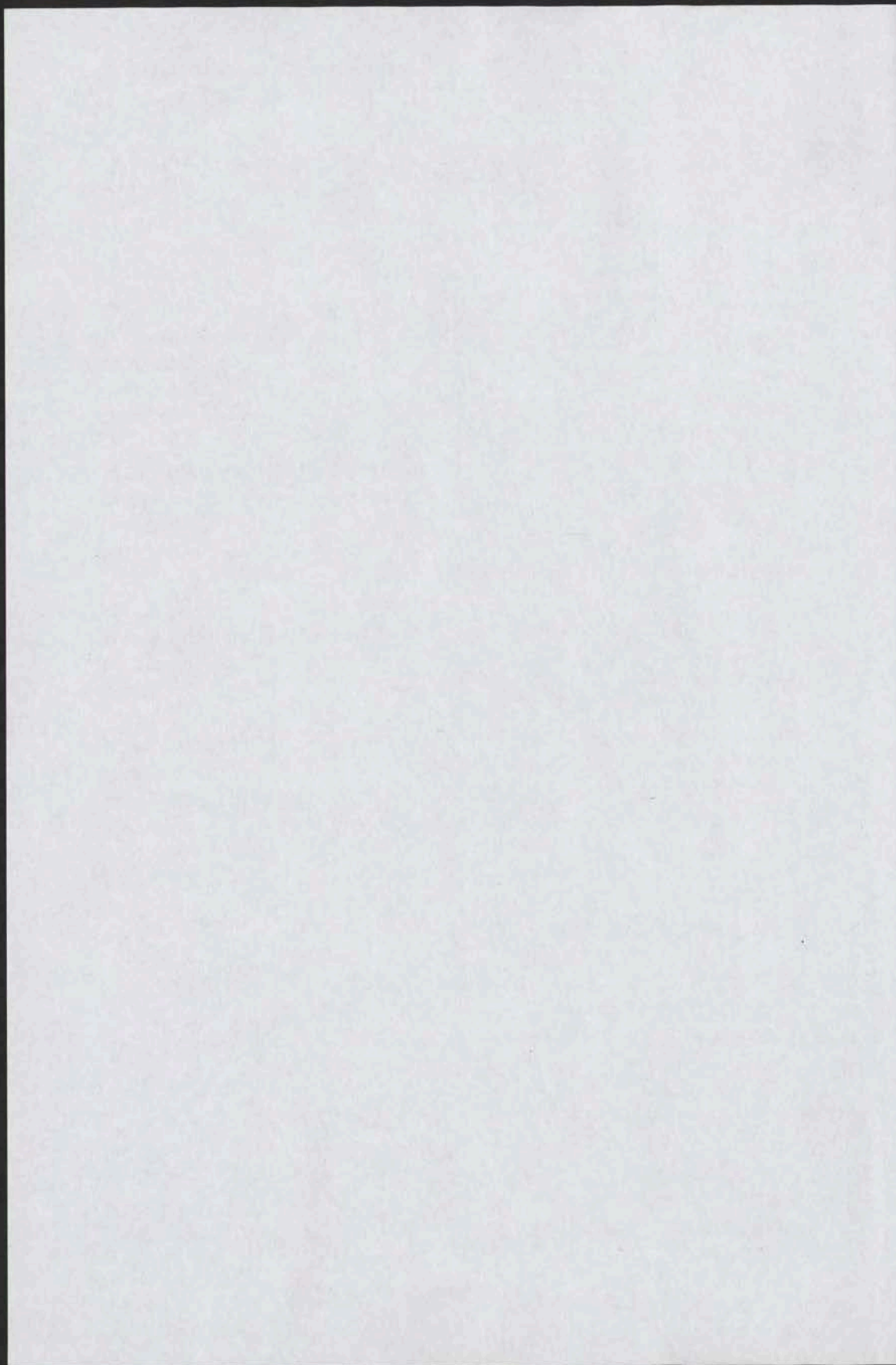
str. 168

Legionów 24

Niezwykła kamienica

Agnieszka Jędrzejewska

str. 174



Łódzkie włóknianki '71

Bunt kobiet

historia

„Czerwone miasto”, „miasto włóknianek”, „miasto kobiet” – tymi określeniami, eksponującymi z jednej strony dumę władzy ludowej z Łodzi, wiernej rzekomo zaborowej i międzywojennej rewolucyjnej tradycji, z drugiej zaś rolę kobiet w strukturze społeczno-zawodowej tej wielkomiejskiej metropolii, mającej stanowić dowód na realizację zasady równouprawnienia płci w dziedzinie „socjalistycznej produkcji”, propaganda okresu PRL chyba najczęściej charakteryzowała ówczesny fenomen robotniczego miasta. W istocie kobiety stanowiły podstawową siłę roboczą wielkich łódzkich fabryk przemysłu włókienniczego. Ale dla nich samych stwierdzenie, iż żyją i pracują w mieście, które zapewnia im realizację zawodowych ambicji oraz godziwą egzystencję i zaspokojenie życiowych aspiracji, miało smak gorzkiej ironii.

Miasto (nie dla) kobiet

W rzeczywistości warunki pracy łódzkich włóknianek (a na ponad 130 tys. pracowników zatrudnionych w przemyśle lekkim, królującym w mieście, ponad 90 procent stanowiły kobiety zatrudnione w zakładach bawełnianych, wełnianych, dziewiarskich, półprzędzniczych i odzieżowych) były w powojennej Łodzi opłakane. Przede wszystkim wynagrodzenie za wykonywaną przez nie pracę dalekie było od ideałów „społecznej sprawiedliwości”, stanowiących oficjalne credo Polski Ludowej. Ich pensje były niższe w stosunku do średniej płacy w sektorze przemysłowym o ponad 20 procent. Wszak prymat w kolejnych planach gospodarczych PRL należał się przemysłowi ciężkiemu, domenie mężczyzn. W dodatku na skutek decyzji Ministerstwa Przemysłu Lekkiego narastały systematycznie różnice w uposażeniu robotników w układzie branżowym i regionalnym. W efekcie przyrost płac w Łodzi był o połowę niższy niż w całym przemyśle lekkim. Branża włókiennicza ustępowała również innym w zakresie świadczeń socjalnych – dostępu do puli wczasów zakładowych, opieki zdrowotnej, możliwości skorzystania z przedszkoli, żłobków czy też środków BHP.

Pustym sloganem okazywało się na co dzień również wspomniane wcześniej hasło równouprawnienia w pracy. W łódzkim przemyśle włókienniczym kobiety zatrudniano nagminnie – nie oglądając się na ich często wysokie rzeczywiste kwalifikacje – do pracy na najniższych, najgorzej opłacanych stanowiskach, z iluzorycznymi widokami na ewentualny awans zawodowy. Warto przypomnieć, iż w nawet

najbardziej sfeminizowanych łódzkich fabrykach średnią kadre, grupującą majstrów, brigadzistów, techników, stanowili niemal bez wyjątków mężczyźni.

Wiele do życzenia pozostawiały również maszyny, które musiały obsługiwać włókienki. Pracowały one na warsztatach przestarzałych i zużytych. Według ocen ekspertów z lat 60. (które, rzecz jasna, nie doczekały się wówczas oficjalnego opublikowania) ponad połowa parku maszynowego w łódzkich przedsiębiorstwach włókienniczych wymagała niemal natychmiastowego odtworzenia – i to nie z racji jego słabej wydajności, ale generowania realnego zagrożenia dla zdrowia i życia obsługujących go robotnic. Warto pamiętać, iż prawie połowa maszyn i urządzeń w łódzkich zakładach włókienniczych pochodziła sprzed drugiej wojny światowej, a następne 20 procent pamiętało jeszcze lata rozbiorów.

W nie lepszej kondycji znajdowały się budynki fabryczne i ich zaplecze socjalne – blisko połowa z nich osiągnęła w okresie gomułkowskim, zdaniem oceniających je wówczas specjalistów, „stan śmierci technicznej”. Brakowało podstawowego wyposażenia spełniającego normy BHP. Włókienki pracowały na trzy zmiany w ogłuszającym hałasie, zapyleniu i w bardzo wysokiej temperaturze. Spośród łódzkich zakładów co piąty nie posiadał szatni i jadalni, a co drugi nie był wyposażony w natryski. Warto przypomnieć, iż kiedy – a było to już w pierwszej połowie lat 70. – Andrzej Wajda realizował słynną *Ziemię Obiecaną* (której akcja rozgrywa się wszak u schyłku XIX w.) w pracujących przecież nadal łódzkich fabrykach włókienniczych i korzystając przy tym ze znajdującego się na ich wyposażeniu i nadal wykorzystywanego w produkcji parku maszynowego, amerykańscy krytycy filmowi nie mogli początkowo uwierzyć, iż przestarzałych i niedostosowanych do nowoczesnej produkcji zabudowań fabrycznych oraz zapełniających je „muzealnych” maszyn nie wybudowano i nie sprowadzono specjalnie na potrzeby filmu!

Grudniowy prolog

Pomimo opłakanych warunków pracy w przemyśle włókienniczym, dominującym w metropolii nad Łódką, robotnicza rewolta na Wybrzeżu w grudniu 1970 r. nie spowodowała początkowo w Łodzi większych strajków ani solidarnościowych demonstracji czy wieców. Była to jednak przysłowiowa cisza przed burzą. Jeszcze bowiem przed grudniem 1970 r. odnotowano w mieście prawie trzydzieści „nieuzasadnionych przerw w pracy”, jak to określano w dokumentach wytworzonych przez aparat Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej i administracji państwowej.

Przysłowiową kroplą, która przelała czarę goryczy, okazała się grudniowa decyzja Biura Politycznego PZPR o podwyżce cen żywności. Po jej ogłoszeniu nastąpił wyraźny wzrost napięcia wśród załóg łódzkich przedsiębiorstw. Kiedy na dodatek dotarły do Łodzi informacje o masakrze na Wybrzeżu, nastąpiła erupcja społecznego niezadowolenia. Na budynkach w mieście pojawiły się napisy, a na ulicach i w fabrykach ulotki. Hasła, jakie głosiły, nie pozostawiały wątpliwości co do nastrojów

wśród łodzian: „Gdańsk walczy!”, „Precz z partią”, „Przypomnij sobie sklerotyku [rzecz jasna chodziło o Gomułkę], coś obiecał w październiku”.

Wreszcie 18 grudnia zastrajkowali robotnicy Łódzkiej Fabryki Maszyn Jedwabniczych „Majed”. Następnego dnia stanął Wydział Mechaniczny Widzewskiej Fabryki Maszyn Włókienniczych, a jego pracownicy uczcili dziesięciminutową ciszą „ofiary wypadków w Gdańsku”. W innych zakładach próbowano organizować masówki, na których miałyby zostać przedstawiona rzeczywista sytuacja w kraju. Pod adresem dyrekcji i działaczy PZPR kierujących tzw. POP-ami (Podstawowymi Organizacjami Partyjnymi) w poszczególnych fabrykach kierowano również w pełni zasadne pytania: „Jak zostaną rozliczeni ci, którzy wydali rozkaz strzelania do klasy robotniczej?”; „Czy tylko Gomułka rządził krajem, a gdzie była reszta przywódców?”; „Czy zostali już zwolnieni aresztowani w wypadkach grudniowych?”; „Dlaczego nikt nie wytłumaczył ekonomicznej konieczności podwyżki cen?”; „Czy prawdą jest, że nasze statki wyposażamy w urządzenia sprowadzane za dolary, a potem sprzedajemy niekorzystnie za ruble?”; „Czy na naszą sytuację gospodarczą ma wpływ «internacjonalistyczna» pomoc dla Kuby, Wietnamu?”. Niekiedy gniew i rozgoryczenie przebijające z pytań zastępowała ironia: „Dlaczego zdrożały ryby? Przecież ich w Bałtyku nie dokarmiamy”. Zdarzały się przypadki demonstracyjnego oddawania legitymacji partyjnych (w łódzkiej elektrociepłowni sześciu członków partii zadeklarowało, iż są do tego zmuszeni, gdyż z powodu podwyżek nie mają pieniędzy na płaćcenie składek) i poświadczających przynależność do oficjalnych organizacji związkowych.

Wydarzenia te zaalarmowały kierownictwo partyjne i administrację oraz służby porządkowe w mieście. Wprowadzone zostały dyżury funkcjonariuszy PZPR i przedstawicieli administracji w zakładach pracy. Równocześnie pierwsi sekretarze komitetów dzielnicowych, przewodniczący Rad Narodowych, komendant miejski Milicji Obywatelskiej i komendant garnizonu łódzkiego regularnie spotykali się, aby monitorować i oceniać sytuację w mieście oraz uzgadniać na bieżąco dalsze działania. Z kolei przy komendach dzielnicowych MO uruchomiono dyżury oddziałów tzw. Ochotniczej Rezerwy Milicji Obywatelskiej. Opracowano też teksty ulotek, które miały być rozrzucone w mieście w przypadku masowego wystąpienia łódzkich robotników. Ich treść była w równej mierze dowodem na strach władzy przed wybuchem społecznej rewolty, co wyrazem nieporadności oficjalnej propagandy. Autorzy agitek nawoływali: „Ludzie pracy! Kobiety łódzkie! Młodzieży łódzka! Wzywamy Was! Zachowajcie spokój, rozważę i dyscyplinę. Każdy przejaw dezorganizacji życia godzi w nasze najżywniejsze interesy. Tylko praca, ład i porządek mogą nam zapewnić przezwyciężenie powstałych trudności”.

Skoro jednak przerwy w pracy w poszczególnych fabrykach nie przekształciły się w falę masowych strajków, zarówno członkowie Komitetu Łódzkiego PZPR, jak i przedstawiciele nowych „pogomułkowskich” władz centralnych partii z I sekretarzem Komitetu Centralnego Edwardem Gierkiem na czele oceniali na początk-

ku stycznia 1971 r. – jak się okazało przedwcześnie – iż „najgorsze minęło”. Wyraz takiemu przekonaniu dał m.in. I sekretarz KŁ PZPR Józef Spychalski, który w przemówieniu przygotowanym na VIII plenarne posiedzenie Komitetu Centralnego Partii oznajmił triumfalnie: „Jeszcze raz «Czerwona Łódź» dała wyraz swojej dojrzałości politycznej!”.

Z zadartą... spódnicą

Nadzieje Spychalskiego okazały się złudne. W połowie stycznia sytuacja w łódzkich zakładach ponownie się zaostrzyła. Robotnicy zaczęli organizować akcje protestacyjne. 15 stycznia 1971 r. zastrajkowali pracownicy Łódzkich Zakładów Mięsnych. Pięć dni później przerwali pracę robotnicy Centralnej Wytwórni Odzieży w Łodzi. W dniu 10 lutego stanęły Łódzkie Zakłady Obuwia i Wyrobów Gumowych „Stomil”, zatrudniające ponad cztery tysiące osób. Strajkujący zażądali m.in. spotkania z dyrekcją zakładu i podwyżek pensji. Krytykowali również pracę dozoru technicznego.

Tego samego dnia strajk podjęła załoga przędzalni odpadkowej Zakładów Przemysłu Bawełnianego im. Marchlewskiego, w których ogółem pracowało około dziewięć tysięcy osób. Przyczyną decyzji o przerwaniu pracy były informacje o obniżeniu zarobków, które wywołały tym większe wzburzenie, że poprzedziły je grudniowe podwyżki cen żywności. Załoga przędzalni zażądała podwyżki wynagrodzeń, stworzenia czytelnego systemu ich ustalania, sprawiedliwego wyliczania poborów za urlop, powrotu do starych cen, ale także ukarania winnych za „wypadki grudniowe” i obniżenia zarobków ministrów.

Komitet Zakładowy PZPR, dyrekcja fabryki oraz rada zakładowa w wyniku podejmowała nieudolne próby spacyfikowania nastrojów poprzez izolowanie strajkujących od innych wydziałów, ustalanie nazwisk liderów strajku i formułowanie gróźb pod ich adresem. Repertuar gróźb był zróżnicowany, poczynając od wyciągnięcia konsekwencji służbowych, a na karach finansowych kończąc. Podejmowanie zaś prób rozmów jedynie z wyselekcjonowanymi osobami (mistrzami lub robotnikami znanymi wcześniej z aktywnej działalności w „aktywie” partyjnym) przyczyniły się jedynie do eskalacji konfliktu. W tej sytuacji, kiedy nadzór techniczny uruchomił kilka maszyn, strajkujące włóknianki zareagowały z pogardliwą ironią: „Po co pracować, jak mistrzowie robią za nas za darmo?”.

Kolejne dwa dni, 12 i 13 lutego, miały decydujące znaczenie dla dalszego przebiegu strajku w „Marchlewskim”. Stanęły bowiem kolejne wydziały zakładu i sześć innych przedsiębiorstw: Zakłady Przemysłu Bawełnianego im. Obrońców Pokoju (prace przerwało około dwa i pół tysiąca pracowników), ZPB im. 1 Maja i ZPB im. Armii Ludowej (w każdym zastrajkowało około tysiąca osób), ZPB im. gen. Waltera i ZPB im. Kunickiego (w każdym strajkowało ponad stu pracowników) oraz ZPB im. Hanki Sawickiej (ponad pół tysiąca strajkujących). Ogółem w Łodzi odmówiło pracy prawie trzysta tysięcy osób, z czego ponad 80 procent stanowiły kobiety zatrudnione w branży włókienniczej.

Uwagę wszystkich przyciągała jednak przede wszystkim sytuacja w ZPB im. Marchlewskiego. Załoga tej fabryki 13 lutego przerwała rozmowy z administracją zakładową i zażądała przyjazdu I sekretarza KC PZPR Edwarda Gierka lub podwyżki płac o 250 zł. W przypadku odmowy zapowiedziano podjęcie strajku okupacyjnego. Postulatu nie spełniono, więc strajkujący rozpoczęli okupację swoich zakładów.

Tak dużego strajku nie można było zlikwidować obietnicami czy ograniczonymi ustępstwami, które mogły zaproponować strajkującym dyrekcje fabryk. Konieczne były decyzje kierownictwa partyjnego na szczeblu miasta, a nawet centralnym. Późnym wieczorem 11 lutego 1971 r. do ZPB im. Marchlewskiego przybył I Sekretarz KŁ partii Józef Spychalski. Ale ci spośród strajkujących, którzy liczyli na poważne rozmowy, mieli się srodze zawieść. Nie spotkał się on bowiem z załogą, ale jedynie z wyselekcjonowanym „aktywem” partyjnym. Niepowodzeniem zakończyły się również próby negocjacji z 12 lutego, podjęte przez delegację z Warszawy, w której skład weszli: ówczesny minister przemysłu lekkiego Tadeusz Kunicki, przewodniczący Centralnej Rady Związków Zawodowych Władysław Kruczek i wicepremier Jan Mitręga. Tym razem udało się strajkującym wyegzekwować spotkanie z delegacją. Jej członkowie jednak poinformowali tylko włóknianki o braku możliwości podwyżki, a skupili się przede wszystkim na ich przekonywaniu do podjęcia pracy. Te wypowiedzi spotkały się z ostrą reakcją sali. Kiedy minister Kunicki argumentował, że w wyniku grudniowej „regulacji cen” niektóre artykuły potaniały, podając jako przykład rajtuzy dla dzieci, jedna z robotnic ripostowała: „Panie ministrze, co pan będzie owijał w bawełnę. Czy ja swemu dziecku rajtuzy w usta wsadzę i będzie je ciągnęło jak gumę do żucia”. Inna włóknianka na podobne argumenty Kruczka, przywódcy oficjalnych związków zawodowych, zareagowała jeszcze bardziej... spontanicznie, zadzierając spódnicę i pokazując mu w odpowiedzi pośladki.

Wspomniane negocjacje zakończyły się zatem niepowodzeniem. Dnia 13 lutego Biuro Polityczne KC PZPR podjęło decyzję, że należy doprowadzić do zakończenia strajków metodami politycznymi i ekonomicznymi, bez uciekania się do użycia siły. Nowa ekipa kierownicza partii obawiała się, iż zastosowanie represji i spacyfikowanie strajkujących kobiet wywoła fatalne wrażenie w kraju i spowoduje eskalację konfliktu, która doprowadzi do wybuchu strajku powszechnego.

Rozwiązanie „awaryjne” władzy

Obawy nowego przywództwa partii przed zastosowaniem „rozwiązania siłowego” nie oznaczały, iż nie podjęto do niego przygotowań. Trwały one pod oficjalnym hasłem mobilizacji partii, administracji i sił porządkowych na wypadek „poważnego zagrożenia bezpieczeństwa i porządku”. Milicja Obywatelska w Łodzi dysponowała postawionymi w stan pełnej gotowości czterema tysiącami funkcjonariuszy. Obiekty tzw. specjalnego znaczenia w mieście były zabezpieczone przez wydzielone siły MO i ORMÓ (ponad dwustu funkcjonariuszy MO i ormowców). Ponadto budynek, w którym mie-

ściły się siedziby Komitetu Łódzkiego i Komitetu Wojewódzkiego, był obstawiony i chroniony wewnątrz przez wojsko (prawie stu żołnierzy), milicjantów (w podobnej liczbie) i dodatkowo pięćdziesięciu członków ORMO. Na ulice – w celu „zapewnienia bezpieczeństwa obywatelom” – wysłano półtora tysiąca funkcjonariuszy Milicji Obywatelskiej.

Mobilizacja ta nie wyczerpywała siły argumentów (czy raczej „argumentów siły”) ówczesnych władz. Komenda Miejska MO rozporządzała ponadto jeszcze specjalnym odwodem, liczącym w zwartych oddziałach ponad tysiąc milicjantów i drugie tyle członków Ochotniczej Rezerwy Milicji Obywatelskiej. Natomiast dowódca łódzkiego garnizonu Wojska Polskiego wydzielił ponad trzystu żołnierzy do ochrony obiektów, a także sformował własny odwód, w którym znalazło się prawie tysiąc oficerów i żołnierzy. Równocześnie do miasta w trybie alarmowym ściągnięto dalsze siły wojska i milicji z Piotrkowa Trybunalskiego, Kutna, a nawet ze Szkoły Ruchu Drogowego MO w Piasecznie.

W obawie przed rozruchami, które mogłyby doprowadzić do szturmowania zdesperowanego tłumu na łódzką siedzibę partii, gmach, w którym mieściły się miejski i wojewódzki komitet, został również pieczołowicie zabezpieczony. Na jego wyposażenie przeznaczono dodatkowe urządzenia przeciwpożarowe, motopompy, węże strażackie, gaśnice oraz worki z piaskiem. „Aktywowi” zapewniono również zapasowe oświetlenie (w tym świece, a nawet lampy naftowe) oraz środki sanitarne. Planując niedopuszczenie ewentualnych demonstracji pod gmach PZPR, przygotowano równoległe specjalny rozkład blokad ulic okalających budynek, w którym pracowały komitety.

Zapobiegliwość władz miała częściowo znaleźć swe uzasadnienie. Jeszcze 18 grudnia 1971 r. funkcjonariusze MO przeprowadzili serię aresztowań mających doprowadzić do wyeliminowania z publicznej działalności „wrogich elementów, które mogłyby wykorzystywać politycznie robotniczy protest”. Nie wszędzie próby zatrzymania zakończyły się sukcesem, gdyż części osób zaangażowanych wcześniej w działania opozycyjne udało się uprzedzić przyjazd MO i funkcjonariuszy Służby Bezpieczeństwa i umknąć obławie. Ale i tak przebieg i skutki akcji władze oceniły pozytywnie, argumentując, iż świadomi planowanych aresztowań opozycjoniści będą musieli ograniczyć swą aktywność. Z tymi działaczami opozycyjnymi, których oceniano jako mniej niebezpiecznych, przeprowadzano z kolei „rozmowy prewencyjne”, ostrzegając ich przed podejmowaniem jakichkolwiek działań, które władza mogła zinterpretować jako wrogie. Chcąc ograniczyć takie poczynania, zażądano również od hierarchów łódzkiego Kościoła Rzymskokatolickiego i poszczególnych proboszczów, aby nie zapoznawali wiernych z treścią listu episkopatu, w którym znalazły się uwagi dotyczące „biologicznego zagrożenia narodu”.

Działania władz wywołały wśród włókniańki i robotników łódzkich zakładów obawy, że chcą one siłą stłumić strajk. W odpowiedzi strajkujący grozili, iż

opuszczą fabryki i wyjdą na ulice oraz zorganizują – na wzór gdańskich wystąpień – marsz pod miejską siedzibę PZPR. Pod bramą ZPB im. Marchlewskiego gromadzili się również demonstranci, którzy zatrzymywali samochody i tramwaje oraz usiłovali blokować sąsiadujące z zakładem ulice, używając do tego celu pojemników na śmieci i ławek z pobliskiego parku (nie uzyskali oni jednak wsparcia ze strony okupujących zakład).

Nastąpiły także starcia na ulicy Piotrkowskiej, gdy 15 lutego manifestujący usiłovali przejść pod budynek Prezydium Powiatowej Rady Narodowej, a następnie dalej – pod siedzibę KŁ partii. Władze skierowały przeciwko nim dwie kompanie Zmechanizowanych Odwodów Milicji Obywatelskiej (ZOMO), wyposażone w tarcze, pałki szturmowe, wyrzutnie granatów łzawiących i armatkę wodną, które powstrzymały pochód w rejonie ul. Zamenhoffa. Starcia zakończyły się jednak dopiero po północy 16 lutego. W ich wyniku część manifestantów została dotkliwie pobita przez zomowców. Zatrzymano również trzydziestu uczestników zająć.

„Pomożecie? Nie!”

Tymczasem do Łodzi wyruszyła nowa delegacja – tym razem z samym premierem Piotrem Jaroszewiczem na czele – z misją zaproponowania niewielkiej podwyżki, która miała nakłonić włókiarki do powrotu do pracy. Pobyt delegacji w mieście rozpoczęło spotkanie z łódzkim „aktywem partyjnym, związkowym i młodzieżowym”, zaaranżowane przez łódzkie władze partyjne i administracyjne w iście galowej oprawie spotkanie w Teatrze Wielkim.

Dnia 14 i 15 lutego delegacja rządowa odwiedziła dwa największe strajkujące zakłady włókiennicze: im. Marchlewskiego i im. Obrońców Pokoju. Spotkanie z włókiarkami z ZPB im. Marchlewskiego zorganizowane zostało w zakładowej świetlicy. Kiedy pojawili się delegaci, zebrani zaintonowali hymn polski. Później głos zabrał premier, który w przemówieniu – często przerywanym z powodu szumu na sali i okrzyków będących reakcją na jego argumenty – wskazywał na dobre intencje nowych władz partyjnych i państwowych, ale zarazem podkreślał, że nie ma możliwości spełnienia żądań podwyżek płac. Kończąc wystąpienie, rzucił dwa pytania do zebranych: „Czy popieracie nowe kierownictwo?”. Większość odpowiedziała pozytywnie. „Czy przystąpiacie zaraz do pracy?”. Tym razem odpowiedź strajkujących była zgodna: „Nie!”.

Później głos zabierali delegaci załogi. Ponawiali żądanie podwyżki pensji i postulowali, aby nie wyciągać konsekwencji w stosunku do strajkujących. Sugestywnie przedstawiali także warunki pracy w zakładzie: hałas na hali produkcyjnej, ciasnotę przy warsztatach, dużą wilgotność powietrza, złą organizację pracy, brak części zamiennych do psujących się często maszyn, fatalną jakość surowców, wreszcie krótką, nieprzekraczającą kilkunastu minut, przerwę na posiłek.

Namowy do zakończenia strajku spotkały się z poruszającymi wystąpieniami włókiarek. Jedna z nich mówiła: „Drzę ze strachu, chcę wrócić spokojnie

do domu, do dzieci. Jest jednak wiele spraw do załatwienia. Wezmę 100 zł do rzeźnika, kupię pół kilo mięsa, kaszanki i pieniędzy nie ma. Kiedy już nie mam sił, idę do naszego lekarza, ale tam wcześniej dzwoni kierownik, żeby nie dać zwolnienia, bo nie ma kto obsługiwać maszyn”.

Delegacja rządowa, widząc determinację zgromadzonych kobiet, usiłowała również rozładować nastroje, przerzucając odpowiedzialność za złą sytuację przemysłu lekkiego na ekipę Gomułki. Jaroszewicz wyjaśniał, że do momentu wizyty w „Marchlewskim” nie zdawał sobie sprawy, iż w przemyśle włókienniczym „jest tak źle”. Zapowiedział też szybką poprawę sytuacji, wspierając obietnicę autorytetem samego I sekretarza: „Jest to zapewnienie także towarzysza Gierka. Przywozimy wam tu zgromadzonym jego serdeczne robotnicze pozdrowienie. Pomóżcie, zaufajcie!”. Odpowiedzią była jednak tylko ironiczna uwaga, która padła z grona zgromadzonych włóknianek: „Mamy pozdrowienia, ale nie mamy forsy!”.

Rozmowy nie doprowadziły do porozumienia, ale z relacji wiadomo, że zarówno dla premiera, jak również towarzyszących mu delegatów wizyta w zakładach i konfrontacja ze zdeterminowanymi kobietami była szokiem. Zaskoczeni nieustępliwością włóknianek byli również inni członkowie władz partyjnych, gdy zapoznali się z przebiegiem negocjacji. Tak wspominał to sam Gierek: „Stała Łódź. Strajki łódzkie były bardzo trudne, bowiem tam strajkowały załogi kobiece. A rozmowa z rozżalonymi prządkami nie należy do łatwych”.

Tymczasem strajki w Łodzi narastały – 15 lutego, który był dniem kulminacji protestu włóknianek, stanęły trzy kolejne zakłady bawełniane (im. Dzierżyńskiego, im. Harnama, im. Dubois) oraz siedemnaście innych, głównie przemysłu włnianego, dziewiarskiego i metalowego. Łącznie strajkowały już trzydzieści dwie fabryki i ponad pięćdziesiąt tysięcy osób. Równocześnie – pomimo, że strajkujący nie utworzyli wspólnego komitetu strajkowego – poszczególne załogi utrzymywały ścisły kontakt z ZPB im. Marchlewskiego.

„Mężczyźni robią, co mogą, kobiety – czego oni nie potrafią”

W tej sytuacji na posiedzeniu Biura Politycznego KC PZPR zapadła decyzja o cofnięciu podwyżki. Wiele lat później były już premier Jaroszewicz w książce *Przerywam milczenie...* opisywał okoliczności jej podjęcia. Wspominał, że podczas pobytu w Łodzi rozumiał, iż włókniankom trzeba podnieść płace albo czym prędzej zrezygnować z podwyżki cen z grudnia 1970 r. Ponieważ podwyżka płac jednej grupy zawodowej z pewnością wywołałaby lawinę roszczeń płacowych innych, postawił wniosek o wycofanie się z podwyżek cen i – według jego słów – wniosek ten „uzyskał zrozumienie, zgodę i poparcie” kierownictwa partii. Cel, który stawiali sobie stoczniovcy, został zatem osiągnięty – ale przez łódzkie włóknianki.

Po ogłoszeniu wspomnianej decyzji KC PZPR załoga „Marchlewskiego” i przybyłe do zakładu delegacje pozostałych strajkujących fabryk uznały, że cel

został osiągnięty – jest obniżka cen i są gwarancje bezpieczeństwa. Strajk w ZPB im. Marchlewskiego i w innych fabrykach włókienniczych dobiegł końca. Rano 17 lutego przystąpiły do pracy zakłady im. Dzierżyńskiego oraz im. Obrońców Pokoju. Na poprawę sytuacji w Łodzi wpłynęły również zmiany personalne w Komitecie Łódzkim partii. Dzień wcześniej bowiem Józefa Spychalskiego na stanowisku I sekretarza KŁ PZPR zastąpił Bolesław Koperski.

Sytuacja nie wróciła jednak do normy jeszcze długo. W dniach 18-25 lutego trwały nadal strajki w Łódzkiej Wytwórni Wódek, Łódzkiej Wytwórni Papierosów, Pabianickiej Fabryce Papieru, Fabryce Maszyn Drogowych w Pabianicach. Krótkotrwałe przerwy w pracy na tle płacowym wystąpiły w Łodzi jeszcze w następnym miesiącu, m.in. 9 marca w Zakładach Przemysłu Dzierżewskiego im. Buczka, dzień później w tkalni w ZPB im. Armii Ludowej, 16 marca natomiast w ZPB im. Kunickiego. Większe strajki odnotowano poza Łodzią: 4-5 marca w Żelowie, 8 marca w Bełchatowie, 16-17 marca w Ozorkowie.

Pomimo zapewnień ze strony władz wznowienie pracy przez łódzkie fabryki nie oznaczało bezpieczeństwa dla liderów protestu. Kierownictwa zakładów, Służba Bezpieczeństwa i milicja starały się zidentyfikować wszystkich przywódców strajków. Po ustaleniu ich personaliów zaczęto na nich wywierać presję, aby sami zwolnili się z pracy. Władzom nie podobało się również i to, że robotnicy z ZPB im. Marchlewskiego po pokojowym rozwiązaniu konfliktu ufundowali kościelną chorągiew z napisem: „Dziękujemy Ci Matko Najświętsza za opiekę w dniach 10-15 II 1971 r.”. Z Sekretariatu Komitetu Łódzkiego PZPR 7 czerwca 1971 r. wyszła dyrektywa do wydziału administracyjnego, aby podjął działania w celu usunięcia napisu z tejże chorągwi i wyciągnięcia konsekwencji wobec osób, które napis ten umieściły. Chorągiew trafiła jednak ostatecznie do położonego w pobliżu „Marchlewskiego” kościoła św. Józefa – do dziś zachowała się w nienaruszonym stanie.

Strajki łódzkie stanowiły ostatni etap buntu polskich robotników i robotnic zapoczątkowanego w połowie grudnia 1970 r. w Stoczni Gdańskiej im. Lenina. Okazały się bardzo groźne dla tworzącej się i niepewnej swojej sytuacji ekipy Edwarda Gierka. Zapewne wywarły też wpływ na kierunek polityki gospodarczej realizowanej w Polsce w latach 70. ubiegłego wieku, którą wielu określało później jako próbę budowy „socjalizmu konsumpcyjnego”, uwzględniającego, przynajmniej w części, materialne aspiracje polskiego społeczeństwa.

*Przemysław Waingertner
– historyk, profesor Uniwersytetu Łódzkiego*

Bibliografia:

1. Balbus T., Kamiński Ł., *Grudzień '70 poza Wybrzeżem w dokumentach aparatu władzy*, Wrocław 2000.
2. Dominiczak H., *Organy bezpieczeństwa PRL 1944-1990. Rozwój i działalność w świetle dokumentów MSW*, Warszawa 1997.
3. Dudek A., Marszałkowski T., *Walki uliczne w PRL 1956-1989*, Kraków 1999.
4. Dzięcielska-Machnikowska S., Matuszak G., *Łódź między grudniem a lutym 1971 r.*, „Rocznik Łódzki” 1983, t. XXXIII.
5. Eisler J., *Grudzień 1970. Geneza – przebieg – konsekwencje*, Warszawa 2000.
6. Jaroszewicz P., *Przerywam milczenie... 1939-1989*, Warszawa 1991.
7. Jarska N., *Bunt miasta kobiet*, „Tygodnik Powszechny”, 12 IV 2011.
8. Rakowski M. F., *Dzienniki polityczne 1969-1971*, Warszawa 2001.
9. Rolicki J., *Edward Gierek: przerwana dekada*, Warszawa 1990.
10. *Strajki łódzkie w lutym 1971. Geneza, przebieg i reakcje władz, wyb., wstęp i oprac.* E. Mianowska, K. Tyłski, Warszawa-Łódź 2008.
11. *Tajne dokumenty Biura Politycznego. Grudzień 1970*, oprac. P. Domański, Londyn 1991.

150. rocznica Powstania Styczniowego

Maria Piotrowiczowa – łódzka bohaterka

historia

Półtora wieku temu wybuchło kolejne polskie powstanie narodowe ogłoszone manifestem wydanym przez Tymczasowy Rząd Narodowy w Warszawie 22 stycznia 1863 roku. Insurekcja wybuchła tegoż dnia w Królestwie Polskim i 1 lutego na Litwie. Trwała do jesieni 1864 roku, obejmując swym zasięgiem jedynie ziemie zaboru rosyjskiego. Powstanie Styczniowe było największym ze wszystkich polskich zrywów niepodległościowych XIX wieku.

W Łodzi przed wybuchem Powstania nie organizowano manifestacji patriotycznych, takich jak w 1861 roku w Warszawie, ale na początku lat 60. powstała tu Tajna Organizacja Spiskowa. W jej skład wchodził: ks. Józef Czajkowski, wikariusz z kościoła Najświętszej Maryi Panny na Placu Kościelnym, urzędnik administracyjny Jan Zieliński i aplikant sądowy Piotr Danilewicz.

Powstanie wybuchło w nocy z 22 na 23 stycznia 1863 roku. Kilka dni później około trzech tysięcy łódzian i mieszkańców okolicznych osad zebrało się w lasku radogoskim, w okolicach dzisiejszego Parku Julianowskiego. Był wśród nich ks. Czajkowski oraz Piotr Tomicki. Odczytano Manifest Tymczasowego Rządu Narodowego, po czym powstańcy wyruszyli w stronę Łodzi. Po drodze byli owacyjnie witani przez mieszkańców miasta. Doszli do Nowego Rynku (dziś Plac Wolności), gdzie z ratusza zdjęli carskiego orła i zawiesili tekst Manifestu. Potem przeszli na ul. Piotrkowską, do Niemieckiego Towarzystwa Strzeleckiego, skąd zabrali pięćdziesiąt dwie strzelby.

1 lutego łódzcy powstańcy ruszyli w stronę Pabianic i Ksawerowa. Chcieli się połączyć z oddziałem Józefa Oxińskiego, dowodzącego grupą partyzantów z Sieradza, ale wcześniej zostali rozbici pod Wronowicami. Po tej porażce łódzki oddział rozproszył się, część jego członków walczyła potem z Rosjanami w oddziałach m.in. na Mazowszu.

Lekarz dowódcą

W Łodzi szybko sformowano kolejny oddział w lesie Łagiewnickim. Liczył on niespełna czterystu ludzi. Na jego czele stanął Józef Sawicki. Uchodził on za radykała, miał rewol-

lucyjne poglądy i należał do frakcji Czerwonych. Jego radykalne poglądy sprawiły, że został zdymisjonowany. Kolejnym dowódcą tego oddziału został Józef Dworzaczek, lekarz z Łęczycy.

Łódzcy powstańcy, zanim stoczyli bój pod Dobrą, przemaszrowali do Brzezin, Strykowa, a potem Łodzi. Byli znów owacyjnie witani. Ksiądz Wojciech Jakubowski, proboszcz parafii WNMP, wręczył i poświęcił sztandar, który wyhaftowały łódzkie kobiety. Potem pobłogosławił powstańców. Oddział Dworzaczka swą największą bitwę stoczył 24 lutego 1863 roku pod Dobrą. Jednym z bohaterów tego boju była Maria Piotrowiczowa.

Piotrowiczowa (z domu Rogolińska) urodziła się w 1839 roku w patriotycznej rodzinie ziemiańskiej posiadającej rozległe dobra w okolicach Łodzi. Jej ojciec, Zygmunt, był uczestnikiem Powstania Listopadowego, brał udział w wielu potyczkach, wystawiając nawet własny oddział. W 1856 roku, mając siedemnaście lat, Maria wyszła za mąż za Konstantego Piotrowicza, nauczyciela szkoły elementarnej z podłódzkich wówczas Chocianowic. W zgodnej opinii współczesnych było to udane, kochające się małżeństwo, mające zapewniony dostatni byt dzięki wianu Marii oraz ogromnemu majątkowi zapisanemu przez jej wuja, Stanisława Strzałkowskiego.

Po wybuchu Powstania Styczniowego małżeństwo Piotrowiczów, już wcześniej działające w szeregach polskiej organizacji narodowej, włączyło się do walki przeciwko rosyjskiemu zaborcy. Wraz z częścią służby z będącego ich własnością folwarku Radogoszcz pod Łodzią przystąpili do operującego w tym rejonie oddziału Sawickiego. Liczył on wówczas jedynie około sześćdziesięciu strzelców, dwustu dziesięciu koszyńców oraz trzydziestu jeźdźców. Piotrowiczowa początkowo pełniła w nim służbę pomocniczą, zbierając fundusze, dokonując zakupu broni, żywności i umundurowania. Wkrótce jednak w obliczu porażek oddziałów powstańczych wraz z mężem zgłosiła swój akces do służby liniowej. Wstąpiła do oddziału z własnym koniem oraz bronią palną.

Oddział, dowodzony w lutym 1863 roku przez Józefa Dworzaczka, został wytropiony przez oddziały rosyjskie z garnizonów stacjonujących w Piotrkowie i Łęczycy. Wielkim błędem tego dowódcy było przeprowadzanie demonstracyjnych przemarszów po miastach ziemi łódzkiej, co spowodowało dekonspirację oddziału. Dworzaczek, choć gorący patriota, nie miał żadnego doświadczenia bojowego. Można oczywiście wytłumaczyć jego postępowanie chęcią podniesienia ducha patriotycznego między innymi wśród mieszkańców Strykowa, Zgierza, Brzezin i Łodzi. W Łodzi przemarsz objął m.in. kościół pod wezwaniem Najświętszej Marii Panny przy Placu Kościelnym, gdzie powstańcy zatrzymali się na modlitwy.

Wojska rosyjskie w sile dwóch rot (kompanii) piechoty i jednej sotni (kompanii) kozaków dowodzone przez sztabkapitana Opocznińskiego zaskoczyły powstańców 24 lutego 1863 roku, kiedy obozowali oni na skraju lasu w okolicach wsi Dobra. Niestety, Dworzaczek popełnił błąd, nie wystawiając wart, zaniechał również

wysłania patroli konnych. Oddział został zaskoczony przez siły rosyjskie, okrążony i zmuszony do przyjęcia bitwy w niekorzystnych dla Polaków warunkach. Rozpoczęła się ona w godzinach południowych i trwała do godziny 17.00. Powstańcom udało się odeprzeć dwa ataki kozaków, ale już przy trzecim ich obrona stała się chaotyczna i tylko części podwładnych Dworzaczka udało się wyjść z okrążenia.

Odważna i tragiczna

W bitwie pod Dobrą od samego początku przewaga należała do strony rosyjskiej. Przede wszystkim z uwagi na siłę ognia strzeleckiego piechoty (przewaga blisko czterokrotna) oraz świetne wyszkolenie jeździeckie kozaków. Starcia tego należało uniknąć, ale z uwagi na błędy popełnione przez polskiego dowódcę jeszcze przed bitwą okazało się to niemożliwe.

Według ówczesnych relacji Piotrowiczowa walczyła do ostatniej chwili, nie szukając ratunku w ucieczce z pola bitwy. Odrzuciła również propozycję rosyjskich oficerów poddania się, uznała bowiem, że taka postawa nie licuje z godnością i honorem Polaka. Do końca wraz z garstką towarzyszy broniła mężnie podarowanego przez łódzkie kobiety sztandaru oddziału. Według niepotwierdzonych relacji zabiła kozaka, drugiego raniła, a pod trzecim zabiła konia. Broniła się rewolwerem i kosą. Zginęła porąbana szablami przez kozaków, którzy po jej śmierci pastwili się nad ciałem bohaterskiej kobiety, klując je pikami i szablami. Warto też pamiętać, iż Piotrowiczowa była w ciąży, później okazało się, że miała urodzić bliźniaczki.

Rosjanie za wydanie jej ciała i pozwolenie przewiezienia go do dworu zażądali okupu od rodziny. Uroczystości pogrzebowe odbyły się 28 lutego 1863 roku w rodowej siedzibie Piotrowiczów w podłódzkiej Radogoszczy. W bitwie pod Dobrą ciężkie rany odniósł również mąż Marii, Konstanty. Trafił do szpitala w Łodzi prowadzonego przez Komitet Kobiet. Mimo odniesionych ran z wolna dochodził do siebie, sądząc, iż żona przeżyła i leczy się w dworze matki. Podobno na wieść o jej śmierci dostał ataku serca i zmarł w obecności żony powstańczego naczelnika miasta, Konstantego Zajązkowskiego.

Piotrowiczowie pochowani zostali w rodzinnym grobowcu na Starym Cmentarzu w Łodzi przy ulicy Ogrodowej. Ich współtowarzysze walki polegli w bitwie spoczęli we wspólnej mogile na cmentarzu w miejscowości Dobra oraz w nekropolii na Ogrodowej. W 1933 roku, w 70. rocznicę wybuchu Powstania Styczniowego, na grobie w Dobrej wzniesiono pomnik z inskrypcją „Niewolnym bohaterem 1863 – wolni rodacy 1933”. Dziesięć lat temu, w kolejną rocznicę, dodano pamiątkową płytę z imiennym spisem poległych.

Wielce wymowna jest relacja rzekomego uczestnika pożegnania Marii Piotrowiczowej, Stanisława Michalskiego: „W otwartej trumnie – w starym ojców dworze leżały jej zwłoki. Zapalone gromnice, naokół szlochająca rzesza. Do świątlicy wszedł kapitan rosyjski – ten, którego żołnierze zamordowali Marię. Wyjął z kie-



szeni świecę, zapalił, postawił u nóg bohaterki, a sam cofnął się w kąt izby i na szablę wsparty – płakał...”. Należy jednak powątpiewać w prawdziwość tej relacji.

W rezultacie bitwy pod Dobrą powstańcy stracili połowę stanu osobowego oddziału. Zginęło około siedemdziesięciu powstańców, drugie tyle odniosło rany. Do niewoli dostało się około osiemdziesięciu powstańców, z których część rozstrzelano, a pozostałych zesłano na katorgę, nielicznych zaś wcielono do armii carskiej. Wśród poległych był m.in. służący Marii Piotrowiczowej, Kacper Belka. W młodości uczył ją sztuki strzelania, jazdy konnej i fechtunku.

Padły w boju

W boju pod Dobrą zginęły też inne kobiety: Weronika Wojciechowska (lat dziewiętnaście), służąca z Byszew, Antonina Wilczyńska (lat dwadzieścia), robotnica z Łodzi, oraz Katarzyna nieznanego nazwiska.

Nieudolnie dowodzący pod Dobrą Józef Dworzaczek został ujęty przez niemieckich osadników w okolicach miejscowości Nowosolna i wydany Rosjanom. Skazany został przez władze carskie na śmierć, którą zamieniono na dwanaście lat ciężkiej katorgi. Sąd rosyjski uznał bowiem jako okoliczność łagodzącą pomoc okazaną przez podsądnego, który był lekarzem, rannym żołnierzom rosyjskim po bitwie pod Niewieszem. Na zesłaniu Dworzaczek przyłączył się do buntu zesłańców, krwawo stłumionego przez Rosjan. Zmarł na gruźlicę w 1868 roku.

Śmierć Piotrowiczowej i pozostałych kobiet stała się tak głośna w Polsce wiosną 1863 roku, iż szef Komisji Wojny Rządu Narodowego, Józef Kajetan Janowski, wydał 16 kwietnia 1863 roku zakaz przyjmowania do służby liniowej kobiet, którym wolno było odtąd pełnić jedynie funkcje pomocnicze przy oddziałach powstańczych. Zakaz ten nie wszędzie był przestrzegany. Panie zgłaszały się do oddziałów w męskich przebraniach, często wzorem Marii obcinając włosy.

Kobiety masowo zaangażowały się na rzecz Powstania Styczniowego. Pełniły funkcje łączniczek, zwiadowczyń, kurierek, adiutantek, sanitariuszek, przechowywały broń, ukrywały rannych powstańców, zaopatrywały walczących w żywność, broń i mundury. Wiele z nich, jak Piotrowiczowa, walczyło zbrojnie, stając się wzorem dla kolejnych pokoleń polskich kobiet.

Niewątpliwie jedną z nich jest w polskiej tradycji niepodległościowej Maria Piotrowiczowa, od 1961 roku będąca patronką XIII Liceum Ogólnokształcącego w Łodzi, mającego dzisiaj swą siedzibę w gmachu przy ulicy Zuli Pacanowskiej 4. Innymi miejscami upamiętnienia naszej bohaterki są postument z napisem „Gloria Victis” wzniesiony w miejscu jej śmierci, ufundowana w 1963 roku tablica w rzymskokatolic-



ŚMIERĆ KOBIETY-BOHATERKI,



kim kościele parafialnym w Dobrej oraz tablica pamiątkowa na miejscowym cmentarzu. Jej imieniem nazwano 5 września 1929 roku nieistniejącą już dziś ulicę na Radogoszczu.

Kłęska pod Dobrą nie oznaczała końca powstania na ziemi łódzkiej. Warto wspomnieć o oddziale ks. Czajkowskiego, który ostatnią bitwę stoczył 10 września pod Dalikowem. Po klęsce ksiądz się ukrywał. Zdaniem historyka Kościoła Marka Budziarka uciekł z Polski do Paryża. Miał umrzeć w Antwerpii w 1907 roku.

Powstanie ze względu na znaczną dysproporcję sił stron walczących przybrało formę wojny partyzanckiej. Stoczono 1229 potyczek i bojów, w tym 956 w Kongresówce, 236 na Litwie, pozostałe na Białorusi i Ukrainie. Polacy unikali walnej bitwy, która mogła się zakończyć totalną porażką zrywu zbrojnego. W oddzia-

łach powstańczych służyło łącznie około dwustu tysięcy ludzi, ale w walkach brało udział jednocześnie tylko około trzydziestu tysięcy. Blisko tylu zginęło podczas tego trwającego dwadzieścia miesięcy patriotycznego zrywu. Nie nadeszła żadna pomoc z zagranicy, na którą liczono, zwłaszcza z Francji. Mocarstwa zachodnie poprzestały na wydaniu bardzo ogólnych deklaracji dyplomatycznych, uważając polską insurekcję za wewnętrzną sprawę Imperium Rosyjskiego. Jedynie papież Pius IX w swojej mowie tronowej z 24 kwietnia 1864 roku ostro wystąpił w obronie Polaków: „sumienie mnie nagli, abym podniósł głos przeciwko potężnemu mocarzowi, którego kraje rozciągają się aż do bieguna [...] Monarcha ten prześladuje z dzikim okrucieństwem naród polski i podjął dzieło bezbożne wytępienia religii katolickiej w Polsce”.

Powstanie Styczniowe przeszło zarówno do polskiej tradycji narodowej, jak i do legendy. Niektórzy z jego uczestników doczekali niepodległej Polski. W 1933 roku ci, którzy dożyli uroczystych obchodów 70-lecia jego wybuchu, zostali odznaczeni Krzyżami Niepodległości oraz Krzyżami Pamiątkowymi 70-lecia Powstania Styczniowego. Ostatnim zmarłym w 1946 roku weteranem 1863 roku był ppor. Feliks Bartczuk, ps. „Piast”.

Konrad A. Czernielewski
– historyk, starszy kustosz
Muzeum Tradycji Niepodległościowych w Łodzi

Wykorzystana literatura:

1. B. Baranowski, J. Fijałek, Łódź. *Dzieje miasta*, t. I (Do 1918 roku), Warszawa – Łódź 1980, s. 375 – 380.
2. *Mała Encyklopedia Wojskowa*, Warszawa 1967, t. I, s. 314.
3. W. Caban, *Powstanie Styczniowe. Polacy i Rosjanie w XIX wieku*, Kielce 2011.
4. S. Frątczak, M. Kurzyk, *Patronka szkoły*, Oficjalna strona internetowa XIII Liceum Ogólnokształcącego w Łodzi.
5. S. Niesiołowski, *To był zryw nowej Polski. Powstanie styczniowe w Łodzi i okolicach*, Łódź 2005.
6. M. Rokita, *Udział kobiet w powstaniu styczniowym (1863 – 1864)*, E – TEKI Czasopismo Internetowe Naukowego Koła Historycznego Uniwersytetu Gdańskiego 2008, nr 1, s. 3.
7. E. i B. Liszewscy, *Zapomniana bohaterka*, Strona internetowa poświęcona Marii Piotrowiczowej (<http://www.maria.witryna.info>).

Mój Marzec

Wspomnienia współtwórcy „Ruchu”

To, co stało się w Polsce w 1968 roku i co przeszło do historii pod niezbyt fortunną nazwą wydarzeń marcowych (wydarzenia oznaczają coś nieokreślonego, wymykającego się trafniejszej ocenie, gdzie zamiast charakterystyki lub definicji mamy jakiś rodzaj eufemizmu), jest już znane dziś i opisane bardzo dokładnie. Nie wydaje się, aby możliwe było odkrycie jakichś istotnych dokumentów lub relacji, które zmieniłyby opinie poważnych historyków na temat Marca '68. W najdrobniejszych szczegółach znane są także fakty zarówno poprzedzające same demonstracje studenckie najpierw na Uniwersytecie Warszawskim, a później w innych miastach, jak i towarzyszące tym demonstracjom działania władz.

Nieco mniej znana i tym samym skazana na różnego rodzaju spekulacje i analizy jest walka wewnętrzna w samej PZPR. Walka, która przeszła do historii jako działania urodzonego w Łodzi ministra i generała Gwardii Ludowej Mieczysława Moczara (prawdziwe nazwisko Mikołaj Demko), zmierzające do odsunięcia od władzy ekipy Władysława Gomułki i oczywiście jego samego i zastąpienie jej przez związaną z Moczarem grupę tzw. partyzantów. Jak zawsze, tego rodzaju opinia jest uproszczeniem, ale w istocie swojej jest trafna, a w każdym razie nikt nie przedstawił innej politycznej analizy tego, co przeszło do historii jako Marzec '68. Pisze autor monografii poświęconej Moczarowi:

Była to przecież walka o władzę w PZPR, rozprawa z tendencjami opozycyjnymi, instrumentalny i rzeczywisty antysemityzm, nachalna propaganda z wykoślawionym znaczeniem semantycznym używanych terminów, Leopold Tyrmand pisał, że „Słowa «syjonizm» i «syjonista», używane w dowolnie narzuconym przez Gomułkę i Moczara znaczeniu, stały się źródłem koszmarnego bałaganu pojęciowego, prowadzącego w odmętę metafizyki tak ironicznej, że gdyby nie jej tragiczny wpływ na konkretne losy ludzkie, mogłaby służyć za tworzywo niekończących się wodewilów. W Polsce organizowano wówczas wiece i zebrania pod hasłami: „Tow. «Wiesławie» jesteśmy z Wami, Naród z Partią, Precz z syjonizmem... Hasło walki z syjonizmem zaczęło się przeradzać w hasło «Precz z Żydami». Widoczne było również poplątanie w propagandzie przypisywanego w Marcu wielu osobom rewizjonizmu, jako

pewnego zjawiska w ruchu robotniczym, z rewizjonizmem zachodnio-niemieckim. Wrzenie polityczne ogarnęło cały kraj”. (Krzysztof Leśiakowski, *Mieczysław Moczar*, Rytm 1998).

Zryw wolnościowy

Był jednak Marzec przede wszystkim zrywem wolnościowym młodej, urodzonej już po wojnie inteligencji, politycznym protestem ludzi rozczarowanych rzeczywistością Polski Ludowej, brakiem wolności, permanentnym kryzysem ekonomicznym, jałowością kulturalną i generalnym bankructwem systemu narzuconego Polsce po zakończeniu drugiej wojny światowej. Systemu, który wprawdzie odrzucił już najbardziej jaskrawe okrucieństwa stalinizmu, ale nadal pozostawał dyktaturą niezdolną do zapewnienia krajowi rozwoju, a społeczeństwu realizacji aspiracji i pragnień. Hasło tego protestu – „Nie ma chleba bez wolności” dla jednych oznaczało ciągle jeszcze wiarę w możliwość zasadniczej reformy socjalizmu i pod wpływem zmian w Czechosłowacji znanych jako Praska Wiosna nie dopuszczało myśli o odrzuceniu całego dziedzictwa komunizmu, dla drugich było kolejnym etapem na drodze do obalenia komunizmu i odzyskania niepodległości przez Polskę.

Dla mnie od samego początku był Marzec jedynie etapem w walce o wolną Polskę. Od pierwszej demonstracji 8 marca na Uniwersytecie Warszawskim aż do ostatnich strajków okupacyjnych, a później tzw. pomarcowych procesów uważałem, że mamy do czynienia z oporem przeciwko totalitarnej dyktaturze. Ci, którzy na studenckich wiecach śpiewali *Międzynarodówkę* i pisali w rezolucjach o konieczności obrony socjalizmu, byli sojusznikami, tym cenniejszymi, im było ich więcej i im więcej kłopotów sprawiali rządzącym komunistom. Walka Gomułki z Moczarem nie miała znaczenia w tym sensie, że nie kibicowałem żadnemu z nich. Byli oni z mojego punktu widzenia jednakowo źli. Liczyło się to, który bardziej osłabia panujący reżim i sam system, który jest gorszy dla Moskwy, który z nich zapewnia większą destabilizację i dalsze podziały oraz rozłamy i kłótnie w PZPR. Streszczając, życzyłem sukcesów gorszemu, bo podstawową przesłanką mojego bardziej myślenia niż działania – bo przecież na nic nie miałem w zasadzie wpływu – było wyznawanie zasady: im gorzej dla PZPR, tym lepiej dla Polski. Początkowo wydawało się wówczas, że z tych powodów należało popierać rozłamowego Mieczysława Moczara. Dziś to wydaje się absurdalne, ale wtedy takim nie było, przynajmniej dla mnie i skupionych wokół mnie przyjaciół i kolegów.

Tkwiłem w konspiracji

Mój Marzec to był także inny polityczny, czy bardziej może taktyczny, dylemat. W tym czasie byłem asystentem technicznym na Wydziale Biologii i Nauk o Ziemi (dziś Biologii i Ochrony Środowiska) Uniwersytetu Łódzkiego, który ukończyłem jako magister zoologii w 1966 roku. Nie byłem już studentem i nie mogłem uczestniczyć bezpośrednio

nio w strajkach okupacyjnych. Brałem udział w manifestacjach i wiecach, z których największym był wiec pod budynkiem Biblioteki Uniwersyteckiej na ulicy Matejki. Główny dylemat polegał na tym, że byłem już wówczas uczestnikiem antykomunistycznej konspiracji, która przeszła do historii jako organizacja „Ruch”.

„Ruch”, utworzony z inspiracji Andrzeja Czumy, powstał w połowie lat 60. Nie ma dokładnej daty powstania „Ruchu”, gdyż w wyniku rozmów kilku osób, braci Andrzeja i Benedykta Czumów, Marina Gołębiewskiego, Emila Morgiewicza, Bolesława Stolarza, powstał pomysł tworzenia tajnej organizacji, która miała opracować program obalenia komunizmu w Polsce i następnie w całej Europie Środkowej oraz odbudowanie niepodległej, demokratycznej Polski. Stopniowo „Ruch” pozyskiwał nowe osoby i w czasie marcowych protestów w różnym stopniu z tą organizacją było związanych kilkadziesiąt osób, między innymi Wojciech Mantaj, Wojciech Majda, Jacek Bartkowiak, Jerzy Stasiak, Elżbieta Mickiewicz, bracia Stefan i Marek Niesiołowski, bracia Andrzej, Benedykt i Łukasz Czumowie, Stanisław Schodziński, Adam Więckowski, Włodzimierz Olczyk.

Cele „Ruchu” w niewielkim stopniu pokrywały się z celami studenckich manifestacji. Protesty studentów miały ogromne znaczenie dla budzenia społeczeństwa z letargu. Demonstrowały sprzeciw wobec komunistycznej dyktatury i przemocy, a wypisane na studenckich ulotkach i transparentach hasła pozostawały w pamięci. Stanowiły one cenny kapitał na przyszłość, przekreślały bowiem aksjomat komunistycznej propagandy o jedności partii ze społeczeństwem i obalały tezę braku możliwości jakichkolwiek sprzeciwów wobec reżimu. Nagle okazywało się, że to, co w systemie policyjnego państwa wydawało się niemożliwe, wcale niemożliwe nie jest, a zapomniane i nierealne hasła i postulaty nadal żyją w pamięci i świadomości przynajmniej niektórych ludzi, i to młodych, urodzonych już po wojnie.

Postulaty Marca były bardzo skromne i moim zdaniem nie dotyczyły istoty rzeczy. Apelowanie do „prawdziwego socjalizmu” lub o poszanowanie autonomii wyższych uczelni oznaczało zmianę skutków, a nie przyczyn, a ściślej podstawowej przyczyny – totalitarnego charakteru systemu. Tym niemniej wokół tych haseł grupowała się spontanicznie młodzież, ryzykując pobicie, represje, nawet uwięzienie, i to miało decydujące znaczenie. Dla mnie i dla innych uczestników organizacji „Ruch” nieważne było, czy za demonstrującą i bitą przez bojówki ORMO młodzieżą kryją się jakieś partyjne koterie ani czy ich protest jest wykorzystywany do wewnątrzpartyjnych porachunków. Na murach uczelni pojawiały się postulaty, hasła, a na wiecach uchwalano rezolucję, ale wśród nich nie było programu „Ruchu”. Uznaliśmy bowiem, że hasło obalenia komunizmu, i to w dodatku na obszarze Europy Środkowej, oraz odzyskania niepodległości przez Polskę byłoby co najmniej przedwczesne, niezrozumiałe, mogło być uznane za prowokację Służby Bezpieczeństwa i tym samym raczej zaszkodziłoby zarówno protestującym studentom, jak i samemu „Ruchowi”.

Szkoła kolportażu

Ale dylemat pozostawał. Aktywne włączenie się w studenckie protesty lub nawet próba stanięcia na czele niektórych z nich oznaczało represje i ujawnienie się, a tym samym narażało na niebezpieczeństwo istnienie „Ruchu”. Stanowczo przeciwko jakimkolwiek akcjom mogącym doprowadzić do dekonspiracji protestował zwłaszcza Andrzej Czuma. Ostatecznie podjęliśmy decyzję, że w demonstracjach bierzemy udział, ale w takim stopniu, aby za wszelką cenę uniknąć ujawnienia przez Służbę Bezpieczeństwa. Dla mnie Marzec to był udział w wiecu poparcia dla studentów w Bibliotece Uniwersyteckiej oraz w największym chyba na terenie Łodzi wiecu przed Biblioteką, zorganizowanym przez przywódców Łódzkiego Studenckiego Komitetu Protestacyjnego, którego przywódcy, Brunon Kapala, Jerzy Szczęsny i Andrzej Makarewicz, zostali, jak wiadomo, aresztowani i skazani. Ponadto wspólnie z grupą kolegów w mieszkaniu Elżbiety Mickiewicz, wówczas asystentki na Wydziale Filozoficzno-Historycznym Uniwersytetu Łódzkiego, opracowaliśmy własną ulotkę, której ostatecznie nie udało nam się wydrukować. Brałem udział w kolportowaniu studenckich ulotek na terenie uczelni, co jako pracownikowi przychodziło mi dość łatwo. Rozkładałem je na parapetach i klatkach schodowych i był to pierwszy kolportaż podziemnych i nielegalnych wydawnictw. Jak miało się okazać – nie ostatni. Nabyte wówczas doświadczenie kolportera przydało się bardzo w Ruchu Obrony Praw Człowieka i Obywatela, którego wydawnictwa i ulotki kolportowałem w Łodzi. Później zaś, w czasach jawnej i przede wszystkim podziemnej „Solidarności”, gdzie NSZZ „Solidarność” Uniwersytetu Łódzkiego, której miałem zaszczyt być przewodniczącym, była jedną z najlepiej zorganizowanych struktur solidarnościowego podziemia. To w 1968 roku zrozumiałem, że aby móc prowadzić jakąkolwiek działalność polityczną, konieczna jest baza poligraficzna, minimalne choćby środki finansowe, łączność. Nie wystarczy sam program, odbity nawet w kilkudziesięciu egzemplarzach.

Stał się więc Marzec '68 poligonem doświadczalnym działań opozycyjnych, okazją do nauki, jak rozlepiać i kolportować ulotki, dyskutować z przeciwnikiem politycznym, obalać argumenty wroga i uzasadniać własne. Protest studencki ujawnił poważny potencjał niezadowolenia i tym samym możliwości działania i rozwoju antykomunistycznych podziemnych organizacji. Już wówczas starałem się zaobserwować i utrwalić w pamięci nazwiska niektórych uczestników studenckiego protestu, aby w przyszłości zaproponować im przystąpienie do „Ruchu”. Z drugiej strony wstrzymałem się przed kontaktem z głównymi uczestnikami protestów. Nie brałem też udziału w pomocy dla aresztowanych i ich rodzin. Wprawdzie niektórzy z nich byli szkolnymi kolegami mojego brata i chodzili do III LO w Łodzi, do którego i ja chodziłem, ale szło tu o względy bezpieczeństwa i uniknięcie dekonspiracji.

Dystans i sceptycyzm

Względy bezpieczeństwa i istotne różnice polityczne (czy komunizm poprawiać, czy obalać?) były powodem tego, że mój udział w tym wszystkim, co przeszło do historii

jako łódzki Marzec, był w sumie niewielki. Jak miało się okazać, trafnie przewidzieliśmy, że ten protest będzie krótkotrwały, a wiązanie jakichkolwiek nadziei z wewnątrzpartyjnymi frakcyjnymi walkami koterii jest naiwnością i do niczego nie doprowadzi. „Ruch” już wówczas domagał się tego, czego niektóre ugrupowania opozycyjne (przede wszystkim Konfederacja Polski Niepodległej) domagały się dziesięć lat później, a co generalnie stało się oczywistością (niepodległość i pełna niezależność od Rosji). Dla mnie już wówczas idea, że można osiągnąć demokrację polityczną i wolność jednostki w systemie tzw. realnego socjalizmu, była szkodliwym złudzeniem. Wychowany w tradycji narodowej, niepodległościowej i piłsudczykowskiej jednocześnie nie wiązałem najmniejszych nadziei z rewizjonizmem i zmianami personalnymi w PZPR. Dostrzegłem oczywiście różnice pomiędzy komunistycznymi liderami i uważałem, że walka pomiędzy nimi siłą rzeczy była zjawiskiem pozytywnym, bo osłabiała sam system. Natomiast wszelkie apele do władz, aby zmieniły swoje postępowanie, uważałem za dziwactwo, które niczego dobrego przynieść nie może. Cały protest marcowy oznaczał daremny trud apelowania do władz. Był on czymś w rodzaju powtórki z Października 1956, który tak naprawdę okazał się mistyfikacją, oszukaniem społeczeństwa, zabiegiem mającym na celu utrzymanie się komunistów przy władzy. W niewielkim stopniu zwracałem wówczas uwagę na to, że Październik był jednak istotną zmianą, jeśli nie całego systemu, to praktyki politycznej. Oznaczał zakończenie stalinizmu, terroru, przemocy, tego wszystkiego, co stanowiło istotę komunizmu i co powodowało, że rzeczywistość Polski Ludowej była ponurym koszmarem, który skończył się wraz z dojściem do władzy Gomułki.

Moja rezerwa wobec nadziei Marca okazała się słuszna. Po mniej więcej miesiącu od słynnego wiecu na dziedzińcu Uniwersytetu Warszawskiego Marzec się skończył. Uczelnie zostały spacyfikowane, przywódcy i wybrani reprezentanci protestującej młodzieży uwięzieni lub relegowani, wielu naukowców i poddanych szykanom osób pochodzenia żydowskiego zdecydowało się na emigrację, a po wakacjach wszystko mniej więcej wróciło do dawnej stagnacji. Przynajmniej pozornie wydawało się, że Władysław Gomułka wygrał kolejną walkę, tak jak dwa lata wcześniej konfrontację z Kościołem w rocznicę chrztu Polski – historyczne Millenium.

Wygrał w tym sensie, że utrzymał się przy władzy. Jak miało się okazać – na dwa lata. Krwawy protest grudniowy w 1970 roku doprowadził do istotnych zmian personalnych i był też końcem politycznej kariery zarówno Władysława Gomułki, jak i Mieczysława Mocзара.

„Ruch” silniejszy doświadczeniem Marca

Po Marcu „Ruch”, będąc zorganizowaną strukturą i chyba jedyną w tym czasie podziemną organizacją antykomunistyczną w Polsce, a być może w całym imperium sowieckim, przyciągał niektórych uczestników Marca, pozyskiwał zwolenników. Bogatszy o doświadczenia zdobyte w trakcie studenckich protestów stawał się organizacją

silniejszą i sprawniejszą, śmieiej podkreślał konieczność zasadniczej zmiany systemu, a nie tylko jego naprawy i demokratyzacji. Jesienią 1968 roku do „Ruchu” weszło kilku uczestników marcowych protestów. Byli to przede wszystkim skupieni wokół Stefana Türschmida i Witolda Sułkowskiego studenci Wydziału Filologii Polskiej UŁ, między innymi Jacek Bierezin, Wojciech Drozdek, Joanna Szczęsna, a także Ewa Sułkowska-Bierezin, Barbara Wińczyk, Jerzy Bergiel z Politechniki Łódzkiej. Zazaczył się wtedy podział polityczny na zwolenników bardziej łagodnego kursu w stosunku do komunistów, akcentujących raczej wolność jednostki, niedoceniających roli Kościoła i generalnie wobec niego sceptycznych, życzliwych tradycji socjalistycznej i niewidzących konieczności podkreślania tradycji niepodległościowej. Ten podział nie miał jednak wtedy zasadniczego znaczenia, bo wszystkich jednoczyło poczucie zagrożenia aresztowaniem i przeciwstawianie się komunistycznej propagandzie. Mieliśmy deprymującą świadomość bierności zastraszonego społeczeństwa, które nie podzielało naszego zasadniczego przesłania o konieczności przeciwstawiania się dyktaturze. Podział w „Ruchu” na skrzydło niepodległościowe, na czele którego stali bracia Czumowie, Stefan i Marek Niesiołowski, Andrzej Woźnicki, Wojciech Mantaj, oraz skrzydło socjaldemokratyczne z Witoldem Sułkowskim, Jackiem Bierezinem, Ewą Sułkowską-Bierezin, Joanną Szczęsną był antycypacją późniejszego podziału opozycji demokratycznej w końcu lat 70. na KOR i ROPCiO. I nieprzypadkowo Joanna Szczęsna, Jacek Bierezin i Witold Sułkowski byli jednymi z twórców i animatorów łódzkiego i częściowo warszawskiego środowiska tworzącego KOR i KSS KOR, a Andrzej Czuma, Benedykt Czuma i Marek Niesiołowski byli sygnatariuszami deklaracji założycielskiej Ruchu Obrony Praw Człowieka i Obywatela. Wszystko to jednak miało dopiero nadejść.

Bezsilny protest

Mój Marzec w sposób symboliczny zakończył się w momencie interwencji wojsk Układu Warszawskiego w Czechosłowacji. Jakikolwiek nadzieje na budowę socjalizmu z ludzką twarzą rozwiąły się wtedy definitywnie. Na znak bezsilnego protestu zniszczyłem pod koniec sierpnia 1968 tablicę poświęconą wejściu Lenina w 1913 roku na Rysy (napis na niej był w języku słowackim). Podobno Lenin nigdy na Rysach nie był, ale nie miało to żadnego znaczenia, bo tworząc mity, nie takie fakty potrafili fałszować komuniści. W czerwcu 1970 roku przywódcy „Ruchu” zostali aresztowani, a sama organizacja rozbita przez Służbę Bezpieczeństwa. Do więziennego depozytu oddawałem rzeczy pod portretem Gomułki, a wychodziłem z więzienia w Barczewie po czterech latach, gdy władzę sprawował Edward Gierek. Zaczynał się nowy rozdział mojej walki o Wolną Polskę.

Stefan Niesiołowski

*– wieloletni opozycjonista, biolog, prof. dr hab.
poseł na Sejm RP*

Legionów 24

Niezwykła kamienica

Niezwykła rodzina

Ulica Legionów nie należy na pewno do najbardziej reprezentacyjnych miejsc w Łodzi. Pełna jest wprawdzie stylowych, ale wiekowych, niezbyt dziś zadbanej kamienic, z których tylko niektóre w ostatnim czasie odzyskały dawny blask. Nazwa tej ulicy zmieniała się wielokrotnie. Początkowo była to ul. Konstantynowska, w 1933 roku otrzymała miano ulicy 11 Listopada, w okresie okupacji hitlerowskiej 1939-1945 nazywała się General-Litzmannstraße. Po wojnie nadano jej nazwę Obrońców Stalingradu, która obowiązywała do 1990 roku. Obecnie jest to ulica Legionów.

Niektóre z domów, mimo ich wieloletniego zaniedbania, kryją w sobie tajemnice z przeszłości. Swoją historię ma także jednopiętrowa kamienica pod



numerem 24. Według tradycji rodzinnej jej początki sięgają lat 60. XIX wieku. Wtedy stała się własnością Edwarda Marcina Jezierskiego (1855-1923) i jego żony Wilhelminy (1862-1953). Na parterze właściciele kamienicy wynajmowali pomieszczenia w których mieściły się sklepy: spożywczy, z obuwiem i z zabawkami. Czwarty sklep, tekstylny z artykułami do robót ręcznych, był ich własnością. M.in. w 1913 roku reklamowany był tak w łódzkiej prasie: „Sklep Edwarda Jezierskiego, ul. Konstantynowska No 24. Posiada na składzie wielki wybór gotowych, zaczętych i rysowanych robótek damskich, materiały kanwowe, płótna przędzy jedwabnej i wszelkie dodatki i przybory do robótek ręcznych. Towary galanteryjne. Sprzedaż hurtowa i detaliczna”. Po śmierci Edwarda Jezierskiego w 1923 roku jego żona Wilhelmina sama administrowała kamienicą, rozwijała także sklep, zatrudniając kilka sprzedawczyń. Rozszerzała także asortyment towarów, często sprowadzanych z zagranicy.

Niemka polską patriotką

Pięciopokojowe mieszkanie na pierwszym piętrze zajmowali właściciele oraz pięcioro ich dzieci: cztery córki i syn, który podobnie jak ojciec nosił imię Edward (1902-1919). Ciężar obowiązków związanych z wychowaniem dzieci i prowadzeniem domu spoczywał głównie na matce. Dzieci wzrastały w atmosferze polskiego patriotyzmu i szacunku dla przeszłości i nie byłoby w tym nic wyjątkowego jak na tamte lata, gdyby nie fakt, że Wilhelmina z domu Ast była z pochodzenia Niemką posługującą się na co dzień językiem niemieckim. Jednakże swoje dzieci wychowywała w polskich tradycjach i poczuciu obowiązku wobec polskiej ojczyzny. Dlatego w latach pierwszej wojny światowej córki Jezierskich: Janina, Zofia, Leonia i Wanda działały w Lidze Kobiet Pogotowia Wojennego i współpracowały z Polską Organizacją Wojskową. W przekazach rodzinnych znalazły się wspomnienia o legionistach Józefa Piłsudskiego, którzy w drodze do Galicji zatrzymywali się w domu Jezierskich, gdzie zawsze otrzymywali niezbędną pomoc. Także jedyny syn Jezierskich dotrzymywał kroku siostrą w działaniach niepodległościowych. Uczeń Gimnazjum Towarzystwa „Uczelnia” (obecnie I Liceum Ogólnokształcące im. Mikołaja Kopernika w Łodzi) i harcerz 3 Łódzkiej Drużyny Harcerskiej im. Romualda Traugutta po wybuchu wojny polsko-ukraińskiej mimo kalectwa – w wyniku wypadku stracił lewe oko – zaciągnął się ochotniczo do wojska. Miał wówczas ledwie szesnaście lat, ale rodzice poparli jego decyzję, uznając ten fakt za zrzęczenie opatrności. Jak zanotował ojciec młodego żołnierza: „Z woli Wszechmocnego nasz syn 11 listopada 1918 roku wstąpił na ochotnika do wojska polskiego do 26 pułku w Piotrkowie i dosłużył się kaprała sekcijnego”. Edward Jezierski junior walczył w obronie Lwowa. Tragedią dla rodziny stała się jego śmierć. Poległ 1 lipca 1919 roku w rejonie wsi Mykietniki. Prochy tego młodego żołnierza spoczywają w kwaterze rodzinnej na Starym Cmentarzu przy ul. Ogrodowej w Łodzi. Młody Edward Jezierski pośmiertnie został odznaczony Krzyżem Walecznych.



Patriotyczne wzorce przetrwały w rodzinie Jezierskich także w wolnej Polsce. Stały się też udziałem następnego pokolenia, głównie za sprawą synów Leonii Jezierskiej-Jędrzejewskiej (1895-1977) i Janiny Jezierskiej-Żyźniewskiej (1897-1943). Janina Żyźniewska angażowała się w pracę społeczną i była członkiem wielu organizacji. Należała m.in. do Przysposobienia Wojskowego Kobiet, była działaczką Związku Strzeleckiego i Koła Przyjaciół Harcerzy przy 6 Łódzkiej Drużynie Harcerzy, do której należeli jej synowie i siostrzeniec. Za swą pracę niepodległościową i społeczną uhonorowana została Krzyżem Legionowym i Medalem Niepodległości.

Konspiratorzy, konspiratorki

Kolejny niezwykle istotny rozdział w historii tej kamienicy nadszedł wraz z wybuchem drugiej wojny światowej i z początkiem okupacji hitlerowskiej w Łodzi. Córki oraz wnuczkowie Wilhelminy zwiążali swe życie z działalnością podziemną. Jerzy Jędrzejewski (1922-1998) oraz Edward (1921-1941) i Wiesław (1924-?) Żyźniewscy, uczniowie Miejskiego Gimnazjum Męskiego im. Józefa Piłsudskiego w Łodzi (obecnie III Liceum Ogólnokształcące im. Tadeusza Kościuszki) i harcerze 6 Łódzkiej Drużyny Harcerzy, niemal od pierwszych dni okupacji znaleźli się w konspiracji. Jedynie brat Jerzego, Romuald Jędrzejewski, nie znalazł się w jej szeregach, gdyż został wywieziony na roboty przymusowe do Niemiec już w początkach okupacji.

Podobnie też postąpiły siostry Jezierskie, a ich dom przy ul. Legionów 24 został przeznaczony na potrzeby polskiej konspiracji. Tego samego wyboru dokonała czwarta córka Wilhelminy, Zofia Kosidowska, która tak jak jej siostry również

prowadziła lokal konspiracyjny w Warszawie przy ul. Smulikowskiego 14. Sama Wilhelmina, aby jeszcze bardziej podkreślić swe związki z polską tradycją, w której wychowała swe dzieci, zmieniła wyznanie z ewangelicko-augsburskiego na rzymskokatolickie, a w okresie okupacji kilkakrotnie odmówiła przyjęcia volkslisty. Nie tolerowała także w swojej rodzinie nikogo, kto sprzeniewierzył się sprawie polskiej, na przykład przez wstąpienie do partii hitlerowskiej.

Do kamienicy przy ul. Legionów 24 w Łodzi kierowali swe kroki ludzie, którzy z różnych powodów potrzebowali oparcia i opieki. Często znajdowali tu schronienie przed gestapo. Także tutaj czekali na dalsze rozkazy lub przydział do pracy konspiracyjnej. Było to miejsce szczególne – tu o wszystkim decydowały kobiety, a ich role były podzielone. Leonia Jędrzejewska była faktyczną gospodynią. Zajmowała się wprawdzie najbardziej prozaicznymi, ale ważnymi sprawami jak zdobywanie prowiantu, gotowanie czy naprawa garderoby licznych przybyszów. Ponadto zajmowała się wyszukiwaniem mieszkań, przносиła meldunki. Do obowiązków drugiej z sióstr, Wandy Goedel (1890-1944), należała praca biurowa. Jej artystyczne wykształcenie – była malarką-portrecistką, absolwentką Akademii Sztuk Pięknych w Monachium – okazało się niezwykle przydatne przy sporządzaniu fałszywych dokumentów. Tą działalnością zajmował się przede wszystkim jej siostrzeniec Jerzy Jędrzejewski związany z komórką legalizacyjną AK. Natomiast znajomość języka niemieckiego Wandy Goedel ułatwiała zbieranie potrzebnych informacji i była wykorzystywana przy tłumaczeniu tekstów o tematyce politycznej czy wojskowej.





Janina Żyźniewska – bohaterstwo i ofiara

Jednak siłą sprawczą wszystkich poczynań konspiracyjnych była Janina Żyźniewska. Rodzinny sklep, który działał w czasie okupacji w okresie od listopada 1939 roku do lata 1941 roku – po tym czasie został zamknięty przez Niemców – dostarczał środków na finansowanie działalności podziemia. Był także punktem rozdzielczym tajnej prasy. Żyźniewska pełniła przede wszystkim kierownicze funkcje w Komendzie Okręgu Łódź SZP-ZWZ-AK. Od listopada 1939 roku do lutego 1942 roku była szefem Oddziału VII (Biuro Finansów i Kontroli), jednocześnie do czerwca 1940 roku szefowała Oddziałowi IV (Kwatermistrzostwo). Obok obowiązków wynikających z przynależności do organizacji i odpowiedzialności za sprawne funkcjonowanie lokalu kontaktowego opiekowała się także chorym mężem Zygmuntem Żyźniewskim, byłym dowódcą, który zmarł w 1940 roku w wyniku choroby nowotworowej.

W krótkim czasie dom przy ul. Legionów 24 stał się jednym z najważniejszych lokali konspiracyjnych w mieście. Tu w małym pokoiku na poddaszu przebywał przez pewien czas płk Leopold Okulicki i był to jeden z jego lokali konspiracyjnych w Łodzi, gdy pełnił obowiązki komendanta Okręgu Służby Zwycięstwu Polski w okresie październik 1939-wrzesień 1940. Także w tym domu odbywali tajne narady ze swymi podwładnymi szef sztabu Okręgu Łódź AK mjr Stanisław Juszcakiewicz i szef wywiadu mjr Zygmunt Walter-Janke. Żołnierze konspiracji, którzy kiedykolwiek trafili do domu przy ul. Legionów 24, podkreślali niepowtarzalną atmosferę i charakter tego miejsca. Jak wspomina jeden z nich, Józef Lewandowski: „dom ten był dla wielu z nas jak gdyby drugim domem rodzinnym. Tam pulsowało życie konspiracyjne naszego okręgu. Tam zgadywano nasze potrzeby, szyto bieliznę dla nas, pamiętano nawet

o naszych imieninach, zapraszano na święta”. Bo rzeczywiście, mimo trudów okupacyjnej codzienności i kłopotów aprowizacyjnych właścicielki tego domu starały się podtrzymywać tradycje świąt, najlepiej jak tylko mogły. Siostry Jezierskie dzieliły się tym, co akurat miały. We wspomnieniach kilkuletniej wówczas wnuczki Wilhelminy, Daniela, pozostało wspomnienie o śniadaniu wielkanocnym z udziałem rodziny i żołnierzy podziemia, w sumie dość licznej grupy. Wszyscy zostali wówczas obdzieleni sprawiedliwie skrawkami z trzech śledzi, gdyż tylko taką ich ilością dysponowała jej matka Leonia Jędrzejewska.

W kamienicy przy ul. Legionów 24 przebywało zwykle znacznie więcej osób, niż pozwalały na to reguły konspiracji i elementarne zasady ostrożności. Liczba przewijających się przez ten dom ludzi musiała zwracać uwagę. Z tego m.in. względu miejsce to było uważane za wciąż zagrożone. Lecz przyczyną dekonspiracji nie była zbyt duża liczba osób. To raczej ludzka słabość, nieobca wielu w obliczu okrutnych metod gestapo, stała się konsekwencją pierwszego aresztowania prawie całej rodziny z ul. Legionów 24. Nastąpiło to 7 marca 1941 roku. Wtedy właśnie do Łodzi przybyli gestapowcy z Warszawy, podążający śladem łódzkiego łącznika do Komendy Głównej AK, Eugeniusza Kowalińskiego. To ten kolega ze szkolnej ławki Edwarda Żyźniewskiego, syna Janiny, torturowany w śledztwie wyjawiał jego nazwisko i adres. Edward, chcąc ratować rodzinę oraz lokal konspiracyjny, postanowił całą winę wziąć na siebie. Wszyscy wówczas aresztowani po niespełna dwóch tygodniach pobytu w więzieniach przy ul. Gdańskiej 13 i Sterlinga 16 zostali wypuszczeni na wolność. Natomiast dwudziestoletni Edward Żyźniewski po krótkim pobycie na warszawskim Pawiaku został wywieziony do obozu koncentracyjnego w Oświęcimiu i tam rozstrzelany 27 lipca 1941 roku.

Dekonspiracja i zdrada

Śmierć tego niezwykle dzielnego młodego łódzianina nie przerwała pracy konspiracyjnej rodziny, nie pograżyła w rozpacz jego matki na tyle, by zaprzestać wszelkiej działalności. Przeciwnie. W dalszym ciągu załatwiano bieżące sprawy organizacji i otaczano opieką ludzi. Ale rok 1942 przyniósł kolejne straty w łódzkich szeregach AK. Wśród wielu osób powiązanych z komendą okręgu AK aresztowana została także Janina Żyźniewska, jej syn Wiesław i siostrzeniec Jerzy Jędrzejewski.

Janina Żyźniewska 12 lutego 1942 roku trafiła ponownie do więzienia przy ul. Gdańskiej 13. Okoliczności tego aresztowania mają jeszcze inny wątek związany z Alfredem Rappaportem, pochodzenia żydowskiego właścicielem sklepu przy ul. Piotrkowskiej. Jeszcze w lutym 1940 roku Alfred Rappaport prosił Janinę Żyźniewską o pomoc w znalezieniu bezpiecznego schronienia dla siebie i swojej żony. Oboje zostali umieszczeni w mieszkaniu sióstr Anieli i Natalii Wągrowskich przy ul. Mielczarskiego, a w sprawie tej pośredniczyła Wanda Goedel. Janina Żyźniewska trafiła 12 lutego 1942 roku do więzienia przy ul. Gdańskiej 13. Gdy w 1942 roku kryjówka przy ul. Mielczar-



skiego została odkryta, w tym więzieniu znalazły się także siostry Wągrowskie. Aresztowany został też Alfred Rappaport wraz z żoną. Osadzony został w więzieniu przy ul. Sterlinga 16, gdzie już przebywał syn Janiny Żyźniewskiej, Wiesław.

Siostry Wągrowskie zostały wywiezione do Oświęcimia 11 grudnia 1942 roku, Janina Żyźniewska 13 października 1942 roku. Wszystkie trzy zmarły tam w styczniu i lutym 1943 roku. Natomiast we wrześniu 1943 roku niespodziewanie w domu przy ul. Legionów 24 zjawił się Alfred Rappaport, który opowiedział, jak zdołał uniknąć aresztowania po dekonspiracji mieszkania przy ul. Mielczarskiego. Tymczasem w początkach października 1943 roku została osadzona w więzieniu Wanda Goedel. Fakt jej aresztowania niewątpliwie należy wiązać z pojawieniem się Rappaporta w domu sióstr Jezierskich w tym właśnie czasie. Prawdopodobnie więziony przy ul. Sterlinga załamał się i przeszedł na usługi gestapo. Fakt ten znajduje potwierdzenie w relacjach i wspomnieniach kolejarzy węzła Karsznice-Zduńska Wola. Wanda Goedel po krótkim, niespełna miesięcznym pobycie w więzieniu przy ul. Gdańskiej 13 została wywieziona do obozu koncentracyjnego w Oświęcimiu, gdzie zmarła 2 stycznia 1944 roku.

Pośmiertne odznaczenia

Z licznej niegdyś rodziny zamieszkującej kamienicę przy ul. Legionów 24 w Łodzi pozostały tylko Wilhelmina Jezierska, Leonia Jędrzejewska oraz jej najmłodsza, dziewięcioletnia córka Daniela. Dwaj wnukowie Wilhelminy Jezierskiej przeżyli wojnę. Wiesław Żyźniewski, więziony przy ul. Sterlinga oraz na Radogoszczu, przebywał następ-

nie w Oświęcimiu i Buchenwaldzie. Po oswobodzeniu nie wrócił już do Polski. Jerzy Jędrzejewski po zwolnieniu z więzienia radogoskiego na rozkaz swych przełożonych z AK opuścił Łódź. W czerwcu 1942 roku wyjechał do Generalnej Guberni, gdzie do sierpnia tegoż roku przebywał koło Skierniewic i pracował w gospodarstwie sadowniczym. We wrześniu 1942 roku wyjechał do Warszawy. Zaprzysiężony w Oddziale V Komendy Głównej „Zagroda”, od grudnia 1942 roku do lipca 1944 roku pełnił służbę kurierską m.in. na trasie Warszawa-Lwów, Warszawa-Budapeszt. W sierpniu 1944 roku wziął udział w Powstaniu Warszawskim jako zastępca dowódcy plutonu. Walczył na Pradze. Po upadku Powstania, przez obóz w Pruszkowie, został wywieziony do obozu koncentracyjnego Flossenburg-Leitmeritz. Po oswobodzeniu powrócił do Łodzi, w której mieszkał przez resztę swego życia. Przez wiele lat swą wiedzą i doświadczeniami dzielił się z innymi, głównie z młodym pokoleniem. Popularyzator historii i autor wspomnień i relacji został nagrodzony wieloma odznaczeniami, nadanymi jemu i jego rodzinie przez rząd emigracyjny w Londynie. Otrzymał m.in. Order Wojenny Krzyża Virtuti Militari, Krzyż Walecznych, Medal Wojska za Wojnę 1939-1945 z trzema okuciami oraz Krzyż Armii Krajowej. Także Janina Żyźniewska została pośmiertnie odznaczona Orderem Wojennym Krzyża Virtuti Militari, jej syn Edward Krzyżem Walecznych, siostra Wanda Goedel Srebrnym Krzyżem Zasługi z Mieczami i również Krzyżem Walecznych. Ich groby znajdują się w kwaterze rodzinnej na Starym Cmentarzu przy ul. Ogrodowej w Łodzi.

Przytoczona w wielkim skrócie historia tej rodziny nie oddaje w pełni losów Jezierskich, Jędrzejewskich i Żyźniewskich, których życie naznaczone było pracą dla Polski i dla Łodzi. Mimo upływu czasu ich dzieje nie są bliżej znane mieszkańcom miasta. Podobnie jak anonimowa i jedna z wielu pozostaje kamienica przy ul. Legionów 24. Jak dotąd nie doczekała się upamiętnienia w postaci tablicy z informacją o tym, co działo się w tym miejscu w okresie okupacji hitlerowskiej. Ten materialny świadek historycznych już dziś wydarzeń, ale też miejsce zarówno szczęśliwych chwil, jak i ludzkich dramatów, nie wpisuje się w szczególnie sposób w historię miasta. Kiedyś ważny punkt oporu wobec niemieckiego okupanta, dziś służy nowym mieszkańcom, którzy nic nie wiedzą o historii tego domu i żyją już zupełnie innymi problemami. Także przechodnie mijają obojętnie tę kamienicę, w której cztery samotne kobiety, w latach drugiej wojny światowej odznaczały się szczególnym męstwem oraz poświęceniem i stworzyły przystań dla wielu zagubionych i potrzebujących wsparcia ludzi.

*Agnieszka Jędrzejewska
– historyk, pracownica Muzeum Tradycji Niepodległościowych*

Bibliografia:

1. Archiwum rodzinne Danieli Wiszniewskiej.
2. Archiwum Państwowe w Łodzi, zespół: Więzienia Łódzkie, sygn. 2, Gefangenenbuch B 1942-1043; Skorowidz więźniów. Więzienie kobiece ul. Gdańska 13, 1941-1944; zespół Szkoły średnie – Męskie Gimnazjum Polskie Towarzystwa „Uczelnia”, Państwowe Gimnazjum im. Mikołaja Kopernika w Łodzi, Miejskie Gimnazjum Męskie im. Józefa Piłsudskiego w Łodzi.
3. W. Jędrzejewska, *Jurek Jędrzejewski- jakiego znałam i pamiętam*, „Biuletyn Informacyjny”, Światowy Związek Żołnierzy Armii Krajowej, Okręg Łódź, 1999 nr 21 (sierpień).
4. J. Jędrzejewski, „*Jasia*” – kawaler Orderu Virtuti Militari, „Dziennik Łódzki”, 1995 nr 279 z 30 listopada, s. 10.

łodzianie

Alexander Swieżawski (1924-2013)

Badacz polskiej historii

Marek Cetwiński, Jacek Matuszewski

str. 185

Barbara Śreniowska-Szafran (1949-2013)

„Baśka”

Bożena Borucka

str. 189

Joanna Ewa Niesiołowska-Śreniowska (1941-2013)

Archeolog epoki kamienia

Ryszard Grygiel

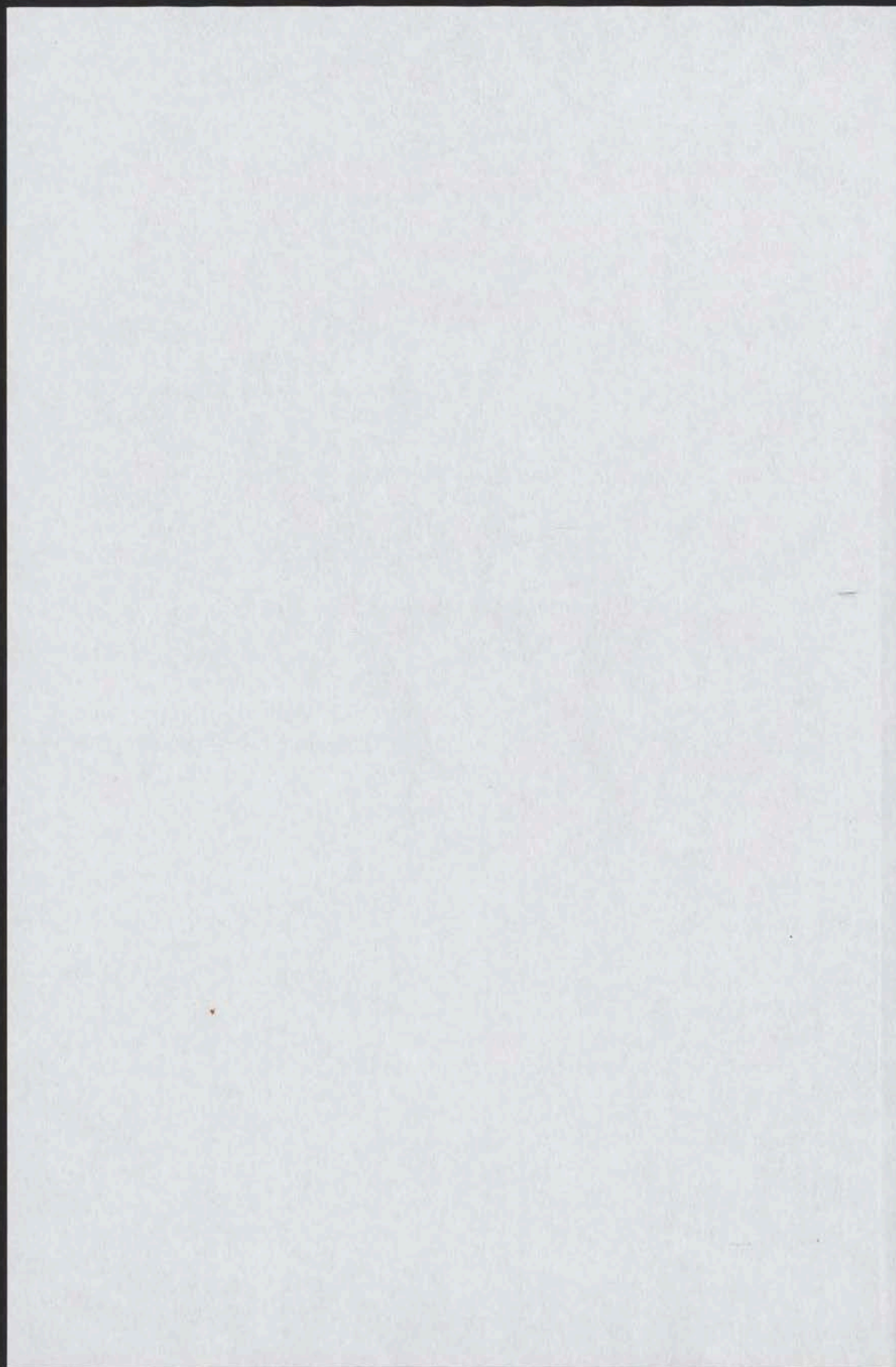
str. 194

Aleksander Ford Jr. (1944-2012)

Syn zmarłego ojca

Jolanta Szyperska

str. 196



Alexander Swieżawski (1924-2013)

Badacz polskiej historii

rodzianie



Profesor Alexander Swieżawski został łodzianinem, jak wielu innych, na skutek komplikacji, jakie przyniosła wojna światowa i wynikających z niej zmian terytorialnych i społecznych. Urodzony 3 stycznia 1924 roku we Lwowie, w zamężnej ziemiańskiej rodzinie, syn Tomasza i Marii z Kościeleckich, dzieciństwo spędził we Lwowie, gdzie w Szkole Powszechnej rozpoczął pobieranie nauk. Ten poziom edukacji ukończył w dziś przygranicznym Łaszczowie, na Lubelszczyźnie, gdzie Swieżawscy mieli swoje majątki. Do gimnazjum uczęszczał natomiast w Nowym Sączu. W latach okupacji powrócił na Lubelszczyznę, gdzie na tajnych kompletach w Hrubieszowie uzyskał w 1942 roku świadectwo dojrzałości.

Równocześnie zaangażowany w konspirację, początkowo zajmował się prasą i propagandą, a od października 1943 roku z bronią w ręku walczył w 9 pułku piechoty Ziemi Zamojskiej AK. Wojenne losy doprowadziły go do Warszawy, gdzie uczestniczył w Powstaniu, w plutonie radiowym w XXII obwodzie (Żoliborz). Następnie jako jeńiec wywieziony został do Niemiec. Tam od października 1944 roku do 2 maja 1945 roku przetrzymywany był w obozach jenieckich (Neubrandenburg – Stalag IIA i kolejno Stavenhage – praca w cukrowni i Rostocku – roboty ziemne). Wyzwolony przez I Armię Kanadyjską trafia do Wielkiej Brytanii. Na obczyźnie chyba nie znajduje dla siebie miejsca. Krótko parął się pracą biurową, później pracuje jako robotnik w kopalni węgla w Crewe, by w końcu – jako marynarz – poznawać trudy połowów dalekomorskich na Atlantyku.

Ostatecznie w 1947 roku decyduje się wrócić do kraju. Początkowo jest urzędnikiem w Fabryce Papieru w Jeziornej k. Warszawy, ale od jesieni 1948

roku przenosi się na studia do Łodzi. To niebanalna, ale powszechna wśród pokolenia „Kolumbów” młodość. Ziemiański syn z pozbawionej majątku rodziny wstępuje na robotniczy łódzki uniwersytet, gdzie jednak będzie traktowany jak obcy. Piętrzą się i inne przeszkody. Przed ukończeniem studiów w 1951 roku w Lublinie ten bratanek znanego filozofa Stefana Świeżawskiego musi ponownie złożyć egzamin dojrzałości, gdyż nie mógł zweryfikować okupacyjnej matury. Egzamin magisterski z filozofii w zakresie historii złoży 30 października 1952 roku na Wydziale Humanistycznym UŁ. Mimo świetnych wyników nie otrzymuje pracy na uczelni. W czasie studiów i po ich ukończeniu ima się więc różnych zajęć, m.in. uczestniczy jako wolontariusz w realizowanych pod kierunkiem Natalii Gąsiorowskiej i Mariana Serejskiego pracach nad przygotowaniem bibliografii historycznych, odbywa praktykę w Wojewódzkim Archiwum Państwowym w Łodzi i Archiwum Głównym Akt Dawnych w Warszawie. Pracuje następnie w Bibliotece Politechniki Łódzkiej, w Redakcji Naczelnej Słownika Terminów Biologicznych. Od 1953 roku prowadzi też lekcje z Nauki o Książce i Bibliotece w Państwowym Czteroletnim Liceum Bibliotekarskim w Łodzi. Do chwili podjęcia w 1957 roku pracy na Uniwersytecie zatrudniony jest jako starszy asystent w Państwowej Wyższej Szkole Filmowej.

Do pracy badawczej, jak i dydaktycznej jest już dobrze przygotowany. Stąd rozległe spectrum dydaktyki: prowadzi wstęp do badań historycznych, uczy łaciny średniowiecznej, nauk pomocniczych historii, a także przedstawia studentom historię średniowiecznej Polski i historię powszechną średniowiecza.

Jako badacz jest jednak w Łodzi nieco marginalizowany. Ten niezwykle sumienny i drobiazgowo rzetelny naukowiec przygotowywał swe prace w całkowitej niemal samotności. Stąd też długo trwająca droga do naukowej samodzielności, zakończona ostatecznie w 1975 roku habilitacją.

Wkrótce po tym okaże się, jak bardzo nie doceniano w Łodzi tego uczonego, który od 1980 roku zawodowo zwiąże się z Częstochową. Początkowo obejmuje tam funkcję zastępcy dyrektora Biblioteki Głównej Wyższej Szkoły Pedagogicznej. Zatrudnienie wybitnego uczonego ożywiło nadzieje tutejszych historyków na uruchomienie w Częstochowie studiów historycznych, a aktywność Profesora Świeżawskiego dała podstawę do zaliczenia go do grona twórców częstochowskiego Instytutu Historii. Bo rzeczywiście – rozległe krajowe kontakty Alexandra Świeżawskiego sprawiły, iż w 1982 roku utworzono w Częstochowie Instytut Filologii Polskiej, a w jego ramach kierowany przez Profesora Zakład Historii Kultury Polskiej. Po kilku dalszych latach z tego właśnie Zakładu wyrosła kadra na tyle liczna, że w 1990 roku można już było powołać Instytut Filozoficzno-Historyczny i początkowo 3-letnie studia historyczne. Pomoc historyków łódzkich, możliwa dzięki kontaktom Profesora Świeżawskiego, pozwoliła na rychłe przekształcenie częstochowskich studiów historycznych w pełne 5-letnie studia. W ramach powstałego Instytutu Profesor Alexander Świeżawski zorganizował Zakład Historii Starożytnej i Średniowiecznej. Wkrótce też przejął obowiązki

dziekana Wydziału Filologiczno-Historycznego (wcześniej pełnił funkcję dziekana Wydziału Humanistycznego). Podczas swej kadencji dziekańskiej (1990-93) zapewnił znaczący wzrost kadry historyków, co umożliwiło w ciągu kilku dalszych lat uzyskanie praw doktoryzowania i habilitowania w dziedzinie historii. Warto w tym miejscu zacytować Andrzeja J. Zakrzewskiego, który w dedykowanym Alexandrowi Swieżawskiemu tomie częstochowskich „Zeszytów Historycznych” charakteryzował sposób kierowania przezeń Wydziałem: „Na szczególne podkreślenie zasługują zalety umysłu i charakteru. Potrafił cierpliwie wysłuchać argumentacji swoich rozmówców, a następnie pokierować dyskusją w taki sposób, żeby nie raniąc ambicji interlokutorów, skłonić ich do skorygowania błędnych sądów i przyjęcia proponowanych przez siebie rozwiązań. W sprawach natomiast zasadniczych, dotyczących systemu wartości, etyki nauczyciela akademickiego, potrafił być bezkompromisowy, twardo broniąc uniwersyteckich ideałów”.

Warto także podkreślić charakterystyczny i wyjątkowy stosunek Alexandra Swieżawskiego do obowiązków dydaktycznych i studentów. Każdego studenta, czy to świeżego maturzystę, czy też osobę, która już z dużym doświadczeniem życiowym podejmowała studia, traktował jako partnera godnego szacunku. Swą postawą wykluczał jakiegokolwiek przejawy tak współcześnie powszechnego chamstwa, wręcz wymuszał przyjmowanie przez rozmówcę kulturalnej, grzecznej postawy. Wyjątkowo obowiązkowy, nie wyobrażał sobie odwołania zajęć, które rozpoczynał zawsze ze skrupulatną punktualnością. Sam zawsze świetnie do wykładu przygotowany, okazywał sporo tolerancji wobec wiedzy studentów. Głęboko przekonany, że każda godzina spędzona ze studentami winna im dawać jak najwięcej korzyści, zadbał o udostępnienie do dziś szeroko wykorzystywanego podręcznika: *Warsztat naukowy historyka. Wstęp do badań historycznych*. Mimo że dzieło zaczął przygotowywać w czasach, gdy o komputerze dla humanisty nikt jeszcze nie słyszał, to prosty, dostosowany do skromnych możliwości czytelnika sposób przedstawiania niełatwych zagadnień zapewnia mu do dziś wyjątkową popularność.

Zmiana środowiska wpłynęła korzystnie także na osiągnięcia naukowe Profesora. To właśnie w czasie jego pracy w Częstochowie ujrzały światło dzienne najbardziej cenione publikacje. Najlepszy wśród historyków przełomu wieków znawca i miłośnik dziejów Mazowsza, kompetentny zarówno w sferze wydarzeń politycznych, społecznych, gospodarczych, jak i ustrojowych, właśnie w Częstochowie opublikował w 1990 roku monografię *Ziemia bełska: zarys dziejów politycznych do roku 1462*. Rok później ukazała się kolejna książka: *Administracja, gospodarka i skarbowość księstwa rawskiego: 1313-1462*. Ale Alexander Swieżawski do swoich najważniejszych dzieł z głębokim przekonaniem zaliczył biografię ostatniego władcy czasów rozbitcia dzielnicowego pt. *Przemysł Król Polski*.

Prof. Alexander Swieżawski także po przejściu na emeryturę utrzymywał bliskie związki z częstochowską uczelnią. Tu też nadal publikował swoje prace.

A środowisko doceniało jego wybitny wkład w utworzenie studiów historycznych. Dzisiejsza Akademia im. Jana Długosza uhonorowała swego wybitnego uczonego specjalnym medalem za zasługi.

Z Łodzi nie wyprowadził się nigdy. I choć musiał zawodowo związać się z częstochowską uczelnią, Łodzi, którą lubił, pozostał wierny aż do śmierci. Zmarł tu 14 lutego 2013 roku. Prochy uczonego złożono na Cmentarzu Rakowieckim w Krakowie, w grobowcu rodzinnym.

Marek Cetwiński

– historyk, prof. zw. dr hab.

Akademia im. Jana Długosza w Częstochowie

Jacek Matuszewski

– historyk prawa, prof. zw. dr hab. Uniwersytet Łódzki

Barbara Śreniowska-Szafran (1949-2013)

„Baśka”

rodzianie



Poznałyśmy się w październiku 1967 roku, gdy rozpoczynaliśmy studia socjologiczne na Uniwersytecie Łódzkim. Szczupła, niewysoka brunetka o skupionym spojrzeniu mądrych ciemnych oczu. Pamiętam golf i długi czarny płaszcz ściągnięty w talii paskiem. Wyglądała jak francuska egzystencjalistka.

Baśka – chciała, aby tak się do niej zwracać – była pierwszą poznaną przeze mnie reprezentantką rodziny Śreniowskich. Jej brat Józek pojawił się w mojej świadomości blisko pół roku później, kiedy to marzec 1968 dostarczył nam pierwszych znaczących doświadczeń politycznych. Dlatego Józek pozostał dla mnie – inaczej niż dla ludzi opozycji – bratem Baśki.

Magicznym miejscem dla mnie, dziewczyny z „bloków”, był adres Laurowa 2. Pięknie położona willa dawała poczucie psychicznego komfortu, atmosferę świata nauki w otoczeniu przyrody. W późniejszym okresie, kiedy adres ten stał się znany wśród opozycji i stale obserwowany przez Służbę Bezpieczeństwa, poczucie to uległo zmianie. Świadomość podsłuchu, obserwacji, rewizji ciążyła i miała wpływ na sposoby porozumiewania się domowników i odwiedzających. Mały panieński pokój Baśki z widokiem na drzewa Parku Julianowskiego był miejscem naszych spotkań aż do 1986 roku. Jednym z ostatnich wydarzeń towarzyskich w domu na Laurowej, w którym uczestniczyłam, było przyjęcie dla przyjaciół i znajomych po jej ślubie z Michałem Szafranem. Kończył się pewien ważny rozdział życia rodziny związany z tym

miejszem. Laurowa 2 – tu mieszkała Baśka, kiedy była uczennicą podstawówki przy ulicy gen. Sowińskiego, a potem I LO im. M. Kopernika. Atmosfera „Kopra”, legendarna postać profesora Boisse, ówczesna kabaretowa i harcerska aktywność Baśki są bardzo ważne dla zrozumienia jej późniejszych działań. Była wielką entuzjastką „jedynki”.

Pamiętam moje wspólne z Baśką i jej szkolnym kolegą – oczywiście z „Kopra” – przesiadywania w nieistniejącej już kawiarni Irena. Oni solidarnie i żartobliwie przekonywali mnie, iż będąc absolwentką V LO im. Wł. Reymonta, ukończyłam zaledwie „ogólniak”, a nie liceum. Potem Irenę zamieniłyśmy na Piekietko. Kawiarnia ta, mieszcząca się w Bibliotece Uniwersytetu Łódzkiego, stała się miejscem naszych spotkań w kolejnych latach, także po studiach.

Baśka przeżyła w dzieciństwie traumę nagłej śmierci ojca, która spadła na rodzinę podczas wakacyjnego wypoczynku nad morzem. Odtąd tylko matka była opoką rodziny, ale też i osobą, której zaufaniu należało sprostać. Był to istotny wyznacznik zachowań Baśki w ważnych momentach życia.

W latach studenckich było wiele beztroskich, radosnych chwil. Chociażby tańczące wieczory. Pozostał w mojej pamięci taki wieczór i część nocy przetańczonej w restauracji Cztery Koty na Toporowej Cyrhli. Lokal zarezerwowano dla licznej góralskiej rodziny na uroczyste pożegnanie młodzieńca powołanego do służby wojskowej. Muzyka i stroje regionalne. Baśka, ja i napotkany w Zakopanem socjolog byliśmy owego wieczoru jedynymi ceprami w Czterech Kotach. Porwano nas do wspólnej radosnej zabawy. Baśka mieszkała we własnym namiocie na Cyrhli, ja natomiast wracałam do Zakopanego wraz z owym ceprem i towarzyszącym nam kotem. Zwierzak zadomowił się w Domu Turysty, gdzie wspólnie dotarliśmy. Te wakacje były początkiem mojej fascynacji górami, która trwa do dziś. Czy byłoby to możliwe bez udziału spotkanych wówczas Barbary Śreniowskiej i Andrzeja Boruckiego, który stał się wkrótce moim kolegą z Klubu Wysokogórskiego, a po wielu latach mężem?

Na pierwszym roku studiów utrapieniem Baśki był brak anonimowości. Profesor Uł. Krystyna Śreniowska dowiadywała się na przykład, że jej córka nie nauczyła się słówek z angielskiego. Na dodatek, przez cały pierwszy rok studiów miałyśmy zajęcia z historykami. W pierwszym semestrze z prof. Bohdanem Baranowskim (ćwiczenia) oraz doc. dr Wiesławem Szczypielskim (wykład). W drugim semestrze zaś zarówno wykład, jak i ćwiczenia z dr Aliną Barszczewską, u której zdawałyśmy egzamin z całorocznego, obszernego kursu historii społeczno-gospodarczej. Uczyłyśmy się wspólnie. W pewnym momencie zorientowałam się, że autorytety naukowe z naszych podręczników (np. prof. Witold Kula, prof. Nina Assorodobraj) to krąg znajomych rodziców Baśki. Pojęłam wówczas, dlaczego jej stres przed egzaminem jest większy niż mój. Na drugim roku egzamin z filozofii mogliśmy zdawać u wykładowcy dr Aleksandra Orłowskiego lub prowadzącego ćwiczenia mgr Włodzimierza Gromca. Dla Baśki wybór był oczywisty – dr Orłowski dawał większą szansę zachowania anonimowości. Gromiec był bowiem znanym opozycjonistą i przyjacielem jej brata.

Studenci socjologii mieli możliwość wyboru seminarium magisterskiego oraz tematu pracy dyplomowej. Baśka zapisała się na zajęcia prof. Iji Lazari-Pawłowskiej, ja natomiast zdecydowałam się na seminarium prof. Antoniny Kłoskowskiej. Obie zaś byłyśmy słuchaczkami Studium Kulturalno-Oświatowego, którym kierował prof. Aleksander Kamiński. Interdyscyplinarny program Studium obejmował oprócz pedagogiki i metodyki pracy kulturalno-oświatowej także wiedzę o kulturze. W ramach tych zajęć chodziliśmy na wykłady z historii muzyki do Akademii Muzycznej. W pałacu przy ulicy Gdańskiej panowała niezwykła atmosfera: skrzypiące drewniane podłogi w wąskich, krętych korytarzach, dochodzące zewsząd dźwięki instrumentów, bliskie (pozbawione dystansu) relacje profesorów i studentów. Niewielka kawiarenka z przeszklonym sufitem nie była w stanie pomieścić większej grupy studentów, co sprzyjało odwiedzaniu innych miejsc.

W roku 1972 (a zatem w przewidzianym terminie) Baśka ukończyła studia i w 1974 roku obroniła pracę magisterską z etyki. Po bardzo krótkim okresie zatrudnienia w pracowni socjologicznej Łódzkiego Domu Kultury przeniosła się do Poznania, gdzie prowadziła artystyczną drużynę harcerską „Łejery”. Zawiązane tam przyjaźnie okazały się bardzo trwałe. W styczniu 1978 roku Baśka przyjechała do Rabki na wieść o naszym wypadku samochodowym, gdy jechaliśmy do schroniska w Morskim Oku, by spędzić tam Sylwestra. Mój mąż Andrzej musiał pozostać w szpitalu w Rabce. Niespodziewana wizyta Baśki pozwoliła mi rozładować nagromadzone napięcie i otrząsnąć się z rozpaczliwych wizji. Nasz wieczorny spacer po ośnieżonych ulicach Rabki był prawdziwą odskocznią od szpitalnej atmosfery.

W 1978 roku pożegnała się z Poznaniem i rozpoczęła pracę we wsi Niwiski na Podlasiu jako nauczycielka szkoły podstawowej. Odwiedzałam ją tam parokrotnie. Życie w tradycyjnej wiejskiej chałupie, opuszczonej przez gospodarzy, byłoby zapewne trudne dla większości młodych dziewcząt o inteligenckich korzeniach. Dla Baśki zaś było atrakcją, przygodą, wyzwaniem... Nie było problemów, których nie potrafiłaby rozwiązać, poczynając od upieczenia własnoręcznie chleba, poprzez zdobywanie opału, łatanie dachu, na odśnieżaniu kończąc. Byłam świadkiem prób zespołu uczniowskiego, podziwiając, jak z zapałem pełniła rolę animatorki, autorki tekstów i akompaniatorki w jednej osobie. Nieco później w jednym z numerów „Polityki” ukazał się artykuł opisujący twórczy wkład zespołu pedagogów w życie tej wiejskiej szkoły.

Na Podlasiu zaopiekowała się bezdomnym psem Burym, który budził naszą sympatię dzięki urodzie i nienagannym manierom. Stał się wiernym towarzyszem Baśki w ciągle zmieniających się kolejach jej ówczesnego życia. W wiejskiej chałupie w Niwiskach Baśka potrafiła stworzyć atmosferę przytulności. Mieszkanie składało się z dwóch dużych izb i mniejszych pomieszczeń pomocniczych. W pierwszej izbie, tuż przy wejściu, stała kuchnia z białych kafli z tradycyjnymi żeliwnymi fajerkami, w której można było palić węglem lub drewnem. W przeciwległym rogu, pomiędzy dwoma oknami, był „kącik inteligencki”. Fotel, stojąca lampa, półki z książkami.

Tam wieczorami przebywała Baśka najchętniej, obok niej leżał zazwyczaj pies, bywało, że ucinął sobie drzemkę kot. Wszyscy żyli w dobrej komitywie. Drugi pokój był dla gości, którzy widziani byli zawsze chętnie.

Myślę, że teatr lalek w Jeleniej Górze jako miejsce kolejnej pracy Baśki dawałby szansę zawodowego spełnienia na miarę jej ambicji i zdolności. Jednak ówczesne polityczne realia skutecznie to uniemożliwiły.

Po powrocie do Łodzi znalazła zatrudnienie w Sanatorium Przewężliczym dla Dzieci w Łagiewnikach. Choć praca nie należała do wymarzonych, Baśka przyjęła ją z wdzięcznością wobec ludzi, którzy pomogli jej ją zdobyć. Pracowała tam jako wychowawczyni aż do czasów internowania w maju 1982 roku. Po opuszczeniu obozu w Gołdapi nadal pomagała rodzinom internowanych i więzionych. Kiedy chowała się przed policją polityczną i wieczorami wracała do kryjówek, lubiła własnoręcznie przygotowywać posiłek, bo w tym trudnym czasie relaksował ją powrót do codzienności. Tylko niektóre przedmioty zabrane z domu na Laurowej – nocna lampka, obrazek Vermeera, ulubiona kraciasta narzuta na fotel – dawały namiastkę tak jej potrzebnego wówczas poczucia bezpieczeństwa.

Robiła wtedy na drutach skarpety. Potrzebną wełnę zamawialiśmy u naszej znajomej góralki w Kościelisku. Nasza całkiem niewinna wyprawa po wełnę potraktowana została przez Służbę Bezpieczeństwa jako groźne przedsięwzięcie. Samochód Andrzeja Boruckiego był obserwowany zaraz po naszym odjeździe, biedną gaźdżinę przesłuchiwało kilku panów w skórzanych kurtkach.

Od 1984 roku Baśka pracowała w świetlicy Polskiego Związku Głuchych przy ulicy Piramowicza, w bezpośrednim sąsiedztwie cerkwi Św. Olgi. Położenie nowego miejsca pracy było bardzo dogodnie dla kontaktów towarzyskich. Znajdowało się na mojej trasie praca – dom. Wpadałam tam często na pogawędkę. Bywały takie dni, kiedy do świetlicy przychodziło więcej znajomych Baśki niż głuchoniemych. Warunki były tam niezłe, można było nawet korzystać ze stołu pingpongowego. Z biegiem czasu robiłam coraz większe postępy w nauce języka migowego.

W roku 1986 Baśka i Michał Szafran zawarli związek małżeński w warszawskim urzędzie stanu cywilnego. Byłam świadkiem na jej ślubie, Michał wybrał do tej roli swego przyjaciela żeglarza. Baśka miała obok siebie swoich najbliższych. Także brata, który był wreszcie na wolności! Była szczęśliwa. W trakcie uroczystego obiadu mama panny młodej wygłosiła okolicznościową mowę. Podzieliła się z nami przekonaniem, że poczucie humoru małżonków ma znaczenie dla trwałości związku i będzie pomocne dla Basi i Michała w pokonywaniu życiowych problemów. I to się sprawdziło. Problemów zaś było bardzo dużo: okresowy brak pracy, zmiany miejsca zamieszkania, poszukiwanie tożsamości zawodowej, materialna niepewność jutra. Mimo tych wszystkich trudności Szafranowie byli wobec siebie przyjacielscy i wyrozumiali, a poczucie humoru dawało im dystans i siłę. Sądzę, iż działalność opozycyjna wytworzyła w Baśce silne dążenie do rozwiązywania problemów, wiarę w moż-

liwość zmiany. Kiedy po sześciu latach przyszła na świat Kasia, Baśka całym sercem weszła w rolę mamy. Wychowaniu córki oboje rodzice poświęcali dużo troski i uwagi.

W latach 90. poświęciła się niespodziewanie twórczości literackiej, która dawała jej satysfakcję i czas dla rodziny. W 2003 roku wydawnictwo Egmont wydało piękną książkę autorstwa Barbary Szafran *Wynalazki Pana Melby*, z ilustracjami Piotra Nagina. Dowcipny i mądry utwór pisany wierszem, choć adresowany przede wszystkim do dzieci, może sprawić także uciechę dorosłym. Baśka była wrażliwa na specyficzny typ humoru, którego wyżyny odnajdywała w Kabarecie Starszych Panów. Z wydawnictwem Egmont współpracowała długo, wywiązując się ze wszystkich zobowiązań mimo postępującej choroby. Autorka licznych przekładów literatury dziecięcej, twórcza w obszarze słowa, była kreatywna także w rozwiązywaniu problemów życiowych. Udawało jej się nawet przełamywać sztywne procedury działania służby zdrowia. Nie lubiła szpitali i ich atmosfery instytucji totalnej. Pobyty w takim miejscu były zamachem na jej poczucie wolności. Zatem skracala je do niezbędnego minimum. Zmarła w domu, wśród najbliższych, na kilka dni przed swymi sześćdziesiątymi czwartymi urodzinami.

W maju 2011 roku Baśka miała dwa najważniejsze marzenia: doczekać chwili, kiedy córka będzie studentką, i mieć pewność, że dokonany wybór kierunku jest trafny. To się spełniło. Kasia w momencie śmierci mamy była w trakcie trzeciej sesji egzaminacyjnej, osiągając znakomite wyniki. W czerwcu 2012 roku, kiedy odwiedziłam Szafranów, zastałam Baśkę przy komputerze. Wysyłała do przyjaciół informację o mszy w kolejną rocznicę śmierci Włodka Gromca. Żle się czuła, była słaba, bardzo chciała jednak zrobić to osobiście. W październiku tego samego roku zadzwoniła ze szpitala. Była tuż po operacji, ale korzystając z działania środków znieczulających, pragnęła się upewnić, czy wiem o chorobie naszej wspólnej koleżanki, którą spotkała na oddziale onkologii. Te dwie migawki z końcówki jej życia obrazują, jak bardzo chciała być i była pomocna dla innych.

Maria Janion twierdziła, iż na życie człowieka składają się dwie biografie: symboliczna i rzeczywista (codzienna). Biografia symboliczna Baśki kojarzona jest na ogół z działalnością i środowiskiem opozycyjnym. W codziennej rzeczywistości była to po prostu życzliwa ludziom, dowcipna, pełna fantazji, dziewczęca. Taką pozostanie w mojej pamięci.

Bożena Borucka
– socjolog

Joanna Ewa Niesiołowska- Śreniowska (1941-2013)

Archeolog epoki kamienia



W mroźny, słoneczny dzień 16 stycznia 2013 roku na łódzkim cmentarzu rzymskokatolickim na Dołach pożegnaliśmy śp. Ewę. Po długiej i ciężkiej chorobie śmierć zabrała Ją z grona najbardziej oddanych pracowników Muzeum Archeologicznego i Etnograficznego w Łodzi, któremu poświęciła całe swoje zawodowe życie. To wielka strata dla Muzeum i Fundacji Badań Archeologicznych im. Profesora Konrada Jażdżewskiego, której była jednym z członków-założycieli. Przede wszystkim jednak to strata dla łódzkiej i polskiej archeologii, tracącej wysoko cenionego badacza epoki kamienia.

Świat epoki kamienia był jej prawdziwą pasją. Na tym polu odnosiła największe sukcesy, śledząc rozwój społeczeństw zbieracko-łowickich między IX a VI tysiącleciem przed Chrystusem, a więc w czasie, kiedy dopiero nastawał świt kultury europejskiej. Swoje marzenia o archeologii realizowała na terenach Polski Środkowej, prowadząc rozliczne prace wykopaliskowe nad Wartą koło Wielunia oraz na wydmach w okolicach Bełchatowa i Aleksandrowa Łódzkiego. Taką postawę w archeologii, jak sama wielokrotnie podkreślała, zawdzięczała profesorowi Konradowi Jażdżewskiemu, u którego studiowała na Uniwersytecie Łódzkim, a który był dla niej wzorem i autorytetem, nie tylko zresztą w tej dziedzinie. W podobnym duchu zawsze ciepło wspominała profesorów Marię i Waldemara Chmielewskich, swoich bezpośrednich przełożonych i nauczycieli krzemieniarzkiego rzemiosła w łódzkim muzeum.

Ewa Niesiołowska Muzeum Archeologicznemu i Etnograficznemu oddała zresztą wszystko, co najlepsze, zwłaszcza że przepracowała w nim blisko pół wieku (od 1964 roku). W ciągu ostatnich kilkunastu lat pracy na stanowisku kuratora

Zespołu Działów Archeologicznych doskonale potrafiła szpeciść umiejętności gromadzenia i konserwacji zbiorów, zwracając przede wszystkim uwagę na pełne wykorzystanie przez młodych archeologów potencjału naukowego bogatych zasobów źródeł archeologicznych. Pod tym względem nawiązywała do najlepszych wzorów muzeów archeologicznych w Europie i na świecie, tym bardziej że sama podróżowała i praktykowała w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej i krajach Europy Zachodniej. Kiedy w 2011 roku przechodziła na emeryturę, pozostawiła w pełni odmłodzony i wystarczająco okrzepły zespół archeologów wszystkich specjalności, od epoki kamienia do średniowiecza, żywo do końca interesując się jego postęпами. Jaka to wielka szkoda, że właśnie teraz, gdy moglibyśmy wspólnie cieszyć się tymi wszystkimi osiągnięciami, przyszedł czas naszego ziemskiego rozstania.

Jako dyrektor Muzeum Archeologicznego i Etnograficznego w Łodzi z ogromnym trudem zbierałem myśli przy jej pożegnaniu w łódzkim kościele o.o. jezuitów przy ul. Sienkiewicza, gdzie zebrało się ponad dwustu archeologów i przyjaciół z całej Polski. Nad trumną starałem się wówczas powiedzieć to, co wszyscy czuliśmy:

...jeszcze przecież tyle chcielibyśmy Ci powiedzieć i podziękować za Twoje dobre serce i szczerą, ciepłą uśmiech, którym darzyłaś nas na co dzień, nie tylko w chwilach radosnych, ale także smutku i zwątpienia. I choć życie nie oszczędziło Ci wielu trosk, w naszych oczach będzie ono zawsze spełnione. Przy całym poświęceniu dla Muzeum nie zaniedbałaś przecież własnego ogniska domowego, będąc wzorową Mamą i Babcią, a w Mroździe Dolnej w końcu spełniło się Twoje największe marzenie o powrocie do rodzinnych korzeni. Wartości, które stąd właśnie wyniosłaś i dochowywałaś im wiary, kazały Ci być w życiu przyzwolną i czułą na każdą ludzką krzywdę, czego sam wielokrotnie od Ciebie doznawałem i za co jeszcze raz serdecznie dziękuję, gdyż bez Twojej pomocnej ręki nie uszedłbym nawet pół drogi w archeologii. Twój kuzyn, profesor Piotr Bogucki, dziekan Uniwersytetu w Princeton, który nie mógł dzisiaj przybyć, prosił mnie, ażeby przy pożegnaniu nie zapomnieć Ci podziękować za to, że polskimi ścieżkami doprowadziłaś go do archeologii. No cóż, śmierć ostatecznie okazuje się od nas zawsze silniejsza, choć długo czekaliśmy na cud Twojego powrotu do zdrowia. Teraz tylko pocieszamy się, że nasze rozstanie nie będzie wieczne i przyjdzie nam, w co głęboko wierzymy, spotkać się z Tobą w Domu Ojca. A więc nie mówimy żegnaj, ale do zobaczenia.

Córkę Paulinę z rodziną oraz braci Stefana i Marka, pragniemy zapewnić o zachowaniu we wdzięcznej pamięci ich Matki i Siostry.

Ryszard Grygiel
– dyrektor Muzeum Archeologicznego i Etnograficznego w Łodzi

Aleksander Ford jr (1944-2012)

Syn znanego ojca



Aleksander Ford junior urodził się 8 października 1944 roku na warszawskiej Pradze, w momencie, gdy I Dywizja Piechoty im. Tadeusza Kościuszki, w której byli jego rodzice, weszła wraz z Armią Czerwoną od wschodu do Warszawy. Tak opowiadał w filmie *Kochany i nienawidzony* Stanisława Janickiego, poświęconym jego ojcu Aleksandrowi Fordowi, reżyserowi, kluczowej postaci powojennej kinematografii polskiej. Wielkiemu profesjonalistcie, który korzystając ze swej pozycji, potrafił także łamać kariery dobrze rokującym filmowcom. Niełatwo żyje się w cieniu takiego ojca.

Właśnie wbrew woli ojca Aleksander Ford jr został aktorem. Swej obecności w filmie jednak mocno nie zaznaczył. Zagrał pomniejszych role m.in. w filmach *Olek* Sławomira Kulikowskiego, *I skrzypce przestały grać* Alexandra Ramatiego czy *Dziewce z ciortem* Piotra Szulkina.

Znanych jest tylko kilka jego epizodycznych ról. Miał ich więcej, ale jak wyjaśnia Mieczysław Kuźmicki, dyrektor Muzeum Kinematografii, po prostu w wielu przypadkach nie był umieszczany w napisach. Dyrektor Kuźmicki przypomina, że w Szczecinie, swoim rodzinnym mieście, widział młodego Forda w 1972 roku. Grał Puka w *Śnie nocy letniej* w reżyserii Józefa Grudy na deskach tamtejszego teatru.

W teatrze Ford debiutował wcześniej, bo rok po ukończeniu Szkoły Filmowej, w 1969 roku rolą Ludmira w *Panu Jowialskim* w Tarnowie, w Teatrze Ziemi Krakowskiej im. L. Solskiego. Tam poznał swą późniejszą żonę, Aleksandrę Ford-Sampolską, także aktorkę, zmarłą w styczniu 2013 roku w Warszawie. Rok później był już w Teatrze Ziemi Łódzkiej (zaczynał rolę Ferdynanda von Walter w *Intrydze i miłości*

Schillera). Przez lata związany był z wieloma teatrami w kraju. W 1971 roku zagrał Lucjusza w *Juliuszu Cezarze* Szekspira w Teatrze Dramatycznym w Warszawie. Reżyserował Ludwik Rene, kostiumy zaprojektował Ali Bunsch, a Ford stanął na scenie obok takich sław jak Holoubek, Zapasiewicz, Zelnik, Gogolewski. W 1975 roku zagrał Drukarza i Frerona w *Sprawie Dantona* w reżyserii Andrzeja Wajdy, słynnym spektaklu Teatru Powszechnego w Warszawie. Zgrali w nim między innymi Olgierd Łukaszewicz, Mariusz Benoit, Kazimierz Kaczor, Wojciech Pszoniak, ale choć podkreślano świetną obsadę („Nawet małe rólki zostały obsadzone przez znakomitych wykonawców” – pisał „Przekrój”), o Aleksandrze Fordzie jr. nie wspomniano.

Na osobistym życiu Aleksandra Forda juniora kładła się zapewne cieniem historia małżeństwa jego rodziców. Aleksander Ford i Janina Wieczerzyńska poznali się w Sielcu nad Oką, gdzie tworzona była I Dywizja Piechoty im. T. Kościuszki. On działał w Czołówce Filmowej, ona uczyła języka polskiego rosyjskich żołnierzy. Janina Wieczerzyńska była jego drugą żoną i nie miała z późniejszym „carem polskiego filmu” łatwego życia. Podobał się kobietom i miał do nich słabość. Wreszcie Ford senior porzucił Janinę dla Eleanor Griswold, amerykańskiej aktorki, żony krytyka Zygmunta Kałużyńskiego, którą poznał na zdjęciach próbnych w Łodzi. Ze swoją nową żoną zamieszkał w Warszawie, Janina z synem pozostali w Łodzi. Jeszcze w 2002 roku w dokumentalnym filmie Stanisława Janickiego Aleksander Ford junior, odnosząc się do rozwodu rodziców, powiedział, że rozwodem matka została przez ojca upokorzona. Choć dodał, że ojciec i matka wychowali go w duchu wzajemnej miłości do siebie, to rana chyba się nie zagoiła. Miało to wpływ na jego relacje z własną rodziną.

„Widywaliśmy się dość rzadko, najczęściej w ramach spotkań ustalonych między rodzicami. Niedziela była zazwyczaj najlepszym dniem, kiedy mógł mi poświęcić cały dzień. Ale zdarzały się też okresy dużych przerw. W wieku osiemnastu lat zacząłem dorośle myśleć o moim stosunku do ojca. To był okres buntu u mnie” – wspomina mieszkający w Łodzi Jakub Ford, syn Aleksandra Forda juniora. Wybrał własną drogę zawodową. Nie wszedł do branży filmowej, choć znane nazwisko wiele by ułatwiło. Zajmuje się stylizacją i wizażem. „W dniu moich trzydziestych urodzin, około godziny 22.00 dostałem od ojca życzenia. Przesłał je SMS-em, specyficznym, ale nigdy go nie zapomnę: «Trzydzieści lat ma się raz w życiu i ojca też się ma jednego». Myślę, że kształt relacji ojca z moim dziadkiem miał znaczący wpływ na jego relacje ze mną”.

Jakub Ford odziedziczył po ojcu kilka pudeł z korespondencją, notatkami, fotografiami i dziennikami. Są tam m.in. listy od Forda seniora z Londynu i Danii, gdzie ten polski reżyser przebywał na wymuszonej emigracji po 1968 roku, jeszcze przed swoją samobójczą śmiercią w Kalifornii. W tym samym czasie jego pierwotny syn w kraju chwycił się różnych źródeł zarobku. Nie opływał w dostatki. Przez piętnaście lat w prywatnym łódzkim Teatrze Kometa prezentował dzieciom i młodzieży baśnie z różnych stron świata. Zaadoptował też na scenę wspomnienia Tosi i Aleksan-

dra Klugmanów ocalałych z Litzmannstadt Getto. W 2000 roku pomagał przygotować w Muzeum Kinematografii jubileuszową wystawę poświęconą *Krzyżakom*.

W 2001 roku miały ruszyć zdjęcia do nowej ekranizacji *Krzyżaków*, przed laty sztandarowej realizacji jego ojca. Ford dostał propozycję roli od reżysera Jarosława Żamojdy, co miało być rodzajem hołdu oddanego Fordowi seniorowi. Film Żamojdy nigdy nie powstał. Wydaje się, że w branży filmowej pamiętano o nim, nawet jeśli propozycje, które dostawał, nie były znaczące.

Aleksander Ford junior nigdy nie miał etatu. Role, które grał, wykonywał na podstawie umowy o dzieło. To spowodowało, że nie dorobił się emerytury. "Pamiętam, że podczas wernisażu wystawy w Muzeum Kinematografii ojca zaczął Jerzy Hoffman i zapytał, dlaczego nie odezwał się w sprawie roli, jaką dla niego miał" – wspomina Jakub Ford. W 2004 roku prasa doniosła, że Aleksander Ford junior ma być wyeksmitowany z mieszkania przy ul. Nawrot, które jeszcze jego ojciec otrzymał za zasługi dla kina polskiego. Junior nie był w stanie płacić czynszu, który wynosił 391 zł – tyle ile jego renta chorobowa. W 2008 roku zastąpił w Ośrodku Kultury „Górna” zmarłego Bogumiła Popowa, poprzedniego instruktora teatralnego.

„To był człowiek bardzo niedzisiejszy. Gdy z jakiejś okazji ubierał się «na elegancko», miał sznyt jak z lat czterdziestych. Zajmowała go klasyka dramatu, zwłaszcza romantycznego” – wspomina Mikołaj Berłowski, aktor grupy teatralnej w Ośrodku Kultury „Górna”. „Miało to swoje plusy. To było jak wycieczka do innej epoki. Choć Olek wierzył w teatr, w którym nie ma demokracji, udało się nam też prze-forsować nasze pomysły. W 2011 roku wystawiliśmy *Psychoterapolicykę* Dominika W. Rattingera. Była to ostatnia nasza wspólna praca. Nie radził sobie najlepiej w życiu, bo mając naturę artystyczną, żył w cieniu ojca. Skutkowało to także tym, że był bardzo samotny. Jednocześnie był też z ojca dumny. Podobnie jak z córki i syna”.

Ostatnim publicznym wydarzeniem, w jakim uczestniczył Aleksander Ford junior było odsłonięcie pamiątkowej tablicy dla kawiarni filmowców Honoratka 23 maja 2012 roku na ul. Moniuszki 2. Zmarł 7 października tego samego roku.

Jolanta Szyperska
– animatorka kultury

recenzje

Artysta jako obcy

Życie twórców na emigracji

Cezary Strąkowski

str. 201

Śladami zbrodni. Przewodnik po miejscach represji

Pomnik krwi i chwały

Zdzisław Szczepaniak

str. 205

Artysta jako obcy

Życie twórców na emigracji

recenzje

Dużą przyjemność sprawiła mi lektura najnowszej książki doktora Tomasza Ferencę pt. *Artysta jako obcy. Socjologiczne studium artystów polskich na emigracji*. Przede wszystkim dlatego, że książka zwraca uwagę na konieczność widzenia dzieła artysty w korelacji z jego życiem. Sztuka nie powinna być oderwana od swojego twórcy, dlatego tak ważne jest przybliżenie jego sposobu życia. Dzięki książce Ferencę poznajemy życie codzienne wielu z nich. Choć występują oni w książce anonimowo, z opisu jednak wiemy, że znaczna ich część osiągnęła międzynarodowy sukces.

Pozycja ta to efekt czterech lat pracy na stanowisku adiunkta Instytutu Socjologii UŁ Tomasza Ferencę, a także wykładowcy w PWSFTViT. Zanim zajął się badaniem biografii artystów emigracyjnych, bardzo intensywnie pracował nad społecznym aspektem fotografii. Kilka wcześniejszych publikacji dotyczyło tego właśnie tematu. Można powiedzieć, że stał się specjalistą w dziedzinie socjologicznej analizy fotografii. Najnowsza jego książka dotyczy już jednak znacznie szerszego aspektu istnienia artysty na emigracji. Ale miasta, w których poszukiwał rozmówców, nie były wybrane przypadkowo. Każde z nich bowiem stanowiło od bardzo dawna cel emigracji Polaków, a dodatkowo było i jest nadal metropolią światową z wielkim zapleczem kulturowym.

Tomasz Ferenc sam określił cel pracy jako rekonstrukcję społecznych światów artystów emigracyjnych. Przyjął zatem *a priori* założenie, że miejsce zamieszkania oraz doświadczenie życiowe determinują artystę. Charakter sztuki, jej przekaz jest związany z miejscem w strukturze społecznej, w którym przyszło dorastać i tworzyć danemu artyście. „Artysta społecznie jest definiowany poprzez swą działalność twórczą bądź odtwórczą. Musi mieć jakieś zakotwiczenie w społeczeństwie, musi być jakoś określony i przypisany do grupy. Jego działanie ma być wartościowe dla grupy”¹ – pisze.

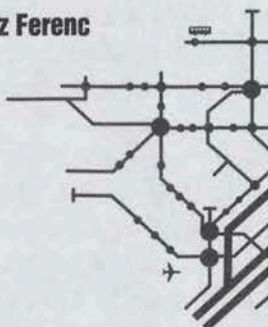
Nie ulega zatem wątpliwości, że twórca jest zależny w swych działaniach od społeczeństwa. Będąc jednak zależnym, może jednocześnie zaznaczyć swą niezależność. Ta dwuznaczna sytuacja wynika stąd, że sztuka powinna pokazywać pewne drogi, pobudzać emocje, wzruszać, zmuszać do zastanowienia; a nie może tego robić w oderwaniu od kodu społecznego, który jest dobrze zrozumiały dla uczestników tego samego kręgu kulturowego. Dlatego emigrant to zrazu ktoś obcy, przeszczepiony. I nie tylko od niego samego zależy, czy przeszczep się przyjmie, czy zostanie odrzucony.

ARTYSTA JAKO OBCEY

**SOCJOLOGICZNE STUDIUM
ARTYSTÓW POLSKICH
NA EMIGRACJI**

Tomasz Ferenc

W WYDAWNICTWO
UNIWERSYTETU
ŁÓDZKIEGO



Sam przecież musi wykonać olbrzymią pracę, poznać język, kulturę danego kraju, pokonać bariery biurokratyczne. Druga strona też ma swój udział w powodzeniu tej operacji. Musi chcieć przyjąć nową osobę w poczet członków swojego społeczeństwa. O tym wszystkim, jak to się zdarza mniej lub bardziej bezpośrednio, opowiadają rozmówcy.

Autor z wybranymi rozmówcami prowadzi wywiady biograficzne. Narzędzie to uważane jest za bardzo obiektywne, ponieważ nie pozwala badaczowi angażować się w trakcie trwania badania ponad włączenie dyktafonu. Nie można dopytać, zadać kolejnego pytania, naprowadzić. Nic z tych rzeczy. Robiąc wywiad, prosimy o opowieść o swoim życiu, słuchamy i nagrywamy. Tak powstały wywiady z artystami, którzy zdecydowali się na emigrację z Polski.

Rozpoczęcie nowego życia w obcym miejscu niesie ze sobą wiele nowych doświadczeń, zarówno pozytywnych, jak i negatywnych. Artysta zmuszony

jest pracować twórczo oraz żyć w innej kulturze niż ta, w której się wychował. Przesiedlenie się na grunt innej kultury burzy dotychczasowy świat i wymusza stworzenie nowego. Swoich respondentów autor odnalazł w czterech wielkich miastach, gdzie warunki do pracy twórczej wydają się wyśmienite. Paryż, Londyn, Berlin, Nowy Jork. Stolice wielkich, nowoczesnych państw, gdzie mieszkańcy doceniają sztukę, gdzie łatwo być artystą. Dokładna analiza wywiadów przekonuje nas jednak, że łatwo nie było. Niemal wszyscy respondenci opowiadają o trudach asymilacji, o biurokracji państw, z którą musieli się uporać, by móc zalegalizować swój pobyt. Do tego trudności z językiem; rozmawiać to jedno, ale tworzyć w obcym języku to duże wyzwanie, szczególnie dla artystów posługujących się słowem.

Najciekawsze w książce są fragmenty wywiadów, w których poznajemy realny świat opowiedziany słowami artysty-respondenta. Znajdujemy je w czterech głównych rozdziałach książki, a każdy z nich poświęcony jest innemu miastu. Zanim jednak dotrzemy do tych najlepszych, musimy pokonać dwa pierwsze „techniczne” rozdziały. Autor przedstawia w nich precyzyjnie całą metodologię badania, na podstawie którego powstała ta praca. Dowiemy się z nich, skąd taki pomysł, co jest przedmiotem badania, jakie są główne jego założenia. Poznamy tu wiele ciekawych pojęć oraz ich definicje. Teoretyczny charakter tych rozdziałów sprawia, że nie porywają one tak czytelnika jak dobra powieść, niemniej wprowadzają dobrze w temat i dzięki nim lepiej odczytujemy, co chcieli nam przekazać respondenci w swoich opowiedzianych biografiach. Niestety, dla zwykłego czytelnika mogą okazać się nużące, ponieważ noszą znamiona pracy naukowej, w której muszą zostać spełnione wytyczne dotyczące takich prac. Autor ma tego świadomość, ponieważ sam niejako tłumaczy się, po co są te pierwsze rozdziały i dlaczego są takie ważne.

Dzięki narracjom poznajemy od podszewki świat kilku wielkich miast. Z pierwszej ręki dowiadujemy się, jak zostawało się emigrantem kilkadziesiąt lat temu, a jak jest teraz. Autor stara się wprowadzić czytelnika w charakter każdego z tych miast na tle historii polskiej diaspory. Przytacza wiele ciekawostek, jak choćby tę, że Chicago w 1920 roku było trzecim miastem na świecie z największą liczbą Polaków, za Warszawą i Łodzią. W przypadku Nowego Jorku można pokusić się nawet o próbę odczarowania mitu Ameryki jako państwa sukcesu, gdzie każdy znajdzie swoje Eldorado. Na pamięć w tym miejscu przychodzą słowa bohatera filmu Sylwestra Chęcińskiego *Kochaj albo rzuć*, Johna Pawlaka, który w liście do brata pisał: „Jeśli Ameryka to raj, to droga do niego cierniowa...”. Respondenci w swoich opowieściach potwierdzają te słowa. Nowy Jork stwarza mnóstwo możliwości, ale konkurencja jest wielka i by tam zaistnieć, trzeba wykonać ogromną pracę. Nawet jeśli uda się zrobić karierę, to aby utrzymać pozycję, trzeba jeszcze więcej pracować. Niektórzy artyści wprost mówią, że nie odnaleźli się w tej rzeczywistości i gdzieś się zagubili. Wszyscy zwracają też uwagę na komercyjny charakter sztuki w każdym z tych miast oraz na konieczność posiadania znajomości, by móc zaistnieć. W wypowiedziach artystów przewijają się

także opisy instytucji, które pomagały im w karierze. To te skupione wokół Polonii oraz ogólnie dostępne. Zazwyczaj są więc dwie drogi rozwoju: są ci, którzy korzystają z instytucji polonijnych, i ci, którzy w ogóle nie chcą z Polakami mieć nic wspólnego i pragną jak najszybciej się zasymilować. Sam talent to może być za mało, potrzeba jeszcze nieco szczęścia, by znaleźć się w odpowiednim miejscu z odpowiednią osobą. Autor wprowadza dla określenia tej sytuacji socjologiczne pojęcie „ważnego innego”, czyli osoby, która pomoże zaaklimatyzować się w nowym otoczeniu, kogoś, kto pokaże, jak swoją sztukę sprzedać. Można się nawet pokusić o tezę, że jest to generalna zasada działania w świecie sztuki. Samemu bardzo ciężko zaistnieć, jeśli to w ogóle możliwe.

Był jeden tylko okres, kiedy Polakom było na emigracji nieco łatwiej. To okres wprowadzenia w Polsce stanu wojennego. Ci, których zastało to wydarzenie na obczyźnie, łatwiej otrzymywali karty stałego pobytu lub jakąś godziwą pracę. Wtedy była „moda na Polaków”, jak często mówią mieszkańcy Paryża. W Stanach Zjednoczonych bardzo łatwo było wtedy otrzymać azyl polityczny, dzięki czemu można było zalegalizować pobyt. Po jakimś czasie jednak zainteresowanie sprawą polską przygasło i emigranci wracali do twardej rzeczywistości dnia codziennego.

Po lekturze tej książki ma się wrażenie, że lepiej się rozumie artystów. Dzięki ich opowieściom o swoich doświadczeniach przekraczamy pustą przestrzeń pomiędzy artystą a widzem. Odczarowujemy twórcę, widzimy, że żyje tak samo jak my, on i jego bliscy doświadczają takich samych problemów dnia codziennego. Poza chwilą twórczą musi zaspokoić wszystkie bytowe potrzeby, co nie zawsze jest łatwe, szczególnie na emigracji. Porażki zdarzają się równie często co sukcesy. Dzięki temu jeszcze bardziej powinniśmy doceniać sztukę przez nich stworzoną.

Cezary Strąkowski

dr Tomasz Ferenc, *Artysta jako obcy*, wyd. UŁ, Łódź 2012.

Przypisy:

1. Florian Znaniecki, *Rola społeczna artysty*.

Śladami zbrodni. Przewodnik po miejscach represji

Pomnik krwi i chwały

recenzje

Ten pomnik w tytule to przenośnia – dotyczy ona publikacji niezwykle ważnej, zaiste „pomnikowej”, jako że wydany przez Instytut Pamięci Narodowej – niezwykle cenny, imponujący faktograficzną zawartością i poziomem edytorskim – album pt. ŚLADAMI ZBRODNI” służyć ma utrwaleniu powszechnej pamięci o Żołnierzach Wyklętych. Prawdziwe, poświęcone im pomniki, czy tablice przypominające o ich patriotyzmie, odwadze i tragicznych losach – to bowiem ciągle jeszcze rzadkość. Choć i te nieliczne pamiątki ich walki i śmierci (bo groby w większości pozostają nieznanne) nadal kłują w oczy tych, którzy nawet dzisiaj gotowi są je bezcześcić i mówić o ludziach, którzy nie zaakceptowali sowieckiej okupacji Polski, jako o „bandytach”.

Ich największą winą było to, że nie chcieli zaakceptować budowy Polski komunistycznej – opartej na moskiewskich wzorach i z poparciem rosyjskich „doradców” i bagnetów. Tak myśląc i tak czując śmieli się przeciwstawiać zbrojnie tym, którzy w imieniu „ludowej władzy”, i jej nadzorców z NKWD, mordowali żołnierzy Armii Krajowej, Konspiracyjnego Wojska Polskiego, WiN-u, NSZ-u i wielu innych formacji. Woleli walczyć niż iść na Sybir, umierać niż żyć na kłęczkach... Ginęli więc tysiącami, ale przez całe lata nie ustawali w oporze. Byli zabijani i sami zabijali swoich wrogów – w wielu bitwach i potyczkach z przeważającymi siłami wojska i „bezpieki”, w trakcie atakowania posterunków MO, placówek UB, obozów, aresztów i więzień. Śmiercią karali także zdrajców, donosicieli, najokrutniejszych śledczych i sadystycznych strażników.

W końcu jednak „ludowa” władza wygrała walkę ze swymi niepokornymi obywatelami i drogo kazała im zapłacić za opór i męstwo. W wielu wypadkach płacili za te „winy” nie tylko torturami, długoletnim więzieniem, ale i życiem. „A kiedy już ich wymordowali, skazali ich na śmierć po raz drugi kłamstwami, obelgami i milczeniem na ich temat. Nie wolno było o nich mówić, nie wolno było o nich pisać, a jeżeli już – to tylko tak, jak o bandytach” – mówił niedawno, przed więzieniem na ul. Rakowieckiej w Warszawie, Jacek Pawłowicz, historyk z IPN.



Z czasem zyskali bolesne miano „żołnierzy wyklętych”, o których losach i zasługach przypominają wspomnienia dawnych partyzantów, artykuły historyków, okolicznościowe wystawy. Do społecznej świadomości zaczyna wreszcie docierać coraz więcej prawdy o walce i dramatycznych przeżyciach tych, w których zaczynamy widzieć nie tylko Wyklętych, ale przede wszystkim Niezłomnych.

Wśród tegorocznych przedsięwzięć, związanych z obchodzonym od trzech lat (jako święto państwowe) Narodowym Dniem Pamięci Żołnierzy Wyklętych, ważne miejsce zajmuje promocja wspomnianej wyżej publikacji będącej obszernym, i wstrząsającym w swej zawartości i wymowie: „PRZEWODNIKIEM PO MIEJSCACH REPRESJI KOMUNISTYCZNYCH LAT 1944-1956”. (Taka promocja miała miejsce również w Łodzi, w marcu br., dzięki wspólnej inicjatywie Oddziału IPN oraz Wojewódzkiej Biblioteki Publicznej im. Marszałka Piłsudskiego).

Ten obszerny, ponad 600-stronicowy tom, zawierająca setki zdjęć, mnóstwo map, historii poszczególnych obiektów i miejsc kaźni, reprodukcji dokumentów, wyciągów z protokołów przesłuchań, etc. – jest dziełem zaangażowania całego zespołu pracowników IPN, którzy w efekcie trwających pięć lat badań przygotowali tę „pomnikową” publikację pod redakcją naukową dr Tomasza Łabuszewskiego. Przedstawiając w bardzo interesującym wstępie założenia i historię powstania przewodnika „Śladami zbrodni” zwraca on uwagę na fakt, że: „Prezentowany materiał jest pierwszą próbą skatalogowania miejsc związanych ze zbrodniami komunistycznymi – mających w oczywisty sposób status miejsc pamięci narodowej. Ukazuje on powszechność owych zbrodni, popełnianych nie tylko w regionach mocno zaangażowanych w działalność powojennej konspiracji niepodległościowej, takich jak Białostoczczyzna, Lubelszczyzna czy Mazowsze, lecz także we wszystkich bez wyjątku urzędach komunistycznej „bezpieki”. Nie jest to historia opisująca wyjątkowe bestialstwa grupy funkcyjnych degeneratów, stanowiących margines kadr UB, czy NKWD, ale dowód na systemowość owych zachowań wpisanych immanentnie w utrwalanie tzw. władzy ludowej w Polsce. To rzecz o banalności i masowości zła, którego różnorodność wynikała wyłącznie z inwencji katów”.

Miejsca takich działań – bestialstw i cierpień istniały w całym kraju. Przewodnik idący śladami komunistycznych zbrodni pokazuje je również w Łodzi i województwie łódzkim. Prezentuje m.in. zdjęcia i historię gmachu przy ul. Anstadta – siedziby wojewódzkiego Urzędu Bezpieczeństwa oraz więzień przy ulicach Gdańskiej, Sterlinga, Kopernika. Inne ślady zbrodni zaprowadzą czytelnika przed więzienia, siedziby i placówki UB, areszty MO w Brzezinach, Łowiczu, Piotrkowie Tryb., Radomsku, Sieradzu, Tomaszowie Mazowieckim.

Wszędzie tam przetrzymywano, torturowano, zabijano ludzi uznawanych za przeciwników komunistycznego reżimu.

Kiedy ogląda się zdjęcia towarzyszące opisom poczynań wszechmocnej wówczas „bezpieki”, kiedy czyta się protokoły przesłuchań i inne. relacje o tym, co działo się w ubeckich więzieniach, aresztach i obozach, kiedy patrzy się na fotografie ofiar i katów – głównym uczuciem staje się stopniowo nie tylko smutek, ale także gniew. Tym większy, kiedy z faktów zawartych w książce dowiadujemy się o wieloletnich (trwających nieraz nawet do końca lat osiemdziesiątych) prześladowaniach tych, którym udało się uniknąć strzału w tył głowy, kiedy czytamy o równie długiej udręce ich rodzin oraz... bezkarności lub niezwyklej (bo trwającej do dzisiaj!) łaskawości aparatu sprawiedliwości dla dawnych oprawców i katów.

Prezentowanie w telegraficznym skrócie zawartości tak szczególnego dzieła musi się, z konieczności, sprowadzić do jednego celu – nakłonienia jak największej liczby czytelników do uważnej lektury tej książki. Do podjęcia przy jej pomocy trudnej, pełnej bólu, zdumienia i gniewu, podróży opisywanymi w niej śladami zbrodni. Po to chociażby, aby tych śladów nie można było już nigdy zatrzeć i o nich zapomnieć.

Sądzę, że właśnie to miał na myśli dr Łukasz Kamiński – prezes IPN – pisząc w przedmowie do omawianej publikacji:

„Jestem przekonany, że ten monumentalny album przyczyni się do wzrostu zainteresowania miejscami zbrodni, a także do ich odpowiedniego upamiętnienia i ochrony śladów tragicznych wydarzeń w postaci inskrypcji na murach czy elementów oryginalnego wyposażenia miejsc kaźni. Mam nadzieję, że chociaż w kilku z nich powstaną muzea poświęcone pamięci ofiar komunistycznego terroru. Jesteśmy to winni dziesiątkom tysięcy więzionych, torturowanych i zamordowanych.”

To prawda. A spełnienie tej nadziei to już nie tyle potrzeba zadośćuczynienia i naprawienia wcześniejszych zaniechań wobec pamięci o Żołnierzach Wyklętych, ale po prostu polski, narodowy obowiązek.

Zdzisław Szczepaniak
– pisarz, publicysta, dziennikarz

Śladami zbrodni. Przewodnik po miejscach represji komunistycznych lat 1944-1956,
red. naukowa Tomasz Łabuszewski, IPN Warszawa 2012

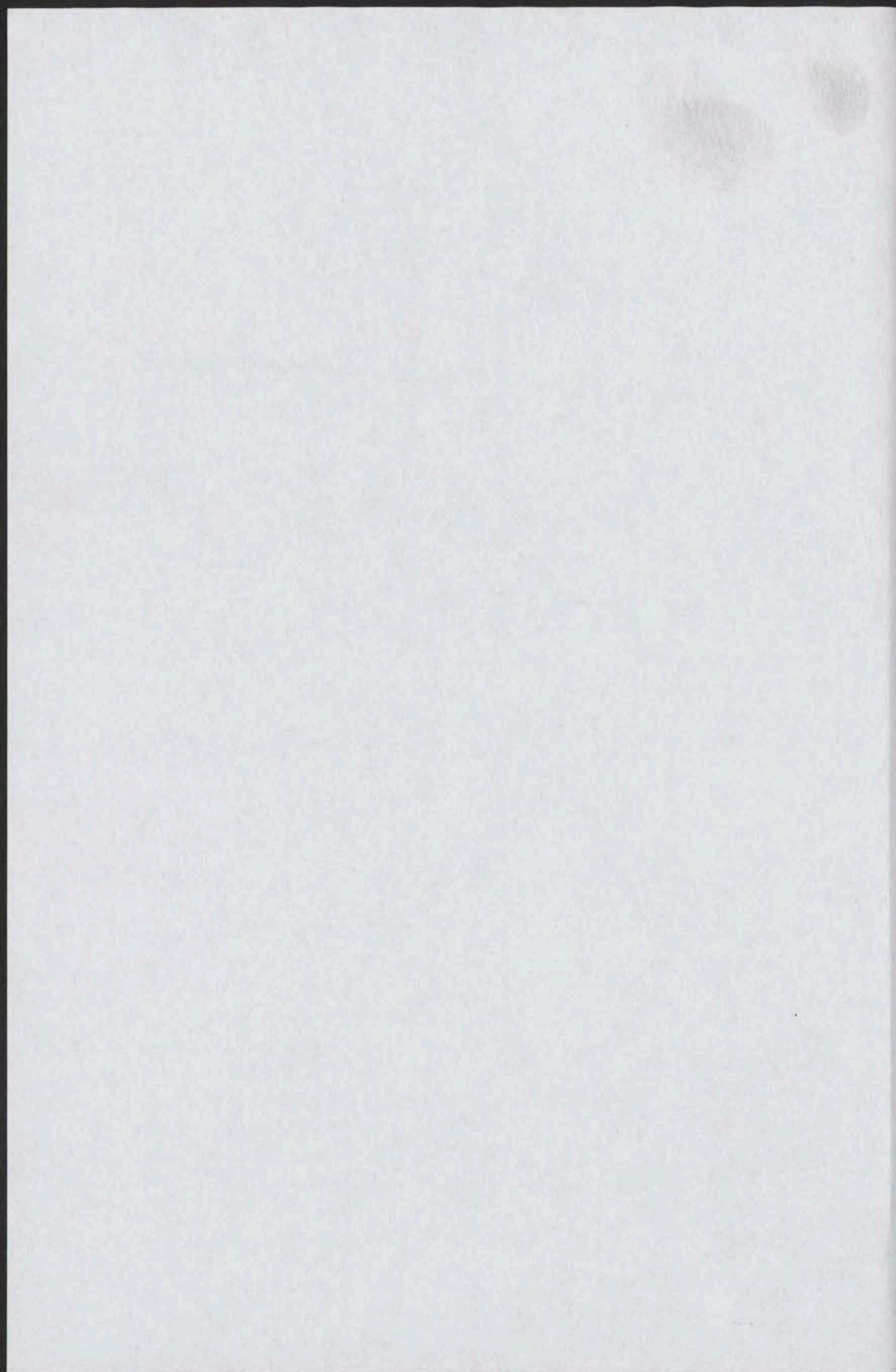
osiedla, domy, ulice...

Ogrodowa

Od browarów do cmentarza

Dariusz Kędzierski

str. 211



Ogrodowa

Od browarów do cmentarza

W początkowym okresie tworzenia się Łodzi przemysłowej również ulica Ogrodowa miała w tym procesie swój znaczący udział i wbrew pozorom nie chodziło tu o rozwój łódzkiego przemysłu włókienniczego, lecz łódzkiego... browarnictwa.

Pierwsze wzmianki o warzeniu piwa w Łodzi pochodzą z 1520 roku, ale wcześniej, bo w 1453 roku miała tu miejsce produkcja słodu, co wskazywałoby na to, że już wtedy piwo było wytwarzane.

Również w procesie powstawania Łodzi przemysłowej po 1824 roku swój udział miały browary, choć nie bez przeszkód. Powstały w 1828 roku Bank Polski niechętnie kredytował przemysł piwowarski, tradycyjne browary były bowiem traktowane jako zakłady rzemieślnicze o ograniczonym potencjale. Niemniej browary powstawały, lecz głównie dzięki środkom własnym ich właścicieli.

Pierwszy browar w Nowym Mieście wybudował u zbiegu ulic Nowomiejskiej i Północnej Karol Saenger. Natomiast o wiele większy zakład, w którym ważono piwo, powstał kilkaset metrów dalej, u zbiegu ulic Ogrodowej i Zachodniej, gdzie obecnie znajduje się pałac Poznańskiego. Wybudował go w latach 1841-1844 Antoni Bittdorf. Bittdorf był w Łodzi postacią bardzo znaną, przyjechał z Tomaszowa Mazowieckiego i przez wiele lat pełnił w naszym mieście różne funkcje publiczne. Był Starszym Zgromadzenia Cechów, ławnikiem miejskim oraz radnym magistrackim.

W połowie XIX wieku wytworzyła się silna konkurencja pomiędzy browarami miejskimi a tymi usytuowanymi poza granicami miasta – te zamiejskie konkurowały z miejskimi niższą ceną. W pewnym momencie Bittdorf ocenił, że tej konkurencji nie sprosta i w roku 1850 browar sprzedał. Zakłady jeszcze kilkakrotnie przechodziły z rąk do rąk, aż w końcu w 1877 roku stały się własnością Izraela Poznańskiego.

Na drugim narożniku ulicy Ogrodowej i Zachodniej, naprzeciwko zakładów Bittdorfa, gdzie obecnie znajduje się park Staromiejski, funkcjonował jeszcze jeden browar, Antoniego Baucha. W 1869 roku cały teren wraz z drewnianymi budynkami zakładu został wystawiony na sprzedaż. Nabywcą okazał się pochodzący z Rawicza Adolf Gehlig, który za nieruchomości zapłacił trzydzieści siedem tysięcy rubli. Ale to nie Adolf Gehlig kierował zakładem, lecz jego bracia, Herman i Ryszard, od których

osiedla, domy, ulice



Adolf pobierał stosowną opłatę. Browar był nieustannie rozbudowywany, a najlepszy okres swojego istnienia przeżywał w końcu XIX wieku, kiedy to zatrudnionych było w nim stu trzydziestu robotników, a produkcja wynosiła czterdzieści sześć tysięcy hektolitrów piwa rocznie.

Na początku XX wieku zaczęły się kłopoty. Okazało się, że firma pozaciągała tak duże kredyty, że przestała sobie radzić z ich spłatą. Na to jeszcze nałożyły się strajki pracowników, którzy żądali podwyżek płac. Wreszcie największy wierzyciel zakładów, Towarzystwo Kredytowe, uznało, że dług zaciągnięty przez Gehligów jest nieściągalny, w związku z tym w sierpniu 1909 roku nieruchomości została wystawiona na aukcję. Browar kupił Bank Handlowy i kontynuował produkcję.

W czasie pierwszej wojny światowej na zakład spadły trzy niemieckie pociski. Szkody naprawiono i po wojnie, w 1919 roku, Bank sprzedał posesję firmie „Fajwel, Trubowicz i Spółka”. Nowi właściciele zrezygnowali z produkcji piwa, a fabryczne powierzchnie wynajmowali na sklepy i lokale usługowe. W 1936 roku część terenu została przekazana na powiększenie ulicy Zachodniej. W czasie drugiej wojny światowej browar przestał istnieć, zabudowania zrównano z ziemią, a jedyną po nich pozostałością są zasypane piwnice, które znajdują się na terenie parku Staromiejskiego.

Imperium Poznańskiego

Ulica Ogrodowa to jednak przede wszystkim Izrael Kalmanowicz Poznański.

Nie jest tak, że Poznański zaczynał od zera. Złośliwi opowiadali, że pojawił się on w Łodzi na rozklekotanym wózku ciągniętym przez lichego konia – nie-

którzy twierdzili nawet, że przez psy – i jeżdżąc od posesji do posesji, zbierał stare szmaty. To wszystko nieprawda. Izrael Kalmanowicz Poznański w 1851 roku, w wieku siedemnastu lat, ożenił się z Leonią Hertz, córką sekretarza szpitali żydowskich w Warszawie. Ojciec podarował synowi skład sukna, a także sklep na Starym Mieście. Panna młoda wniosła w posagu mieszczący się w Warszawie sklep – „Handel towarów łokciowych”. Oprócz tego młody Poznański był już właścicielem warsztatu rękodzielniczego, w którym produkował tkaniny.

Dzięki pracowitości i umiejętnie wykorzystywanym kontaktom Poznański bogacił się błyskawicznie. W niedługim czasie stał się właścicielem pięćdziesięciu warsztatów tkackich, w których zatrudniał ponad siedemdziesięciu pracowników.

W 1871 roku nabył tereny przy ulicy Ogrodowej, a rok później rozpoczął budowę tkalni na dwieście krosien mechanicznych – maszyny sprowadził z Anglii. Produkcja przynosiła znaczne zyski, które umożliwiały kontynuowanie rozbudowy fabryki.

W ten sposób w latach 1877-1880 powstał budynek, który stał się wizytówką zakładów Poznańskiego. To usytuowana wzdłuż ulicy Ogrodowej długa na sto siedemdziesiąt metrów pięciokondygnacyjna przędzalnia. Budynek ten w ciasnej śródmiejskiej zabudowie prezentuje się bardzo okazale. W jego narożnikach, podobnie jak i w części środkowej, zaprojektowano wieże z klatkami schodowymi. Zarówno to architektoniczne rozwiązanie, jak i ceglana nieotynkowana fasada w pewien sposób nawiązują do architektury obronnej. Do kompleksu fabrycznego wchodziło się przez monumentalną bramę, która jak łuk triumfalny przepuszczała robotników idących do

osiedla, domy, ulice





pracy, przypominając im jednocześnie, że po jej przekroczeniu stają się jedynie mikroskopijnym trybem fabrycznego molocha. Za głównych projektantów fabrycznego imperium Poznańskiego uznaje się architekta miejskiego Hilarego Majewskiego oraz architekta ze Stuttgartu, Juliusza Junga.

Początkowo w przędzalni Poznańskiego pracowało trzydzieści sześć tysięcy wrzecion, a trzy lata później już ponad czterdzieści trzy tysiące. Podobnie wzrosła liczba krosien, z początkowych dwustu do tysięcy pięciuset sześćdziesięciu. Kilka lat później powstała jeszcze farbiarnia i drukarnia. W ten sposób Poznański stworzył wielofunkcyjny, samowystarczalny kompleks fabryczny, w którym realizowany był cały cykl produkcyjny. Całość, łącznie z bocznicą i magazynami, zajmowała około trzydziestu hektarów. Poznański był po Scheiblerze drugim największym łódzkim przemysłowcem. Jego bogactwo miało również swoje źródło w ogromnym wyzysku robotników. Poznański samowolnie wydłużał dzień pracy, był okres, gdy dzień roboczy w jego zakładach wynosił szesnaście godzin. Podczas strajków należał do najbardziej nieustępliwych fabrykantów. Stosował najniższe stawki zarobkowe. Różnica w płacy w zakładach Scheiblera i Poznańskiego wynosiła 1-2 ruble tygodniowo na niekorzyść tego ostatniego, przy stawce tygodniowej wynoszącej 18-20 rubli. Poza tym w zakładach Poznańskiego produkowano tanie wyroby bawełniane, oparte na surowcu gorszej jakości sprowadzanym z Persji i Rosji, podczas gdy za najlepszą uważano bawełnę amerykańską i indyjską.

Część zysków z niewolniczej pracy robotników Poznański przeznaczał na cele filantropijne, wspierając finansowo głównie żydowskie instytucje charyta-

tywne. W ten sposób z przekazanych przez niego środków powstały szkoły, szpitale, a także najbardziej okazała synagoga przy ulicy Spacerowej.

Poznański wzorem Scheiblera, aby silniej związać robotników z zakładem, wybudował dla nich osiedle kilkupiętrowych domów mieszkalnych. Osiedle powstało naprzeciwko zakładów, po drugiej stronie ulicy Ogrodowej. W budynkach tych zamieszkało około tysiąca rodzin. Łącznie więc skorzystało z przywilejów ponad cztery tysiące osób. Wielkość zajmowanego mieszkania uzależniona była od kwalifikacji robotnika. Lokale były bez podstawowych wygód, bez wody i ubikacji. Oczywiście, udział w strajku powodował natychmiastowe wyrzucenie na bruk.

Kolejne pokolenia rodziny Poznańskich coraz bardziej się polonizowały. W miejsce imion: Izaak, Chaim, Izrael pojawiają się imiona: Stanisław, Kazimierz, Mieczysław. Zresztą, sam Poznański zapoczątkował proces asymilacji, gdyż na co dzień w korespondencji używał języka polskiego, również testament napisał w języku polskim.

Do czasu wybuchu pierwszej wojny światowej zakłady Poznańskiego prosperowały bardzo dobrze, a majątek firmy szacowano na trzydzieści milionów rubli. Wybuch wojny wszystko zmienił, ograniczenie dostaw surowców i odcięcie od rynku rosyjskiego spowodowało ogromne straty dla przemysłu łódzkiego. Szacuje się, że na koniec wojny straty te wynosiły już około czterystu milionów rubli w złocie. Skorzystał na tym mediolański Banca Commerciale Italiana, który za sprolongowanie spłaty przedwojennych zadłużeń zakładów Poznańskiego otrzymał 60 proc. akcji tego kombinatu, a w latach 30. XX wieku zakłady w całości przeszły w ręce przedstawicieli włoskiego banku. Po drugiej wojnie światowej zakłady zostały znacjonalizowane i nadano im imię byłego pracownika, działacza robotniczego i zdeklarowanego komunisty – Juliana Marchlewskiego.

Obecnie dawne zakłady Poznańskiego to potężny kompleks kulturowo-handlowy o nazwie „Manufaktura”.

Łódzki Luwr

Poznański całe życie rywalizował z Scheiblerem o to, kto jest największym łódzkim fabrykantem, i nigdy tej rywalizacji nie wygrał. Natomiast w jednym Scheiblera zdecydowanie pokonał – w budowie pałaców. Pod względem rozmachu i przepychu nie miały sobie równych. Poznański wybudował w Łodzi cztery okazałe pałace: przy ulicy Spacerowej (obecnie al. Kościuszki), przy obecnej Więckowskiego, przy ulicy Gdańskiej, ale najbardziej okazały powstał na rogu Ogrodowej i Zachodniej.

Budynek ten zaprojektował w 1888 roku Hilary Majewski. Projekt nie został w całości zrealizowany i w końcu lat 90. XIX wieku poprawki wniósł Dawid Rosenthal. Natomiast na początku XX wieku kolejne zmiany wprowadził Adolf Zeligson. W ten oto sposób budynek nazywany „łódzkim Luwrem” stał się przykładem eklektyzmu, czyli stylu, w którym odnaleźć można elementy różnych stylów.



Pałac pełnił wiele funkcji, przede wszystkim były tam , ale również kantor, sklepy, pokoje gościnne, biura. Początkowo był siedzibą rodzinną, ale w momencie utworzenia w 1889 roku spółki stał się własnością Towarzystwa Akcyjnego Wyrobów Bawełnianych I. K. Poznańskiego. Budynek wiele razy był rozbudowywany. W okresie międzywojennym swoją siedzibę miał tu Urząd Wojewódzki. W tym czasie zlikwidowano oranżerię i ogród zimowy, dobudowano natomiast piętra we wschodniej części pałacu.

W czasie okupacji, gdy mieścił się tu urząd niemiecki, zlikwidowano fontannę w ogrodzie spacerowym, przebudowano też salę balową, dzieląc ją stropem na dwie kondygnacje, zasłonięto i zlikwidowano sztukaterie.

Po wojnie pałac zajął ponownie Urząd Wojewódzki. Na przełomie lat 50. i 60. dobudowano skrzydło północne, które w znaczny sposób zmniejszyło pałacowy ogród. Dopiero gdy uznano, że pałac jest cennym zabytkiem kultury, nastąpiły dla niego lepsze czasy. Od 1975 roku mieści się tu Muzeum Miasta Łodzi, dzięki temu obiekt został udostępniony zwiedzającym.

Największe wrażenie robią pałacowe sale pierwszego piętra: sypialnia, garderoba, dwustumetrowa jadalnia, której górną część zdobią sztukaterie oraz malowidła Samuela Hirszenberga, alegoryczne rzeźby odnoszące się do pracy, przemysłu, urodzaju, fortuny. Dolną część, obudowaną dębową boazerią, zdobi elegancki kredens, a także kominek z motywem pawia, symbolem nieśmiertelności. Odrestaurowany został pałacowy ogród z wkomponowaną galerią rzeźb współczesnych artystów.

Zakłady Poznańskiego wsparły też łódzkie działania kulturalne. Nie-

mał naprzeciwko bramy zakładów w 1904 roku postawiony został budynek, który przez lata pełnił wiele funkcji. Początkowo miał służyć za stołówkę dla robotników, a także dom kultury, gdzie odbywały się widowiska i koncerty. W 1923 roku na stałe rozgościł się tu Teatr Popularny. Autorem pomysłu stworzenia w tym miejscu stałej sceny teatralnej był aktor Teatru Polskiego, Józef Pilarski. Jego koncepcja „uczenia” proletariatu teatru, ale bez upolityczniania i agitacji, spodobała się ówczesnemu dyrektorowi zakładów I. K. Poznański, Józefowi Wolczyńskiemu, który udostępnił lokal przy Ogrodowej 18. Teatr od razu odniósł sukces, Pilarski starał się odpowiednio dobrać repertuar, aby jednocześnie zadbać o frekwencję i odpowiedni poziom. Oprócz komedijek i cikliwych melodramatów typu *Szał miłości* włączał do repertuaru sztuki Fredry, Bałuckiego i Zapolskiej.

W 1929 roku Pilarski, po tym, jak chciał połączyć Teatr Popularny z Teatrem Miejskim Karola Adwentowicza, musiał zrzec się funkcji dyrektora. Zarząd Zakładów I.K. Poznański uważał, że Adwentowicz był zbyt zaangażowany politycznie, i – jak to określił – nie życzył sobie, aby pod jego auspicjami wyrastała „czerwona scena”. Niemniej teatr przy Ogrodowej przetrwał do wybuchu drugiej wojny światowej. Po wojnie mieściło się tu kino Popularne, a także dom kultury ze znanym zespołem pieśni i tańca Poltex. Po 1990 roku znajdował się tu salon Bingo, a obecnie budynek zajmuje sklep sieciowy.

Strefa wiecznego spoczynku

Nieco dalej, naprzeciwko przędzalni, znajduje się jedna z najstarszych łódzkich nekropoli. W 1793 roku w Łodzi żyło sto dziewięćdziesiąt osób, które zamieszkiwały w czterdziestu czterech drewnianych chałupach. Natomiast sześćdziesiąt lat później, w 1853 roku, Łódź liczyła już dwadzieścia tysięcy mieszkańców i tysiąc czternaście domów. Wobec tak dynamicznego przyrostu ludności jednym z problemów miasta było chowanie zmarłych. Stary, niewielki cmentarzyk na Górkach Plebańskich przy kościele parafialnym Matki Boskiej Wniebowzięcia przestał wystarczać i w 1821 roku pismem do Komisarza Obwodu Łęczyckiego Dozór Kościelny zawiadomił o wytyczeniu miejsca o powierzchni ok. 2600 m² pod nowy, drugi łódzki cmentarz grzebalny. Cmentarz położony był poza miastem, na wzgórzu przy Drodze Retkińskiej, czyli między dzisiejszymi ulicami Zachodnią, Legionów, Gdańską i Ogrodową. Nowe miejsce pochówku służyło osiemnaście lat, po czym i tu zaczęło brakować miejsc. Aby stworzyć kolejne miejsca grzebalne, cmentarz trzeba było powiększyć; po raz pierwszy w 1828 roku o dodatkowe 1400 m². Po pewnym czasie cmentarz ponownie okazał się za mały, w związku z tym w latach 1838-1855 był powiększany jeszcze kilkakrotnie.

Cmentarz od dawna jest nieczynny, ale atrakcją tego miejsca jest stary modrzewiowy kościółek. Został on zbudowany w latach 1765-1768 z inicjatywy biskupa włocławskiego Antoniego Ostrowskiego. Pierwotnie znajdował się na obecnym placu Kościelnym, lecz kiedy podjęto decyzję, aby w tym miejscu stanął strzelista,



murowany Kościół Wniebowzięcia NMP, drewniany kościółek usunięto. W 1888 roku został on rozebrany i przeniesiony na obecne miejsce, przy dawnym cmentarzu na ulicy Ogrodowej. W 1910 roku erygowano tu parafię pw. św. Józefa.

Szybko zwiększająca się liczba ludności, a także epidemia cholery, która wybuchła w 1852 roku, spowodowały, że utworzony w 1820 roku cmentarz przy Ogrodowej przestał wystarczać i w końcu władze miejskie podjęły decyzję o budowie kolejnej nekropolii. Szukano terenu dużego obszaru, poza granicami miasta, jednocześnie leżącego w bliskiej od miasta odległości. Warunek ten spełniał teren położony nieco dalej, również przy ulicy Ogrodowej. Podjęta została decyzja o budowie cmentarza z jednoczesnym podziałem dla trzech wyznań chrześcijańskich. W tym celu od prywatnych właścicieli wykupione zostały odpowiednie tereny, w sumie około dziewięciu hektarów. Pierwsze pogrzeby miały miejsce w kwietniu 1854 roku, natomiast poświęcenie nowego cmentarza nastąpiło rok później, 9 września 1855 roku.

Po ponad trzydziestu latach funkcjonowania nekropolii, w 1886 roku, władze gubernialne w Piotrkowie zakazały dalszego powiększania terenów cmentarza poprzez zakup przyległych działek; w tym czasie cmentarz został już wchłonięty przez miasto, a nowe władze tereny miejskie chciały przeznaczyć pod inne inwestycje, a nie na powiększanie nekropolii. W końcu w 1888 roku ten jedyny w Łodzi cmentarz zostaje zamknięty. Ponieważ nie wyznaczono nowej lokalizacji, zmarli nadal byli tu chowani, a z braku miejsca często również na drogach i alejach cmentarnych.

W związku z tą sytuacją władze gubernialne w Piotrkowie zezwoliły na wykup kolejnych parceli, dzięki temu powierzchnia cmentarza powiększyła się do

14,6 hektara. Do obecnej 21-hektarowej powierzchni cmentarz rozrósł się do 1885 roku. Później już nie był powiększany, za to wyznaczono kilka nowych lokalizacji pod cmentarze: we wsi Doły, na Rokiciu przy obecnej ulicy Felsztyńskiego oraz we wsi Zarzew.

Obecnie część katolicka cmentarza przy Ogrodowej pw. św. Józefa, należąca do Rzymskokatolickiej Kurii Archidiecezjalnej, zajmuje ponad 10,5 hektara powierzchni. Część ewangelicko-augsburska pw. św. Mateusza, podlegająca Łódzkiej Parafii Ewangelicko-Augsburskiej, zajmuje 9,5 hektara, a część prawosławna pw. św. Aleksandra Newskiego, należąca do Parafii Katedralnej Polskiego Autokefalicznego Kościoła Prawosławnego, 0,9 hektara.

Do każdej części wyznaniowej cmentarza prowadzi osobna brama, wyjątkiem jest część ewangelicko-augsburska, gdzie są dwie bramy, w tym jedna prowadząca bezpośrednio do kaplicy grobowej rodziny Scheiblerów.

W 1858 roku w części katolickiej cmentarza, na jego głównej alei, wybudowano cmentarną kaplicę pogrzebową pw. św. Józefa. Była to niewielka jednonawowa świątynia z dwuspadowym dachem. Służyła głównie biedniejszym mieszkańcom miasta, gdyż te okazalsze kondukty żałobne wyruszały bezpośrednio z kościołów.

Pogrzebowe kaplice cmentarne pozostałych wyznań powstały dopiero na przełomie XIX i XX wieku.

Nekropolia przy ulicy Ogrodowej podobna jest do założonego w 1803 roku przez władze Paryża cmentarza Père Lachaise. Ten typ cmentarza przypomina park z szerokimi alejami wysadzonymi wysokopiennymi drzewami. Cmentarz ten jest najbardziej „zabytkową” łódzką nekropolią. Spotkamy tu mnóstwo pamiątkowych nagrobków z nazwiskami zasłużonych dla miasta łodzian.

Dużo tu dobrze zachowanych pomników nagrobnych, najstarsze z nich pochodzą z lat 50. XIX wieku. Wiele rodzinnych grobów otaczają artystycznie kute kraty i balustrady. Jednym z najbardziej znanych rzeźbiarzy, którego dzieła możemy oglądać na Starym Cmentarzu, był Wacław Konopka; artysta pozostawił po sobie wiele wysokiej klasy niepowtarzalnych pomników swojego talentu.

Największą i najbardziej imponującą budowlą na terenie cmentarza jest kaplica grobowa najbogatszej łódzkiej rodziny fabrykanckiej – Scheiblerów. Na budowę kaplicy rozpisano konkurs, ale po jego rozstrzygnięciu pierwszej nagrody nikomu nie przyznano. Ostatecznie prace projektowe zlecono warszawskiemu architektom Józefowi Dziekońskiemu i Edwardowi Lilpopowi. Budynek zrealizowano w latach 1885-1888. Wzniesiona została jednonawowa budowla na planie łańciskiego krzyża, a pod całym budynkiem zaprojektowane zostały obszerne krypty. Bryła kaplicy jest strzelista i bogata w wiele elementów rzeźbiarsko-architektonicznego detalu. Nad całością góruje ażurowa wieża otoczona posągami ośmiu grających na różnych instrumentach aniołów. Wewnątrz zaprojektowany został ołtarz główny, kazalnica i ołtarze boczne. Praktycznie od początku swojego istnienia kaplica grobowa Scheiblerów służyła ewangeli-



kom jako kaplica cmentarna. W podziemnych katakumbach przechowywano trumny i ciała do czasu, aż rodzina zmarłego przygotowała własne mauzoleum lub piwnicę nagrobną. Nad głównym portalem kaplicy umieszczono inskrypcję: „Pamięci Karola Scheiblera”. Podczas okupacji Niemcy zmienili jej treść na: „*Ruhestätte der Familie Karl Scheibler*”. Dopiero w 2002 roku zlikwidowano napis z czasów okupacji, napis, który w zamyśle okupanta miał zatrzeć ślady polonizacji i asymilacji rodziny Scheiblerów.

Kolebka ŁKS-u

Z ulicą Ogrodową i z zakładami Poznańskiego łączy się również historia Łódzkiego Klubu Sportowego. Przy Ogrodowej 28 znajduje się pusty i zaniedbany teren, kiedyś było to boisko szkolne. W okresie międzywojennym urządzono tu boisko klubu fabrycznego I. K. Poznańskiego, a po wojnie, w latach 60. XX wieku, boisko otrzymał ŁKS. Ale historia tego klubu sięga jeszcze połowy XIX wieku. Wtedy to młodzi Łodzianie wywodzący się z rodzin inteligenckich, przygotowując się do pracy zawodowej, często kształcili się w szkołach technicznych poza granicami zaboru rosyjskiego. Tam oprócz zdobywania wiedzy uczestniczyli w zajęciach sportowych, a tym samym mogli podpatrywać, jakie dyscypliny są uprawiane przez młodych ludzi w Niemczech, Belgii czy Anglii oraz jak zorganizowane są kluby sportowe. Kilku takich młodych zapaleńców: Jerzy Hirsberg, Arnold Hejman i Henryk Lubawski po powrocie do Łodzi postanowiło stworzyć polski klub, w którym chętni mogliby uprawiać tak mało jeszcze znane dyscypliny jak piłka nożna i lekkoatletyka. Wcześniej w Łodzi sport propagowały głównie towarzystwa: strzeleckie, cyklistów, gimnastyczne i były to głównie organizacje niemieckie.

Zanim jeszcze powstała sformalizowana struktura nowego klubu, już zaczęto rozgrywać pierwsze mecze – było to w roku 1908. Zawody sportowe gromadziły zawodników oraz widzów, a władze były bardzo niechętne wszelkim nieformalnym zgromadzeniom i aby nie narażać się na szykany, należało klub zarejestrować. Pierwsza próba rejestracji nie powiodła się, niewykluczone, że carski urzędnik nie wydał zgody, gdyż przeraził się biało-czerwonych barw, które miały być symbolem klubu. Ostatecznie dokument legalizujący działalność Łódzkiego Klubu Sportowego został wydany w sierpniu 1909 roku. Początkowo klub korzystał z obcych boisk, klubu Victoria przy Wólczańskiej i klubu Kraft przy Dzielnej, wreszcie w 1912 roku klub stał się posiadaczem własnego boiska przy Srebrzyńskiej 37/39.

Teren pod przyszłe boisko wypatrzył prezes ŁKS, Wacław Taubwurel, pozyskał on przychylność angielskiego dyrektora zakładu Thomasa Horrocksa, a ten przekonał do idei budowy boiska właścicieli Maurycego Poznańskiego i Maurycego Hertza.

Po drugiej wojnie światowej drogi zakładów Poznańskiego i ŁKS-u znów się zeszyły, bowiem w 1964 roku patronem ŁKS zostały Zakłady Przemysłu Bawełnianego im. Juliana Marchlewskiego, czyli Dawne Towarzystwo Akcyjne Wyrobów Bawełnianych I. K. Poznańskiego. W ramach tej opieki zakłady przekazały ŁKS-owi boisko Bawełny przy Ogrodowej 28 – jako powojennemu następcy klubu fabrycznego I. K. Poznańskiego. Na boisku tym swoje mecze rozgrywały rezerwy ŁKS-u, a także zespoły juniorskie.

Ogrodowa to bardzo ważna dla Łodzi ulica, ale i bardzo filmowa. Tu powstało wiele zdjęć do *Ziemi obiecanej*, ale nie tylko. Od tygodni można oglądać film *Moja ulica*. Realizatorzy, opowiadając historię robotniczej rodziny, która od pięciu pokoleń mieszka na osiedlu wybudowanym przez Izraela Poznańskiego, jednocześnie pokazują historię ulicy Ogrodowej, jak się okazuje, ulicy nie zawsze przyjaznej jej obecnym mieszkańcom.

Dariusz Kędziński
– publicysta, filmowiec

Bibliografia:

1. Lewicki St., *Kariera miasta Łodzi*, Książka i Wiedza 1971.
2. Pawlak W., *Patrząc na starą fotografię*, Wydawnictwo Łódzkie 1981.
3. Baranowski B., Fijałek J. – red., *Łódź, dzieje miasta*, PWN 1980.
4. Szymański J.M., *Browary Łodzi i regionu*, Wydawnictwo Księży Młyn, Łódź 2011.
5. Bonisławski R., Podolska J., *Spacerownik łódzki*, Biblioteka Gazety Wyborczej 2008.

6. *100 lat ŁKS. Dzieje klubu 1908-2008*, Fundacja Jubileusz Łodzi, GIA Katowice 2008.
7. Dominikowski J., *Nekropolia Łodzi wielkoprzemysłowej*, Wydawnictwo Konserwatorów Dzieł Sztuki, Łódź 2004.
8. Konicki Z., *Ulice Łodzi. Ulice w szachownicę*, Wyd. Wojciech Grochowalski, Łódź 1995.
9. Skrzydło L., *Rody fabrykanckie*, Oficyna Bibliofilów, Łódź 1999.
10. Jaskólski M., *Stare fabryki Łodzi*, Towarzystwo Opieki nad Zabytkami oddział w Łodzi ZORA, Łódź 1995.
11. Walczak W., *Zabytki architektoniczne Łodzi*, K.W.A – Łódź.
12. Laurentowicz-Grans M., Manžett-Kubiak J., *Pałace Ziemi Obiecanej*, Towarzystwo Opieki Nad Zabytkami Oddział w Łodzi ZORA, Łódź 1997.
13. Strzałkowski J., *Łódzki Klub Sportowy 1908-1983*, Łódź 1983.
14. <http://cmentarium.sowa.website.pl/Cmentarze/Lodz01.html>

Ulica Ogrodowa



Park Staromiejski, widok na pałac Poznańskiego



Przędzalnia Zakładów I. K. Poznańskiego, dziś Hotel Andels



Brama Manufaktury



Dziedziniec Manufaktury



Domy rodzinne przy dawnych Zakładach Poznańskiego



Pałac Izraela K. Poznańskiego, dzisiejsza siedziba Muzeum Miasta Łodzi



Dziedziniec i ogród pałacowy



Manufaktura



Budynek dawnej stołówki Zakładów I. K. Poznańskiego,
od 1923 r. siedziba Teatru Popularnego, dziś sklep sieciowy



Kościół pw. św. Józefa



Brama Cmentarza Katolickiego



Kaplica Grobowa Rodziny Scheiblerów



Grobowiec na Starym Cmentarzu



Dawne boisko klubu fabrycznego I. K. Poznańskiego, kolebka ŁKS

listy, polemiki, kontrowersje...

Kaczmarek nie był przewodniczącym

Wyjaśnienie Czesława Żylińskiego

str. 225

THE UNIVERSITY OF CHICAGO

PHILOSOPHY DEPARTMENT

PHILOSOPHY 101

PHILOSOPHY 102

PHILOSOPHY 103

PHILOSOPHY 104

PHILOSOPHY 105

PHILOSOPHY 106

PHILOSOPHY 107

PHILOSOPHY 108

PHILOSOPHY 109

PHILOSOPHY 110

PHILOSOPHY 111

PHILOSOPHY 112

PHILOSOPHY 113

PHILOSOPHY 114

PHILOSOPHY 115

PHILOSOPHY 116

PHILOSOPHY 117

PHILOSOPHY 118

PHILOSOPHY 119

PHILOSOPHY 120

PHILOSOPHY 121

PHILOSOPHY 122

PHILOSOPHY 123

PHILOSOPHY 124

PHILOSOPHY 125

PHILOSOPHY 126

PHILOSOPHY 127

PHILOSOPHY 128

PHILOSOPHY 129

PHILOSOPHY 130

PHILOSOPHY 131

PHILOSOPHY 132

PHILOSOPHY 133

PHILOSOPHY 134

PHILOSOPHY 135

PHILOSOPHY 136

Kaczmarek nie był przewodniczącym

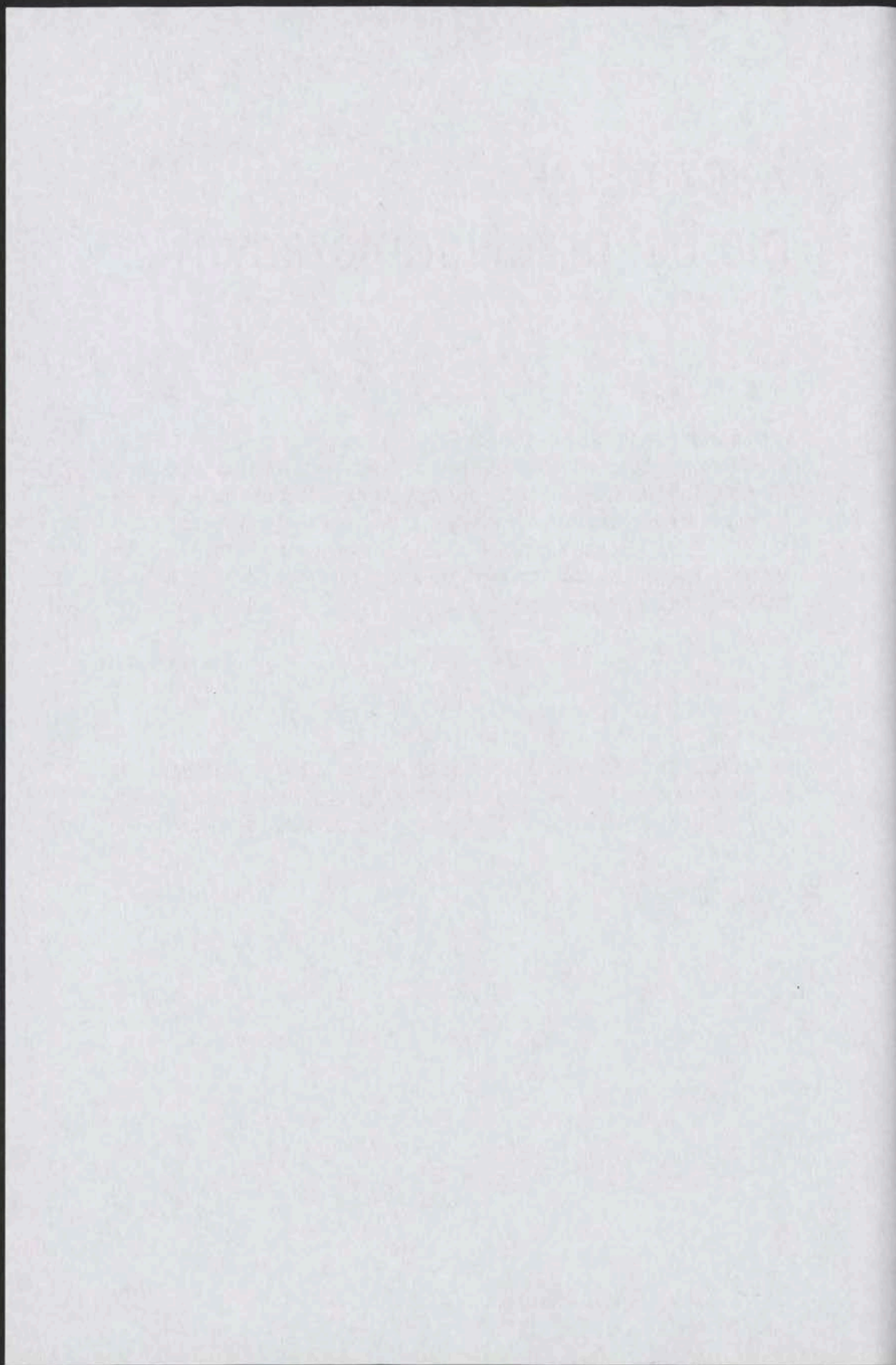
W publikacji p. Andrzeja Jankowskiego Dawny Park Kolejowy (KMŁ nr 4/60/2012) podano błędnie, iż popiersie Stanisława Moniuszki odsłonił w 1963 r. przewodniczący Prezydium Rady Narodowej m. Łodzi - Roman Kaczmarek. W latach 1956-1971 przewodniczącym Prezydium Rady Narodowej m. Łodzi był Edward Kaźmierczak.

Roman Kaczmarek w 1963 r. był już dyrektorem MBP im. L. Waryńskiego. Stał na czele WK SD w Łodzi, był później posłem na Sejm PRL. Może był wiceprzewodniczącym Rady Narodowej?

Czesław Żyliński

Od Redakcji: Oczywiście nasz Czytelnik, który nie raz w listach do wielu łódzkich redakcji wykazał się świetną pamięcią historyczną, ma rację. Pomnik Stanisława Moniuszki odsłaniał w 1963 r. Roman Kaczmarek jako wiceprzewodniczący Rady Narodowej m. Łodzi.

listy, polemiki, kontrowersje



Z łódzkiego raptularza

GRUDZIEN 2012

z łódzkiego raptularza

10 grudnia

- Łukasz Zbieranowski ze Studia Fajne Chłopaki zdobył Grand Prix w konkursie „Projekt Chanuka” na najlepszy projekt graficzny nawiązujący do żydowskiego święta światła. Konkurs organizował Teatr Żydowski w Warszawie.

11 grudnia

- Międzynarodowy Festiwal Komiksu z siedzibą w ŁDK od nowego roku przechodzi do Śródmiejskiego Forum Kultury – Domu Literatury. Zmienia nazwę na Łódzkie Centrum Komiksu i mieścić się będzie w lokalu przy ulicy Piotrkowskiej. Centrum prowadzić będzie kawiarnię, bibliotekę, galerię oraz m.in. kursy dla autorów scenariuszy komiksów.
- Trzydziestu siedmiu parom małżeńskim z Łodzi Prezydent Rzeczypospolitej przyznał medale z okazji Złotych Godów. Medale oraz okolicznościowe dyplomy wręczyli w Urzędzie Miasta prezydent Łodzi Hanna Zdanowska i wiceprezydent Radosław Stępień. Wśród odznaczonych znaleźli się m.in. Danuta i Marian Papisowie. Pan Marian to z zawodu dziennikarz, z zamiłowania społecznik, wieloletni radny, obecnie przewodniczy Miejskiej Radzie Seniorów.

13 grudnia

- Tradycyjnie 13 grudnia, w rocznicę wprowadzenia stanu wojennego, „Solidarność” Regionu Ziemia Łódzka zorganizowała okolicznościowe uroczystości. W kościele oo. jezuitów przy ul. Sienkiewicza odprawiono Mszę św. Homilię wygłosił ks. Andrzej Dąbrowski, który mówił o potrzebie powrotu do etosu „Solidarności”, zasady wzajemnej pomocy i solidarności między ludźmi. Uczestnicy uroczystości zgodnie z wieloletnią tradycją przeszli w pochodzie ulicą Sienkiewicza pod pomnik Ofiar Stanu Wojennego, przed którym delegacje władz miasta, województwa, stowarzyszeń i związków zawodowych złożyli kwiaty.
- W Muzeum Sztuki (ms²) w Łodzi otwarto wystawę *Korespondencje. Sztuka no-*

woczesna i uniwersalizm, na której wystawiono czterysta dzieł najważniejszych artystów ostatniego stulecia. Są wśród nich Pablo Picasso, Władysław Strzemiński, Katarzyna Kobro, Andy Warhol, Paul Klee, Piet Mondrian i wielu innych. Na ekspozycję złożyły się zbiory własne sztuki nowoczesnej XX i początków XXI wieku oraz podobna kolekcja zgromadzona przez szwajcarskiego przedsiębiorcę Hermanna Rupfa, którą opiekuje się Kunstmuseum w Bernie. Kuratorzy wystawy, Małgorzata Ludwisiak i Jarosław Lubiak, obiekty tych dwóch kolekcji ułożyli w dwanaście tematycznych działów odzwierciedlających charakterystyczne dla ostatnich stu lat doświadczenia sztuki progresywnej.

- Uniwersytet Łódzki zorganizował debatę na temat kształcenia studentów pod kątem ich przygotowania do pracy zawodowej z udziałem przedstawicieli samorządu i pracodawców.

14 grudnia

- Ukazała się kolejna pozycja z serii Spacerowników. Tym razem to *Rosyjskimi śladami po województwie łódzkim* pióra Joanny Podolskiej i Michała Jagiełły. Autorem zdjęć jest Tomasz Stańczyk.
- W Cerkwi Katedralnej św. Aleksandra Newskiego w Łodzi wystąpił Prawosławny Chór Katedry Łódzkiej prowadzony przez Aleksego Pilevicha.
- Kina sieci Helios obchodzą dwudziestolecie. Z tej okazji w kinach sieci w Łodzi, Bełchatowie i w Piotrkowie zaplanowano maratony filmowe, niespodzianki dla widzów i liczne atrakcje.
- Syndyk sprzedał czterdzieści pięć z dwustu dwudziestu trzech mieszkań-loftów w przędzalni Karola Scheiblera przy ul. Tymienieckiego 25. Na początku przyszłego roku odbędzie się kolejny przetarg.
- Na lotnisku uczczono stulecie Łódzkich Skrzydeł, czyli przelot pierwszego samolotu nad Łodzią. W kwietniu 1912 roku pionier polskich pilotów Michał Scipio del Campo, właściciel samolotu Bleriot XI, wystartował z terenów wyścigów konnych w Rudzie Pabianickiej, przeleciał wzdłuż Piotrkowskiej do Placu Wolności i zawrócił do Rudy.
- W Centralnym Muzeum Włókiennictwa Biuro Edukacji Publicznej IPN w Łodzi zaprezentowało wystawę *Kalendarium Łodzi 1939-1989. Od czterech kultur do monokultury*.

15 grudnia

- Leszek Jażdżewski, publicysta, politolog, redaktor naczelny „Liberté”, został zaatakowany i pobity przez narodowców z ONR, Młodzieży Wszechpolskiej i kiboli podczas marszu *Idzie Antykomuna* w Łodzi. Jażdżewski trzymał karton z napisem: „16 XII 1922: Zachęta – Pamiętamy”, przypominający o zabójstwie prezydenta Narutowicza. Był jedynym, który stanął naprzeciw szowinistycznie nastawionego tłumu.

16 grudnia

- Przewodniczący Rady Miejskiej Tomasz Kacprzak zaprosił parlamentarzystów, władze samorządowe i wojewódzkie, konsulów honorowych, rektorów łódzkich uczelni, przedstawicieli sądownictwa i prokuratury, służb mundurowych, wspólnot religijnych, aby złożyć życzenia przed świętami Bożego Narodzenia. Przewodniczący RM przyjął przyniesione przez harcerzy Betlejemskie Światło Pokoju i życzył wszystkim łódzianom, aby dobre myśli i słowa wypowiedziane w czasie świątecznym pomogły we wzajemnym zrozumieniu, decyzjach i planach. Życzenia złożył także obecny na uroczystości abp Marek Jędraszewski, metropolita łódzki.
- W Łódzkim Domu Kultury odbył się Świąteczny Kiermasz Sztuki Ludowej i rękodzieła oraz Warsztaty Tradycyjnego Zdobnictwa, podczas których pod okiem twórców ludowych można samodzielnie przygotować oryginalne ozdoby na choinkę.

18 grudnia

- Straż Miejska w Łodzi otrzymała sześć nowych samochodów, które służyć będą do akcji ratunkowych. Pięć pojazdów nazwano imionami urzędników, którzy przyczynili się do ich zakupu. Noszą więc imiona: Hania, Wiesław, Tomek, Andrzej W. i Krzysz.

20 grudnia

- Agnieszka Nowak, wiceprezydent Łodzi, i Arkadiusz Bogusławski, pełnomocnik d/s rewitalizacji Księżego Młyna, wizytowali remontowane budynki nr 4 i 6 na Księżym Młynie. Remonty powinny być ukończone jesienią przyszłego roku. Część lokatorów wyraziła chęć powrotu do remontowanych mieszkań, część chce wyprowadzić się na stałe.
- Polskie Radio Łódź po raz osiemnasty zaprosiło na wigilię do Centrum Konferencyjno-Wystawienniczego pięćset osób – podopiecznych MOPS, Caritas i PCK. W przygotowaniach pomagały dziesiątki wolontariuszy.

- W Pałacu Poznańskim odbyło się wojewódzkie spotkanie opłatkowe. Gospodarzami uroczystości byli: wojewoda Jolanta Chełmińska, marszałek Witold Stępień i prezydent Hanna Zdanowska. Obecni byli duchowni różnych kościołów chrześcijańskich oraz przewodniczący Gminy Wyznaniowej Żydowskiej, parlamentarzyści, przedstawiciele łódzkiej palestry i konsulatów honorowych, reprezentanci powiatów, gmin i miast, rektorzy wyższych uczelni, szefowie łódzkich służb mundurowych, urzędów i instytucji państwowych, przedstawiciele świata kultury, mediów oraz kombataneci. Harcerze Łódzkiej Chorągwi ZHP im. Aleksandra Kamińskiego przekazali gospodarzom Betlejemskie Światło Pokoju. „Takie spotkanie świąteczne, to nie tylko okazja do złożenia sobie życzeń, ale także czas, żeby zrobić rachunek tego, co się udało zrobić, czego nie zrobiliśmy i z jakich powodów. Warto też spróbować, chociaż na chwilę, podjąć zobowiązania: będę lepszy, bardziej radosny, przyjazny” – powiedziała wojewoda Jolanta Chełmińska.
- W trzydziestą rocznicę śmierci Artura Rubinsteina w Filharmonii wystąpiła pianistka Julianna Awdiejewa, laureatka XVI Konkursu Chopinowskiego. Orkiestra pod batutą Osvaldo Ferreiry z Portugalii wykonała m.in. *V symfonię* Sergiusza Prokofiewa.

21 grudnia

- XXIII Liceum Ogólnokształcące im. ks. J. Tischnera jako jedyna szkoła w Polsce otrzymało tytuł Szkoły Globalnej. Tytuł przyznaje Ministerstwo Edukacji wspólnie z Ministerstwem Spraw Zagranicznych za poznawanie zasad działania Unii Europejskiej, propagowania zasad ochrony środowiska, organizację pomocy dla różnych grup etnicznych i krajów.

24 grudnia

- Przed archikatedrą ustawiono tradycyjną szopkę z żywymi zwierzętami przygotowywaną przez Kurię Archidiecezji Łódzkiej, Urząd Miasta i sponsorów. Szopkę zaprojektowały studentki Paulina Grochowska i Nina Karbownik. Przed szopką fundacja Służby Rodzinie „Nadzieja” przeprowadziła zbiórkę charytatywną na Dom Samotnej Matki im. Stanisławy Leszczyńskiej.

24 grudnia

- Prezydent Łodzi Hanna Zdanowska otrzymała tytuł Profesjonalista Roku w kampanii tygodnika „Wprost”. Laureatka wystąpiła w programie TVP 2 *Pytanie na śniadanie*. Dyskutowano o remoncie ulicy Piotrkowskiej, projekcie Mia100 Kamienic i pozyskiwaniu funduszy na te projekty. Prezydent Łodzi opowiadała o zwiększającej się liczbie miejsc pracy i przyciąganiu absolwentów uczelni do pozostania w Łodzi na stałe.

- Łodzianka Władysława Łucka skończyła sto lat. Jubilatkę odwiedził wiceprezydent Łodzi Krzysztof Piątkowski, który złożył życzenia oraz przekazał kwiaty i upominek.

27 grudnia

- Radni Rady Miejskiej Łodzi uchwalili budżet na rok 2013. Będą to trudne decyzje, wydatki zaplanowano na 4 mld złotych, a dochody wyniosą 3,5 mld zł, czyli budżet balansuje na krawędzi bezpieczeństwa. Największe inwestycje to budowa Trasy Górnej, Dworca Fabrycznego, rewitalizacja EC1 i program Mia100 Kamienic. Prezydent Hanna Zdanowska uważa, że jest to najlepszy moment, aby inwestować w Łodzi.

29 grudnia

- Prezydent Hanna Zdanowska powołała nowy skład Rady d/s Bezpańskich Zwierząt. W jej skład weszli przedstawiciele magistratu, straży miejskiej, organizacji pozarządowych oraz leśniczy.
- I Liceum Ogólnokształcące im. M. Kopernika w Łodzi otrzymało nowe boisko sportowe. Projekt wykonali architekci, którzy przed laty ukończyli tę szkołę. Dzięki temu miasto zaoszczędziło kilkanaście tysięcy złotych.

31 grudnia

- Nowy Rok łodzianie witali na prywatkach, w klubach, teatrach oraz na Placu Dąbrowskiego i w Manufakturze. Noc Sylwestrową można było też spędzić w teatrach i kinach, które oferowały specjalne seanse filmowe. Elegancki bal odbył się tradycyjnie w Pałacu Poznańskiego, a w Domu Towarzystwa Kredytowego można było posłuchać koncertów pt.: *Gdzie mieszka miłość*.

ODESZLI:

10 grudnia

- Mirosław B. Banasiak – doc. dr inż. mechanik, prorektor Politechniki Łódzkiej w latach 1972-75, wieloletni dyrektor Instytutu Mechaniki Stosowanej PŁ oraz dziekan i prodziekan Wydziału Mechanicznego PŁ.

22 grudnia

- Teresa Pajszczyk-Kleszkiewicz – emerytowany prof. zw. dr hab. med., jedna z najwybitniejszych łódzkich lekarek i naukowców, członek PAN, wieloletni Kierownik Kliniki Patologii Cięży Uniwersytetu Medycznego. Uczona współpracowała z klinikami we Francji i w Niemczech. Odebrała tysiące porodów. Znakomity pedagog i wyjątkowo ciepły, serdeczny człowiek.

26 grudnia

- Krystyna Albrecht-Kalicka – długoletnia redaktorka Studia Opracowań Filmów, autorka dialogów wielu dzieł filmowych i telewizyjnych.

27 grudnia

- Wanda Zeman – utalentowana montażystka filmowa, trzykrotna laureatka nagród za najlepszy montaż na Festiwalu Polskich Filmów Fabularnych Gdynia oraz Polskich Nagród Filmowych Orły.

30 grudnia

- Jerzy Palka – długoletni dziennikarz zajmujący się problematyką ekonomiczną. Pracował w „Głosie Robotniczym”, „Expressie Ilustrowanym”, „Głosie Porannym”. W latach 1979-81 był prezesem łódzkiego Oddziału Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich, starając się w tym burzliwym okresie bronić autonomii tej organizacji. W stanie wojennym zweryfikowany warunkowo, z ograniczoną możliwością publikowania.

STYCZEŃ 2013**1 stycznia**

- W Nowy Rok w szpitalu Rydygiera w Łodzi przyszło na świat pięcioro dzieci: trzech chłopców i dwie dziewczynki. Mamy i maleństwa odwiedziła z okolicznościami podarkami prezydent miasta Hanna Zdanowska.

6 stycznia

- Mimo niesprzyjającej j pogody łodzianie licznie stawili się na pochód i festyn z okazji święta Trzech Króli. Obchody rozpoczęto Mszą św. w kościele pod wezwaniem Ducha Św. przy placu Wolności, celebrowaną przez abp. Marka Jędraszewskiego. Następnie pochód przemaszerał pod archikatedrę, gdzie wysłuchano koncertu kolęd. Na trasie pochodu odgrywano scenki biblijne. Trzej królowe, w których postaci ponownie wcieliłi się rektorzy łódzkich uczelni, przyjechali z darami pod katedrę dorożką i złożyli mirę, kadzidło i złoto na ręce metropolity.
- W południe przed pomnikiem Juliana Tuwima oficjalnie zainaugurowano Rok Tuwimowski. Aktor Gracjan Kiejar odczytał wiersz Tuwima *Prośba*. O związkach poety z Łodzią opowiadał Ryszard Bonisławski, świetny znawca Łodzi i senator PO. Informacjami na temat przygotowywanych w ciągu roku imprez podzielili

się przedstawiciele władz miasta i dyrektorzy placówek kulturalnych, w tym Zdzisław Jaskuła z Teatru Nowego oraz Andrzej Strąk z Śródmiejskiego Forum Kultury, które ma koordynować obchody. Obecni byli parlamentarzyści, z wicemarszałkiem Sejmu Cezarym Grabarczykiem na czele.

- 31 stycznia w kinie Charlie kolektyw artystyczny BIEDA odsłonił płaskorzeźbę *Dupa Tuwima*, nawiązując do wiersza poety, w którym prosi, aby całowano go w d... Jeszcze nie zdecydowano, gdzie rzeźba znajdzie swoje stałe miejsce. Akcja nie jest częścią oficjalnych obchodów.

7 stycznia

- Brytyjski tabloid „The Sun” zamieścił tendencyjny reportaż z Łodzi, w którym pokazał wyludnione, upadające miasto z pijakami na ulicach i opustoszałymi ulicami. Prezydent Hanna Zdanowska, oburzona takim wizerunkiem miasta w angielskim dzienniku, postanowiła interweniować na drodze dyplomatycznej i prawnej.

8 stycznia

- Śródmiejskie Forum Kultury zgodnie z decyzją Rady Miejskiej zmieniło nazwę na Dom Literatury. Placówka będzie koordynować działania związane z promowaniem literatury, czytelnictwa, twórców oraz skupi wokół siebie wydawnictwa.

9 stycznia

- Kinematograf uczcił 75. urodziny kompozytora Zygmunta Koniecznego, autora muzyki filmowej, spotkaniem z kompozytorem, projekcją filmu *Pornografia* oraz recitalemy inspirowanym muzyką kompozytora.

11 stycznia

- W Atlasie Sztuki otwarto wystawę Karoliny Breguły pt. *Centrum wszystkiego*. Artystka pokazała instalację-dokumentację konferencji *Formy przestrzenne wobec katastrofy* oraz film *Fire Followers*. Karolina Breguła jest absolwentką łódzkiej filmówki. Obecnie przygotowuje pracę doktorską.
- W muzeum ms² otwarto festiwal Ćwiczenia z (re)produkcji. Performance z udziałem międzynarodowych grup artystycznych odbyły się w salach muzeum oraz w galeriach Manufaktury. Festiwalowi towarzyszą projekcje filmowe.

12 stycznia

- Teatr Powszechny wystawił sztukę Olivera Ottona „Scena na wypadek deszczu” („Wet Weather Cover”) w reżyserii Waldemara Raźniaka. Scenografia Martina

Kander, muzyka Karol Nepalski, przekład Elżbieta Woźniak. Przedstawienie jest popisem świetnego tria aktorów: Jacka Łuczaka, Marka Ślosarskiego i Jana Wojciecha Poradowskiego.

14 stycznia

- Rektor Politechniki Łódzkiej prof. dr Stanisław Bielecki podpisał umowę z Ministerstwem Sportu gwarantującą rządową dotację na budowę Akademickiego Centrum Sportowego. Centrum będzie służyć wszystkim łodzianom, nie tylko studentom. Zaprojektowało je konsorcjum ze Szczecina.

16 stycznia

- W Akademii Muzycznej w Łodzi powstała Studencka Orkiestra Barokowa pod kierownictwem Jakuba Kościukiewicza. Podczas debiutanckiego koncertu orkiestra wykonała *Muzykę na wodzie* J. F. Heandla oraz *Sinfonię D-dur* Antonia Vivaldiego.
- Kolejne bezimienne łódzkie ulice zyskują nazwy. Radni z Komisji Kultury przygotowali projekt uchwały, w którym proponują następujące nazwy ulic: Kiwi przy ulicy Rogowskiej, Wichrowe Wzgórza i Słoneczne Zacisze na północny wschód od ulicy Rataja, Żonkilową również w okolicy Rataja, Generalską i Marszałkowską przy ulicy Podchorążych, Kasprowy Wierch przy ulicy Pomorskiej. O nadanie nazw występują mieszkańcy, właściciele pobliskich nieruchomości i deweloperzy.

17 stycznia

- Trzy i pół tysiąca maskotek zebrano podczas akcji charytatywnej organizowanej przez IKEĘ, MPK, Bank Nordea, Constantina Teich i siatkarzy PGE SKRY Bełchatów. Zabawki rozwiezione przez karetki Pogotowia Ratunkowego otrzymały dzieci poszkodowane w wypadkach.
- Koncern BSH ufundował studentom dziennikarstwa Uniwersytetu Łódzkiego studio nagrań. Firma zatrudnia w Centrum Usług Wspólnych coraz więcej osób; którzy powinni wykazać się dobrą znajomością języków obcych. Studio nagrań pomoże studentom w opanowaniu tej sztuki.
- Minister zdrowia Bartosz Arłukowicz otworzył nową bazę Lotniczego Pogotowia Ratunkowego w Łodzi. Baza z hangarem zajmuje 700 m², kosztowała 5,6 mln zł. 85 proc. kosztów pochodzi ze środków UE.

18 stycznia

- W Teatrze Jaracza odbyła się premiera *Braci Karamazow* wg powieści Fiodora

Dostojewskiego i w reżyserii Jacka Orłowskiego. W spektaklu zagrali: Bronisław Wrocławski, Przemysław Kozłowski, Hubert Jarczak, Marek Nędza i Radosław Osypiuk. Scenografię przygotował Marek Braun.

- W Domu Literatury gościł Jan Jakub Kolski, reżyser i scenarzysta. Promował swoją książkę *Egzamin z oddychania*. Powieść powstała równoległe z filmem *Zabić bobra*, który mimo nagród nie doczekał się nigdy regularnej dystrybucji.
- Kinematograf pokazał filmową wersję filmu dokumentalnego *Moja ulica*. Twórca filmu Maciej Latało od 2008 roku portretował codzienne życie robotniczej rodziny Furmańczyków, od pokoleń związanych z fabryką Poznańskiego.
- W siedzibie Akademii Muzycznej przy ulicy Gdańskiej 34 uroczyste oddano do użytku odremontowaną salę balową w stylu neorokokowym. Salę remontowano pod ścisłym nadzorem konserwatora zabytków, połowę wydatków pokryto z Europejskiego Funduszu Rozwoju Regionalnego. Uroczystości towarzyszył koncert w wykonaniu Morphing Chamber Orchestra z Wiednia oraz solistów związanych z uczelnią.

19 stycznia

- Natalia Lech Lachowicz została tegoroczną laureatką nagrody im. Katarzyny Kobro przyznawaną obecnie przez Muzeum Sztuki. Laureatka, znana jako Natalia LL, studiowała w latach 1957-63 we Wrocławiu. Uprawia sztukę w kręgu różnych nurtów awangardowych, od lat uczestniczy także w międzynarodowym ruchu sztuki feministycznej. Jej prace znajdują się w czołowych galeriach świata.
- Po dwuletnim remoncie oddano do użytku Teatr Studyjny przy ulicy Kopernika. Należy do PWSFTviT. Studenci mają obecnie do dyspozycji dwie duże sale prób oraz scenę. Konieczny jest jeszcze remont klatek schodowych, garderób, zaplecza oraz frontowej części budynku. W lutym teatr pokaże przedstawienie dyplomowe, a w kwietniu Festiwal Szkół Teatralnych.
- 20-osobowa grupa uczniów z I LO im. Mikołaja Kopernika pojechała do Strasburga w nagrodę za zajęcie IV miejsca w konkursie wiedzy o Unii Europejskiej organizowanym pod patronatem Parlamentu Europejskiego. Wspólnie z kolegami z pozostałych państw członkowskich łódzcy uczniowie brali udział w obradach Młodzieżowego Parlamentu Europejskiego.

21 stycznia

- Styczeń z Lutosławskim to cykl 11 imprez przygotowanych przez Filharmonię

Łódzką z okazji 110-rocznicy urodzin kompozytora. Cykl zainaugurowało spotkanie z Grzegorzem Michalskim, prezesem Towarzystwa im. Lutosławskiego. 22 stycznia wystąpił String Quartet, 24 stycznia El-Derwida z udziałem Agaty Zubel, Cezarego Duchnowskiego i Andrzeja Bauera. 25 stycznia koncert wiolonczelowy z orkiestrą zagrał Tomasz Daroch, a 26 stycznia wystąpił skrzypek Krzysztof Jakowicz. Na wszystkie imprezy Filharmonia Łódzka otrzymała dofinansowanie z Ministerstwa Kultury. Otrzymała także dotację na album z utworami Lutosławskiego na głos i orkiestrę. Sesja nagraniowa odbędzie się jesienią.

22 stycznia

- W siedzibie Organizacji Narodów Zjednoczonych otwarto wystawę *Jan Karski – człowiek wolności*. Autorką scenariusza jest Joanna Podolska, dyrektorka Centrum Dialogu im. M. Edelmana. Głównym organizatorem jest Muzeum Historii Polski, Narodowe Archiwum Cyfrowe i Muzeum Miasta Łodzi. Niewielka ekspozycja składa się z dwudziestu dwóch anglojęzycznych plansz opisujących życie Jana Karskiego i jego działalność. Wystawa wpisuje się w obchody Dnia Pamięci o ofiarach Holokaustu, który przypada 27 stycznia. Mecenat objęło Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

- W Kinie Bałtyk odbyła się premiera filmu Wojciecha Smarzowskiego *Drogówka* z udziałem aktorów: Julii Kijowskiej, Bartłomieja Topy, Arkadiusza Jakubika i Eryka Lubosa.

24 stycznia

- W Ośrodku Propagandy Sztuki w Parku im. Sienkiewicza Miejska Galeria Sztuki otworzyła dużą wystawę krakowskiego artysty Jacka Waltośa. Na ekspozycję złożyło się malarstwo, rzeźba i grafika z lat 1960-2012. Waltoś, niegdyś jeden z filarów grupy artystycznej „Wprost”, profesor krakowskiej ASP, jest reprezentantem swoistej odmiany neoekspresjonizmu. Jest także krytykiem sztuki i autorem tekstów filozoficznych.

25 stycznia

- Spektakl *Hotel Savoy* w reżyserii Michała Zadary, oparty na powieści austriackiego pisarza Jozefa Rotha, został uznany przez czytelników „Gazety Wyborczej” i widzów telewizji Toya za największe wydarzenie kulturalne 2012 roku. Przedstawienie przygotowano staraniem Teatru Nowego oraz Centrum Dialogu im. Marka Edelmana. Nagrodę – kołyskę Newtona z jedną złotą kulką odebrali wspólnie: Joanna Podolska, dyrektorka Centrum, i Zdzisław Jaskuła, dyrektor Teatru Nowego. Natomiast człowiekiem szczególnie zasłużonym dla łódzkiej kultury został Mariusz Grzegorzek, reżyser teatralny i filmowy, obecny rektor Filmówki.

- Mariusz Grzegorzek, rektor Szkoły Filmowej, i Jongwon Park, prezydent Korea National University of Art, podpisali umowę o współpracy. Porozumienie obejmuje wymianę wykładowców, studentów oraz wspólne przedsięwzięcia artystyczne.
- „Drugie życie” to nazwa kampanii społecznej uświadamiającej znaczenie transplantacji i zachęcającej dorosłych do oddawania narządów. Do dorosłych postanowiono trafić poprzez młodzież. Pierwsze zajęcia odbyły się w III Liceum Ogólnokształcącym. Z uczniami spotkał się prof. Michał Nowicki, ekspert medyczny kampanii. Półroczną kampanię organizują Fresenius Medical Care Polska pod patronatem wojewody, marszałka, kuratorium, rektora Uniwersytetu Medycznego i arcybiskupa łódzkiego Marka Jędraszewskiego.
- Podczas remontu kościoła ewangelicko-augsburskiego św. Mateusza w Łodzi znaleziono tubę zawierającą list napisany przez Komitet Pomocy Budowy Ewangelickich Mistrzów Fabrykanckich i Fabrykantów Miasta Łodzi z datą 23 czerwca 1923 roku. Autorzy listu opisują w języku niemieckim prace związane z budową świątyni i sytuację społeczno-gospodarczą w kraju i w Łodzi. W tubie znalazły się również banknoty i łódzkie gazety z tamtego okresu.

30 stycznia

- W Bibliotece Uniwersyteckiej otwarto wystawę *Powódź w dolinie łez. Powstanie styczniowe w literaturze i sztuce*. Pokazano m.in. powieści i opowiadania, fotografie, biżuterię z okresu żałoby narodowej oraz reprodukcje obrazów Artura Grotgera.

PERSONALIA

- Radna Elżbieta Bartczak została wybrana wiceprzewodniczącą Komisji Edukacji Rady Miejskiej. Wybory w Komisji Edukacji okazały się konieczne po tym, jak na znak protestu 27 grudnia 2012 roku siedmiu radnych wypisało się z jej składu, uznając, iż są zbyt późno informowani o działaniach władz miasta dotyczących edukacji i placówek oświatowych. Radna E. Bartczak jest niezrzeszona, oprócz niej w komisji jest jedynie troje radnych PO.

ODESZLI:

6 stycznia

- Ewa Niesiołowska-Śreniowska – archeolog, długoletni kustosz Muzeum Archeologicznego i Etnograficznego w Łodzi, współzałożycielka i członek Zarządu Fundacji Badań Archeologicznych im. Prof. K. Jażdżewskiego, nauczycielka akademicka. Siostra pośła na Sejm RP prof. Stefana Niesiołowskiego.

11 stycznia

- Barbara Śreniowska-Szafran – socjolog z wykształcenia, pedagog z zamiłowania, autorka książek dla dzieci, dzielny, serdeczny człowiek pomagający wszystkim potrzebującym. Działaczka opozycji demokratycznej, zaangażowana m.in. w wydawanie podziemnych wydawnictw, internowana w stanie wojennym, odznaczona Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski i Medalem Solidarności. Siostra Józefa Śreniowskiego, wybitnego działacza opozycji demokratycznej w czasach PRL.

27 stycznia

- Aleksander Bednarz – wybitny aktor, reżyser, profesor na Wydziale Aktorskim PWSFTViT w Łodzi, związany z Teatrem Jaracza od 1989 roku. Miał na swoim koncie kilkadziesiąt ról filmowych i teatralnych. W pamięci masowej publiczności zapisał się rolą majora Biena w *Psach* i *Psach 2* Władysława Pasikowskiego. Grał także w *Historii kina w Popielawach*, *Ucieczce z kina Wolność*, *Różyczce*, a w ostatnich latach w sztukach teatralnych *Gorące lato w Oklahomie* i *Dybuk*. Laureat wielu nagród artystycznych, szanowany przez kolegów, uwielbiany przez młodzież.

LUTY 2013

1 lutego

- Łódzkie Hospicjum dla dzieci kupiło od miasta działkę przy ulicy Łupkowej o powierzchni przeszło 8 tys. m² z 99 procentową bonifikatą. W Urzędzie Miasta podpisano już akt notarialny. W ciągu czterech lat powstanie tam placówka dla chorych dzieci. Inwestycja będzie finansowana z funduszy hospicjum i darowizn.
- Gimnazjum nr 16 odwiedził ambasador Turcji Yusuf Ziya Özcan. Szkoła zorganizowała Dzień Turcji dzięki pomocy tureckiego nauczyciela Emraha Domneza, który pracował w gimnazjum w ramach projektu Comenius. Uczniowie przygotowali materiały i sceny poszerzające wiedzę o Turcji.
- Kabaret Bi-Ba-Bo przygotował program *Miłość ci wszystko wybaczy*, na który składają się piosenki pióra Juliana Tuwima. Premierowe przedstawienie odbyło się w Domu Literatury.

2 lutego

- W Archikatedrze Prawosławnej św. Aleksandra Newskiego wystąpił Chór Katedralnej Parafii Prawosławnej z koncertem pieśni liturgicznych i kolęd. Koncert połączono z promocją *Spacerownika rosyjskimi śladami po województwie łódzkim*. Obecni na koncercie autorzy książki: Joanna Podolska, Michał Jagiełło i Tomasz Stańczak zostali udekorowani Orderami św. Marii Magdaleny za zasługi w propagowaniu historii prawosławia na ziemiach polskich. Nabożeństwo w cerkwi celebrował arcybiskup Łodzi i Poznania Szymon Romańczuk.
- Teatr Mały wystawił komedię Michała Rosińskiego *Zwariować można* w reżyserii Mariusza Pilawskiego. Reżyser przeniósł akcję do Łodzi. W przedstawieniu grają: Loretta Cichowicz, Małgorzata Lipka, Teresa Makarska, Witold Łuczyński, Piotr Gawro-Jedlikowski i reżyser spektaklu.

3 lutego

- Na zaproszenie europosła Jacka Saryusza-Wolskiego przyjechała do Łodzi delegacja z Azerbejdżanu, w skład której wchodziłi ministrowie, rektorzy wyższych uczelni i parlamentarzyści. Goście zwiedzili Łódzką Specjalną Strefę Ekonomiczną i Instytut Europejski. Podpisali też porozumienie o współpracy z Konstanytownem i Uniwersytetem Łódzkim w sprawie kształcenia kadr dla dyplomacji Azerbejdżanu.

5 lutego

- Akademia Sztuk Pięknych odebrała od wykonawcy nowe gmachy: Centrum Promocji Mody i Centrum Nauki i Sztuki. Oficjalne otwarcie nastąpi w czerwcu br. w połączeniu z wielkim pokazem mody.
- Aleksander Azarkevitch, tancerz i choreograf, z którego inicjatywy organizowany jest w Łodzi Międzynarodowy Konkurs Sztuki Choreograficznej im. Sergiusza Diagilewa, został odznaczony brązowym medalem Zasłużony Kulturze Polskiej – Gloria Artis.

7 lutego

- Konkursy na dotację ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego wygrały m.in. III Rubinstein Piano Festiwal, Letnia Akademia Jazzu, Centrum Dialogu im. Marka Edelmana na koncerty Kwartetu Czterech Kultur w Rosji, Niemczech i w Izraelu. Stowarzyszenie Łódź Filmowa dostanie środki na organizację 18 Forum Kina Europejskiego Cinegria i 4 Semafor Film Festival. Dotacja dla „Tygla Kultury” ocali ważne dla kultury czasopismo od upadku.

- W ramach łódzkiej premiery literackiej w Domu Literatury spotkał się z czytelnikami Dariusz Fox, autor książki *Kebab Meister*. Książka jest oparta na autentycznych wydarzeniach małżeństwa Szan.
- Galeria Atlas Sztuki w Łodzi w rankingu tygodnika „Polityka” została uznana za najlepszą prywatną galerię w Polsce. W uzasadnieniu podano, iż jest to galeria świetnie zorganizowana, dbająca o artystów i szanująca widzów, otwarta na różną estetykę i kierunki w sztuce, o czym świadczą wystawy m.in. Stanisława Fijałkowskiego, Krzysztofa Wodiczko, Stefana Krygiera, grupy Twożywo). Galeria zaskakuje też oryginalnymi projektami (*Opera dworcowa*, *Zdobywcy słońca*, *Brzuch Atlasa*), czerpie z wielkiego świata (Joseph Beuys, kolekcja dra Ericha Marxa). Jest to prywatne przedsięwzięcie, które potrafi zainwestować w artystyczny projekt bez przeliczania wszystkiego na ewentualny zysk.

8 lutego

- Po raz dziewiąty tegoroczni maturzyści wspólnie z przedstawicielami władz miasta i województwa tańczyli na Piotrkowskiej poloneza. Pomysłodawczynią wspólnego tańca była przed laty redaktorka naczelna łódzkiego dodatku „Gazety Wyborczej” Barbara Piegdoń-Adamczyk. Wspólny taniec organizuje z redakcją gazety Urząd Miasta Łodzi i Społeczna Akademia Nauk. Po skończonym tańcu maturzyści pozwolili do wspólnego zdjęcia.
- Z okazji dziewięćdziesiątych urodzin Leszka Wronko, zasłużonego operatora dźwięku w Muzeum Kinematografii, zorganizowano spotkanie z jubilatem. Autor zdjęć do wielu filmów debiutował na planie filmu *Skarb*. Jubilat przez czterdzieści lat był związany z Wytwórnią Filmów Fabularnych. Pracował przy blisko osiemdziesięciu filmach, spotykał się na planie z czołówką polskich reżyserów i aktorów.
- W ramach Akademii Literatury Polskiej w Klubie Nauczyciela z czytelnikami spotkał się Zbigniew Kruszyński, laureat wielu nagród, trzykrotnie nominowany do Nagrody Literackiej Nike. Autor promował swoją najnowszą książkę *Ostatni raport*.

11 lutego

- Piętnaście lat temu powstała Fundacja Gajusz opiekująca się nieuleczalnie chorymi na nowotwory dziećmi. Obecnie kończy urządzenie pierwszego w regionie hospicjum dla dzieci. Założycielką i prezeską fundacji jest Tisa Zawrocka.

12 lutego

- Oddział Ochrony Zabytków Urzędu Miasta Łodzi porządkuje estetykę reklam przy

ulicy Piotrkowskiej. Pracownicy spotykają się z właścicielami sklepów, pokazują wadliwe reklamy, instruują o prawach i obowiązkach właścicieli.

14 lutego

- Łodzianie włączyli się w międzynarodowy projekt „One Billion Rising”. Na Placu Wolności tańczono i śpiewano w ramach protestu przeciwko przemocy wobec kobiet. Fundacja Nowoczesnej Edukacji SPUNK zbierała także podpisy pod petycją do ministra zdrowia. W liście młodzież domagała się m.in. poradni edukacji seksualnej.

15 lutego

- W nocy z piątku na sobotę został brutalnie zamordowany na ulicy Piotrkowskiej 20-letni Mateusz, uczeń maturalnej klasy w VIII Liceum Ogólnokształcącym. Jedenaście ciosów nożem zadał mu rówieśnik, kiedy Mateusz stanął w obronie swojej koleżanki. Nie miał żadnych szans na przeżycie. Nożownik został aresztowany. Morderstwo poruszyło mieszkańców Łodzi.
- W galerii Re: Medium prowadzoną przez Miejską Galerię Sztuki wystawiono prace Joanny Wiszniewskiej-Domańskiej pt. *Marzyciele, konstruktorzy*. Artystka jest absolwentką łódzkiej PWSSP, uczennicą m.in. prof. Stanisława Fijałkowskiego. Tworzy rysunki, grafikę, książki artystyczne. Jest profesorem w Wyższej Szkole Sztuki i Projektowania.
- W kinie Charlie zorganizowano uroczystą premierę dokumentalnego filmu *Moja ulica* z udziałem reżysera Marcina Latały. Reżyser realizował film przez pięć lat. Obraz opowiada o losach robotniczej rodziny mieszkającej w famułach przy ulicy Ogrodowej naprzeciwko Manufaktury.

16 lutego

- W Teatrze Studyjnym studenci Wydziału Aktorskiego łódzkiej filmówki wystąpili w przedstawieniu dyplomowym *Złesny* w reżyserii i scenografii Agaty Duda-Gracz. Spektakl stanowi kolaż, daje możliwość pokazania jak najwięcej konwencji teatralnych.

18 lutego

- W pubie Biblioteka zorganizowano wieczór pt. *Allen Ginsberg w Łodzi – 20 lat później*. W programie znalazły się filmy związane z wizytą poety w Łodzi w 1993 roku oraz promocja książki *Listy* z udziałem tłumacza Krzysztofa Majera i znawcy twórczości Ginsberga Andrzeja Pietrasza.

- W plebiscycie Łódzkiego Sukcesu 2012 (po raz pierwszy plebiscyt uwzględnił region) zwyciężyła oddana do użytku autostrada A2 z Łodzi do stolicy. Za ojca tego sukcesu kapituła złożona z przedstawicieli telewizji Toya, Radia ESKA, „Gazety Wyborczej” i restauratora Grzegorza Zielińskiego uznała Cezarego Grabarczyka, ówczesnego ministra infrastruktury.

19 lutego

- W Centralnym Muzeum Włókiennictwa otwarto wystawę *Pokolenia – Pracownia Dywanu i Gobelinu. Starczewski – Kowalski – Rudzka-Habisiak*. Wystawa będzie towarzyszyć 14 Triennale Tkaniny Łódź 2013.

21 lutego

- Dom Literatury w Łodzi zaprosił czytelników na promocję „Arterii” 13 i 14 oraz na spotkanie z Justyną Fruzińską (*Jest czarna*), Tomaszem Jamrozińskim (*Mężczyźni są z Warsa*) i Grzegorzem Jędrkiem (*Badland*).
- Muzeum Kinematografii przygotowało cykl imprez pod hasłem „Made in Brasil”. Imprezy zainaugurowały wystawy fotograficzne Macieja Różalskiego, antropologa i reportera, oraz Mônica Azevedo Bello, brazylijskiej artystki. Przygotowano także pokazy filmów.
- Dom Literatury w Łodzi nie otrzymał dofinansowania z Ministerstwa Kultury na imprezy związane z Rokiem Tuwima. Dotacje otrzymały: Dolnośląska Biblioteka Publiczna im. T. Mikulskiego we Wrocławiu i Biblioteka Miejska im. J. Kasprowicza w Inowrocławiu. Łódź może jeszcze stawać do konkursu Instytutu Książki. W konkursie będą rywalizowały ze sobą wyłącznie projekty związane z Rokiem Tuwima.

22 lutego

- Po publikacjach w lokalnych i ogólnopolskich mediach na temat trudności z oddaniem do użytku budowanego przez trzydzieści osiem lat Centrum Kliniczno-Dydaktycznego w Łodzi zabrali głos przedstawiciele Ministerstwa Zdrowia oraz premier Donald Tusk. Szpital będzie działał, jeśli otrzyma dofinansowanie niezbędne do zakupu brakującej aparatury.
- W dwudziestą piątą rocznicę śmierci Franciszki i Stefana Themersonów w ms² otwarto wystawę ich prac. Widzowie mogą oglądać ocalałe filmy, kolaże, fotografie, rysunki i maski z papieru. Część zbiorów pochodzi z kolekcji Muzeum Sztuki, pozostałe sprowadzono z muzeów europejskich, amerykańskich i z Izraela. Wystawie towarzyszy publikacja pierwszego w historii Muzeum komiksu

Ubu Franciszki Themerson. Oprócz prac Themersonów wystawa pokazuje twórczość innych awangardowych artystów z lat 30.

24 lutego

- Poruszeni tragedią na ulicy Piotrkowskiej – śmiercią zadaną 20-letniemu Mateuszowi, który stanął w obronie koleżanki, rówieśnicy maturzysty zorganizowali marsz przeciwko przemocy. Wzięli w nim udział mieszkańcy miasta w różnym wieku. Wszyscy oczekują debaty nad poprawą bezpieczeństwa na ulicach Łodzi.

25 lutego

- W Sądzie Okręgowym w Łodzi przedstawiciele władz miasta oraz Mostostalu i Budusa podpisali ugodę, w ramach której rozwiązano umowę na budowę stajonu miejskiego.
- W Urzędzie Miasta zorganizowano sesję naukową poświęconą sto pięćdziesiątej rocznicy bitwy pod Dobrą. Wykłady o Powstaniu Styczniowym w regionie łódzkim wygłosili profesorowie Maria Nartonowicz-Kot, Wiesław Caban, Jarosław Kita i mgr Karol Jadczyk. Pamiątki powstańców i pieśni patriotyczne przedstawił Lech Dyblik. Wśród gości honorowych znaleźli się m.in. potomkowie powstańców: Andrzej Rosicki, Ryszard Rajski, Jerzy i Beata Michalscy, Helena Szczakowska i Henryk Czyż.

26 lutego

- W Dyskusyjnym Klubie Filmowym w PWSFTViT dyskutował ze studentami Jacek Bławut, reżyser, operator, autor przedstawionego studentom filmu: *Wirtualna wojna*. Według zapowiedzi reżysera jest to ostatni jego film dokumentalny.

27 lutego

- Europa Property uznała inwestycje Ptaka za najlepsze centrum outletowe w Europie Środkowo-Wschodniej. Ptak Outlet powstał w październiku 2012 roku. Stanowi część inwestycji Ptak Expo, zajmuje 33 tys. m² powierzchni handlowej, ceny w Ptaku są o 30 proc. niższe niż w zwykłych butikach.

PERSONALIA:

8 lutego

- Do dymisji poddał się dyrektor szpitala Matki Polki, prof. Przemysław Oszukowski. Profesor kierował szpitalem piętnaście lat, nie podał przyczyn rezygnacji. Do czasu ogłoszenia konkursu na nowego dyrektora obowiązki przejął prof. Jan Wilczyński.

- Norbert Zawisza, wieloletni dyrektor Centralnego Muzeum Włókiennictwa, zrezygnował z pracy w tej unikalnej w kraju placówce muzealnej. Dymisję motywował brakiem dostatecznych funduszy na organizowane w maju br. 14 Międzynarodowe Triennale Tkaniny.

21 lutego

- Witold Kopeć, tzw. oficer rowerowy odpowiedzialny za rozwijanie w mieście transportu rowerowego, i Mariusz Sokołowicz, kierownik zespołu ds. strategii ulicy Piotrkowskiej, złożyli rezygnację z pracy w Urzędzie Miasta.

27 lutego

- Miasto zwolniło Mirosława Pietruchę, prezesa Międzynarodowych Targów Łódzkich. Nowego prezesa wyznaczyła prezydent Hanna Zdanowska. Został nim Andrzej Mękarcki, absolwent UŁ, menadżer, ostatnio pracował dla Zakładu Drogownictwa i Inżynierii Sp. z o.o.
- Dwaj studenci łódzkiej Filmówki, Marek Ulan-Szymański i Mateusz Konopacki, wyjechali na wyspę Pitcairn na Pacyfiku, położoną między Australią a Ameryką Południową. Głową tego miniaturowego państwa jest królowa brytyjska reprezentowana przez gubernatora. Mieszkańcy utrzymują się z upraw owoców, rybołówstwa oraz sprzedaży znaczków pocztowych. Jedynym partnerem handlowym Pitcairn jest Nowa Zelandia. Młodzi filmowcy nakręcili film dokumentalno-podróżniczy o tej dalekiej wyspie.

ODESZLI:

7 lutego

- Władysław Welfe – prof. zw. dr hab., światowej sławy uczyony, członek korespondent PAN, prof. Uniwersytetu Łódzkiego, twórca łódzkiej szkoły ekonometrii, wieloletni dyrektor Instytutu Ekonometrii i Statystyki UŁ, redaktor naczelny pisma „Studia Prawno-Ekonomiczne”, członek zagranicznych towarzystw naukowych, doktor honoris causa UŁ, uniwersytetów w Uppsali i Lyonie oraz Akademii Ekonomicznej w Krakowie. Pozostawił bogaty dorobek naukowy i licznych uczniów.

MARZEC 2013

1 marca

- Tenista łódzkich klubów, obecnie MKT, 20-letni Jerzy Janowicz został Łodzianinem Roku 2012. W 2012 roku Janowicz grał w wielkoszlemowych turniejach w Paryżu i w Nowym Jorku i wszedł do światowej czołówki. Plebiscyt od 1993

roku organizuje Radio Łódź, kandydatów typują szefowie łódzkich mediów i uczelnie. Głosują mieszkańcy Łodzi.

- Polska Grupa Energetyczna kupiła dwadzieścia dwa komputery dla Instytutu Maszyn Przepływowych Wydziału Mechanicznego Politechniki Łódzkiej. Z nowoczesnego sprzętu będą korzystać także studenci innych wydziałów.

2 marca

- XIX Międzynarodowy Festiwal Sztuk Przyjemnych i Nieprzyjemnych w Teatrze Powszechnym otworzył spektakl *Danuta* w Teatru Polskiego na podstawie książki Danuty Wałęsowej *Marzenia i tajemnice*. Przedstawienie reżyserował Janusz Zaorski, w roli Danuty Wałęsowej wystąpiła Krystyna Janda.
- Album *Devils in Disguise*, debiut duetu Little Lies w składzie wokalistka Kasia Bartczak i gitarzysta Zbyszek Krenc, został uznany za Łódzką Płytę Roku w plebiscycie czytelników Gazety „Co jest grane”. Nagrodę jury przyznano łódzko-wrocławskiemu trio Kamp.

5 marca

- Z okazji opublikowania drugiego tomu *Encyklopedii Solidarności. Opozycja w PRL 1976-1989* Łódzki Oddział IPN zorganizował spotkanie promocyjne z udziałem redaktorów tomu.
- Profesor Leszek Balcerowicz wygłosił na Politechnice Łódzkiej otwarty wykład, a następnie w Empiku w Manufakturze promował swoją najnowszą książkę *Odkrywając wolność. Przeciw zniewoleniu umysłów*.
- W Domu Literatury spotkała się z czytelnikami Andrea Löew, autorka książki opublikowanej w Wydawnictwie Uniwersytetu Łódzkiego pt. *Getto łódzkie. Warunki życia i sposoby przetrwania*. Jest to pierwsza opublikowana w języku polskim historyczna monografia getta.
- *Proletariat wiedzy – doktoranci i doktorantki w polskim szkolnictwie wyższym* – pod takim hasłem Wydział Ekonomiczno-Socjologiczny UŁ, Krytyka Polityczna Łodzi i Obywatele Nauki zorganizowali na Uniwersytecie Łódzkim otwarte spotkanie dyskusyjne. Konkluzji nie było.
- Tadeusz Mazowiecki, pierwszy premier III RP, spotkał się z łodzianami w Społecznej Akademii Nauk. Premier dzielił się swymi wspomnieniami z końca lat 80. i promował swoją najnowszą książkę *Rok 1989 i lata następne*.

- Polska Akademia Filmowa po raz piętnasty przyznała Orły, nagrody za największe dokonania w tej dziedzinie sztuki. Za najlepszy film uznano *Obławę* Marcina Krzyształowicza. Za najlepszy film dokumentalny statuetkę Orła otrzymał film *Wirtualna wojna* Jacka Bławuta, za odkrycie roku uznano rolę Michała Urbaniaka w filmie *Mój rower*, za montaż zdjęć do filmu *Jesteś bogiem* statuetkę otrzymał Jarosław Kamiński. Film ten zyskał także nagrodę publiczności. Nagrodę przyznano też Wojciechowi Smarzowskiemu za zdjęcia do filmu *Drogówka* oraz Arkadiuszowi Tomiakowi za zdjęcia do *Obławy*. Większość nagrodzonych to absolwenci lub wykładowcy łódzkiej Filmówki.

6 marca

- W biurowcu University Business Park przy ulicy Wólczńskiej otworzono Centrum Badawczo-Rozwojowe firmy Samsung. Firma przygotowuje oprogramowanie dla nowoczesnych urządzeń elektronicznych: telewizorów, dekodерów, telefonów. Już rozpoczęła rekrutację pracowników.
- Książkę Mirosława Jaskulskiego *Piwo, flaki garnuszkowe, petersburskie bliny i kawior astrachański, czyli z dziejów gastronomii łódzkiej do 1918 roku* promowało Muzeum Miasta Łodzi wraz z wydawcą, Domem Wydawniczym Księży Młyn. Spotkanie na temat historii gastronomii w Łodzi prowadził dziennikarz Łukasz Kaczyński.

8 marca

- Program obchodów Roku Tuwima w Łodzi, rodzinnym mieście poety, obejmuje m.in. powołanie Literackiej Nagrody Miasta Łodzi im. Juliana Tuwima, trasę koncertową zespołów grających wiersze poety, plenerowe projekcje filmowe oraz spektakl *Bal w operze*.
- PTTK od marca organizuje w niedzielne poranki wycieczki „Śladami Tuwima” po Łodzi, a podczas wakacji na trasie Łódź-Warszawa jeździł będzie pociąg „Tuwim” z atrakcjami artystycznymi. Koordynatorem projektu jest Marcin Bałczewski z Domu Literatury. Dotacje na realizację programu przyznali minister kultury i dziedzictwa narodowego Bogdan Zdrojewski oraz Urząd Miasta Łodzi.

13 marca

- Na Politechnikę Łódzką przyjechało sześćdziesięciu studentów z Włoch, którzy poznali plany biura architekta miasta i podczas warsztatów zaproponowali rozwiązania urbanistyczne dla Bramy Miasta.

14 marca

- W Domu Literatury czytelnicy i przyjaciele skupieni wokół redakcji „Tygla Kultury” zapoznali się z treścią dwóch najnowszych numerów pisma. Głównym wątkiem obu numerów jest droga. Droga jako poznawanie i próby zrozumienia obcych kultur i języków oraz droga i podróże jako sposób na życie. W spotkaniu wzięli udział autorzy opublikowanych tekstów.

15 marca

- Młodzież działająca w duszpasterstwach przy łódzkich kościołach zorganizowała inscenizację męki Chrystusa, którą wystawiła na ulicach Łodzi. Park Sienkiewicza przedstawiał Ogród Oliwny, a Plac Wolności Golgotę. Po drodze uczestnicy misterium zatrzymali się przy Grand Hotelu i zapalili znicze w miejscu tragicznej śmierci łódzkiego maturzysty Mateusza.
- W Atlasie Sztuki otwarto wystawę *Płaska rzeczywistość*, na którą składają się fotografie, instalacje i rysunki Zbigniewa Libery. Artysta zapowiedział, że przygotowuje się do produkcji fabularnego filmu, prawdopodobnie z Krzysztofem Strómskim w roli głównej.
- W Konstancynie Łódzkiej na terenie Łódzkiej Specjalnej Strefy Ekonomicznej wbito pierwszą łopatę pod budowę szwajcarskiej firmy Clariant. Firma produkuje „masterbacze”, czyli komponenty do produkcji wyrobów plastikowych. Fabryka zostanie oddana do użytku w przyszłym roku, znajdzie w niej zatrudnienie co najmniej sto osób.

16 marca

- Sojusz Lewicy Demokratycznej zwołał w Łodzi konferencję samorządowców z udziałem czterystu działaczy z całego województwa. Członkowie partii przygotowują się do wyborów samorządowych, które odbędą się jesienią 2014 roku. Gośćmi konferencji byli: Jerzy Wenderlich, wicemarszałek sejmu, Marek Balicki, b. minister zdrowia, i Dariusz Joński, poseł SLD.
- W Teatrze Jaracza odbyła się premiera sztuki *Baba Chanel*, której autorem i reżyserem jest Rosjanin Nikołaj Kolada. W niedzielę teatr wystawił *Marzenia Nataszy* Jarosławy Pulinowicz także w reżyserii Kolady.

18 marca

- W Łodzi otwarto trzeci Klub Integracji Społecznej. Podopieczni MOPS uczą się w Klubie, jak szukać pracy, wyjść z zadłużenia, korzystać z pomocy prawnej

i psychologicznej. Głównym celem 6-tygodniowych warsztatów jest usamodzielnienie ich uczestników.

- Na zlecenie magistratu firma Altiks wykonała sto map Łodzi dla osób niewidomych z napisami w alfabecie Braille'a. Będą one dostępne m.in. w siedzibie Polskiego Związku Niewidomych i w biurze rzecznika osób niepełnosprawnych. Podobne mapy mają Warszawa, Kraków, Poznań i Płock.
- Urząd Miasta Łodzi i Port Lotniczy im. Władysława Reymonta ogłosili konkurs pod hasłem: *Łódź kreuje, Kopenhaga zachwyca. Czym i dlaczego?* Pisemna odpowiedź nie powinna przekroczyć tysiąc znaków. Główną nagrodę stanowi wycieczka do Kopenhagi dla dwóch osób.
- Ukazały się dwa albumy pokazujące przedwojenną Łódź: *Przedwojenna Łódź. Najpiękniejsze fotografie* Jacka Regini-Zacharskiego (Wydawnictwo RM) oraz *Przedwojenna Polska w krajobrazie i zabytkach. Województwo warszawskie i łódzkie* (Libra Pl). Jest to reprint z roku 1930 uzupełniony o fotografie z Narodowego Archiwum Cyfrowego.
- Trzy lata temu powstał w Łodzi pomysł akcji Dotknij Teatru. W tym roku akcja objęła kilkadziesiąt miast i teatrów w Polsce. W Łodzi nad całością akcji czuwa Teatr Nowy, prezentowane są różne oblicza teatru: terapeutyczne, edukacyjne, artystyczne, społeczne i naukowe na wszystkich scenach w Łodzi, łącznie z teatrami dla dzieci.

20 marca

- Amos Oz, eseista, prozaik, najbardziej poczytny izraelski pisarz, otrzymał tytuł honoris causa Uniwersytetu Łódzkiego. W Łodzi pisarz gościł po raz pierwszy. Ojciec pisarza, literaturoznawca Jehuda Klausner, związany był z Łodzią, publikował w naukowym piśmie „Zagadnienia Rodzajów Literackich”. Oz urodził się w 1939 roku w Jerozolimie, studiował filozofię i literaturę. Dwadzieścia pięć lat spędził w kibucu, uprawiał ziemię i uczył w szkole średniej. Obecnie jest profesorem literatury hebrajskiej. Napisał dwadzieścia książek przetłumaczonych na kilkadziesiąt języków. Aktywnie działa w ruchu na rzecz pokoju. W Łodzi wygłosił wykład pt: *Israel – Dreams and realities* oraz spotkał się z czytelnikami w księgarni Matras w Manufakturze.

21 marca

- W podwórku przy Piotrkowskiej 101 umieszczono prowokacyjną rzeźbę zwaną *Dupą Tuwima*, przeniesioną tu z kina Charlie. Autorami rzeźby są członkowie Biura Interwencyjnej Edukacji i Dydaktyki Artystycznej. Naprzeciwko podwórka

znajduje się ławeczka z siedzącym poetą. Obsceniczny cytat: „Całujcie mnie wszyscy w d...” pochodzi z wiersza Tuwima *Z tytułem nie do powtarzania*.

- Przy dźwiękach fanfary rektor Akademii Muzycznej prof. Cezary Sanecki zawiesił wiechę na powstającym budynku Regionalnego Ośrodka Kultury, Edukacji i Dokumentacji Muzycznej przy al. 1 Maja 4. Budynek ma być gotowy w grudniu przyszłego roku i będą się w nim mieścić biblioteka, fonoteka, studio nagrań, pracownia kształcenia słuchu i laboratorium dźwiękowe. Zawieszenie wiechy było jednym z elementów obchodzonego po raz pierwszy święta uczelni.
- Łukasz Stryjek, student informatyki Politechniki Łódzkiej, jako pracę dyplomową przygotował wirtualną rekonstrukcję wielkiej Synagogi, która mieściła się na rogu ulic Zielonej i Kościuszki. Projekt zrealizowany jest w taki sposób, że po synagodze można poruszać się umownie tak jak po grach komputerowych i każdy detal obejrzeć z bliska. Najpiękniejszą synagogę w Łodzi spalili i zburzyli Niemcy jesienią 1939 roku.

22 marca

- 22 marca przypada Międzynarodowy Dzień Teatru Lalek. Muzeum Archeologiczne i Etnograficzne w Łodzi zorganizowało z tej okazji wystawę lalek teatralnych Tadeusza Hołówki. Tadeusz Hołówko urodził się w 1929 roku w Łodzi. Kilkadziesiąt lat tworzył lalki i elementy scenografii na scenach całej Polski. Pracował też przy filmach animowanych. Lalki eksponowane na wystawie pokazują kilka dekad plastyki teatralnej w Polsce. Charakteryzuje je wyrazistość i klasyczna uroda. Prezydent Łodzi Hanna Zdanowska skierowała do artysty list gratulacyjny.
- Tegoroczna droga krzyżowa różniła się od poprzednich nazwą, trasą i organizacją. Rozważania przygotowane przez katolickiego biblistę odczytywali zawodowi aktorzy. Duchowni z innych kościołów chrześcijańskich napisali list do arcybiskupa Marka Jędraszewskiego z informacją, że nie widzą już dla siebie miejsca w nowej formule i nie wzięli w udziału w drodze krzyżowej. Zaproсили natomiast ks. arcybiskupa na spotkanie Rady Ekumenicznej w Łodzi w celu przedyskutowania dokonanej zmiany utrwalonej już przez lata łódzkiej tradycji.

23 marca

- Premierą przedstawienia *Podróż zimowa* w reżyserii Marii Kleczewskiej, wspólnego dzieła inscenizacyjne Teatru Powszechnego w Łodzi i Teatru Polskiego w Bydgoszczy, zakończył się XIX Międzynarodowy Festiwal Sztuk Przyjemnych i Nieprzyjemnych. Miłośnicy sztuki teatralnej mogli w tym roku w ramach Festi-

walu obejrzeć osiem spektakli teatrów z Polski i przedstawienie Narodowego Teatru z Sibiu w Rumunii.

- Obchody Światowego Dnia Wody zorganizowały w Łodzi Zakład Wodociągów i Kanalizacji, Grupowa Oczyszczalnia Ścieków i spółka Dalkia. W Manufakturze specjaliści opowiadali, jak oszczędzać wodę i dlaczego jest tak cenna. Widzowie podziwiali Annę Filipowską, finalistkę programu *Mam talent*, która zademonstrowała taniec w basenie. W niedzielę Zakład Wodociągów zaprosił łodzian na wycieczkę do Stacji Uzdatniania wody na Dąbrowie.
- Salezjanin ks. Tadeusz Furdyna obchodzi 50-lecie twórczości artystycznej. Z tej okazji w Miejskiej Galerii Sztuki w Parku Sienkiewicza otwarto wystawę poświęconą twórczości jubilata. Zakonnik jest znanym autorem witraży, rzeźb, obrazów i aranżacji wnętrz sakralnych, laureatem nagród i wyróżnień. Od 1967 roku jest związany z Łodzią.

25 marca

- W Atlas Arenie wystąpił z koncertem Justin Bieber, dziewiętnastoletni Kanadyjczyk, idol nastolatków na całym świecie. Polskie fanki artysty przyjechały do Łodzi z całej Polski, godzinami wyczekując na swego ulubieńca przed hotelem. Młode fanki muzyki wymusiły na rodzicach kupno biletów, z których najdroższe kosztowały 1500 złotych.
- W lutym br. Uniwersytet Łódzki podpisał umowę z Centrum Nauki i Techniki, które powstaje na terenie dawnej elektrociepłowni EC-1 Zachód przy ulicy Targowej 1/3. 25 marca podczas konferencji prasowej w sali Senatu im. prof. T. Kotarbińskiego przedstawiono założenia umowy. Uniwersytet zobowiązał się do opiniowania merytorycznego programów CNIiT, przygotowania i prowadzenia warsztatów, praktyk studenckich, organizowania konferencji i wystaw czasowych. Przedstawiciele Wydziału Fizyki i Informatyki Stosowanej objęli patronat nad ścieżkami edukacyjnymi. Pierwsza z nich zatytułowana *Rozwój wiedzy i cywilizacji* dotyczyć będzie zjawisk wynikających z praw fizyki i chemii, druga ścieżka *Mikroświat, makroświat* pokaże zjawiska związane z fizyką atomową, chemią, astrofizyką i geologią. Przy pomocy pracowników Politechniki Łódzkiej opracowywana jest ścieżka *Przetwarzanie energii*. Otwarcie tej części Centrum przewidywane jest na jesień 2014 roku. W konferencji uczestniczyły władze UŁ, przedstawiciele Centrum i wiceprezydent Agnieszka Nowak.

27 marca

- O prawidłowym żywieniu uczniów w stołówkach, bufetach, sklepikach i podczas

przerw rozmawiali uczestnicy konferencji zorganizowanej w pałacu Poznańskie-go. Fundacja Banku Ochrony Środowiska i Fundacja Szkoła na Widelcu zainaugurowały w Łodzi pierwszy w Polsce ogólnokrajowy projekt szkoleniowy pt. *Szkolne smaki – szkoły dobrego żywienia*. W spotkaniu uczestniczyło blisko stu dyrektorów łódzkich placówek. Wiceprezydent Łodzi Krzysztof Piątkowski wygłosił wykład o pozytywnych zmianach żywieniowych zachodzących w łódzkich sklepikach szkolnych. Uczestnicy konferencji wysłuchali także referatów na temat standardów żywienia w szkołach ujętych z różnej perspektywy – tematyki dietetycznej, prawnej, sanitarnej i zarządzania.

- Bartosz Walczak, miejski konserwator zabytków w Łodzi, otrzymał nagrodę Europa Nostra 2013 za pracę habilitacyjną o zespołach fabrycznych w europejskim przemyśle włókienniczym XIX wieku. Laureat jest także pracownikiem naukowym w Instytucie Architektury i Urbanistyki Politechniki Łódzkiej. Nagrodę odbierze 16 czerwca w Atenach.

30 marca

- Według obliczeń sporządzonych w styczniu w Łodzi żyje blisko tysiąc dwustu bezdomnych. 70 proc. z nich stanowią mężczyźni w wieku 51-60 lat, najmniej jest bezdomnych w wieku poniżej 20 lat. Najwięcej z nich żyje na Bałutach i w Śródmieściu. Bezdomni starają się korzystać z pomocy materialnej, wsparcia kościołów, schronisk i innych organizacji charytatywnych. W tym roku spotkali się na śniadaniu wielkanocnym organizowanym od dziesięciu lat przez Stowarzyszenie Przyjaciół Starego Miasta.
- Magistrat przygotowuje się do sprzedaży stu dwudziestu nieruchomości na terenie miasta. Niestety, napotyka na trudności. Brak jest chętnych na kupno kamienic. Przykładowo, zabytkowa kamienica przy ulicy Narutowicza 48 już kilka razy była wystawiana na sprzedaż, za każdym razem z niższą ceną, niestety nie znalazła nabywcy.

ODESZLI:

17 marca

- Kazimierz Sioma – wieloletni dyrektor Agencji Produkcji Filmowej, wykładowca łódzkiej filmówki, kierownik produkcji takich filmów jak *Tańczący jastrząb*, *Sekret Enigmy*, *Akwarium*. Członek Stowarzyszenia Filmowców Polskich.
- Zygmunt Zagraba – prawnik, wieloletni dyrektor administracji oświatowej w Łodzi, menedżer przedsiębiorczości polonijnej w Polsce, kolekcjoner sztuki, przyjaciel artystów.

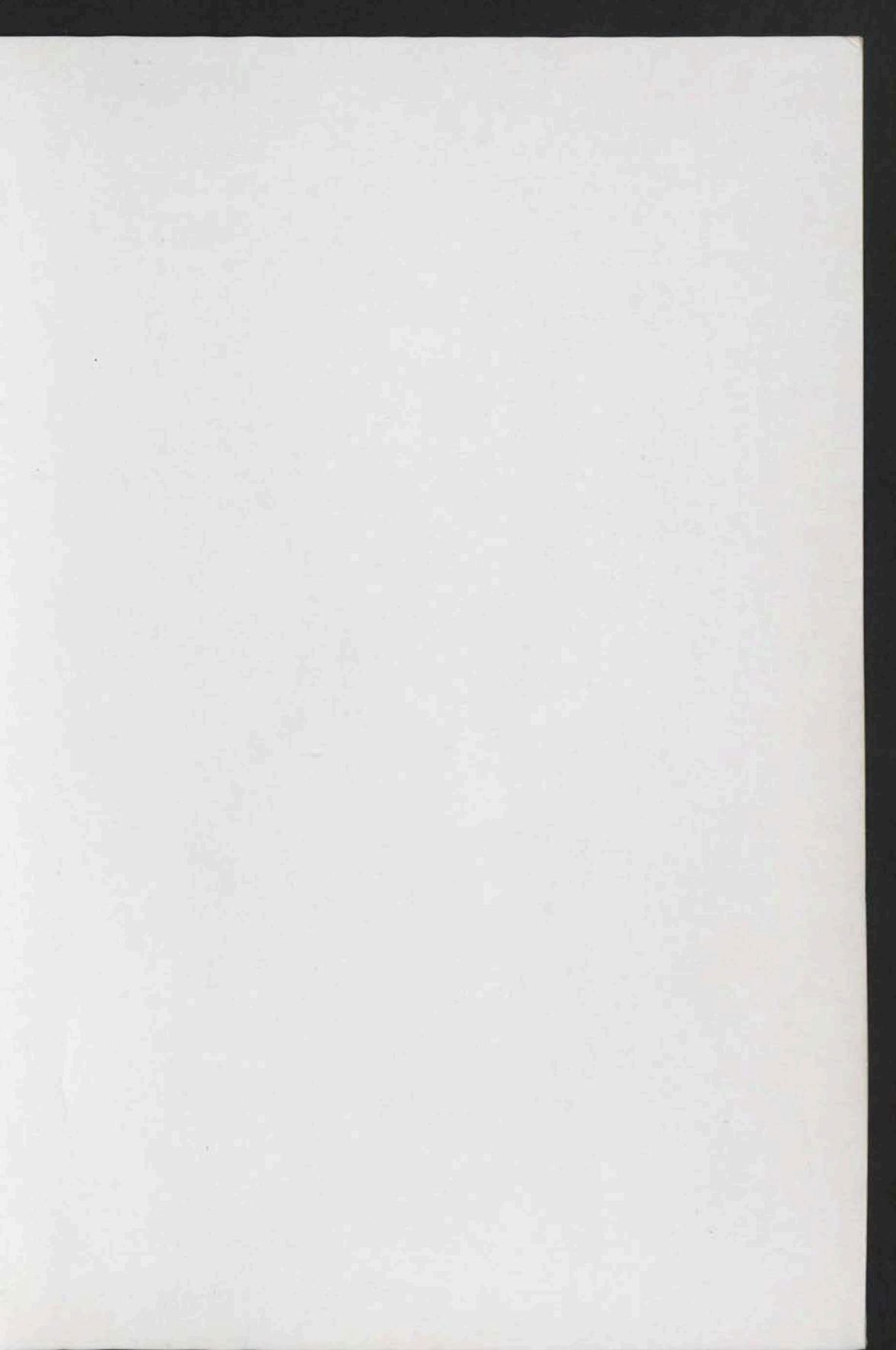
- Janusz Kazmierczak – muzyk, dokumentalista, folklorysta, znawca regionu łowickiego i muzyki ludowej. W 1957 roku na blisko dwadzieścia pięć lat związał się z Polskim Radiem w audycji *Wesoły Autobus*. Współpracował z zespołami Dobroń, Anilana, Poltex, Promni oraz łowickimi: Boczki Chełmońskie, Koderki, z nieistniejącym od dawna zespołem Kolejarcz. Autor *Wesela łowickiego* stworzonego dla zespołu Promni. W 2011 roku w chodniku na Starym Rynku w Łowiczu został uhonorowany wmurowaniem „Gwiazdy łowickiej”

18 marca

- Janina Szwarc – inżynier chemik, niezwykle ofiarna działaczka opozycji, której mieszkanie było w latach 80. XX wieku punktem kontaktowym niepodległościowych struktur podziemnych. Zasłużona szczególnie dla Społecznego Komitetu Pamięci Marszałka Józefa Piłsudskiego. To m.in. dzięki zaangażowaniu Janiny Szwarc powstał w Łodzi pomnik Marszałka.



10678-A





KREUJE